

BESTSELLEROWY AUTOR „NEW YORK TIMESA”

JEFFERY DEAVER

PRZYSPIESZONE BICIE SERCA GWARANTOWANE – „WALL STREET JOURNAL”

POLOWANIE NA CZAS

COLTER
SHAW
#4

Prószyński i S-ka

JEFFERY DEAVER

POLOWANIE NA CZAS

Przełożył
Łukasz Preski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
Hunting Time

Copyright © 2022 Gunner Publications, LLC
All rights reserved

Projekt okładki
Tal Goretsky

Zdjęcia na okładce
Maria Heyens / [Arcangel](#)
Miguel Sobreira / Plainpicture
DEEPOL by Plainpicture
Spreephoto.de / Moment / [Getty Images](#)

Redaktor inicjująca
Jadwiga Mik

Redakcja
Aneta Kanabrodzka

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8352-608-9

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla wszystkich moich przyjaciół z hotelu
Kastens Luisenhof w Hanowerze
za autentyczną życzliwość i szlachetność
okazaną mi
podczas mojej niedawnej podróży do Niemiec.
Danke schoen!*

Być człowiekiem oznacza być inżynierem.

BILLY VAUGHN KOEN,

Discussion of the Method

CZĘŚĆ PIERWSZA

MINISŁOŃCE

WTOREK, 20 WRZEŚNIA

1

Pułapka była dziecinnie prosta.

I jak to w przypadku takich pułapek bywa, sprawdziła się doskonale.

Colter Shaw poruszał się bezszelestnie między zakurzonymi drewnianymi regałami, pełnymi zardzewiałych pojemników i beczek, w dawno opuszczonym warsztacie na czwartym piętrze budynku fabryki Welbourne & Synowie. Półki ciągnęły się jeszcze pięć metrów, a dalej otwierała się rozległa przestrzeń, zastawiona wiekowymi mahoniowymi stołami do pracy, porysowanymi i zaplamionymi, które w większości gniły i pleśniały.

Stali tam trzech mężczyźni w ciemnych garniturach i z ożywieniem rozmawiali, rozluźnieni, zachowując się naturalnie, jak ludzie, którzy nie mają pojęcia, że są obserwowani.

Shaw przystanął i zasłonięty rzędem regałów wyjął kamerę. Wyglądała jak pierwsze lepsze urządzenie, które można kupić na Amazonie albo Best Buy, ale różniła się od nich istotnym szczegółem: z przodu nie miała obiektywu. Jej szklane oko było zamontowane na półmetrowym elastycznym pałaku. Zgiął go pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, skierował za bok regału i dopiero wtedy wcisnął przycisk nagrywania.

Po kilku minutach, gdy mężczyźni odwrócili się do niego tyłem, wynurzył się z kryjówki i podszedł bliżej, chowając się za ostatnim rzędem regałów.

Właśnie wtedy pułapka zadziałała.

Jego but zahaczył tuż nad podłogą o drut, który wyszarpnął boleć z nogi najbliższego regału, co z kolei spowodowało lawinę pojemników, puszek i beczek. Shaw rzucił się na podłogę, by nie poturbowały go większe przedmioty, ale kilka z nich trafiło go w ramiona.

Trzej mężczyźni gwałtownie się odwrócili. Wygląd dwóch zdradzał bliskowschodnie pochodzenie – Shaw wiedział, że to Saudyjczycy. Trzeci był Anglosasem i na tle śniadych twarzy swoich towarzyszy wydawał się bardzo blady. Wyższy z Saudyjczyków – mówiono do niego Rass – trzymał pistolet, po który błyskawicznie sięgnął, gdy Shaw w tak niezgrabny sposób ujawnił swoją obecność. Stanęli obok intruza, podczas gdy ten podnosił się z szorstkiej podłogi, i przyglądali się swojej zdobyczy – wysportowanemu blondynowi po trzydziestce, w dżinsach, czarnym T-shircie i skórzanej kurtce. Shaw prawą ręką trzymał się za lewe ramię. Krzywiąc się z bólu, palcami masował sobie staw.

Rass podniósł szpiegowską kamerę, obejrzał i wyłączył. Kiedy schował ją do kieszeni, Shaw pożegnał się w duchu z tysiącem dwustoma dolarami. W tym momencie nie to było

jednak najważniejsze.

– Hm... – westchnął Ahmad, drugi z Saudyjczyków.

Trzeci z mężczyzn, który nazywał się Paul LeClaire, przez chwilę wyglądał na przerażonego, zaraz jednak zrobił zbolaną minę.

Shaw z niesmakiem zerknął na przewrócony regał i odsunął się od kilku beczek, z których wyciekały chemikalia o kwaśnym zapachu.

Dziecinne proste...

– Zaraz! – LeClaire zmarszczył brwi. – Znam go! Pracuje u pana Harmona. W dziale personalnym. To znaczy tak mówił. Ale to była przykrywka! Niech to szlag! – Głos mu się załamał.

Jak gdyby zaraz miał się rozpłakać, pomyślał Shaw.

– Z policji? – spytał LeClaire'a Ahmad.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– Nie jestem gliną – odezwał się Shaw. – Pracuję prywatnie. – Zwrócił surową twarz w stronę LeClaire'a. – Wynajęto mnie, żebym znalazł judasza u Harmona.

Ahmad podszedł do okna i wyjrzał na boczny zaułek w dole.

– Ktoś jeszcze? – Pytanie było adresowane do Shawa.

– Nie.

Mężczyzna skierował się do wyjścia z warsztatu, a jego ruchy zdradzały, że elegancki popielaty garnitur kryje twarde mięśnie. Wolno otworzył drzwi, wyjrzał, po czym je zamknął. Wrócił do pozostałych.

– Ty – rzekł do LeClaire'a. – Zrewiduj go. Sprawdź, czy ma broń. I co ma w kieszeniach.

– Ja?

– Nas nie śledził – zauważył Ahmad. – To ty byłeś nieostrożny.

– Nie byłem. Naprawdę. Jestem pewien.

Ahmad uniósł dłoń: nie płacimy ci za biadolenie.

LeClaire, z każdą chwilą coraz bardziej ponury, zrobił krok naprzód. Ostrożnie obszukał intruza. Robił to byle jak i gdyby Shaw miał przy sobie pistolet, który często nosił na biodrze, prawdopodobnie by go przeoczył.

Jego niewprawne palce odnalazły natomiast i wydobyły na wierzch zawartość kieszeni Shawa. Kiedy LeClaire się odsunął, miał w rękach telefon komórkowy, gotówkę, składany nóż i portfel. Położył wszystko na zakurzonej stole.

Shaw nadal masował sobie ramię, a Rass przechylił głowę w jego stronę, w niemym ostrzeżeniu, by zważał na ruchy. Trzymał palec na kabłąku spustu pistoletu. Znał się na rzeczy. Z drugiej strony broń, której chromowana powierzchnia lśniła jak lustro, wyglądała pretensjonalnie. Tak nie wygląda sprzęt zawodowca.

Nigdy nie przyciągaj uwagi swoją bronią...

LeClaire spoglądał w stronę otwartej aktówki. Wewnątrz była szara metalowa skrzynka o wymiarach trzydzieści pięć na dwadzieścia pięć na pięć centymetrów. Wystawało z niej

kilka przewodów, każdy w innym kolorze.

– On wie? – zwrócił się do Shawa. – O mnie? Pan Harmon wie?

Colter Shaw rzadko odpowiadał na pytania, na które odpowiedź była jasna jak słońce.

Czasem nie odpowiada się po to, by potrzymać pytającego w niepewności. Biznesmen równocześnie potarł kciuki o palce wskazujące. Dziwnie to wyglądało. Jego cierpienie znacznie się pogłębiło.

Ahmad spojrzął na telefon.

– Hasło.

Rass uniósł pistolet.

Cóż to byłby za surwiwalowiec, gdyby dał się zabić z powodu kodu PIN. Shaw podał mu cztery cyfry.

Ahmad zajrzał do skrzynki z wiadomościami.

– Pisze tylko, że jedzie do fabryki zbadać trop. Wiadomość wysłana pod numer z tutejszym kierunkowym. Pozostałe też do tej samej osoby. Zna nasze nazwiska. – Spojrzął na LeClaire'a. – Nas wszystkich.

– Chryste...

– Tobą zajmuje się już od dłuższego czasu, Paul. – Ahmad przesunął palcem po ekranie, a potem rzucił telefon na blat stołu. – Nie ma bezpośredniego zagrożenia. Plany pozostają aktualne. Ale trzeba załatwić tę sprawę. – Wyjął z kieszeni grubą kopertę i podał LeClaire'owi, który schował ją bez przeliczania swoich srebrników.

– A on? – spytał piskliwym głosem LeClaire.

Ahmad zastanawiał się przez chwilę, po czym dał Shawowi znak, by cofnął się pod ścianę.

Colter poszedł we wskazane miejsce, wciąż masując ramię. Ból promieniował w dół, jakby podlegał sile grawitacji.

Ahmad wziął portfel, przejrzał zawartość i włożył go do kieszeni.

– W porządku. Wiem, kim jesteś i gdzie cię szukać. Ale nie przypuszczam, żebyś się tym za bardzo przejął. – Obrzucił Shawa taksującym spojrzeniem od stóp do głów. – Dasz sobie radę. Pamiętaj, że znam wszystkie nazwiska z twojej listy kontaktów alarmowych. Powiesz Harmonowi, że namierzyłeś tu złodzieja, ale kiedy udało ci się dostać do fabryki, już nas nie było.

– Przecież on wie, że to ja! – jęknął LeClaire.

Ahmad i Rass, tak jak Shaw, wyraźnie mieli dość jego lamentów.

– Wszystko jasne?

– Nie może być jaśniejsze. – Shaw odwrócił się do Paula LeClaire'a. – Muszę jednak zapytać: nie czujesz się przynajmniej trochę winny? Właśnie zrujnowałeś życie dwóm milionom ludzi na całym świecie.

– Zamknij się.

Naprawdę nie było go stać na lepszą ripostę?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Właściwie nie do końca, bo zakłócana niepokojącym szmerem w tle, przypominającym szum krwi w czaszce.

Shaw przyjrzał się, jakie pozycje zajmują w warsztacie trzej mężczyźni, i uświadomił sobie, że sprawdzenie portfela i listy kontaktów alarmowych było wybiegiem – by przeszedł w inne miejsce, z dala od beczek, które stoczyły się na podłogę, gdy zadziałała pułapka. Ahmad nie zamierzał puszczać go wolno. Nie chciał po prostu ryzykować, by jego partner strzelał w stronę pojemników, które mogły zawierać łatwopalne chemikalia.

Czemu nie mieliby go zabić, żeby zyskać na czasie? Zanim ktoś znajdzie zwłoki Shawa, Saudyjczyków już dawno nie będzie w kraju. A jeśli chodziło o LeClaire'a, to odegrał już swoją rolę i nic ich nie obchodziło, co się z nim stanie. Mógłby się nawet stać kozłem ofiarnym, którego oskarżą o zabójstwo.

Ciemne oczy Ahmada zwróciły się w stronę Rassa i jego błyszczącego pistoletu.

– Zaraz – odezwał się ostrym tonem Shaw. – Chciałbym coś...

2

Pieprzony z ciebie farciarz, Merritt.

Blady, wychudzony więzień o nieogolonych policzkach spojrzał na umundurowanego klawisza spod ściągniętych brwi.

Strażnik spojrzał na łysiejącą czaszkę Merritta, jak gdyby właśnie uświadomił sobie, że gdy facet zaczął odsiadywać wyrok, miał więcej włosów niż teraz. Ależ niecały rok potrafi zmienić.

Mężczyźni, obaj twardzi i obaj znużeni, patrzyli na siebie przez kuloodporną szybę grubości półtora centymetra. Mętna tafla była umazana brudem, a ściany odrapane. Wnętrze osiemdziesięcioletniego okręgowego zakładu karnego hrabstwa Trevor nie miało ochoty albo powodu, by się upiększać.

Szczupły i wysoki Jon Merritt miał na sobie garnitur w najciemniejszym odcieniu granatu, który świetnie się nadawał na rozmowy o pracę i na pogrzeby. O numer za duży. Stroju dopełniała biała koszula, lekko przetarta w miejscach, gdzie zwykle przecierają się koszule. Ostatnim razem miał na sobie ten zestaw ponad dziesięć miesięcy temu. Przez ten czas nosił, choć nie z własnej woli, jasnopomarańczowy kombinezon.

– Wyglądasz pierwszorzędnie – powiedział strażnik. Larkin, potężnie zbudowany czarnoskóry mężczyzna, nosił mundur mniej więcej tego samego koloru co garnitur Merritta.

– Promienieję, prawda?

Strażnik zawahał się przez chwilę, być może zastanawiając się, czy sarkazm nie był zbyt uszczypliwy.

– Proszę.

Mężczyzna wziął kopertę, w której tkwił jego portfel, zegarek oraz obrączka. Obrączka powędrowała do kieszeni, zegarek na rękę. Bateria działała bez zarzutu i tarcza pokazywała właściwą godzinę, czyli dwie po dziewiątej rano.

Przejrzał portfel. Banknoty – w sumie sto czterdzieści dolarów – były na miejscu, ale w kopercie nie było monet, które miał wcześniej. W przegródkach tkwiły też karta kredytowa i bankomatowa. Merritt był zaskoczony.

– Miałem telefon, książkę w miękkiej oprawie. Skarpetki. I długopis.

Długopis, którym sporządzał notatki dla adwokata podczas rozprawy. Całkiem ładny, z rodzaju tych, których się nie wyrzuca, ale wymienia się wkład.

Larkin przejrzał kilka innych kopert i kartonowe pudło.

– Nic więcej nie ma. – Uniósł wielką dłoń. – Czasem rzeczy giną. Sam wiesz.

Było coś ważniejszego:

– Miałem jeszcze coś, co zrobiłem na warsztatach. William mówił, że mogę to zatrzymać.

Klawisz zajrzał do kartki.

– Jest pudło za drzwiami. Na regale. Nie przyszedłeś z nim, więc nie musisz podpisywać.

– Przez chwilę buszował jeszcze w papierach. Znalazł dwie duże koperty i przesunął na drugą stronę szyby.

– Co to jest?

– Dokumenty zwolnienia. Podpisz kwit.

Merritt złożył podpis i szybko schował koperty do kieszeni, bo miał wrażenie, że jeśli je teraz przeczyta, to znajdzie jakiś błąd. Klawisz też mógł go wychwycić i powiedzieć: a, to przepraszam, wracaj z powrotem do celi.

– Jeszcze to. – Larkin podał Merrittowi wizytówkę. – Twój kurator. Skontaktujesz się z nim w ciągu dwudziestu czterech godzin. Bez wymówek. – Jeszcze jedna wizytówka przewędrowała z ręki do ręki. To było przypomnienie o wizycie u lekarza. Umówionej na jedenastą tego samego dnia.

– Trzymaj się, Merritt. I nie wracaj.

Odwrócił się bez słowa. Zamek zabrzączał, odblokował się i otworzyły się ciężkie metalowe drzwi. Merritt wyszedł. Obok, na regale, o którym wspominał Larkin, stał karton długości około pół metra i szerokości dwudziestu pięciu centymetrów, z napisem J. MERRITT na boku. Dźwignął go i podszedł do bramy wyjściowej w ogrodzeniu z siatki. Jej skrzydło powoli uchyliło się z kłopotem.

I tak Jon Merritt znalazł się na zewnątrz, na chodniku, którym mógł pójść, dokąd sobie życzył.

Czuł się trochę dezorientowany. Kręciło mu się w głowie. Nie trwało to jednak długo. Przypominało mu stan, gdy kiedyś popłynęli z kolegami gliniarzami wynajętą łodzią na ryby i potrzebował trochę czasu, by przypomnieć sobie, jak się chodzi po rozkołysanym pokładzie.

Kiedy odzyskał równowagę, skręcił na południe. Głęboko wdychał powietrze i zastanawiał się, czy smakuje inaczej niż za kratami. Trudno powiedzieć.

Już rozbolały go stopy. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić buty – nie był pewien, czy jego karty nadal działają – ale łatwiej i taniej było pójść do wynajętej komórki, gdzie czekały jego rzeczy.

Podobno.

Zapaliło się zielone światło i Merritt ruszył przez asfalt na drugą stronę ulicy. Zgarbiony, w za ciasnych butach i luźnym, ponurym garniturze. W drodze na rozmowę o pracę.

Albo na pogrzeb.

3

Zaraz. Chciałbym coś...

Słowa Coltera Shawa przerwał donośny huk dobiegający z jednej z beczek, które spadły na podłogę. Uniósł się z niej wielki obłok gęstego żółtego gazu i wypełnił pomieszczenie. Kilka sekund później nie można było zobaczyć wyciągniętej przed siebie ręki.

Mężczyźni zaczęli się krztusić.

– Trucizna!

– Co to jest?

– Jakieś świństwo z fabryki!

Słowa utonęły w kaszlu.

– Ten gość... nie może stąd wyjść. Zatrzymać go! – padło z ust Ahmada.

Rass przy tak złej widoczności nie mógł jednak strzelić.

Shaw przypadł do ziemi i trzymając się za zasłoną chmury piekącego dymu, zataczał szerokie koło.

– Nie widzę go!

– Jest! Tam! Idzie do okna.

– Mamy pod sobą trzy piętra. Niech skacze. – To znowu był Ahmad.

– Nie, idzie w drugą stronę. – W dyszkancie LeClaire'a brzmiała nuta paniki.

– Podusimy się od tego! Trzeba wyjść!

Ich głosy rozpląnęły się w krzykach i przekleństwach, a potem umilkły, gdy przepchali się do drzwi.

Shaw po omacku odnalazł drogę między regałami i dotarł do okna, przez które wszedł do fabryki. Krztusząc się, zszedł schodami pożarowymi na zniszczone, wcinające się w rzekę nabrzeże. Przebiegł po nierównej drewnianej platformie, ciemnej od kreozotu i śliskiej w miejscach, gdzie zostały dawne plamy po oleju, a potem skręcił w uliczkę biegnącą wzdłuż fabryki od rzeki do Manufacturers Row.

Podszedł do pojemnika na śmieci stojącego w połowie długości zaułka i zabrał się do oczyszczania dróg oddechowych: odchrząkiwał, spluwał i robił głębokie wdechy. Kaszel ustał, ale powietrze, jakim tu oddychał, było niewiele lepsze od oparów na górze. Wyczuwał w nim gryzące gazy odlotowe unoszące się znad powierzchni szerokiej rzeki Kenoah, której woda miała żółtawobury odcień. Dość dobrze już poznał ten zapach; charakterystyczna woń unosiła się nad większą częścią centrum Ferrington.

Stojąc przy pojemniku, którego kłapa była otwarta, rozejrzał się, ale w pobliżu nikogo nie zauważył. Najpierw wyjął szarą kaburę Blackhawk z glockiem 42 i przypiął ją do pasa od wewnątrz. Potem litrową butelkę wody. Napełnił usta i kilka razy splunął. Potem wypił połowę tego, co zostało, i zebrał swoje rzeczy osobiste.

Z dłonią na rękojeści pistoletu jeszcze raz się rozejrzał.

Ani śladu Rassa i jego małej srebrnej broni ani dwóch pozostałych. Szukali go?

Podchodząc do końca zaułka, Shaw przekonał się, że odpowiedź na to pytanie jest przecząca. Wszyscy trzej wybiegli z fabryki, Ahmad przyciskał do siebie aktówkę. Saudyjczycy wsiedli do swojego mercedesa, LeClaire do toyoty. Samochody odjechały w przeciwnych kierunkach.

Shaw wrócił do pojemnika na śmieci.

Sięgnął do środka, wyjął plecak i wsunął do niego szarą metalową skrzynkę, którą znalazł w aktówce. Zrzucił plecak na ramię i wyszedł z zaułka na ponurą ulicę Manufacturers Row. Skręcił w prawo, wyjął z plecaka telefon i wysłał kilka wiadomości.

Szedł dalej w stronę centrum Ferrington.

Myślał o pułapce.

Rzeczywiście była prosta i skuteczna. Ale zastawił ją Shaw, a nie tamci trzej w warsztacie.

Po tym, jak wynajął go prezes pewnej korporacji, by znalazł złodzieja rewolucyjnego urządzenia przemysłowego, zaprojektowanego przez najwybitniejszy inżynierski umysł w firmie, i Shaw zawęził listę podejrzanych do LeClaire'a. Cherlawy, nerwowy informatyk – nałogowy i raczej pechowy hazardzista – umówił się z Saudyjczykami, którym zamierzał sprzedać patent swojej firmy. Shaw dowiedział się, że transakcja ma się odbyć tego ranka w fabryce.

Prezesowi zależało tylko na odzyskaniu urządzenia – znanego pod skrótem ADEB – oraz na ujawnieniu tożsamości złodzieja. Shaw pomyślał, że najlepiej będzie zamienić oryginał na falsyfikat wyposażony w lokalizator GPS, który wskaże ostatecznie miejsce przeznaczenia, a jeśli dopisze im szczęście, to ujawni tożsamość kupca.

Pracująca dla Shawa detektyw, która miała biuro w stolicy, znalazła innego prywatnego detektywa w Ferrington, Lenny'ego Castera, a on zorganizował narzędzia, sprzęt do obserwacji i inne niezbędne rzeczy. Poprzedniego wieczoru obaj z Shawem skonstruowali pułapkę z drutem tuż nad podłogą w budynku firmy Welbourne & Synowie. W jednej z beczek na ropę, która miała się stoczyć z półki w chwili, gdy pułapka zadziała, Shaw umieścił bombę dymną w wojskowym stylu.

Caster w zaparkowanym niedaleko vanie monitorował przebieg całego zdarzenia za pośrednictwem pluskwy zamontowanej w warsztacie. Kiedy usłyszał hasło – „Zaraz. Chciałbym coś...” – odpalił bombę i wypełnił pomieszczenie dymem. Jak ją zrobić, Shawa i jego rodzeństwo nauczył ojciec, ponieważ zasłony tego rodzaju również stanowiły aspekt sztuki i nauki surwiwalu. Colter własnoręcznie przygotował mieszaninę z chloranu potasu

jako utleniacza, laktozy jako paliwa oraz żółcieni chinolinowej z odrobiną sody oczyszczonej, by obniżyć temperaturę spalania – podpalenie to jednak coś znacznie poważniejszego od wtargnięcia na teren prywatny.

Gdy tylko pomieszczenie wypełniło się dymem, Shaw wyciągnął atrapę urządzenia z szuflady stołu, gdzie schował ją poprzedniego wieczoru, i zastąpił nią oryginał. Następnie przedostał się do okna i zrzucił prawdziwy ADEB do pojemnika na śmieci dziesięć metrów niżej.

Szedł teraz cienistym wąwozem wśród opuszczonych magazynów i fabryk z brudnej od sadzy cegły.

ŚLUSARSTWO NARZĘDZIOWE BRISCOW
HUTA ŻELAZA MARTIN I SYNOWIE
AMERYKAŃSKA KORPORACJA PRODUKCJI GAŹNIKÓW

Pięćset metrów dalej wyszedł z tego przemysłowego cmentarza na rozległy teren pełen zarośniętych chwastami działek – obejmujący dwadzieścia czy trzydzieści akrów – gdzie dawniej stały obiekty przemysłowe, które wyburzono i nie postawiono w zamian nic nowego, zostały tam więc pustaki, kupki cegieł, rur i śmieci, które ludzie wrzucali przez ogrodzenie. W podmuchach jesiennego wiatru tańczyły i goniły się nawzajem ulotki, płachty gazet, zgniecione styropianowe kubki.

Shaw słyszał, że szykuje się przebudowa. Czas spędzony w Ferrington nauczył go jednak, że na każdą cudowną przemianę trzeba tu długo czekać. Jeśli w ogóle do niej dojdzie.

Chodnik skręcał w prawo i łączył się z bulwarem przy Kenoah.

Trójka, którą właśnie wyrolował, w końcu się zorientuje, że dokonał zamiany. Czy będą się chcieli zemścić na osobach z listy jego kontaktów alarmowych? Zmarnowałiby tylko czas. Jego prywatna detektyw, Mack McKenzie, sfabrykowała mu tożsamość. W cienkim skórzanym portfelu, którego pozbawił go LeClaire, znajdowały się fałszywe dokumenty, od prawa jazdy przez karty kredytowe po karty lojalnościowe supermarketów (to było coś nowego; Colter nigdy z nich nie korzystał). Mack wmontowała go nawet Photoshopem do rodzinnej fotografii. Jego żoną była zjawiskowa Latynoska; mieli dwoje czyściutkich i fotogenicznych dzieci.

Prawdopodobieństwo, że Rass czy Ahmad pojedą do Anchorage na Alasce, pod jego fikcyjny adres, Shaw oceniał na jeden procent, a nawet gdyby pojechali, to nie znajdą fikcyjnego Cartera Stone'a ani jego fikcyjnej rodziny.

Spojrzał przed siebie, na cel swojej marszruty, dziesięciopiętrowy budynek z czerwonej cegły, jak większość zabudowań w centrum. Na szczycie wisiała wielka tablica. U dołu

ciemnoczerwona, ale gradient kolorów zmieniał się wzwyż aż do jasnej żółci u samej góry, barwy słońca w bezchmurny dzień. Na tym tle umieszczono słowa:

HARMON ENERGY PRODUCTS
LIDER NA DRODZE DO JAŚNIEJSZEGO
I CZYSTSZEGO JUTRA

Rozglądał się po drodze. Nikt nie miał powodów, by przebywać w tej dzielnicy, więc było raczej pusto. Paru wychudzonych chłopaków w bluzach z kapturami i luźnych dżinsach opierało się o pomazane graffiti mury albo siedziało pod nimi, być może licząc na to, że uda się sprzedać czy kupić trochę cracku, mety czy hery. Bezdomny mężczyzna o ziemistej twarzy w nieokreślonym wieku pólleżał opatulony w koce, choć jak na porę dnia było już dość ciepło. Za sobą miał skleconą z kartonu budkę, której wejście przysłaniał trapez wycięty z płyty gipsowo-kartonowej. Nie chciało mu się nawet wystawiać kubka na drobne. prostytutka – o wyglądzie kobiety – w takim samym letargu jak wszyscy inni na ulicy, paliła papierosa i stukiała w klawisze telefonu.

Nikt nie próbował nagabywać Coltera Shawa, który ze względu na aparycję przywodził na myśl gliniarza.

Pięćdziesiąt metrów dalej na bulwarze stał wysoki mężczyzna o gęstej blond czuprynie i oparty o metrowy betonowy murek, który oddzielał chodnik od rzeki, pisał wiadomość w telefonie. Był zwrócony twarzą do wody płynącej daleko w dole. Rzeka nie miała tu naturalnego brzegu; jej granice były dziełem człowieka, stanowiły je betonowe mury albo fundamenty budynków.

Zbliżając się do mężczyzny, Shaw uświadomił sobie dwie rzeczy. Blondyn niekoniecznie wysyłał wiadomość, ale z pewnością używał telefonu do innego celu – jako lusterka, w którym obserwował chodnik, skupiając się w szczególności na Colterze.

Zauważył też, że ten człowiek jest uzbrojony.

Nigdy nie patrz na biodro, kiedy szukasz u kogoś broni; patrz na ręce...

Przełożył plecak na lewe ramię, rozpiął kurtkę i podszedł bliżej. Gdy znalazł się przy mężczyźnie, ten schował telefon, odwrócił się i rozpromienił twarz w uśmiechu.

– Ach, oto pan Colter Shaw! – Delikatny obcy akcent. Rosyjski albo ukraiński, albo białoruski. – Nie ma powodu się obawiać. Obserwowałem pana, kiedy pan tak miło spacerował. Nikt pana nie śledzi. Chociaż są trzy osoby, co bardzo by chciały ułożyć panu wizytę.

4

Nigdy nie pozwól, by zaskoczenie stępiło twoją czujność...

Shaw zwrócił uwagę, że prócz paru zmęczonych osób, które właśnie mijał, ulica jest opustoszała.

Słowianin nie zamierzał sięgać po broń.

Ani z przodu, ani z tyłu nie nadjeżdżał w jego stronę żaden samochód.

Dopiero gdy ocenił minimalne ryzyko – na mniej niż dziesięć procent – całą uwagę skupił na blondynie. Mężczyzna miał kanciaste rysy twarzy – wysokie kości policzkowe i spiczasty podbródek. Ciekawe, że mimo jasnych włosów jego oczy były czarne jak smoła. Shaw wiedział, że geny często bywają kapryśne.

Mężczyzna też rozejrzał się po ulicy.

– Jak się podoba panu na tym zadupie? A zresztą jakie ja mam prawo oceniać? Tam, skąd ja pochodzę, mamy dużo zatrutych miast. Dzięki, Wielki Przywódco! Przechadzałem tu i szukałem jednego miejsca, gdzie nie śmierdzi. Nie znalazłem! Dobrze, dobrze, przejdę do rzeczy, zanim pana zanudzę.

Cmoknął, a w jego oczach błysnął podziw.

– Sprytnie, bardzo sprytnie pan zrobił, panie Colter Shaw. Złapał pan złodzieja jak mysz w pułapkę. Ubiegł mnie o włos. Już nadeptywałem pięty temu biednemu i smutnemu panu Paulu LeClaire. Ale pan był szybszy. Pana pluskwa była lepsza od mojej. – Wzruszył ramionami. – Czasem się zdarza.

No i co pan robił, panie Colter Shaw? Zamienia pan na atrapę, a oni nie mają pojęcia. – Nagle się nachylił i Shaw zeszywniał, ale mężczyzna tylko głęboko pociągnął nosem. – Dym bitewny... Bardzo sprytny ruch, bardzo sprytny. Arabscy chłopcy wracają do domu, podłączają ADEB i robią sobie Czarnobyl! Ha, ha! Cudowne.

– Kim jest pański kupiec? – spytał Shaw.

– Och, pan taki a taki. A może pani taka a taka. Jak pan myśli, panie Colter Shaw? – Spoważniał. – Myśli pan, że kobiety kantują w świecie biznesu bardziej niż mężczyźni? Bo ja tak myślę. A teraz pomówmy... jest takie wyrażenie. – Spojrzał na rzekę. – Mówić... bez czegoś. Co to było? Coś z warzywami.

– Nie mamy o czym mówić. Przecież pan wie, że tego nie sprzedam.

– Ach, już sobie przypominam: pomówmy bez ogródek! Ile pan zarobi za to zlecenie? Jego wynagrodzenie wynosiło dwadzieścia tysięcy dolarów.

Marty Harmon jak na skalę Ferrington wydawał się zamożny, ale jego firma była start-upem i nie generowała jeszcze zysków, a ponieważ jego produkty miały przede wszystkim poprawić warunki życia w krajach Trzeciego Świata, to Shaw postanowił przyjąć ofertę. I związane z nią wyzwanie, które też mu się spodobało.

Nie odpowiedział.

– Pan posłucha, ile ja daję. Pięćdziesiąt tysięcy. Pan chce złoto, bitcoiny, dogecoiny? Do wyboru, do koloru. Nawet zielone pieniądze. Ale jacy dranie by je dzisiaj chcieli? – Zmarszczył brwi. – Ruble? Zrobię z pana rublowy milioner. A może akcje Gazpromu? Zawsze dobre. – Szeroko się uśmiechnął, ale zaraz wróciła poważna mina. – Sto. Tysiące. – Przy każdej z tych liczb unosił palec wskazujący.

Czyli jego pracodawca prawdopodobnie rezydował w Moskwie, nie w Mińsku ani Kijowie. Tak wskazywałaby wzmianka o rublach.

– Jak się pan nazywa? – spytał Shaw.

– Jak się nazywam? Nazywam? – Ryknął śmiechem. – Nazywam się John F. Kennedy. Nie, kłamie. Abraham Lincoln. Aha! Tak się nazywam! Sto pięćdziesiąt. Więcej nie może być.

– Posłuchaj, Abe, to nie jest na sprzedaż – odparł Shaw.

– Myślałem, że taka będzie odpowiedź. Byłem pewien. Niech się pan nie obawia, nie, nie. – Uniósł ręce. – Nie ma strzelaniny w samo południe. Wiem, że ma pan broń. Widziałem, rzuciłem okiem. *Maleńkij pistolet*.

Zgadza się, to Rosjanin.

– Okej – dorzucił mężczyzna. – Dwieście tysięcy.

Czyli jednak może być więcej.

– Nie.

– To *kurwowo*.

Shaw nie znał tego słowa, choć pracując jako łowca nagród, poznał całkiem bogate słownictwo uliczne.

Słowianin miał świadomość, że negocjacje dobiegają końca. Lekko przymrużył oczy.

– To pech. Masz pan pech. Stracić tyle pieniędzy. – Postukał się w głowę. – Będę musiał wymyślić co mądrzejszego.

W tej zapowiedzi nie zabrzmiał ton groźby, chociaż to ewidentnie była groźba.

Shaw mniej subtelnie odparował:

– Nie śledź mnie, Abe, dla swojego własnego dobra. Nie jesteśmy sami.

Blondyn jeszcze mocniej przymrużył oczy, a potem rozejrzał się po bulwarze. Wreszcie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ja? Czemu śledzić? Przecież ja tu turysta! Widział pan słynny Wodny Zegar?

– Nie.

– Och, trzeba go zobaczyć, panie Colter Shaw. Trzeba. Zobaczyć.

Shaw minął go i ruszył dalej w głąb ulicy, oceniając prawdopodobieństwo, że Słowianin wbrew swoim zapewnieniom wyciągnie broń, by mimo wszystko odegrać scenę *W samo południe*.

Jego zdaniem wynosiło około pięciu procent. Abe Lincoln nie był głupi.

Ale był zdesperowany.

Kurwowo...

Dobra, może dziesięć.

5

Nareszcie. Jego szyte na miarę buty...

Jon Merritt z błogim uczuciem ulgi przymknął oczy, wsuwając stopy do obuwia, w którym chodził do pracy – kiedy miał pracę. Sznurowane, z czarnej skóry, z wkładkami. I stalowymi podnoskami – od czasu do czasu okazywały się niezbędne.

Znajdował się w komórce w kompleksie przestrzeni magazynowej do wynajęcia i przeglądał swoje rzeczy w plastikowych pojemnikach, które zostały wypełnione bez ładu i składu. Wszystko wrzucono byle jak.

Do plecaka z wyblakłym logo drużyny futbolowej, której świetność też dawno wyblakła, włożył ubrania, przybory toaletowe i karton z projektem, którym się zajmował na warsztatach metaloplastycznych – zajęciach resocjalizacyjnych, które wybrał w więzieniu.

Dalej grzebał w rupieciach. Ciekawe, czy znajdzie coś znaczącego. Coś, co będzie miało wartość sentymentalną.

Nie.

Był tu worek na śmieci z rzeczami z jego dawnej pracy. I rzeczywiście wypełniały go śmieci, w których znalazły się nawet zgnieciona puszka po napoju, buteleczka po lakierze do paznokci, twarda jak kamień kromka chleba sprzed roku, za stara, by zaatakowała ją pleśń. Przekopał się przez zawartość worka i nawet zabrał z niego coś, co mogło się przydać.

Opuścił drzwi z blachy falistej, zamknął je na klucz i wyszedł z budynku magazynu. Potem przejechał przez miasto autobusem z czołem opartym o szybę, czując wibracje silnika i jęgliwe protesty zawieszania na ulicach dręczonych przez niełaskawą pogodę. W ich nawierzchni były te same pęknięcia i wyboje co przed rokiem, gdy trafił do pudła. W tak krótkim czasie przeznaczony na infrastrukturę budżet Ferrington nie powiększył się w cudowny sposób. Zresztą nawet gdyby tak się stało, to jaka jego część trafiłaby do kieszeni urzędników?

Jon Merritt wiedział, że całkiem spora.

Wysiadł, przeszedł trzy skrzyżowania i skręcił do biura sporego warsztatu samochodowego, gdzie unosiła się słodkawa woń oleju.

– Ebb.

Właściciel wlepił w niego zaskoczony wzrok i znieruchomiał. Zwisające wałki tłuszczu i sterczące kępki włosów upodabniały go do trolla. Na jego twarzy odbiło się zdumienie.

Odsunął się od silnika dużego czerwonego peterbilta. Opuścił rękę, w której trzymał klucz.

– No. Jon, wyszed...

Merritt ruchem głowy wskazał na zewnątrz.

– Nie postarałeś się, żeby go utrzymać w przyzwoitym stanie.

Biały ford pikap F-150 był zakurzony i brudny, przednia szyba straciła przezroczystość, pokryta żółtą warstwą pyłków z zeszłej wiosny. Maskę i dach dekorowały gałęzie i liście, które piętrzyły się też na platformie, gdzie pewnie naniósł je wiatr.

Merritt sądził, że rozmawiali o przechowaniu wozu pod dachem, chociaż nie był do końca przekonany. Podczas tamtych uzgodnień był pijany. To był dzień, w którym ogłoszono wyrok.

Może Ebb przypuszczał – albo miał nadzieję – że Merritt umrze w pudle, a on będzie mógł zatrzymać pikapa. Na liczniku ledwie dwieście czterdzieści osiem tysięcy kilometrów. Tyle co nic.

Właściciel warsztatu przyjrzał się jego posępnej twarzy. Wiedząc, za co Merritt trafił za kratki, trochę się go bał.

– Jon, naprawdę, gdybym wiedział, autko byłoby wypucowane na błysk... – Spróbował innej taktyki: – Zapłaciłeś za przechowanie jeszcze przez dwa lata. Zwrócę ci tę kasę. Raz-dwa. Podaj adres, to ci wyślę czek.

– Nie mam adresu. Gdzie szlauch?

– Pomógłbym ci, ale Tom Ehrlich potrzebuje swojego wozu.

– Szlauch. – Merritt już dawno się przekonał, że cichy głos budzi większą grozę niż krzyk.

– Jasne, Jon. Na zewnątrz. Chcesz szampon i nabłyszczacz do lakieru? Jak dasz mi dzień, będzie jak nowy.

– Kluczyki.

Wziął od Ebba breloczek.

Gdy ford był już na tyle czysty, by nie budzić zainteresowania na ulicy, odpalił silnik. Trochę stukał, ale nie bardziej niż przed rokiem.

Wyjechał na ulicę i po piętnastu minutach spokojnej jazdy zatrzymał się niedaleko sklepu ze sprzętem elektronicznym. Kupił w nim telefon na kartę. Uruchomienie nie było tak proste, jak to wygląda w filmach. Merritt wiedział to ze swojego dawnego życia. Owszem, jednorazowy telefon można kupić bez karty kredytowej i adresu. Ale niezbędny jest adres e-mailowy. Pomógł mu sprzedawca, napakowany dzieciak z imponującymi tatuażami, które nic nie znacząły. Udało im się aktywować kartę.

Siedział za kierownicą i przez długi czas wpatrywał się w telefon. Wreszcie zadzwonił. Usłyszał trzy sygnały, a potem komunikat, że numer jest już nieaktualny.

Nic dziwnego, zważywszy na to, że kobieta, która kiedyś używała tego numeru, była jego ekszoną oraz świadkiem wnoszącym oskarżenie – czyli ofiarą – w sprawie, która doprowadziła do aresztowania go pod zarzutem usiłowania zabójstwa i napaści z użyciem

niebezpiecznego narzędzia, co spowodowało – jak z ekspresją rzadko spotykaną w pismach procesowych określał akt oskarżenia – „ciężkie uszkodzenie ciała”.

6

Zbliżając się do kompleksu Harmon Energy Products, Colter Shaw obejrzał się za siebie.

Ani śladu Abe'a Lincolna.

Nadjechał ciemnoszary mercedes metris. Zatrzymał się przy krawężniku, po czym wysiadł z niego szczupły mężczyzna w czarnej kurtce z postawionym kołnierzem i czarnych spodniach. Ubranie miało wiele kieszeni, co często spotyka się w odzieży taktycznej. Skóra mężczyzny była o ton jaśniejsza od jego stroju, błyszcząca gładko ogolona głowa. Wypolerowane brogry lśniły jak dwa ciemne lusterka.

Shaw przystanął i skinął głową Lenny'emu Carterowi, detektywowi, który pomógł mu zastawić pułapkę.

– Cześć, Lenny.

– I jak, Colter? Dobrze poszło?

– Jeżeli nie liczyć nieoczekiwanego spotkania.

Caster miał na oku Shawa od fabryki, na wypadek gdyby trzech mężczyźni odkryli zamianę i postanowili po niego wrócić.

Nie jesteśmy sami...

– Mógłbyś ustalić jego tożsamość? – ciągnął Shaw.

Mężczyzna skinął głową.

– Zrobiłem parę dobrych zdjęć. Wysłałem je do Mack.

Detektyw miała możliwość korzystania z usług wybitnych ekspertów od rozpoznawania twarzy.

Caster wyjął telefon i przeczytał z odebranej wiadomości:

– Siergiej Lemierow. Były agent GRU.

Rosyjskiego wywiadu wojskowego.

– Wjechał do kraju na czasowej wizie B-1. Wyrzucony z Niemiec za nielegalne tajne operacje. Podobno miał udział w zamachu na oligarchę w Londynie i aktywistę na Białorusi.

Uniósł wzrok.

– Nie ustaliła szczegółów jego wizyty. Może przyjechał prywatnie, może służbowo.

– Nie mógł zaproponować więcej niż dwieście tysięcy – poinformował go Shaw.

– Grosze – stwierdził detektyw.

Przekręty organizowane przez rządy zwykle miały mocno ograniczone budżety. Gdyby skradziony ADEB chciał kupić komercyjny konkurent, dwieście tysięcy dolarów byłoby ceną wywoławczą.

– Mack powiedziała, że spróbuje go śledzić. Jeżeli się czegoś dowie, prześle wiadomość bezpośrednio do ciebie i Marty’ego.

– Dam mu znać. A nasze trio? – Wskazał głową w stronę fabryki.

Caster uruchomił w telefonie jakąś aplikację.

– Saudyjczycy jadą na północ drogą pięćdziesiąt pięć. Prawdopodobnie na prywatne lotnisko Granton. Pewnie czeka na nich zatankowany G7 czy coś innego. LeClaire ruszył do domu, potem skręcił na południe. Teraz jest na obwodnicy. – Caster zamontował lokalizatory GPS w nadkolach samochodów trójki mężczyzn.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Miło się z tobą pracuje, Lenny. W ogóle wyjeżdżasz z miasta? Przydałaby mi się pomoc od czasu do czasu.

– Trzymam się blisko domu – odrzekł Caster. – Urodziłem się tu i wychowałem. Trenuję drużynę koszykarską syna i piłki nożnej mojej córki. Ale na dzień czy dwa? Dałbym radę. Mam przeczucie, że ta twoja sprawa... byłaby ciekawa. Nie zapominaj o mnie.

– Nie zapomnę.

– Przy okazji: Mack mówiła o śmierci tego oligarchy i aktywisty. Wiesz, jak Lemierow ich zabił? Zostali otruci polonem. Nie jest to przyjemne zejście. Dopóki nie znajdziesz się daleko od miasta, Colter, radziłbym ci nie pić niczego z butelki, której sam nie otworzysz.

7

Jon Merritt wychodził z budynku Centrum Medycznego Hrabstwa Trevor po umówionej wizycie u lekarza.

Było to nijakie miejsce w nijakiej części Ferrington.

Budynek należałoby porządnie odrapać z brudu i odnowić. Wyglądał jak nieco lepiej sytuowany kuzyn więzienia, tyle że otaczało go ogrodzenie ze zwykłej siatki, a nie z drutu kolczastego.

Urzędowało tam chyba czterdziestu lekarzy różnych specjalności. Można się było leczyć z każdej dolegliwości pod słońcem, od zaćmy przez ból brzucha i złamania kości po zmarszczki, jeśli ktoś uważał zmarszczki za dolegliwość.

Zerknął na listę gabinetów i zwrócił uwagę na jedną z większych tabliczek.

KLINIKA PSYCHIATRYCZNA FERRINGTON

Myślał o konkretnym lekarzu, do którego niedawno chodził. Wspomnił ich pierwszą sesję.

Mniej więcej czterdziestoletni doktor ma na sobie niegustowny brązowy garnitur. Nie nosi krawata. Pewnie zgodnie z jakąś instrukcją. Ryzyko uduszenia. Ma buty bez sznurowadeł, wsuwane. Włosy podobne do włosów pacjenta – czyli jasne i delikatnie rzecz ujmując, niezbyt bujne.

Czuć od niego jakiś zapach. Merritt nie bardzo potrafi go rozpoznać. Doktor Evans siedzi na swoim krześle naprzeciwko niego, lekko wychylony do przodu. Wyjaśnia mu, że nigdy nie wkracza w „sferę osobistą”.

To chyba jakiś termin psychologiczny, który ma pokazać, że lekarz troszczy się o pacjenta, ale nie chce go krępować.

Sfera osobista...

Merritt nazwałby to po prostu naruszeniem prywatności. No ale on nie miał dyplomu z medycyny.

Odległość między nimi to też środek bezpieczeństwa, zważywszy na to, z jakiego powodu przychodzi tu wielu pacjentów doktora Evansa.

Z powodu zabójstwa.

Usiłowania zabójstwa.

Ciężkiego uszkodzenia ciała...

Pokój nie bardzo przypomina tradycyjny gabinet terapeuty. Nie ma kozetki, pudełka chusteczek, dyplomów ani oprawionych w ramki zdjęć czy plakatów, które dobiera się bardzo starannie, by pacjenci nie poczuli się urażeni.

Doktor Evans robi notatki na tablecie, nie długopisem ani ołówkiem. Podobno kilka lat temu doszło do incydentu – chociaż na szczęście lekarzowi na oddziale ratunkowym udało się ocalić psychiatrę oko.

Na stoliku niedaleko krzesła doktora znajduje się bezprzewodowy przycisk alarmowy. Wcale nie jest czerwony. Merritt zastanawia się, ile demonów się tu zbiega, gdy lekarz go wciska.

W ogóle kiedykolwiek to zrobił?

– Po prostu porozmawiajmy, dobrze, Jon? – Doktor jest na wpół obecny w gabinecie. Coś innego zaprzęta mu myśli.

I co to za zapach?

Merritt, cały w skowronkach, marzy tylko o współpracy.

– Jasne, chętnie. O czym?

– O wszystkim, co ci przyjdzie do głowy. Na przykład jak się tu czujesz.

Naprawdę o to spytał?

Ale znowu rozjaśnia twarz uśmiechem.

– O twoim dzieciństwie.

– Ach, oczywiście.

Marząc, żeby te minuty jak najszybciej upłynęły, zaczyna snuć chaotyczną historię dorostania w Ferrington. Opowiada o dobrych i złych zdarzeniach, o przeżyciach traumatycznych i pozytywnych. Niektóre są nawet prawdziwe.

Uważa jednak na to, co mówi. Zagadkowo pachnący doktor Evans może być bystrzejszy, niż się wydaje, i jak czytający w myślach magik w wesołym miasteczku tylko czyha na detale, które doprowadzą go do skrzętnie ukrywanej przez Jona Merritta tajemnicy.

Merritt nazywa ją w myślach po prostu „Prawdą” o sobie. Przez duże P.

Kiedy mówi, trzymając się z dala od Prawdy, zauważa, że wzrok lekarza błędzi po gabinecie i często zatrzymuje się na oknie. Za grubymi szybami rozciąga się dziedziniec. Ale to więzienie; nie ma żadnego widoku.

Ciekawe, czy roztargnienie doktora wynika z tego, że obsesyjnie dręczy się diagnozami i terapią więźniów-pacjentów.

A może głównie go obchodzą i marzy o słuchaniu gospodyń domowych z Garden District, które bywają przygnębione albo spięte, ale nie spotyka się wśród nich niebezpiecznych dla otoczenia socjopatów?

Jon Merritt zostawił za sobą centrum medyczne i sprężystym krokiem szedł przez parking. Miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ale zwykle się garbił, co nadawało mu wygląd skradającego się drapieżnika. Wsiadł do wielkiego forda i dwadzieścia minut później jechał przez handlową część miasta na południe od centrum.

Znał tę dzielnicę. Na tych ulicach spędził wiele godzin. Można tu było dostać sztuczne paznokcie na palce u rąk i wypolerować na błysk paznokcie u nóg, można było naprawić samochód, wydłużyć włosy, zamaskować łysinę. Można było kupić sprzęt elektroniczny, zabawki, tysiąc jeden drobiazgów, telefony na kartę, używane meble, urządzenia duże i małe nieznanymi markami, w niewysokich cenach i o krótkim okresie użytkowania.

Można też było na godzinę czy dwie wynająć dziewczynę albo chłopaka, albo kombinację jednego i drugiego. Merritt też dobrze znał transakcje tego rodzaju.

Sunął ulicą w stronę Kenoah aż do motelu River View. W Ferrington powstawało mnóstwo kwater tego rodzaju – parterowych budowli w pastelowych barwach, dawno nieodświeżanych, ze świetlnymi reklamami, w których przepaliło się kilka żarówek, i z zarośniętym chwastami parkingiem. Automaty z jedzeniem były kuloodporne.

Motel rzeczywiście oferował gościom to, co obiecywała jego nazwa – z co najmniej kilku pokoi i holu można było zobaczyć łysawy miejski park, który schodził do wody. Inną sprawą był urok tego miejsca, uzależniony w dużym stopniu od tego, czy gość miał wdech, czy nie.

Merritt zameldował się w motelu, zostawił swoje rzeczy w ciemnym pokoiku, zasunął zasłony i włączył telewizor, by wyglądało to tak, jakby ktoś był w środku. Następnie wyszedł, powiesił na kłamce wywieszkę NIE PRZESZKADZAĆ i poszedł do małego sklepiku, który widział przez szybę samochodu. Kupił przybory toaletowe, dwie kanapki z bagietki, jakieś napoje w puszkach, chipsy o smaku barbecue.

A potem skierował się do najważniejszego miejsca: sklepu monopolowego.

Wszedł i poczuł słodki aromat, taki sam, jaki wypełniał wszystkie sklepy z alkoholem, które w życiu odwiedził – a było ich dużo. To opary z tłukących się od czasu do czasu butelek? A może jakiś składnik kleju używanego do mocowania etykiet na szkło? Albo zapach kartonów.

Gdy Merritt poczuł w nozdrzach tę woń, jego żołądek zareagował przyjemnym skurczem. Zobaczył długie rzędy butelek.

Swoich przyjaciół.

Wybrał bourbona Bulleit, 0,7 litra. Chudy sprzedawca nieokreślonej rasy przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. W tej dzielnicy kupowano przede wszystkim towary wypełniający większość półek w sklepie: półlitrowki, ćwiartki i miniaturki. Pewnie od wielu miesięcy nikt nie wybulił takiej kwoty na tak szlachetny trunek.

Ostatnim razem Merritt miał w ustach bourbona Bulleit w dzień ogłoszenia wyroku. Adwokat nie był zadowolony, gdy przyszedł do sądu pijany. Sędzia też się nie cieszył.

W drodze powrotnej do motelu kątem oka dostrzegł jakiś ruch po lewej stronie. Przystanął, by popatrzeć na długą barcę w kolorze wyblakłej zieleni, ze śladami rdzy na kadłubie, którą niestrudzony jak muł pchacz wolno przemieszczał na zachód. Była załadowana morskimi kontenerami, głównie jasnoniebieskimi Maersk. Ferrington dziś był tylko punkcikiem na mapie, słupem milowym między miejscami na wschód i zachód od miasta. Kiedyś przyływały tu dziesiątki statków dziennie, robotnicy opróżniali je z ładunków jednego rodzaju i napełniali innym towarem. Najczęściej przyływały sztabki żelaza, a odpływały gotowe produkty metalowe. Jak uczyło się tu każde dziecko w szkole, nazwa miasteczka pochodziła od symbolu chemicznego żelaza, Fe.

Barka zniknęła mu z oczu i Merritt wrócił do pokoju. Zamknął drzwi na łańcuch i podparł kłamkę krzesłem. Okolica była znana z włamań. Włączył klimatyzację. Położył na nocnym stoliku zakupy spożywcze oraz bourbona. Rzucił się na łóżko i łąpczywie pochłonął lunch, jedząc i popijając na przemian.

Potem odchylił się, przymknął oczy i poczuł, jak kotłuje mu się w brzuchu.

Może to nie był najlepszy pomysł, by wrzucić w siebie tyle jedzenia i wlać tyle picia naraz.

Narastające odczucie nagle wzięło górę.

Merritt zerwał się z łóżka, wbiegł do toalety, runął na kolana i gwałtownie zwymiotował.

Przepłukał usta i wrócił do łóżka, tym razem kładąc się płasko na wznak. Po kilku chwilach usiadł, przyciągnął do siebie plecak i wydobyl koperty, które dostał od strażnika.

W pierwszej był nakaz zwolnienia. Nic ciekawego. Długa lista zakazów i prawniczego bełkotu. Otworzył drugą kopertę i wyjął cztery spięte zszywką kartki. Przeczytał uważnie tekst, po czym wsunął je z powrotem, a kopertę schował do plecaka.

Osuszył szklanke, znowu wykonał numer pod tytułem „jakby co, to jestem w pokoju”, i wyszedł, sprawdzając, czy drzwi są porządnie zamknięte. Wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił, zdziwiony, że jeszcze pamięta numer.

8

Cztery dni wcześniej...

Mam problem. Poważny. Potrzebuję pomocy.

Mężczyzna był niewysoki i barczysty. Miał brązowe, kędzierzawe włosy, a na sobie niebieską koszulę bez krawata, z podwiniętymi rękawami, i beżowe spodnie. Sportowa marynarka w kratę wisiała bez wieszaka bezpośrednio na haku za drzwiami biura, w którym siedzieli obaj z Colterem Shawem. Stroju dopełniały jaskrawopomarańczowe tenisówki.

W ciągu kilku minut ich znajomości czterdziestokilkuletni Marty Harmon okazał się człowiekiem łagodnym jak anioł, drażliwym i skupionym jak celownik laserowy, i potrafił płynnie przechodzić z jednego trybu w drugi i trzeci.

Siedzieli naprzeciwko siebie, przedzieleni zasłanym dokumentami sfatygowanym biurkiem.

– Jest pan kimś w rodzaju prywatnego detektywa?

Shaw wyjaśnił, na czym polega profesja łowcy nagród.

Harmon chrząknął z zainteresowaniem.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

Tak naprawdę Colter Shaw zjawił się tu nie w związku z ogłoszeniem o wyznaczeniu nagrody, lecz po to, by zastanowić się nad przyjęciem innego zlecenia. Zadzwoił do niego przyjaciel, Tom Pepper, były agent FBI, z informacją, że zastępca szefa biura terenowego federalnych na Środkowy Zachód nie może zająć się pewną sprawą, więc może Shaw jest zainteresowany.

A ponieważ akurat nie miał w najbliższej perspektywie żadnej nagrody do zgarnięcia, pomyślał: czemu nie?

Harmon wstał i podszedł do białej tablicy. Zaczął rysować.

– Najpierw kontekst.

Rozpoczął wykład, którego Shaw słuchał z zainteresowaniem. Dotąd nie wiedział, że istnieje coś takiego jak miniaturowe elektrownie jądrowe. Oficjalnie nazywano je skrótem SMR, *small modular reactors*, czyli małe reaktory modułowe. Przymiotnik był nieco mylący, bo przeciętny SMR ważył około sześćdziesięciu ton. W każdym razie

prefabrykowano moduły, można więc było już gotowe transportować do miejsca przeznaczenia, co oznaczało, że zasadniczo były urządzeniami przenośnymi.

Wersja produkowana przez spółkę Harmona otrzymała zgrabną nazwę handlową „Minisłońce”.

Szef firmy zamasztyłymi kreskami kontynuował dzieło na tablicy. Shaw doszedł do wniosku, że to przekrój takiego reaktora.

Siedział na fotelu, którego stan pozostawiał wiele do życzenia. Sprężyny były zerwane, skóra popękana i wytarta w miejscach, gdzie miała kontakt z łokciami i pośladkami. W pokoju stała też kanapa, w połowie przykryta papierami i przedmiotami – metalowymi częściami, przewodami, modułami elektronicznymi. To nie było szpanerskie biuro start-upu z Doliny Krzemowej, lecz praktyczna, robocza siedziba ciężko pracującego biznesmena, który prowadził konkretną firmę produkcyjną na Środkowym Zachodzie.

Skromne dekoracje biura składały się z fotografii Harmona i jego ciemnowłosej żony w podobnym wieku co on oraz z dużego plakatu z układem okresowym pierwiastków. Jedna z substancji w dolnym rzędzie została obwiedziona rysunkowym czerwonym serduszkami. Litera U.

Uran.

Na plakacie widniały podpisy dziesiątków – przypuszczalnie – pracowników. Zapewne symbolizował jakieś doniosłe zdarzenie w historii przedsiębiorstwa.

Na ścianach nie było żadnych dyplomów, certyfikatów ani branżowych nagród, które mogłyby rzucić nieco światła na biografię prezesa. Shaw poprosił jednak swoją detektyw o przygotowanie podstawowych danych na jego temat.

Harmon uzyskał dyplom inżyniera na jednym z mniej znaczących uniwersytetów stanowych, a potem zakładał, prowadził i sprzedawał firmy zajmujące się niezbyt zaawansowanymi technologiami. Przynajmniej z branży energetycznej. Parę związanych z infrastrukturą. Trzymał się z dala od prasy, odkąd kiedyś oznajmił dziennikarzowi, że nie ma czasu na „głupstwa”, i okrył wypowiedź dosadnym epitetem. Mimo to Mack znalazła kilka artykułów, które przedstawiały go jako pracoholika oraz bezkompromisowego innowatora i biznesmena. Osobiście uzyskał patent na kilkanaście urządzeń, których przeznaczenia Shaw nie potrafił się nawet domyślić.

Rysując na tablicy, Harmon kontynuował swoją prezentację niczym z konferencji TED.

– Niech pan sobie wyobrazi, panie Shaw! Dzięki naszym reaktorom SMR kraje rozwijające się będą miały lodówki, oświetlenie, telefony... i komputery! Internet. Opiekę medyczną. W Afryce Subsaharyjskiej niektórzy ludzie żyją w warunkach z dziewiętnastego wieku, a nasze Minisłońca mogą ich przenieść do współczesności. Uprzedzenia i idiotyczne idee – na temat rasy, AIDS, covidu, chorób przenoszonych drogą płciową – istnieją tylko w pustce ignorancji. Kiedy przyniesiesz ludziom energię, dasz im nie tylko oświetlenie, ale i oświecenie.

Tekst jak ze sloganu reklamowego, ale niezły.

– Teraz do sedna. – Harmon odwrócił się od tablicy. – W świecie energii nuklearnej istnieje ryzyko, o którym rzadko się mówi: ktoś może ukraść paliwo jądrowe i wykorzystać je jako broń. Nazywamy to „rozprzestrzenianiem”. Łagodne określenie, prawda?

Paliwem jądrowym w Minisłońcach, tak samo jak w większości reaktorów, był uran wzbogacony o izotop U-235 na poziomie około pięciu procent, czyli w proporcji, na jaką zezwalały władze.

– Żeby skonstruować bombę z tak nisko wzbogaconego uranu – tłumaczył Harmon – potrzeba ilości paliwa o objętości dorosłego słonia. Ale jeżeli wzbogaci się go do poziomu czterdziestu pięciu procent, to do skonstruowania bomby wystarczy trzydzieści sześć kilo. To wielkość owczarka niemieckiego.

Proszę spojrzeć. – Podrapał się po zadartym nosie i pokazał na swój rysunek, który wyglądał jak laboratoryjny dzwon szklany, w którym tkwiły pęki cienkich pionowych rurek. U dołu każdego z nich znajdowała się mała skrzynka. Harmon wskazywał jedną z nich. – To właśnie jest ADEB, czyli „awaryjny dezaktywator bezpieczeństwa”. Pomysł zrodził się w najtęższym inżynierskim umyśle w mojej firmie. Jeżeli ktoś bez upoważnienia przemieści Minisłońce albo spróbuje włamać się do kasety z prętami paliwowymi, ADEB rozbije pastylki uranu na proch i zasypie je wynalezioną przeze mnie substancją, mezoporowatym nanomateriałem. Ten zwiąże się z uranem, który nie będzie się nadawał do skonstruowania broni. Żaden inny producent reaktorów modułowych nie ma takiego urządzenia.

Pocziwy aniołek nagle zniknął; do głosu doszła inna strona charakteru Harmona – ta pełna złości.

Wychylił się nieco do przodu i dla podkreślenia swoich słów wycelował przed siebie palec.

– Przeprowadzamy wyrywkowe inwentaryzacje. Kilka dni temu kontrolerzy stwierdzili brak komponentów i ubytki materiału mezoporowatego. Ktoś w firmie konstruuje ADEB. I zamierza sprzedać go konkurencji. Trzeba go powstrzymać – albo ją. Agent Pepper mówił, że zna się pan na takich operacjach. Jeśli go pan złapie i odzyska urządzenie, zapłacę dwadzieścia tysięcy. Pokrywam też wszelkie koszty.

Shaw zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Przypuszcza pan, że urządzenie trafi za granicę. Gdyby chodziło o konkurencję w Stanach, mógłby pan pozwać ich za kradzież tajemnicy handlowej i naruszenie patentu. Wystarczyłoby wziąć dobrego prawnika i doprowadziłby pan do likwidacji firmy.

Shaw przez krótki czas po studiach pracował w kancelarii prawnej w Kalifornii. Podobały mu się wyzwania związane z tą profesją, doszedł jednak do wniosku, że choć zawód jest intelektualnie stymulujący, to biurowa praca nie nadaje się dla kogoś, kto zyskał sobie przydomek „Niespokojny”.

– Otóż to – przytaknął Harmon. – Znam w Stanach wszystkie firmy podobne do mojej. To nie oni. Nasza jest mała, jedziemy na oparach. ADEB to jedna z niewielu rzeczy, które odróżniają nas od innych. Nasz bardzo mocny punkt. Jeżeli zdobędzie to ktoś inny, zaoferuje po niższej cenie, będzie po nas. Jestem jedynym producentem, który planuje instalacje w krajach Trzeciego Świata. Okej, rozmawiajmy jak dorośli. Sam chcę dokonać jakiejś zmiany. Za dużo ludzi przeprasza za kapitalizm. Bzdura. Zarabiam, topię zyski w następnym wielkim przedsięwzięciu, zatrudniam robotników, produkuję towar, który dla ludzi... – Urwał i machnął ręką, jak gdyby chciał przegonić wiszący w powietrzu wykład.

– Tom Pepper mówił, że miejscowe biuro FBI nie może się tym zająć.

Skrzywił się.

– Zawaleni sprawami. A policja w Ferrington? Zredukowała zatrudnienie o pięćdziesiąt procent. Mówiłem nawet, że wpłacę furę pieniędzy na ich fundusz dobroczynny, ale nie radzą sobie z narkotykami, zabójstwami i przemocą domową. Na jakiś zaginiony gadżet nawet nie zwróciliby uwagi.

– Biorę to – rzekł krótko Shaw.

Harmon podszedł i mimo drobnej figury mocno uściskał mu dłoń.

Wrócił za biurko i odbył dwie krótkie rozmowy telefoniczne, wezwał do siebie obu rozmówców.

Zaledwie pięć sekund później otworzyły się drzwi i do biura weszła wysoka kobieta. Długie czarne włosy miała związane niebieską chustą w takim samym odcieniu co oprawki okularów kojarzących się z pilną uczennicą. Wysokie kości policzkowe, wydatne usta. Dopasowany kostium. Shaw zastanawiał się, czy nie była kiedyś modelką.

Harmon przedstawił mu swoją asystentkę, Marianne Keller.

– Pan Shaw będzie nam pomagał w sprawie dezaktywatora.

– Och, to dobrze, Marty. – Na jej twarzy odmalowała się ulga. Shaw przypuszczał, że w takiej firmie rozwija się poczucie rodzinnej wspólnoty. Zdrada wszystkim sprawia ból.

– W kwestii jakichkolwiek wydatków ma wolną rękę. – Zmarszczył brwi. – Nie będzie pan się chyba domagał prywatnego odrzutowca?

– To w ogóle nie wchodzi w grę – zapewnił go Shaw.

– Tak jest – powiedziała Keller.

Shaw podał jej wizytówkę, na której znajdowało się tylko jego imię i nazwisko oraz numer telefonu na kartę, z którego właśnie korzystał. Na odwrocie drugiej zapisał bezpośredni numer do asystentki.

Kiedy wyszła, w gabinecie pojawił się ktoś inny. Kobieta dorównywała wzrostem Keller, ale jej jasne włosy były starannie zaplecione i spięte z tyłu głowy. Też miała czarujące rysy. Nie zdziwiłyby się, gdyby biegła w maratonach, bo na to wskazywała wysportowana sylwetka.

Okazało się, że Sonja Nilsson kierowała ochroną w firmie Harmon Energy Products.

– Miło pana poznać, panie Shaw. – Energicznie uścisnęła mu rękę.

Spodziewał się u niej lekkiego akcentu i nie mylił się, choć nie była to wymowa charakterystyczna dla Sztokholmu, lecz dla okolic Birmingham w stanie Alabama.

– Colter – powiedział.

– Marty mówił mi, że z tobą rozmawiał – ciągnęła Nilsson. – Sprawdziłam cię. Utrzymujesz się z nagród?

– Jak prywatny detektyw, który nie wystawia rachunku, dopóki nie wywiąże się z zadania.

Siedziała wyprostowana jak struna i nie wykonywała żadnych niepotrzebnych ruchów rękami. Miała w dłoniach tablet, ale nie bawiła się nim. Nosila skomplikowany analogowy zegarek i żadnej biżuterii prócz pierścionka na palcu wskazującym prawej dłoni. Chyba z motywem węża. Shaw nie widział wyraźnie. Wysnuł jeszcze jeden wniosek: Nilsson była weteranką. I widziała prawdziwą walkę. Oczy – w rzadko spotykanym odcieniu zieleni – cechował absolutny spokój.

– Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by wytropić złodzieja – powiedziała. – I nic. Przyda nam się świeże spojrzenie.

Shaw otworzył notes trzynastie na osiemnaście centymetrów. Z kieszeni wyjął wieczne pióro Delta Titanio Galassia, czarne, z trzema pomarańczowymi pierścieniami od strony stalówki. Wiedział, że zdaniem niektórych używanie takich przyborów w dzisiejszych czasach jest pretensjonalne, ale podczas pracy nad zleceniami Show sporządzał dość obszerne notatki i tak wyśmienite pióro – nie było tanie – mniej męczyło rękę niż długopisy. Prócz tego po prostu przyjemnie się nim pisało.

Słuchał szczegółowej relacji Nilsson i notował informacje swoim nienagannym charakterem pisma, trzymając się poziomych linii na gładkim papierze. Nikt go tego nie uczył, po prostu odziedziczył tę umiejętność po ojcu. Obaj byli artystami kaligrafii.

Gdy uznał, że na początek wystarczy mu informacji, powiedział:

– Chciałbym zobaczyć rejestr pracowniczych identyfikatorów RFID z czasem wyjść i wejść. I zapisy z kamer monitoringu.

– Już to przygotowałam – odparła.

Wstali i jeszcze raz podali sobie ręce. Shaw kiwaniem głowy zbywał wylewne podziękowania i miał tylko nadzieję, że biznesmen z wdzięczności nie rzuci mu się na szyję.

9

Co ciekawe, pokój Sonji Nilsson był większy i lepiej umeblowany niż gabinet prezesa firmy. Na ścianach wisiały niezłe fotografie. Przede wszystkim pejzaże. Zastanawiał się, czy to ona jest autorką zdjęć.

Usiedli na kanapie przy długim szklanym stoliku, na którym leżały równe pliki szarych kopert.

Razem przeglądali elektroniczne rejestry wejść i wyjść pracowników, a Shaw od czasu do czasu notował jakąś informację. Nilsson postawiła na dokumentach laptop z siedemnastocalowym ekranem, włączyła go i zalogowała się – hasłem i odciskiem palca jednocześnie. Otworzyła nagrania z kamer monitoringu w korytarzach przy pomieszczeniach, w których przechowywano elementy ADEB-u. Nawet przy szybkim przewijaniu zapisu poświęcili na to dobrą godzinę.

Kiedy skończyli, Shaw poprosił:

– Jeszcze raz.

W połowie powtórnego przeglądania nagrań dostrzegł muchę.

Przewinął do tyłu i jeszcze raz uważnie obejrzał scenę.

– Popatrz.

Wskazał na ekran wyświetlający korytarz, który prowadził do miejsca przechowywania elementów ADEB-u. Nikt stamtąd nie wychodził między zamknięciem firmy o siedemnastej trzydzieści a początkiem dnia pracy o ósmej następnego dnia rano.

Zatrzymał obraz i pokazał siedzącego na ścianie owada.

– Okej – wycedziła Nilsson. – Widzę stworzonko.

– A teraz popatrz na nagranie z następnego dnia.

Przewinął wideo do godziny, którą zapamiętał.

Ta sama mucha usiadła w tym samym miejscu.

– No niech mnie szla-ag. – Ostatnie słowo miało dwie sylaby.

Ktoś uzyskał dostęp do kamer monitoringu i zamienił zapis na nagranie ściągnięte wcześniej. Przez dwa wieczory niezauważony złodziej miał dostęp do pomieszczeń magazynowych.

Sprawca miał spore umiejętności techniczne i Shaw był pewien, że skasował wszystkie elektroniczne rejestry wejść do biur, do których się włamał. Prawdopodobnie zmienił też informacje z kart RFID o wejściach i wyjściach z samego budynku.

– Niezły haker – stwierdził. – Wziąłbym pod lupę waszych informatyków.

Wpadł na pomysł operacji pod przykryciem. Marianne Keller umówiła ludzi z działu IT z zewnętrznym konsultantem wynajętym przez Harmona, by pomógł mu w podjęciu decyzji o otwarciu centrum informatycznego na Zachodnim Wybrzeżu. Do tej roli Shaw – jako Carter Stone – przebrał się w jedyny garnitur, jaki miał w swoim kamperze Winnebago, i założył okulary ze szklami o mocy zero.

– Czy wyglądam wystarczająco biznesowo? – spytał Sonję.

– Menedżer średniego szczebla pełną gębą – oceniła.

Usiadł w pustym pokoju, położył przed sobą żółty notatnik i rozmawiał po kolei z pracownikami. Nie zaczynał rozmowy od planu przenosin do nowego centrum, przez pięć minut w ogóle nie poruszał tego tematu, za to pytał o historię ich pracy w firmie: gdzie pracowali poprzednio, czy ktoś się na nich skarżył. Dopiero gdy wyczuł podejrzliwość, wspominał o projekcie centrum. Notował odpowiedzi, dziękował za poświęcony czas i prosił następnego pracownika.

Oceniał reakcje każdej z przepytanych osób.

Jedna z nich wyraźnie czuła się nieswojo, a mowa ciała nie pozostawiała wątpliwości: niepokój i poczucie winy. Shaw od razu rozwiązał jej obawy, opowiadając o przeprowadzce. Paul LeClaire szybko się uspokoił. Shaw pozostał w swojej roli i z uśmiechem biznesmena pożegnał go biznesowym uściskiem dłoni.

Zadzwoił do Nilsson.

– Mamy go. Teraz trzeba znaleźć dezaktywator.

– Obserwacja – odpowiedziała.

– Zgadza się.

Przez następne dwa dni tropili LeClaire'a, słuchali jego publicznych rozmów i czytali jego e-maile, bo na to zezwalały zapisy w umowie o pracę. Telefon należał do firmy, ale choć mogli go zlokalizować, to nie było im wolno go podsłuchiwać.

Shaw i Nilsson śledzili go, gdy pojechał na spotkanie z dwoma mężczyznami w motelu za miastem. Używając parabolicznego mikrofonu kierunkowego, dowiedzieli się, że mężczyźni to Ahmad i Rass, saudyjscy biznesmeni, pośrednicy na rynku energetycznym. Poznali też czas i miejsce planowanej transakcji: opuszczona fabryka nad rzeką Kenoah.

Sonja Nilsson i Shaw przekazali swoje ustalenia Harmonowi, który był w równym stopniu zszokowany, co wściekły.

– Paul? Naprawdę? Byliśmy dla niego tacy życzliwi... Niech to szlag. No dobrze, znamy nazwisko, macie dowody. Teraz musimy włączyć do sprawy FBI i policję.

– Na pewno tego chcesz? – spytał Shaw.

– Co to znaczy?

– Rozmawiałam z Colterem – wtrąciła Nilsson.

Shaw przedstawił plan.

– Myślę, że powinniśmy zamienić prawdziwy ADEB na atrapę z lokalizatorem GPS.

– Pozwolimy, żeby przeprowadzili transakcję – dodała Nilsson – a potem namierzemy fałszywy ADEB i dowiemy się, kim jest ostateczny nabywca.

Harmon przymrużył oczy, zastanawiając się nad propozycją – skupiony jak snajper.

– Dobrze. Zorganizujcie to. Chcę jego głowy.

Shaw wstał i podszedł do drzwi, starając się przypomnieć sobie recepturę dymu bitewnego.

10

Obecnie

Trafił się jeszcze jeden chętny.

Minęło pół godziny, odkąd rozstał się z Lennym Casterem po spotkaniu z Lemierowem alias Abe'em Lincolnem. Shaw znów był gościem w skromnym biurze Marty'ego Harmona.

Siedzieli przy zabałaganionym stoliku. W rozmowie uczestniczyła też szefowa ochrony, Szwedka/Alabamka Sonja Nilsson, dziś w srebrzystym żakiecie, czarnej spódnicy i białej bluzce, z dyskretnymi perłami.

Filigranowy mężczyzna podrapał się po kędzierzawej głowie i zmarszczył czoło.

– Mów, Colter.

– Rosjanin. – Opowiedział o próbie złożenia oferty pierwokupu.

– Jak on cię znalazł? – zdziwiła się Nilsson.

– Też prowadził obserwację. – Shaw powiedział im, czego dowiedzieli się o nim Lenny i Mack.

– GRU? – powtórzyła Nilsson. – Sowiecki aparatczyk... Może znowu wypłynąć. Jak Feniks z popiołów. Często im się to zdarza.

– Jego oferta została odrzucona – powiedział Shaw. – Jeżeli działa na własną rękę, to możliwe, że da sobie spokój. Jeżeli ktoś go zatrudnił, jego szefowie nie będą zadowoleni z porażki. A to znaczy, że spróbuje jeszcze raz.

Nilsson skinęła głową. Jej blond włosy były rozpuszczone i opadały kaskadą na ramiona, kończąc się ostrym cięciem mniej więcej trzydzieści centymetrów poniżej karku. Shaw zauważył, że gdy do nich dołączyła, lekko rozszerzyła nozdrza. Wiedziała o upichconym przez niego dymie maskującym, ale jej mina świadczyła o tym, że rozpoznała ten zapach, co potwierdzało przypuszczenia o jej wojskowej przeszłości.

Zerknął na ADEB.

– Sprawdź to. Musimy się upewnić, że jest prawdziwy.

– Zakładasz, że ten sukinsyn mógł być podwójnym agentem? I sprzedał Saudyjczykom atrapę? A oryginał komuś innemu?

Nilsson uniosła brew.

– To by było głupie. Ale ma długi. Hazardowe.

Harmon wstał i podszedł do biurka. W bałaganie znalazł elektryczny śrubokręt, usunął kilkanaście małych śrub z gniazdem krzyżowym i zdjął obudowę. Przyjrzał się wnętrzu.

– Oryginał. – Prezes odstawił urządzenie na bok.

Zapytał, na kogo ma wystawić czek, a Shaw odrzekł, że na niego osobiście. Harmon wypisał, wydarł z książeczki i mu podał.

– Powinieneś założyć firmę. Spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Z prawnego punktu widzenia to dobry pomysł.

Shaw przypuszczał, że ma taką firmę. Będzie musiał sprawdzić. Wziął czek i wsunął do portfela obok innego, który dostał jako nagrodę miesiąc wcześniej. Zapomniał go zrealizować.

Zerknął w stronę Nilsson. Skąd takie oczy? Tak intensywnie zielone. Szkła kontaktowe? Próbował to rozstrzygnąć.

– Następna kwestia: co robimy z LeClaire'em? Dzwonimy do prokuratora? Spisujemy oświadczenia? Chcę mu jeszcze wytoczyć sprawę cywilną. Trzeba go złamać.

– Chyba mam lepszy pomysł – odparł Shaw. – Macie tu biuro płac?

– Mamy – przytaknął Harmon.

– Będę potrzebował tysiąca banknotów dolarowych i czterech studolarowych. Na jakiś czas.

– Nie ma sprawy. Po co? – Drapiąc się po nosie, Harmon nachylił się nad stolikiem. Mina cherubina ustąpiła miejsca skupieniu.

– Znajdę LeClaire'a i zaproponuję mu, że odkupię ADEB. Mignę mu przed oczami garścią banknotów, które będą wyglądać jak sto tysięcy.

– Przecież ADEB jest już na pokładzie prywatnego odrzutowca. W połowie drogi do Meksyku albo na Karaiby.

Nilsson natomiast zareagowała na jego plan uśmiechem. Zrozumiała.

– Ale to przekona LeClaire'a i jego kupców, że mają autentyk. Może mieli cień wątpliwości, że Colter zamienił urządzenia, kiedy wybuchła bomba dymna.

– A jeżeli LeClaire przyjmie propozycję?

– Nie przyjmie – powiedzieli chórem Nilsson i Shaw.

– I dopiero potem do pudła? – mruknął Harmon.

– Wydaje mi się, że proces nie będzie dla nas dobrym wyjściem – zauważyła Nilsson. – Wyjdą na jaw szczegóły techniczne.

– Tajemnice handlowe przestają być tajne, kiedy sprawa trafia do sądu – wsparł ją Shaw.

– No i lepiej nie sygnalizować klientom, że doszło u nas do naruszenia bezpieczeństwa – dodała Nilsson.

– Tak przypuszczałem – jęknął. Ta rada wyraźnie kłóciła się z zasadą „zero ustępstw”, która przyświecała Harmonowi w biznesie.

– Zwolnij go – poradził Shaw. – A potem nic nie rób. Cały czas będzie czekał, aż zapuka do niego policja. Za każdym razem, gdy usłyszysz syrenę albo zobaczy zaparkowany

w pobliżu ciemny samochód, będzie miał bardzo zły dzień.

Alternatywne rozwiązanie okazało się trafione i Harmon wybuchnął śmiechem.

– Świetna kara! Będzie siedział jak na szpilkach i czekał na katastrofę. Może zatrudnimy Coltera, co? – zwrócił się do Nilsson. – Weźmiemy go do działu ochrony.

Kobieta z uśmiechem spojrzała na Shawa.

– Nie miałabym nic przeciwko temu. – Zawahała się przez chwilę. – Ale nie sądzę, żeby był zachwycony tego rodzaju pracą.

– To chyba nie dla mnie.

– Co? Nie podoba ci się w naszym ślicznym miasteczku? – Harmon zerknął przez okno na bury miejski pejzaż. W oczy rzucała się rzeka, która z tej perspektywy miała żółtawoszarą barwę. Płynęły nią rozkładające się kartonowe pudła, kawałki drewna i śnięte ryby.

Twarz znowu mu pociemniała.

– Wczoraj do szpitala znowu trafiło kilka osób, połowa z nich to dzieciaki.

– Jak idzie oczyszczanie rzeki? – spytał Shaw.

Harmon prychnął drwiąco.

– Bardzo, bardzo powoli... Miasto i hrabstwo zbankrutowały. Musimy zebrać o pomoc u władz stanowych i federalnych. Wydzieranie od nich pieniędzy zajmuje całe wieki.

– A co się dzieje z tym, co zostaje przydzielone na oczyszczanie? – wtrąciła Nilsson. – Przepada mnóstwo pieniędzy. Giną całe miliony. I nie wiadomo, dokąd trafiają. Do wykonawców? Radnych miejskich? Stolicy stanu? Do Waszyngtonu?

– Sprawę badał dziennikarz z lokalnej stacji telewizyjnej – powiedział jej szef. Pokręcił głową. – No i... zginął w wypadku samochodowym. Zrobiłbym palcami cudzysłów w powietrzu, ale nie robię cudzysłówów palcami.

– Robota na zlecenie?

– Kto to wie? Prawdopodobnie. Podobno nikomu nie chciało się prowadzić śledztwa. – Parsknął kpiącym śmiechem. – Ferrington ma bogatą tradycję korupcji, sięgającą czasów, zanim zaczęły się problemy z wodą.

– Jeżeli szybko nie zostanie oczyszczona, Marty spłucze się do nitki – powiedziała Nilsson.

Podobno Harmon zajmował się dystrybucją darmowej wody w części Ferrington, w której jej brakowało, a dotyczyło to sporego obszaru miasta.

Prezes wezwał przez interkom swoją smukłą asystentkę i po chwili w drzwiach pojawiła się Marianne Keller.

– Słucham, Marty?

– Zatwierdź wypłatę gotówki. Colter i Sonja podadzą ci kwotę i nominały.

– Zajmę się papierami. – Zatrzymała wzrok na dezaktywatorze i oczy jej rozblęły. – Odzyskałeś go.

Rodzina.

– Pan Shaw dokonał nieoczekiwanej zamiany...

Posłała mu uśmiech.

Harmon i Shaw uścisnęli sobie ręce i tym razem prezes wziął go w objęcia. Potem cofnął się i popatrzył na niego spod zmarszczonych brwi.

– Naprawdę powinieneś się zastanowić nad tą ofertą pracy. Niezła pensja. System emerytalny. I tyle butelek wody, ile zdołasz wypić.

11

Korpulentny mężczyzna w granatowym garniturze i rozpiętej pod szyją koszuli był równomiernie i zdrowo opalony. Jego gęste, zaczesane do tyłu włosy miały kolor mieszczący się dokładnie w połowie skali między blond a rudym.

Uniósł wzrok znad lunchu, który składał się z klopsa albo steku siekanego podanego na masywnym białym talerzu, ozdobionym cienkimi niebieskimi pierścieniami przy brzegu.

Przyjrzał się uważnie Merrittowi.

– Ach, Jon. Siadaj, siadaj.

Merritt zajął miejsce obok Dominica Ryana przy stoliku z chromowanymi krawędziami w ciemnym kącie knajpki Ferrington City Diner w bok od Manufacturers Row. Rozejrzał się po przestronnej, słabo oświetlonej sali. Zielone ściany zdobiły wyblakłe malowidła przedstawiające muskularnych robotników o grubych nogach i szerokich karkach, którzy w kombinezonach i kapeluszach fedora szli do pracy.

Lokal był popularną jadłodajnią wśród pracujących osób w czasach, gdy w tej części miasta ludzie jeszcze pracowali. Wtedy był zatłoczony i gwarny. Mężczyźni (tylko i wyłącznie mężczyźni) w garniturach i kombinezonach roboczych rozmawiali, gestykulowali, śmiali się, kłócili i pochłaniali kopiaiste porcje jedzenia, po czym wracali do biur i fabryk.

Teraz w sali oprócz Ryana i Merritta siedziały dokładnie cztery osoby. Jedną z nich był potężnie zbudowany mężczyzna w dżinsach i czarnej skórzanej kurtce, zwrócony plecami do ściany. Miał przed sobą czasopismo, ale utkwiał wzrok w Merrittcie, gdy ten wszedł. Teraz wrócił do lektury.

Ryan zerknął na drugi koniec sali i od razu podeszła do nich kelnerka.

– Podać coś? – spytała.

– Kawę. Czarną.

– Coś jeszcze? Mamy dania dnia.

– Nie.

Kiedy odeszła, Ryan spytał:

– Wszystko z tobą w porządku, Jon? – Brązowe oczy przyjrzały mu się badawczo.

– Wiesz, jak wygląda pudło, Trevor – mruknął Merritt. – Na spacerniak nie dociera słońce. Jedzenie do dupy. Kto by to jadł? – Bezwiednie musnął wewnętrzną kieszeń kurtki, gdzie spoczywała koperta z dziesięcioma tysiącami dolarów, które właśnie wypłacił

w pobliskim oddziale swojego banku. Przekroczył limit, powyżej którego transakcje zgłasza się skarbowce, ale wcale się tym nie przejął. Nie był terrorystą ani nie prał brudnych pieniędzy. Nie za to został skazany. Mógł wziąć więcej, gdyby potrzebował. W trakcie sprawy rozwodowej jego była żona zgodziła się rozdzielić środki z ich rachunku oszczędnościowego. Nie był zaskoczony, znalazłszy na koncie te pieniądze. Z pewnością potrafiłaby go oszukać, ale nie w taki sposób.

Skinieniem głowy podziękował kelnerce, gdy postawiła przed nim kubek. Wypił łyk. Nie miał najmniejszej ochoty na kawę, ale testował żołądek. Po chwili doszedł do wniosku, że nie podejdzie mu do gardła. Posłodził. Znowu spróbował. Z takim samym rezultatem.

Ryan ukroił widelcem następny kawałek potrawy na talerzu.

– Zamawiam mięso na lunch. Wieczorem w domu June pilnuje, żebym nie jadł za dużo tłuszczu. – Poklepał się po brzuchu. Owszem, był zaokrąglony, ale Merritt nie przejmowałaby się tym na jego miejscu. – Czasem na kolację jest tylko sałata. Dasz wiarę? Z niskotłuszczowym dressingiem.

Ryan ukradkiem zerknął na Merritta. Jego bezładna paplanina oznaczała, że bardzo uważał. Widział już, jak Merritt tracił nad sobą panowanie. Jak lała się krew.

Taką ostrożność zachowywał jeden z najbardziej bezwzględnych bossów gangu w historii Ferrington. Jego piegowata twarz pochyliła się w skupieniu nad talerzem, kilka kęsów popił piwem z opróżnionej w połowie szklanki. Po zapachu Merritt poznał, że to ale Bass.

Znowu odwrócił wzrok, nie do końca obecny duchem. Myślał, a właściwie miał przed oczami słowa, które właśnie przeczytał, z ostatniej kartki w drugiej kopercie otrzymanej od strażnika Larkina; zawierała listy adresowane do rady do spraw zwolnień warunkowych. Trzy były głosami za wypuszczeniem go na wolność. Ostatni był przeciw.

Mój były mąż jest brutalnym człowiekiem o sadystycznych skłonnościach. Przez cały czas trwania naszego małżeństwa nieustannie bałam się o fizyczne i psychiczne bezpieczeństwo swoje i córki. Nasza córka od lat chodzi na terapię. Tylko dzięki regularnym spotkaniom z psychologiem radzi sobie z traumą, której doświadcza przez całe życie z winy mojego męża – na szczęście już byłego.

Potrafi się ukryć za maską uroczego człowieka. Proszę nie dać się zwieść. Mój terapeuta twierdzi, że jest klasycznym socjopatą. Kiedy chce, potrafi grać życzliwego, ale w środku jest okrutny.

Ale było trzy do jednego.

I wyszedł na wolność.

Po kilku następnych kęsach Ryan wyrwał go z zamyślenia.

– Jon? Przychodziłeś tu kiedyś, gdy byłeś mały?

– Tutaj? Pewnie. A ty?

Merritt przez chwilę się nie odzywał. Wreszcie odrzekł:

– Z moim starym byłem jakieś dziesięć, dwanaście razy. – Wpatrywał się w malowidło na ścianie. – W przerwach na lunch. Pracował w Briscow.

– W fabryce narzędzi?

Skinął głową.

Jedli tu lunch w czasach, gdy Jon był gwiazdą szkolnej drużyny baseballowej. Nie chciał chodzić do tej knajpy, nigdy nie wiedział, co ojciec zrobi czy powie – nawet publicznie groził ludziom i ich obrażał. Ale stary się upierał i gdyby Jon nie chciał z nim iść, na pewno źle by to się dla niego skończyło. No więc ryzykował i szedł. Zwykle było całkiem dobrze. Trochę gróźb, trochę drwin. Nic strasznego.

Gdy nie doczekał się żadnych ofert z zawodowych drużyn, nawet z najniższej ligi, ojciec przestał zapraszać go na lunch. I Merritt nie musiał się już więcej o nie martwić.

Popijał kawę. Kelnerka podeszła, żeby mu dolać. Zaczekał, aż znajdzie się po drugiej stronie sali, po czym przysunął się bliżej Irlandczyka.

– Dom, potrzebuję dwóch rzeczy.

– Jeżeli będę mógł pomóc. – Zastrzeżenie było obowiązkowe ze względu na to, kim był Merritt. Ale zgłosił je delikatnie, by nie dotknąć żadnego czułego punktu.

– Gnata. Nic specjalnego. Wystarczy bębenkowiec.

Ryan nie spytał, czy na pewno tego chce. Wszyscy wiedzieli, że dla świeżo zwolnionego więźnia posiadanie broni palnej oznaczało samobójstwo: było biletem zapewniającym najszybszy powrót za kratki – oprócz oczywiście użycia tej broni.

– Kiedy?

– Zaraz.

Ryan ściągnął brwi. Pokiwał głową i wysłał wiadomość. Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

– Za dwadzieścia minut. Z tyłu. Przygotuj się na to, że sprawdzą, czy nie masz pluskwy. Nie będą się cackać.

– W porządku.

– A druga rzecz? – zapytał Ryan.

Merritt miał przed oczami dalszą część listu swojej byłej żony. W szczególności ostatni akapit.

Wiem o Jonie rzeczy, których nie chciałby ujawniać. To na pewno był jeden z powodów, dla których próbował mnie zabić. Miałam nadzieję, że przed jego zwolnieniem zdążę się z córką przeprowadzić, ponieważ mam świadomość, że naszemu życiu wciąż grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli zostanie zwolniony teraz, nie będę mogła ukończyć ważnych projektów w pracy i się wyprowadzić.

Proszę o uszanowanie warunków ugody procesowej i zatrzymanie go w zakładzie karnym do końca zasądzzonego wyroku.

*Z wyrazami szacunku
Allison Parker*

Tuż pod jej podpisem widniały dwie grube czarne linie. Osoba, która usunęła dane, zrobiła to niechlujnie. Oglądając list pod światło, można było odcyfrować adres. To był jej nowy dom i była gotowa zadać sobie wiele trudu, by ukryć przed nim jego lokalizację.

– Druga rzecz... – Merritt przysunął się jeszcze bliżej. – Usługi specjalne.

Ryan właśnie niósł do ust widelec z porcją różowego mięsa. Nietknięta wróciła na talerz.

W świecie mętnych interesów, w którym poruszali się obaj mężczyźni, wyrażenie użyte przez Merritta nie oznaczało rozszerzonej oferty warsztatu samochodowego ani spełniania szczególnych zachcianek gościa przez konsjerża w luksusowym hotelu. „Usługi” odnosiły się do wszystkich spraw związanych z zabójstwem na zlecenie – od wytropienia ofiary przez pozbawienie jej życia po sprytne i skuteczne usunięcie rezultatu wykonanej dyspozycji, by zwłoki nigdy nie zostały odnalezione. A Jon Merritt doskonale wiedział, że jest to znacznie trudniejsze zadanie, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

12

Mężczyzna w plastikowym żółtym fartuchu stał pośrodku warsztatu.

Zdjął lateksowe rękawiczki, żeby przeczytać wiadomość, którą przed chwilą odebrał. Teraz schował telefon i przyjrzał się niskiemu stolikowi.

To był praktyczny mebel, nienaśladujący stylu z żadnej konkretnej epoki, o wymiarach około sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów, wysokości siedemdziesięciu pięciu, a jego jedynym ozdobnym elementem było perełkowe obramowanie blatu.

– Prosznie... – padło z jego wąskich ust. Powtarzanie tego wymyślnego słowa było wyuczonym odruchem, dziwactwem. Często nie zdawał sobie sprawy, że je wypowiada. Dziewczyna, z którą się niegdyś spotykał, przeszłszyła się kiedyś i zdziwiła, co takiego uważa za sprośne.

Moll Frain był mocno zbudowanym mężczyzną o szerokich ramionach i grubym karku. Sylwetką przypominał kolumnę. Cienki pędzelek w jego potężnych dłoniach wyglądał śmiesznie. Miał ospowatą twarz, ale nie były to zbyt rozległe i głębokie zmiany. Czasem trudno je było nawet zauważyć. Dzisiaj miał na sobie strój, który wkładał dość często: czarne garniturowe spodnie i białą koszulę, które teraz fartuch chronił przed farbą.

Moll mieszkał w Ferrington od urodzenia, był synem pracowników jednej z tutejszych hut, ojciec pracował przy linii produkcyjnej, matka w księgowości.

Był nieskończenie wdzięczny opatrności, że znalazł w sobie talent, który pozwolił mu wybrać inną drogę zawodową niż jego rodzice.

Znowu przyjrzał się stolikowi.

Kusiło go, by kontynuować, poprawić to i owo. A potem jeszcze coś ulepszyć. Nauczył się jednak opierać pokusie. Kiedy kończysz, to kończysz, i w głębi duszy zdajesz sobie z tego sprawę.

Stolik był zrobiony z maszynowo ciętej sosny, ale po metamorfozie był czymś więcej: miał nogi z białego marmuru z czarnymi żyłkami. Błat wyglądał, jakby zrobiono go z miedzi z lekkim nalotem patyny.

Na tym polegała magia technik iluzjonistycznych – na transformacji przedmiotów, by stały się czymś innym niż dotąd. W przestronnym warsztacie za jego skromnym domem stało piętnaście gotowych mebli, z których część jeszcze się suszyła, a część była już sucha. Pozostałe, wciąż w nudnym stanie fabrycznym, czekały na czarodziejski dotyk jego rąk.

Ulubionym dziełem Molla było krzesło stojące pod ścianą, zrobione z aluminium. Pomalował je w taki sposób, by przypominało drewno. Podobał mu się paradoks tej przemiany. Tego mebla nie zamierzał sprzedawać.

Umył pędzle w terpentynie – używał tylko porządnych farb olejnych, nie akrylowych – i szczelnie zamknął puszki za pomocą gumowego młotka.

Powiesił fartuch na haku i wrócił do salonu. Tam włożył marynarkę i zawiązał krawat w kolorze głębokiego błękitu. Spojrzał na zegarek. Powinien już iść.

Szybciej, chłopie. Szybciej.

Przyjrzał się czerwonawej skórze przy pasku zegarka. Wyglądała coraz gorzej. To była jakaś reakcja alergiczna – czerwona wysypka, która piekła i swędziała, pojawiła się na rękach, szyi, nogach i klatce piersiowej. Nie od razu ją zauważył, bo lubił spędzać czas na dworze i chodził opalony do końca jesieni. To jednak było coś innego. I obejmowało coraz większy obszar skóry.

Wystrój parterowego domu był utrzymany w tonacji jasnej zieleni, w tym samym odcieniu co siding na zewnątrz. W środku kolor był intensywniejszy; przez zasłonięte okna nie wdzierało się słońce. Deski na zewnątrz wyblakły. Raz na tydzień malował jakiś mebel albo ramę obrazu, ale nie zadbał jeszcze o okładziny murów własnego domu.

Dzisiaj ten dom wydawał się pusty.

Moll, jak często zdarzało mu się ostatnio, pomyślał, że w wieku czterdziestu trzech lat powinien się ustatkować, spoważnieć, znaleźć sobie kobietę.

Tak pisała mu matka w mailach... kiedy jeszcze wiedziała, co to jest komputer.

I na czym polega pisanie.

Ustatkować...

Przecież nie był jeszcze taki stary. W każdym razie nie ostatnio. Coś wykombinuje.

– Prosznie... – mruknął półgłosem. Spryskał benadrylem wysypkę na lewej ręce.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

– Otwarte!

Wszedł Desmond Sawicki, który przy rosnącym i potężnym Mollu wydawał się niezwykle drobny i chudy. Różnili się jeszcze jednym: Moll zawsze nosił garnitur, a jego okazjonalny współnik wolał swobodniejszy strój. Dzisiaj była to beżowa kurtka, jaką w chłodniejszy wiosenny dzień mógłby włożyć golfista, oraz ciemne spodnie. Obaj mieli bujne włosy. Moll brązowe, Desmond ciemnoblonde, przydługie, zaczesane do tyłu i przyklepane jakimś kosmetykiem. Prawdopodobnie kremem do rąk. Trzydziestoośmiolatek mógłby być podstarzałym surferem, gdyby Ferrington nie leżało półtora tysiąca kilometrów od najbliższej fali.

– Sam jesteś? – spytał, rozglądając się po domu.

– Sam.

Desmond chciał chyba usłyszeć coś więcej, ale Moll nie wyszedł naprzeciw jego oczekiwaniom.

- Gdzieś ty się podziewał? – zapytał z nutą irytacji w głosie. – Jesteśmy już spóźnieni.
- Musiałem coś dokończyć.

Pewnie chodziło o jakąś kobietę. Desmond był znany z zamiłowania do nich.

- Jest coś do jedzenia? – Wszedł do kuchni.
- Nie ma czasu. Robota. Trzeba iść.
- Może przynajmniej kawa?
- Weź ze sobą.

Po chwili mężczyzna wrócił z kubkiem naparu beżowego jak jego kurtka. Moll wyczuł dym papierosowy. Sam nigdy nie palił, ale słyszał, że to uzależnia.

- Co się z tym dzieje? – Desmond przyjrzał się jego czerwonej skórze. – Nie schodzi.
- Pokażę lekarzowi. – O karmazynowych plamach na swoim ciele nie miał ochoty rozmawiać.

Wyszli z domu i podeszli do należącego do Molla forda transita, najbardziej praktycznego pojazdu, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w Detroit.

Kiedy wsiadali, zauważył, że Desmond z namysłem marszczy czoło.

- Nie wiem... – mrucał pod nosem.

Czyżby martwił się dzisiejszą robotą?

Wspólnik nie miał oporów przed zabiciem gościa, który pichcił metę, diler oksykodonu, sygnalisty, świadka, który ma złożyć zeznanie – to był dla niego chleb powszedni. Ale Moll nie wiedział, czy on kiedykolwiek zabił niewinną kobietę. Musiał ustalić, czy to będzie dla niego problem. I to od razu.

- Co jest, skąd ta ponura mina? – spytał.
- Nie wiem – powtórzył Desmond i wzruszył ramionami. – Potem idziemy na kurczaka? Czy chińszczyznę? Nie umiem się zdecydować.

Moll zastanowił się przez chwilę.

- Na grilla. Przy Castle Drive otworzyli nową knajpę z żeberkami.
- Desmond wyraźnie się rozpogodził.
- Mhm, jasne. Dobry wybór.

13

Tam.

Colter Shaw ruchem głowy wskazał Sonji Nilsson bordowego range rovera stojącego przy Coz-EE-Suites, całkiem sympatycznym motelu na obrzeżach Ferrington. Doprowadził ich tutaj lokalizator, który Lenny Caster zamocował w nadkolu toyoty Paula LeClaire'a. Informatyk, sądząc zapewne, że policja otacza już jego dom, postanowił uciec. Urządzenie zaprowadziło ich tylko do tego skrzydła motelu, ale nietrudno było odgadnąć, gdzie dokładnie się zatrzymał. Jego samochód stał przed wejściem do pokoju numer 104, jedyne zajęte w tym skrzydle.

– Nie pomyślał o tym, żeby zaparkować z tyłu? – mruknął Shaw.

– Potrafi kraść części swojemu pracodawcy – odrzekła Nilsson. – Trochę gorzej ze znajomością technik operacyjnych.

– Byłaś w służbach? – zapytał. W tym kontekście oznaczałoby to CIA.

– Nie, ale trochę współpracowałam z Langley – odpowiedziała.

Fakt, że nie podała nazwy swojego dawnego pracodawcy, nasunął mu przypuszczenie, że mogła kiedyś zetknąć się z jego bratem. Russell też pracował w jakiejś tajnej rządowej agencji bezpieczeństwa. Ale to nie była pora na rozmowy z cyklu „jaki ten świat mały”.

Nilsson skręciła za róg i zaparkowała.

– Nosisz broń – stwierdziła.

Skinął głową. Zauważyła to, podobnie jak Abe Lincoln, ale każdy zawodowiec wydedukowałby to bez większego trudu. Shaw też się zorientował, że Nilsson jest uzbrojona. Nosila pistolet w kaburze przypiętej od wewnętrznej strony paska, jak on. Żadna kobieta w tej branży nigdy nie nosiła pistoletu w torebce.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że on nosi? – spytała.

– Dziesięć procent – stwierdził po chwili namysłu. – Podczas tego zamieszania w fabryce miał ochotę wleźć pod stół i zaczekać, aż wszystko się skończy.

Przez jej twarz przemknął uśmiech.

– Jak chcesz to rozegrać?

– Każemy mu podnieść ręce – ze względu na te dziesięć procent ryzyka – i pokażemy mu pieniądze przez okno. Odmówi. Będzie stał na baczność. Zabiorę pieniądze. A potem odjedziemy. – Spojrzał na nią. – I zjemy lunch.

– Podoba mi się ten plan.

Shaw wziął aktówkę zawierającą fałszywe sto tysięcy dolarów, otworzył i postawił przed oknem, by LeClaire je zobaczył. Następnie wyjął telefon, zadzwonił do motelu i poprosił o połączenie z pokojem numer 104. Recepcjonista odparł, że Shaw musi najpierw podać nazwisko gościa. Powtórzył to Nilsson, która stwierdziła:

– Pewnie nie zameldował się pod prawdziwym nazwiskiem, ale spróbuj.

– Paul LeClaire.

– Oczywiście, już pana łączę.

– Rany... – mruknęła Nilsson.

Po ośmiu dzwonekach głos:

– Mhm, halo?

– Paul – powiedział surowo Shaw – masz dwie możliwości. Jeżeli odłożysz słuchawkę, to za pięć minut będziesz miał w pokoju antyterrorystów. Albo posłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

– Kim...

– Wybieraj.

– Ale... No dobrze. Słucham. – W słuchawce wyraźniej zabrzmiał znajomy już płaczliwy ton.

– Spotkaliśmy się wczoraj w fabryce.

– To ty! Jeżeli wyjdę, zabijesz mnie.

– Paul. Odsłoń okno. I pokaż ręce, żebyśmy cały czas mieli je na widoku.

– Zrób, co mówi! – krzyknęła Nilsson.

Po chwili odsunęła się zasłona. W oknie stał skamieniały ze zgrozy LeClaire i patrzył w stronę parkingu. Unosił ręce jak ofiara napadu ze starego westernu. Miał na sobie to samo ubranie co wcześniej. Na białej koszuli były widoczne plamy po żółtym dymie. Shaw podszedł bliżej. Zajrzał do pokoju. Wyglądał na pustą.

Przedstawił swoją propozycję odkupienia ADEB-u.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział drżącym głosem LeClaire.

Shaw westchnął.

– Paul... pan Harmon chce odzyskać to urządzenie.

Na to nie było odpowiedzi.

– Ale...

– Sto tysięcy dolarów. Dyskrecja zapewniona.

– Aleee... – Tym razem wymówił spójnik przeciągle. Znacznie dłużej niż wcześniej.

– Już go nie ma w kraju, zgadza się?

– Być może. Nie wiem.

Taka odpowiedź wystarczyła.

Shaw spojrział w stronę Nilsson, która lekko skinęła głową. LeClaire i pozostali dostali już potwierdzenie, że udało im się zdobyć oryginalny ADEB.

Trzymała dłoń blisko pistoletu, podczas gdy Shaw podszedł i zabrał aktówkę.

Gdy wracali do range rovera, LeClaire krzyknął:
– Zaraz! Mogę się już poruszyć? I opuścić ręce?
Shaw rozłączył telefon i zwrócił się do Nilsson:
– To co z tym lunchem?

14

Nie myśl już o tym cholerstwie, poleciała sobie w duchu.

Allison Parker przepłynęła ostatnią długość swoim ukochanym stylem motylkowym, który wychodził jej jednak trochę niezgrabnie, i wyszła z basenu za domem. Dzisiaj półtora kilometra.

Po prostu nie myśl.

Czterdziestodwuletnia brunetka, wysoka, muskularna i w doskonałej formie, miała na sobie jednocześnie niebieski kostium Speedo. Zdjęła czepek w tym samym kolorze i sięgnęła po ręcznik. Czepek się przydał, ale nie był hermetycznie szczelny. Długie, kręcone włosy ociekały wodą. Najpierw zajęła się nimi, a potem wytarła resztę ciała.

Nie myśl...

Od czasu do czasu pływaniu towarzyszyło wspomnienie innego basenu, za domem, który niedawno sprzedała. Za jej dawnym małżeńskim domem. Widziała w wyobraźni rozkołysaną wodę, płytki w kojącym niebieskim kolorze, kamienną powierzchnię tarasu, plastikowe i metalowe meble, każdy z innej parafii.

Ale te obrazy usunęło w cień coś, co przez cały dzień zaprzętało jej myśli, choć próbowała o tym zapomnieć. Biała betonowa płaskorzeźba, relief na ścianie prysznicowa obok basenu.

Przedstawiał konika morskiego.

Te stworzenia mogły wyglądać komicznie albo strasznie, albo zmysłowo. Ten w ich dawnym domu miał należeć do ostatniej kategorii – sugerowały to gładkie krągłości i uwodzicielskie spojrzenie.

Nie myśl... A jednak myślała.

Widzi spadające płatki śniegu, które miękko lądują na głowie, grzbiecie i ogonie stworzenia. Płatki się topią. Konik morski wygląda, jakby płakał.

Połowa listopada. Rodzina jest w kuchni. Parker myśli o koszykach na Boże Narodzenie i o ciastach. Jon i Hannah pracują nad projektem do szkoły.

Nagle Jon podnosi się z tym cholernym wyrazem twarzy i mówi, że musi wyjść. I niedługo wróci.

– Nie, proszę. – Choć Parker nie ma zwyczaju nikogo o nic błagać, teraz mówi błagalnym tonem.

Wieczór był miły. Przecież nie trzeba go psuć.

Parker otrząsnęła się ze wspomnień i dokończyła wycieranie, potem powiesiła ręcznik na wieszaku, żeby wysechł w słońcu, choć świeciło niezbyt mocno. Owinęła się jaskrawożółtym ręcznikiem ze SpongeBobem Kanciastoportym i wsunęła stopy w pomarańczowe klapki.

Włosy opadły zlepione w wilgotne strąki. Były rozdzielone pośrodku i sięgały jej ramion.

Zerknęła na swoje odbicie w szklanych drzwiach prowadzących na taras. Co za widok. Parsknęła śmiechem. Rozwinęła ręcznik, poprawiła go. Wytrzeszczone oczy rysunkowego bohatera znalazły się dokładnie w miejscu jej piersi.

Weszła do niewielkiego parterowego domu z trzema sypialniami. Wybudowano go do wynajęcia, nie do posiadania, więc był do tego stopnia nijaki, że stawał się niemal niewidzialny.

Bezchmurny jesienny dzień był ciepły, mimo to klimatyzacja działała pełną parą, bo tak ustawiła ją Hannah. Może gdyby dziewczyna nie chodziła przez cały dzień w dresie, to na rachunkach za prąd figurowałyby mniej zawrotne kwoty.

Ale o niektóre rzeczy kruszy się kopie, o inne nie.

Allison Parker nigdy nie marnowała kapitału rodzicielskiego, gdy chodziło o drobiazgi.

Szesnastolatka siedziała na brązowej skórzanej kanapie w salonie. Miała ładną okrągłą twarz i włosy do ramion, z przedziałkiem pośrodku; po ojcu była blondynką. Po prawej stronie rzucało się w oczy czerwone pasemko. Skulona Hannah wpatrywała się w ekran telefonu i pisała wiadomość. Miała białe stopy. Malowała paznokcie u nóg – na ciemny mahoń – i widocznie przeszkodził jej jakiś szalenie ważny SMS.

Sześć zdążyła pociągnąć lakierem, zostały cztery.

– Masz matematykę – przypomniała jej Parker.

– Zrobiłam.

– Wszystko?

Palce tańczyły na ekranowej klawiaturze, poruszając się jak przestraszone kolibry.

– Aha.

Parker przeczeswała loki palcami.

– Pokaż.

Chwila wahania.

– Może zostało jeszcze trochę.

– Hannah. – Głos zabrzmiał surowo. Ostatnio częściej zdarzały się kłamstwa. W drobnych sprawach, ale oszustwo to zawsze oszustwo.

Westchnienie.

– No dobra. Zrobię.

– Dziękuję. – Parker zerknęła na stół, gdzie leżały kartki z zadaniami.

Pozwoliła córce poświęcić dzień na pielęgnowanie zdrowia psychicznego. Po incydencie w listopadzie zeszłego roku dziewczyna musiała radzić sobie z trzema traumami: w związku z obrażeniami matki, która została poważnie ranna, uwięzieniem ojca za to przestępstwo i życiem pod lupą w szkole. (Wszyscy uczniowie wiedzieli o zdarzeniu pół godziny później. Tak działają media społecznościowe, choć Parker przypuszczała, że pięćdziesiąt lat temu wieści rozchodziły się z taką samą szybkością przez analogowe telefony. A przedtem? Telegraficznie i w wydawanych dwa razy dziennie gazetach. Nic nie może zatrzymać dobrej strasznej historii).

Stan psychiczny Hannah na pewno się poprawiał, ale bywały gorsze dni. Nie sposób było jednak stwierdzić, w jakiej części powodem jest tamten incydent, a w jakiej typowe problemy nastolatki.

Nie odrywając wzroku od paznokci u nóg, Hannah stwierdziła:

– Zapach jeszcze nie wywietrzał.

Zanim się wprowadziły, właściciel odmalował dom, a farby, których użył, wydzielają nieprzyjemną słodkawą woń.

– Niedługo dotrzemy do naszego Zielonego Kamienia. – To było nawiązanie do zamku, o którym dziewczyna uwielbiała słuchać, gdy miała dziesięć lat i matka co wieczór czytała jej na głos powieść fantasy. Na Gwiazdkę dostała zestaw Lego z Zielonym Kamieniem i oniemiała z zachwytem.

Teraz Hannah nie zareagowała. Odpowiadała na następną wiadomość.

– Okna? – spytała, nie unosząc wzroku.

Parker, ze swoimi skłonnościami do paranoi i obsesyjną dbałością o bezpieczeństwo, pilnowała, by okna cały czas były zamknięte na głucho. Właśnie dlatego Hannah rozkręcała klimatyzację na cały regulator. Czyżby przejaw biernej agresji?

Prawdopodobnie.

Parker wciągnęła nosem powietrze. Uznała, że jest trochę lepsze.

– Przewietrzymy w sobotę.

Dziewczyna wysłała następną wiadomość.

– Hannah. Odłóż telefon. Ale już.

Posłuchała, chociaż z wyrazem irytacji na twarzy.

Matka podsunęła jej arkusze, a ona pochyliła się nad stolikiem. Parker przyjrzała się kartkom. Do zrobienia zostało pięć zadań. Pięć z siedmiu. Czyli niekoniecznie „jeszcze trochę”.

Stuknęła palcem w zadanie numer dwa.

Wyznacz dziedzinę funkcji

$$f(x) = \frac{\sqrt{x-1}}{\sqrt{4-x^2}}$$

Dziewczyna zerknęła na polecenie, po czym wróciła do lakierowania paznokcia.

– Hannah – powiedziała Parker. Zwykle używała krótszej, bardziej pieszczotliwej formy jej imienia. Pełne dwie sylaby kryły w sobie ostrzeżenie.

Córka, nie unosząc głowy, wyrecytowała:

– Dziedzina jest część wspólna dwóch zbiorów. – Wzięła długopis i szybkim, niedbałym pismem zanotowała odpowiedź:

Pierwszy zbiór to $x \leq 1$. Drugi zbiór to $-2 < x < 2$.

Odpowiedź: $1 \leq x < 2$.

Matka zamruwała zaskoczona, a potem cicho się zaśmiała.

– Zgadza się.

Mina Hannah mówiła: no jasne.

Parker uniosła rękę, by przybić jej piątkę. Dziewczyna skrzywiła się i bez entuzjazmu uderzyła w jej dłoń.

Boże...

Matka nie była zbyt zdziwiona szybkością udzielenia prawidłowej odpowiedzi. Od lat zdawała sobie sprawę z wybitnych zdolności córki. Zdumiało ją po prostu to, że wykonywała obliczenia z taką łatwością, podczas gdy ona musiała się namozolić, by dobrać do mety.

No więc dlaczego córki prawie w ogóle nie interesowała nauka, do której przejawiała taki talent, i wolała przedmioty humanistyczne, fotografię, rysowanie i pisanie?

– Skończ resztę.

– Okej. – Milczała przez chwilę. – Pisałam z Kyle'em, wiesz?

– Tak? – Coś wisiało w powietrzu. Parker z uwagą formułowała odpowiedzi. – Co u niego?

– Spoko. Mówi, że jesteś ładna.

– To bardzo miło.

Znowu zerknęła na zadanie. Hannah zapisywała na arkuszu liczby, litery i symbole. Ta odpowiedź też była prawidłowa.

– Jutro wybiera się do galerii handlowej – powiedziała. – Musi znaleźć prezent dla brata.

Hannah najwyraźniej pytała, czy może mu towarzyszyć. Uczniowie w wieku trzynastu, czternastu lat tworzyli pseudozwiązki – czyli chodzili ze sobą, spędzając czas przede wszystkim na flirtowaniu. Teoretycznie Parker nie miała nic przeciwko temu, by jej córka

też oddawała się tego rodzaju rozrywce. Zwykle jednak odzywał się wzbierający matczyny niepokój i krzyżował plany Hannah.

Parker ostrzegła córkę przed przestępczością, która w Ferrington szybko rosła z powodu niedoborów kadrowych policji, co oczywiście było prawdą.

Nie mówiła jej jednak całej prawdy.

O tym, jakie niebezpieczeństwo może grozić im obu ze strony jej byłego męża.

Dlatego nie lubiła spuszczać jej z oka.

Ale teraz, w nagrodę za to, że uporała się z zadaniem domowym, powiedziała:

– Myślę, że to się da zrobić.

W odpowiedzi na milcząco zadane pytanie: mogę z nim iść?

– Tak?

– Tak. Dokończ. Na kolację pizza?

Promienny uśmiech.

Chciała wykorzystać wspólny posiłek, by wypytać o Kyle'a. Spotkała go dwa razy i wydał jej się całkiem sympatyczny. Chciała wiedzieć o nim coś więcej.

Zadrżała i poszła do sypialni, żeby przebrać się w dzinsy i... cóż innego sprawdzało się lepiej w takiej temperaturze? Bluzę dresową.

Po drodze do komody zerknęła na leżący na łóżku telefon.

Zatrzymała się w pół kroku i serce w jej piersi mocno zatłukło.

Jedenaście nieodebranych połączeń.

Wysłuchała pierwszej nagranej wiadomości.

– Chryste...

15

Pakowała się.

Szybko.

I chaotycznie.

Allison Parker, w dżinsach, szarej bluzie dresowej i pikowanej jasnoniebieskiej kamizelce, drżącymi rękami wrzucała przypadkowe ubrania do dużej torby sportowej i plecaka. Czuła słabość we wszystkich mięśniach.

– Dwa lata wcześniej? Wypuścili go? – Mówiła to głośno czy tylko pomyślała? Nie miała pojęcia.

Hannah była u siebie i bez pośpiechu zastanawiała się, co włożyć do swojego bagażu.

– Tylko najpotrzebniejsze rzeczy! Ruszaj się!

– Jezu, mamó. Wyluzuj.

Jej telefon zagrał hałaśliwą rockową piosenkę, którą ustawiła jako dzwonek, bo podobała się córce. Znowu dzwonił adwokat, David Stein. W rozdygotanych dłoniach ledwie umiała utrzymać telefon. Włożyła słuchawki i kontynuowała wypełnianie torby. Cofnęła się nieco w głąb sypialni, by Hannah nie słyszała rozmowy.

– Jak to się stało? – spytała.

– Nie wiem. Moim zdaniem zamydlił im oczy. Wstawił im jeden z tych swoich głodnych kawałków. – Po chwili ciszy powiedział jeszcze bardziej ponurym tonem: – Posłuchaj, Allison. Musisz wiedzieć coś jeszcze. – Zawahał się, jakby zbierał się na odwagę. – Kiedy wyszedł, kilku więźniów poszło do strażnika. Podobno Jon powiedział im, że gdy wyjdzie, będzie chciał cię znaleźć. – Obniżył głos jeszcze o parę decybeli. – Znaleźć i zabić.

Allison pochyliła głowę.

– Jasne, że tak...

Może to szepnęła, może pomyślała.

– Co, Alli? Nie usłyszałem.

Czyli szepnęła.

A więc nadszedł ten moment, którego się bała, którego miała nadzieję uniknąć. A plany, by zniknąć i rozpocząć z Hannah nowe życie daleko stąd, zanim on wyjdzie na wolność, okazały się bezużyteczne.

Jasne, że tak...

– Wiedzą, gdzie on jest? – zapytała.

– Nie. Ma dwadzieścia cztery godziny, żeby zgłosić swój adres kuratorowi. Jeszcze się nie odezwał. Rozmawiałem z detektywem z policji Ferrington. Po tym, co powiedział współwięźniom, gliniarze będą go szukać.

Co zabrać? Dżinsy, bluzy, bieliznę, skarpetki, perfumy... Zaraz, perfumy? Odstawiła buteleczkę na komodę, wybierając tampaksy i advil.

– Wyjeżdżamy z miasta.

– Tak powinniście zrobić. Dokąd?

– Nie wiem. Nikomu nie zamierzam mówić. Zadzwonię z drogi. Tylko na twój numer stacjonarny. Nie ufam komórkom.

Paranoja to nieuzasadniony niepokój wywołany wyimaginowanym zagrożeniem. Jon Merritt stanowił jednak realne zagrożenie.

– Alli...

Rozłączyła się, patrząc na obraz namalowany przez dziesięcioletnią Hannah. Akwarelami na brystolu. Przedstawiał jednorożca, którego sierść mieniła się wszystkimi barwami tęczy.

Zaduma trwała zaledwie parę sekund. Do jej drzwi pukała przeszłość. Parker musiała się teraz postarać, by z córką miały przed sobą przyszłość.

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz, mocno ściskając w rękach torbę i plecak.

Hannah siedziała na łóżku obok spakowanej w połowie torby. Był w niej tylko jej komputer i kilka ubrań. Dziewczyna pisała wiadomość na telefonie.

– Nie, nie.

Spojrzała w jej stronę.

Cichym głosem, spokojnym jak jej dłonie, nad którymi zdołała już zapanować, Parker powiedziała:

– Schowaj ten pieprzony telefon. Skończ. Nie żartuję.

– Nie wyrażaj się!

– Nie mamy czasu. Pakuj się.

Dziewczyna posłała matce zirytowane spojrzenie, a potem wstała, wsunęła telefon do tylnej kieszeni. Zaczęła przeszukiwać szuflady. Parker szybko weszła do pokoju córki i napełniła torbę i plecak ubraniami i przyborami toaletowymi, jakie wpadły jej w ręce.

– Zaraz. Chcę wziąć...

– Nie. – Słowo zabrzmiało jak głuchy pomruk.

Wpadła do kuchni i spojrzała przez okno na ogród, jak gdyby się spodziewała, że z krzaków wyskoczy jej były mąż uzbrojony w kij baseballowy albo siekiere.

Do torby wielorazowego użytku z Whole Foods załadowała całą elektronikę – ładowarki do telefonu i komputera, kable, laptop Dell z siedemnastocalowym ekranem, router wi-fi, baterie.

– Dokąd jedziemy? – jęknęła dziewczyna. – Mówiłaś, że mogę iść do galerii handlowej!

– Bierz torby. Wyjeżdżamy.

Niechętnie dźwignęła bagaż.

– Tato wyszedł z więzienia? I co z tego?

Jasne, że tak...

Ledwie wyszły przed dom, gdy dziewczyna przystanęła, zawróciła na pięcie i wbiegła z powrotem do środka.

– Hannah! – krzyknęła Parker. – Nie!

– Nie mogę – dobiegł z wnętrza jej głos.

– Co?

– Nie zostawię iPada. Nigdzie bez niego nie jadę!

16

Jon Merritt przedzierał się przez zarośla w ogrodzie za domem jego byłej żony przy Maple View, zmierzając w stronę tylnego wejścia.

Znieruchomiał i przypadł do ziemi, gdy usłyszał warkot silnika.

SUV jego byłej zjechał z krawężnika i z piskiem opon skręcił za róg na drogę Cross County, kierując się na zachód.

Niech to szlag.

Ruszył sprintem w kierunku swojego pikapa, który na wszelki wypadek zaparkował trzy ulice dalej. Podczas biegu przyciskał dłonią rękojeść rewolweru, żeby nie wyfrunął mu zza paska. W zaśmieconym zaułku za Ferrington City Diner człowiek Ryana rzeczywiście energicznie go zrewidował, sprawdzając, czy nie ma podsłuchu. Był niepotrzebnie brutalny, ale Merritta bardziej uraził fakt, że sfatygowana broń za dwieście dolarów została wyceniona na siedemset, bez możliwości negocjacji.

Prawa podaży i popytu...

Zdyszany biegł chodnikiem, omijając bezdomnego i cały czas obserwując toyotę 4runner. Samochód był bliżej, niż się spodziewał. Mógł go dogonić.

Widziała go? A może ktoś do niej dzwonił z wiadomością, że wyszedł na wolność?

Od biegu bolały go mięśnie i płuca. Zdecydowanie nie był w formie. W pudle można było podnosić ciężary, ale nie trenowało się aerobiku. Nikt tam nie biega.

Ciężko łapiąc oddech, dopadł do forda, wskoczył za kierownicę, wcisnął kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik.

O ile nie zostanie zatrzymany za przekroczenie prędkości, miał je w garści. W pobliżu byli jacyś gliniarze? Prawdopodobnie nie. Rozsyłanie patroli drogowych nie było mocną stroną trapionego kłopotami budżetowymi Ferrington. W każdym razie czasem po prostu trzeba zaryzykować.

Wrzucił bieg, skręcił kierownicę i wdusił pedał gazu.

Wielki pikap wystrzelił jak strzała.

I zaczął się kołysać.

Łup, łup, łup, łup...

Gwałtownie zahamował, ustawił dźwignię w pozycji PARKING, otworzył drzwi i stanął na asfalcie.

Na litość boską...

Z odrazą i wściekłością przymknął oczy. Mogła skręcić na wschód albo na zachód, ale wybrała zachód i zauważyła jego wóz. Spuściła powietrze z przedniego prawego koła. Opona kompletnie siadła.

Spojrzał na szosę, której spękany asfalt prowadził na wzgórze. Była żona już mu zniknęła z oczu.

Merritt pochylił głowę i oparł czoło o szybę okna po stronie kierowcy.

Całą minutę czekał, aż minie mu złość, po czym wyjął telefon. Napisał wiadomość, że plany się zmieniły – Allison uciekła, a on potrzebuje pomocy, by ją odnaleźć. Zapowiedział, że odezwie się w sprawie szczegółów. I że zapłaci. Dużo.

Zaledwie parę sekund później odebrał odpowiedź twierdzącą.

Spojrzał na zachód, prosto w popołudniowe słońce. Dokąd jedziesz?, pomyślał. Dokąd, do cholery...

Zaskoczył go czyjś głos.

– Halo, pomoc panu? – Pytanie skierował do niego jakiś mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie sportową kurtkę i spodnie. Najwyraźniej wracał z miłej przechadzki w ciepłe jesienne popołudnie.

Merritt miał ochotę zaprzeczyć, wychodząc z założenia, że im mniej osób będzie go widziało, tym lepiej, ale facet już go zobaczył, a jemu się spieszyło.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, żeby ubrudzić sobie ręce. Zawsze ciężko jest dźwignąć zapasowe koło i nałożyć je na śruby.

Mężczyzna zdjął kurtkę i położył na rosnącym obok żywopłocie.

– Wiem coś o tym. Fabryka daje podnośnik do samochodu; powinni dawać jeszcze jeden, do koła.

– To by dopiero był wynalazek – przytaknął Merritt.

Obaj mężczyźni podeszli do pikapa od tyłu i sąsiad odkręcił koło zapasowe, a Merritt z przegródki w platformie wziął podnośnik i narzędzia.

Wsunął łapę lewarka w wycięcie w podwoziu auta, podczas gdy sąsiad przytoczył zapasowe koło. Przyjrzał się Merrittowi, który zawzięcie pracował dźwignią podnośnika.

– Chyba się panu spieszy.

Jon się nachmurzył.

– Właśnie chciałem odwiedzić żonę i córkę, których dość dawno nie widziałem. Byłem daleko stąd. I nagle to.

– Zawsze coś wyskoczy nie w porę, prawda? Ale zaraz postawimy pana na cztery koła. Pewnie tęsknił pan za żoną i córką.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo – odparł Merritt, łapiąc oddech między jednym a drugim naciskiem na dźwignię.

Dzięki gorączkowym ruchom jego rąk dwutonowy samochód wolno unosił się w powietrze jak duch opuszczający ciało niedawno zmarłego.

Jest. Nasza najślynniejsza atrakcja. Przygotuj polaroid.

Siedząca za kierownicą range rovera Sonja Nilsson zwolniła. Byli w centrum miasteczka, na drodze biegnącej równolegle do rzeki Kenoah. Na drugim brzegu stał wysoki ceglany budynek, nieróżniący się zbyt od pozostałych. Część fundamentu tuż nad powierzchnią ziemi zajmował zegar w stylu art déco o średnicy około trzech metrów. Tarczę i wskazówki, zatrzymane za dziesięć druga, pokrywał zielonkawy nalot patyny i rudy brązu rdzy.

– Wodny Zegar Ferrington. W tym budynku była huta Carnegie. Prezes – nie, to nie był ten Carnegie – chciał mieć jakiś chwyt reklamowy. Kaloryfery i części samochodowe nie były na tyle podniecające, by budzić entuzjazm klientów. No więc zamówił zegar. Napędzał go prąd rzeki. Z całego stanu przyjeżdżali ludzie, żeby go zobaczyć i pstryknąć sobie zdjęcia z nim w tle.

– Kiedy się zatrzymał? Nie pytam o za dziesięć druga, bo widzę.

Zaśmiała się.

– Przeżył Carnegiego o długie lata. Miasto o niego dbało, ale skończyły się pieniądze. Jakies dwadzieścia lat temu. Te wskazówki ludzie nazywają „skrzydłami anioła”.

SUV przyspieszył, a na następnym skrzyżowaniu skręcił, oddalając się od rzeki. Nilsson powiedziała, że myśli o pewnym pubie, który jej zdaniem mógłby się Shawowi spodobać.

Jej twarz przysłaniały ciemne okulary, aviatory. Shaw próbował dojrzeć jej oczy. Bardzo chciał wiedzieć, czy ich kolor zawdzięcza genom, czy plastikowi.

Po chwili milczenia zadał jedno z tych pytań, które pomagają przerywać ciszę.

– Jak tu trafiłaś?

– To długa historia. Skrócę. – Mówiła niskim głosem, otulonym tym cudownym akcentem z Południa. Do głowy przyszło mu słowo „zmysłowy”. – Chciałam... tak, zobaczyć świat, dlatego wstąpiłam do służby. Stacjonowałam na Hawajach, w Kalifornii. Poznałam chłopaka, też z Birmingham. Po zakończeniu służby wróciliśmy do domu i wzięliśmy ślub. Wskoczyliśmy z kamaszy prosto przed ołtarz! Ale nie wyszło... To nie była jego wina. Niełatwo ze mną wytrzymać.

To wyznanie go rozbawiło. Zabrzmiało prawie jak ostrzeżenie.

– Chciałam zostać w branży. Ktoś z agencji zatrudnienia powiedział mi, że Harmon Energy Products szuka szefa ochrony. Podobał mi się ich produkt, podobała mi się misja

Marty'ego – chciał pomagać w ratowaniu biednych. No i tak się tu znalazłam. Pewnie żałujesz, że zapytałeś.

– Chyba skróciłaś w sam raz.

Wyprzedził ich jakiś samochód – a Sonja jechała sporo powyżej dozwolonej prędkości. SUV acura miał przyciemniane szyby. Szykował się jakiś problem.

– W porządku – powiedziała Nilsson. Jej oczy też śledziły kurs auta. – Zagrożenie już by się ujawniło.

Pokonali następne kilometry: brązowe i płaskie. Shaw wychował się w otoczeniu gór.

– Kiedy mój przyjaciel Tom zadzwonił do mnie w tej sprawie, pomyślałem: Ferrington brzmi znajomo. Jakbym słyszał o tym mieście w wiadomościach. Chyba w związku z przestępstwem.

– Ze sprawami dotyczącymi korupcji, o których mówił Marty?

– Nie, chodziło o przemoc.

– A, pewnie Sprzątacze Ulic. Seryjny morderca.

– Zgadza się.

– Parę lat temu ktoś strzelał do ludzi na ulicy – do bezdomnego, ćpunów, prostytutki. Przede wszystkim w okolicach Manufacturers Row.

Shaw przypomniał sobie osoby, które widział na bulwarze po akcji z ADEB-em.

– Sprawa jest otwarta – ciągnęła Sonja. – Ten człowiek był sprytny. Zawsze po sobie sprzątał. Pracowałeś kiedyś nad sprawą psychopaty?

Shaw wolał używać słowa „zlecenie” niż „sprawa”, ale nie miał ochoty tego tłumaczyć.

– Raz. Zabił cztery kobiety. Inteligentny. Student medycyny. Policja go złapała, ale uciekł. Zapadł się pod ziemię. Po miesiącu władze hrabstwa wyznaczyły nagrodę.

– I znalazłeś go?

– Tak.

– Jak?

– Obserwowałem chirurgów plastycznych.

Parsknęła śmiechem.

– Sprytnie.

Wzrok Shawa przyciągnął odblaskowy żółty billboard.

KANCELARIA PRAWNA BRAXTON HEADLEY
SPECJALIŚCI DS. ODSZKODOWAŃ
ZA ZATRUCIA SUBSTANCJAMI TOKSYCZNYMI
CIERPISZ NA RAKA, ROZEDMĘ PŁUC
CZY INNĄ CHOROBE?
MOŻE NALEŻAĆ CI SIĘ PIENIĄDZE.
ZADZWOŃ!

To była jedna z ustawionych przy drodze kilkunastu tablic reklamujących usługi prawników. Napis na następnej brzmiał:

SPÓŁKA UNITED DEFENSE INTERNATIONAL
ZAKŁAD ZAAWANSOWANYCH
SYSTEMÓW TAKTYCZNYCH W FERRINGTON
WNIEŚ WKŁAD W PRZYSZŁOŚĆ SWOJEGO KRAJU!
SZUKAMY PRACOWNIKÓW.
PRACA NA TRZY ZMIANY

Ktoś wspiął się, by dosięgnąć dołu billboardu, i dopisał sprayem:

GNOJE!!!

Zauważyła jego spojrzenie.

– Bolesny cios – powiedziała.

– To znaczy?

– Ferrington przetrwało upadki. Rozumiesz, co mam na myśli, Colter?

– W liczbie mnogiej.

– Właśnie. Sto pięćdziesiąt lat temu miasto było stolicą żelaza na Środkowym Zachodzie.

Range rover miał automatyczną skrzynię biegów, ale Nilsson używała manetek przy kierownicy, co było wersją light prawdziwej, ręcznej zmiany biegów. Mimo to dawało więcej frajdy niż operowanie wyłącznie prawą nogą i pozwalało wychylić wskazówkę obrotomierza do czerwonej części skali.

– Ferrington nigdy nie było ładne. Ale robiło wrażenie. Żyło. Żadne miasto w stanie nie miało tylu fabryk i stacji rozrządowych. Hotele oferowały takie same luksusy jak w Memphis czy St. Louis.

– Do czasu – zauważył Shaw.

– Do czasu. Żelazo wyparła stal. A to oznaczało, że nowymi mekkami przemysłu stały się Gary, Pittsburgh i New Jersey. Potem Chiny i Japonia. Ostatnio sytuacja zaczęła się poprawiać. Parę firm zwróciło uwagę na tanie nieruchomości i kupiło jakieś stare budynki – spółka Marty'ego, producent układów scalonych, jakiś kontrahent rządowy, który robi takie czy inne części dla Departamentu Obrony, nikt nie wie, co dokładnie. Amazon zastanawiał się nad zbudowaniem centrum logistycznego przy drodze osiemdziesiąt cztery. Wszyscy się nakręcili. Sytuacja wyraźnie się poprawiała.

– A ten bolesny cios?

– Woda. Nikt nie wiedział, jak bardzo zanieczyszczone były stare fabryki. Po rozbiórce budynków pod nową zabudowę odkryto substancje toksyczne. Kenoah jest w gorszym

stanie niż Ohio, Tennessee i Ward Cove.

– Czym jest zanieczyszczona?

– Mamy niezłą mieszankę. Smoła węglowa, metale ciężkie, węglowodory aromatyczne, MTBE.

Shaw pokręcił głową.

– Eter metylowo-tert-butyłowy. Też nigdy wcześniej o nim nie słyszałam, ale wystarczy przez ostatnie pół roku czytać „Daily Herald”, a możesz robić dyplom z chemii.

Firmy, które się nam przyglądały, też to wszystko czytały. Widziałeś billboard? Z reklamą United Defense? Zamierzali zatrudnić tysiąc pięćset osób w dwóch kompleksach. Na razie plany zostały odłożone i prawdopodobnie nic z nich nie wyjdzie. To samo z American Household Products. Mieli zatrudnić osiemset osób...

Stąd ci „gnoje”...

– Zrewidują te plany, kiedy skończy się oczyszczanie?

– To nie takie proste jak mycie samochodu – odparła Nilsson. – Wjeżdża brudny i wyjeżdża wypolerowany na glanc. Taki proces musi potrwać. Prezosi nie chcą stawiać pieniędzy udziałowców – i własnych premii – na niepewną kartę. Boją się, żeby to samo nie zdarzyło się w następnym roku. Jesteśmy na miejscu.

Gwałtownie zatrzymała range rovera na zwirowym parkingu przed pubem Mitchell’s. Lokal i przylegający do niego zajazd wyglądały staroświecko i rustykalnie, miały ciemnobrązowy drewniany siding i soczyście zielone obramowanie okien i drzwi. Do wejścia prowadziła leniwie wijąca się ścieżka wyłożona kamiennymi płytami.

Ładnie, pomyślał Shaw. To była obiektywna ocena; nigdy nie ulegał atmosferze żadnego miejsca. Jeżeli tylko w barze nalewali lokalne piwo i można było zjeść coś konkretnego – burgera czy stek – lokal był w porządku. Liczył też na względną ciszę.

Nilsson i Shaw rozejrzeli się dyskretnie, sprawdzając, czy w okolicy nie czai się żadne zagrożenie, po czym podeszli do drzwi. Do wejścia zachęcała tabliczka:

PODAJEMY IPA IRON TOWN

W swoich podróżach po kraju Colter Shaw lubił kosztować wyrobów miejscowych browarów.

Spełniło się jedno z jego życzeń, drugie – sądząc po zapachu grillowanych mięs – też miało zostać spełnione.

Gdy wchodzili po trzech kamiennych stopniach na ganek zajazdu, dotknęli się ramionami. Zerknęli na siebie. Shaw sięgnął ręką do klamki i w tym momencie zadzwonił telefon Nilsson. Korzystała z dwóch. To był iPhone. Drugi był większy i bardziej skomplikowany, może satelitarny. Przeczytała wiadomość.

Zacisnęła usta.

– To Marty. Muszę wracać do biura. – Uniosła wzrok. – Prosi, żebyś też przyjechał.

18

To było wredne.

Jadąc toyotą 4runner na zachód od Ferrington i minimalnie przekraczając dozwoloną prędkość, Allison Parker zerknęła na córkę, która siedziała obok niej z uniesionymi kolanami i patrzyła w ekran komputera.

– Co?

– Koło taty.

Kobieta wróciła spojrzeniem na drogę.

Gdy wybiegły z domu bez iPada i wskoczyły do samochodu, Parker wyjechała na Cross County i dodała gazu, ale nagle zauważyła z przerażeniem zaparkowanego przy krawężniku białego fordą F-150, w którym nikogo nie było. Raptownie zahamowała. Tak, to był wóz Jona – znała te wgniecenia i rysy. Rozejrzała się, ale nigdzie go nie było widać. Pewnie poszedł do ich domu trzy ulice dalej. Miała najwyżej parę minut.

– Zostań tu – rozkazała. – Nie wysiadaj.

Podbiegła do pikapa, zajrzała na pakę w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, którym mogłaby przeciąć opony. Nic. No więc odkręciła nakrętkę z wentyla i za pomocą gałazki spuściła powietrze z prawego przedniego koła. Zastanawiała się nad lewym, uznała jednak, że pozostawanie dłużej przy samochodzie byłoby zbyt ryzykowne.

Po siedmiu czy ośmiu kilometrach znowu gwałtownie się zatrzymała, wzbijając w górę fontanny żwiru i rozplaszczając puszki na poboczu. Co chwilę zerkała w lusterko wsteczne i pisała mejle do matki i Marty’ego Harmona, by ich poinformować, że Jon wyszedł, a ona i Hannah wyjeżdżają. Obiecała dać znać, gdy będzie na tyle bezpiecznie. Zostawiła wiadomość Davidowi, że Jon pojawił się w jej domu – czyli naruszył warunki sądowego zakazu. Można go było aresztować.

Wreszcie odpowiedziała na wcześniejszą uwagę córki.

– Nie zrobiłam tego ze złości. Chciałam, żebyśmy były bezpieczne.

– Bezpieczne?

Parker nie była skłonna mówić córce, że jej ojciec zamierza ją zabić.

– Proszę cię, Hannah – powiedziała łagodnie. – Pamiętasz te napady złości, wiesz, co się działo, gdy przestawał nad sobą panować? Jaki był na mnie wściekły, kiedy wniosłam zarzuty? Jeżeli znowu pije, a na pewno...

– Gównu o tym wiesz!

Oczywiście Parker nie fuknęła do niej „nie wyrażaj się”.

– Mógłby zrobić scenę. Skrzywdzić kogoś, nawet gdyby nie chciał. Albo zrobiłby krzywdę sobie. Nie wolno mu wchodzić na naszą posesję. Mógłby zaatakować policjantów.

– A może przyszedł tylko przeprosić.

Aha, jasne, powiedziała w duchu Allison najbardziej cynicznym tonem, na jaki umiała się zdobyć.

Zerknęła na laptop leżący na kolanach córki.

Miała jedyny router, więc dziewczyna nie mogła być online... ale czy rzeczywiście?

Mogła kupić za kieszonkowe jakieś mobilne urządzenie wi-fi z kartą z pakietem gigabajtów.

– Jesteś online?

– Co? Nie.

– Odwróć do mnie ekran.

– Serio?

– Pokaż ekran. Chcę sprawdzić, czy włączyłaś tryb samolotowy.

– Jak mogę być online? Nie pozwalasz mi na przenośny hotspot. Wszyscy takie mają.

Z buntowniczą miną obróciła komputer i przez chwilę Parker zdawało się, że rzuci jej dellem w twarz. Och, dziewczyna zdecydowanie odziedziczyła niektóre skłonności po ojcu.

Zerknęła na ekran. To był tylko GIMP, program do edycji zdjęć, podobny do Photoshopa.

– Przepraszam. Ale musimy zapanować nad sytuacją.

– Rany, za dużo o tym myślisz. Przecież to ty mówiłaś, że są w nim dwie zupełnie różne osoby.

To prawda. Ale powiedziała to po to, by Hannah zachowała część dobrych wspomnień z dawnych lat. Nie dodała, że rozszczepienie osobowości to także charakterystyczna cecha socjopatów.

Miała na myśli stan upojenia alkoholem, ale zastanawiała się, czy ciemna strona duszy eksmeża nie dominowała całkiem oblicza dobrego i rozsądnego człowieka nawet wtedy, gdy był trzeźwy.

Czy naturę mózgu można było zasadniczo i trwale odmienić?

Czemu nie? Przecież z obwodami i kondensatorami dało się to zrobić, to dlaczego inaczej miałoby to wyglądać z neuronami i synapsami?

W końcu ciszę przerwała Hannah.

– Dokąd jedziemy?

– Właśnie się nad tym zastanawiam.

Parker nie ustaliła jeszcze celu ich podróży. Najważniejsze było jak najszybciej uciec. Jechała drogą, która oddalała się od starych magazynów i zabudowań, wcinając się w pastwiska, skoszone pola i gęste lasy. Przy węźle z drogą numer pięćdziesiąt pięć, wiele

kilometrów na zachód od Ferrington, ostro skręciła w lewo, na południe, i po ośmiu kilometrach dotarła do miasteczka Carter Grove, gdzie wyznaczniki cywilizacji stanowiły pasaż handlowe, multipleks i przysypane kurzem pole golfowe.

Zaparkowała przy jednym z tych pasażów, przed salonem manicure'u.

– Zaczekaj – poleciła surowym tonem. – Nie wysiadaj z samochodu.

Dziewczyna posłała jej buńczuczne spojrzenie.

– Hannah!

– Dobrze.

Parker chwyciła leżącą na tylnym siedzeniu niebieską bejsbolówkę bez żadnego logo i wcisnęła na głowę. Wysiadła, po czym z dużą brązową torebką w ręce skręciła za róg, gdzie znajdował się oddział First Federal Banku. Wróciła niecałe dziesięć minut później i rzuciła torebkę na podłogę za swoim siedzeniem.

Odjechała z parkingu i zatrzymała się przy następnym pasażu, którego centrum stanowił sklep Target. Tym razem domagała się, by córka jej towarzyszyła. Weszły i Parker kupiła telefon na kartę. Sprzedawca, chudy chłopak, próbował flirtować z Hannah, która natychmiast zmroziła go wzrokiem.

Zwrócił się więc do matki:

– Ten telefon jest trochę skomplikowany. Jeżeli pani sobie życzy, mogę go uruchomić i skonfigurować.

Pewnie w ogóle nie był skomplikowany, ale chłopak mógłby skorzystać ze swojego komputera, żeby aktywować aparat. Parker chciała, by ich wszystkie urządzenia elektroniczne pozostały niewidzialne dla internetu.

Kwadrans później znowu siedziały w samochodzie. Uruchomiła silnik i zatrzymała wzrok na ekranie nawigacji.

– Można to jakoś wyłączyć?

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy w teatralnym zdumieniu, ale tylko wzruszyła ramionami.

Matka kilka razy stuknęła w ekran, ale nie wiedziała, jak odciąć urządzenie od satelity. Prawdopodobnie trzeba było sięgnąć pod tablicę rozdzielczą.

– W Herndon jest dworzec autobusowy, prawda? – spytała córki.

– Autobusowy?

Ale już sobie przypomniała. Był w centrum. Wrzuciła bieg i wyjechała z powrotem na drogę pięćdziesiąt pięć, znów z impetem wzbijając gejzery żwiru i tym razem ruszając na północ.

– Nie chcę jechać autobusem – mruknęła Hannah. – Są obrzydliwe. Jezu, mamo, co jest? Myślisz, że może namierzyć nasz samochód? Chyba nie ma żadnych supermocy.

Tyle tylko, że jej były mąż miał ponadprzeciętne możliwości.

Jon Merritt był odznaczonym i popularnym detektywem, który przez szesnaście lat służył w policji Ferrington. W jej szeregach do dziś miał wielu przyjaciół, którzy mieli gdzieś

jego problemy z alkoholem i aresztowanie za przemoc domową. („Pożądana żona załatwiłaby mu pomoc, suko!”, brzmiał jeden z anonimowych e-maili, które dostała). Nie mogła wykluczyć możliwości, że dyskretnie zwróciłby się do tych przyjaciół z prośbą, by zerknęli na informacje z serwera oraz kamer na autostradzie i pomogli mu ją odnaleźć.

Jeszcze bardziej niepokoiły ją kontakty, jakie nawiązał po drugiej stronie krat. Wiedziała, że jako gliniarz Jon robił interesy z najgroźniejszymi bossami przestępczości zorganizowanej w Ferrington i okolicach. Może właśnie w tym momencie prosi o rewanż za jakąś przysługę: pomóż mi namierzyć moją eks...

Jeśli to nawet nie były supermoce bohatera z komiksów Marvela, to niewiele im brakowało.

19

Shaw i Sonja Nilsson weszli do tego samego biura, które opuścili niecałe dwie godziny wcześniej.

Marty Harmon gestem zaprosił ich na kanapę. W tym momencie był spięty i po snajpersku skoncentrowany. Ani śladu żartobliwego tonu.

Kiedy oboje usiedli, Harmon wychylił się w ich stronę ze swojego krzesła.

– Co z LeClaire’em?

– Zrobił dokładnie tak, jak przypuszczaliśmy – odpowiedziała Nilsson. – Nie wziął pieniędzy. Prawdopodobnie zaraz po naszym odjeździe zadzwonił do kupców z wiadomością, że mają prawdziwy dezaktywator.

Albo dopiero gdy opuścił ręce, co niewątpliwie nastąpiło dopiero jakiś czas później.

– Rozmawiałem z naszym działem technicznym – rzekł Harmon. – GPS ciągle jest głuchy. Monitorują go.

Lokalizator zamontowany w atropie ADEB-u miał włącznik czasowy, by nie został wykryty na pokładzie samolotu. Wielu pasażerów nie wiedziało, że piloci potrafią się zorientować, czy ktoś w samolocie próbuje korzystać z komórki.

Było jednak jasne, że to nie LeClaire zaprzęta mu myśli. Z roztargnieniem pocierał grubym palcem perkaty nos.

– Coś się stało. Pamiętasz tę inżynier, która opracowała ADEB?

Shaw skinął głową.

– Przesłuchiwalismy ją. Allison...

– Parker.

Bystrooka brunetka, wściekła, że skradziono jej „dziecko”, wyjaśniała im procedury zabezpieczenia elementów urządzenia i mezoporowatego nanomateriału.

Właśnie ją Harmon nazwał „najtęższym umysłem inżynierskim” w swojej firmie.

– Alli była żoną brutalnego człowieka. Jona Merritta. Jakiś rok temu próbował ją zabić. Trafiała wtedy do szpitala. Skazano go na trzy lata, ale dzisiaj rano został warunkowo zwolniony. Alli przysłała mi mejla z informacją, że musi się ukryć razem z córką. Nie chciała zdradzić miejsca. Pewnie się boi, że jej eks się dowie.

– Uważa, że grozi jej niebezpieczeństwo? – spytał Shaw.

– Owszem. Jej adwokat mówił, że Alli coś wie o Jonie, o jego przeszłości, a on nie chce, żeby to wyszło na jaw. Być może właśnie dlatego usiłował ją zabić.

– Co to jest?

– Tego już nie wie. – Harmon zacisnął pięści. – Ale gdyby były co do tego wątpliwości, to po zwolnieniu Jona paru więźniów poszło do strażnika. Merritt im powiedział, że zaraz po wyjściu ją zabije. Mówił to zupełnie spokojnie, jak gdyby chodziło o zabawę. Podobno zachowywał się, jakby zupełnie go nie obchodziło, co się z nim stanie. Może planował rozszerzone samobójstwo, chciał zabić też córkę.

Nilsson z dezaprobatą pokręciła głową.

– Jak więzienie mogło tego nie zauważyć? – zdumiał się Shaw.

Harmon prychnął drwiąco.

– Nie sądzę, żeby przeprowadzano głosowanie wśród więźniów, żeby zdecydować, czy kogoś zwolnić, czy nie. A dlaczego nie wychwyciła tego rada do spraw zwolnień warunkowych ani więzienny psycholog? Poznałem Merritta. Potrafi być czarujący, zabawny, traktować rozmówcę jak najlepszego kumpla. Odegrał przed nimi komedię.

– Chyba też go poznałam – powiedziała Nilsson. – Na firmowej imprezie. Z okazji Bożego Narodzenia. Urządził scenę. Paskudną. Doszło do rękoczynów. Komuś się dostało.

– Po wyjściu złamał już prawo? – zapytał Shaw.

– Złamał zakaz sądowy zbliżania się do rodziny.

– To wykroczenie, ale może skutkować formalnym nakazem aresztowania. Policja obserwuje jej dom, zgadza się?

– Nie. Wspominałem już o problemach kadrowych policji w Ferrington. Między innymi dlatego cię zatrudniłem. I pewnie dlatego też rada nie zadawała zbyt wielu pytań. System zawsze dawał Merrittowi luzy. Był gliniarzem, i to szanowanym. Bohaterem. Raz omal nie zginął, ratując życie swojemu partnerowi. – Skrzywił się z nieskrywaną złością. – Poza tym panowało jakieś idiotyczne przeświadczenie, że Alli za szybko wniosła zarzuty; że zamiast go oskarżać, powinna była zorganizować mu jakąś pomoc.

– Serio? – mruknęła Nilsson. – Pogłaskali biedaczkę po główce i powiedzieli: przecież nie było tak źle?

– A Merritt? – wtrącił Shaw. – Może mieć jakiś związek z kradzieżą ADEB-u?

Harmon wzruszył ramionami.

– To pierwsze pytanie, jakie mi przyszło do głowy, kiedy usłyszałem o jego planie. Ale nie przypuszczam. Jeżeli nawet słyszał o ADEB-ie, to ponad rok temu. A kiedy nasi przyjaciele skontaktowali się z LeClaire'em, siedział w więzieniu. Jestem w kropce, Colter.

– Utkwił w oczach Shawa wzrok snajpera. – Alli jest moją przyjaciółką. Znam ją od lat. I tak, słusznie się domyślasz, jest mi potrzebna. Jest u mnie głównym inżynierem. Opracowuje następny produkt, który musi być skończony, zanim wejdziemy z nim na rynek. Potem będą następne.

Mężczyzna miał napięte mięśnie, a żyły, dotychczas u niego niewidoczne, nabrzmiały i pociemniały.

– Znowu dzwoniłem do FBI, ale nie mogą nic zrobić, jeżeli nie przekroczy granic stanu. Policja z kolei... wiemy, jaka jest uczynna. Nie mam się już do kogo zwrócić. – Urwał na chwilę. – A ty w ten sposób zarabiasz na życie. Odnajdujesz ludzi. Zrobisz to? Znajdziesz Alli i Hannah i dopilnujesz, żeby były bezpieczne, dopóki jej eks nie wróci do więzienia?

Shaw myślał o spotkaniu z tą kobietą. Analizowała wtedy różne rozwiązania logistyczne, które mogły umożliwić złodziejowi wyniesienie elementów urządzenia z firmy, gdy nagle przerwał jej dzwonek telefonu.

– Przepraszam – powiedziała wtedy z uśmiechem. – Moja córka. Muszę odebrać.

– Tylko zabiorę mój notes i pióro – rzekł Shaw.

20

Uczynny sąsiad nie chciał przyjąć dwudziestu dolarów, które Jon Merritt zaoferował mu za pomoc przy zmianie koła.

– Nie, proszę pana. Dziękuję za propozycję, ale to chrześcijański odruch. Niech pan poda dobro dalej i położy to na tacy w kościele.

Zakładał, że Merritt jest wierzący; każdy, kto nie przeklina z powodu kaptura, musi być człowiekiem religijnym.

Merritt schował narzędzia i błyskawicznie wskoczył za kierownicę pikapa, po czym odjechał w stronę, gdzie zniknęła Allison.

Był już dwadzieścia pięć kilometrów za Ferrington. Poruszał się szybko, przekraczał dozwoloną prędkość o magiczne – czyli bezpieczne – dziesięć kilometrów na godzinę. Przy drodze, którą jechał, Cross County, było kilka moteli, które znał z czasów służby, gdy pracował w obyczajówce i miał ambicje wypłenić w mieście prostytucję i narkotyki. Wątpił jednak, by zatrzymała się tak blisko domu. Może wybrałaby Monroe albo Pickford, ale nawet to wydawało się mało prawdopodobne. Pewnie wołała uciec jak najdalej.

I nie wybrałaby samolotu. Wiedziała, że jej były mąż ciągle ma kontakty i ktoś z jego znajomych mógłby zajrzeć do list pasażerów. Będzie wołała anonimowość. A to oznaczało ucieczkę samochodem, autobusem lub pociągiem. Nie, pociąg był mało prawdopodobny; w Ferrington był transport towarowy, ale najbliższe pociągi pasażerskie kursowały co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Czyli samochód albo autobus.

Pojechał drogą numer pięćdziesiąt pięć do Herndon, gdzie był jedyny w okolicy dworzec autobusowy.

Kiedyś miasto przemysłowe, dziś opierało swój byt przede wszystkim na outletach oraz usługach medycznych i sprzedaży, a także naprawie samochodów. Dworzec autobusowy znajdował się w centrum, dzielnicy, której bardzo przydałoby się odnowienie, ale wiadomo było, że nigdy to nie nastąpi. Merritt okrążył wozem budynek dworca. Na placu z tyłu stało kilka autokarów z pracującymi silnikami, nasycając powietrze spalinami diesla. Do placu manewrowego przylegał duży parking dla aut osobowych. Nie zobaczył tam toyoty 4runner swojej byłej żony.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu, nie zwracając uwagi na trąbienie kierowcy za nim, po czym rozejrzał się po ulicy. Skreślił w lewo i zajechał drogę innemu samochodowi, zza

którego szyby zobaczył uniesiony środkowy palec. Jakies dwieście metrów dalej zjechał z szerokiej handlowej alei na parking przed Walmartem. Wolno sunął między rzędami pojazdów. Kiedy sprawdził wszystkie, wjechał na parking z tyłu. Tu, w cieniu gałęzi potężnego dębu, stało dwadzieścia kilka aut.

Jednym z nich była jej toyota. Bez pasażerów, bez bagażu.

Zostawiła SUV-a w takiej odległości od dworca autobusowego, by swobodnie dotrzeć tam pieszo.

Skierował się do swojego forda, odpalił silnik i z piskiem opon wrócił na aleję, tym razem zaliczając dwa klaksony. Kilka minut później był na dworcu. Zbliżył się do niego bezdomny z wyciągniętą ręką. W reakcji na spojrzenie, jakim przywitał go Merritt, mężczyzna zrobił w tył zwrot i szybko odszedł, mrużąc coś pod nosem.

W środku na ciasnych ławeczkach czekało kilkoro pasażerów, którzy rozmawiali, czytali wiadomości albo grali na ekranach telefonów. Merritt podszedł do kasy.

– Dzień dobry – powiedział do sprzedawcy, przysadzistego mężczyzny o ciemnej karnacji, w jasnoniebieskim garniturze i białej koszuli, pod czerwonym krawatem. Merritt mignął nieważną legitymacją policyjną i podróbką odznaki, którą wiele lat temu skonfiskował dilerowi podającym się za agenta federalnego. Obie te rzeczy przechował w wynajętej komórce, w worku, który jego była żona bezceremonialnie wyrzuciła do pojemnika. Razem ze śmieciami.

Natychmiast schował fałszywe dokumenty.

– Słucham pana.

Merritt pokazał zdjęcie swojej eks i córki.

– Czy te dwie osoby w ciągu ostatniej godziny kupowały tu bilety?

W oczach kasjera pojawił się błysk świadczący o tym, że poznaje te twarze.

Nikt nie potrafił odczytywać mowy ciała lepiej niż detektyw pierwszego stopnia Jon Merritt.

– Proszę chwilę poczekać. – Mężczyzna skierował wzrok na ekran i zaczął stukać w klawiaturę.

Otwierał rejestr sprzedaży? Czy zapis z monitoringu? Na dworcu było kilka kamer.

Nagle kasjer oderwał palce od klawiszy i po chwili dołączył do nich ktoś jeszcze. Też czarnoskóry, też ubrany w garnitur. Zgodnie z identyfikatorem w klapie nazywał się Titus Jones i był menedżerem dworca.

– Pan z policji?

Nie mógł się już wycofać.

– Zgadza się.

– I szuka pan tych osób w związku z jakimś śledztwem?

– Chodzi o porwanie rodzicielskie.

– Ach, tak. Widzi pan, nie możemy ujawniać żadnych informacji o pasażerach bez nakazu sądowego.

– Rozumiem. Akurat niedaleko stąd prowadziłem czynności związane z tą sprawą i zaszedłem. Pomyślałem, że może mi panowie pomogą i nie będę musiał fatygować sędziego. – Uśmiechnął się.

W razie potrzeby Jon Merritt potrafił być mistrzem uroku osobistego.

– Pan Randall mówił, że pokazał mu pan legitymację służbową – rzekł Jones. – Jaka służbę pan reprezentuje? Pan Randall nie zdążył przeczytać.

Merritt zauważył, że z rogu hali przygląda mu się uzbrojony ochroniarz.

– Policję w Ferrington.

– Poproszę o ten dokument. Może zadzwonię i da się ominąć formalności proceduralne.

Chwila wahania. Rosło napięcie. Podobnie jak złość Merritta. Udało mu się ją opanować. Z trudem.

– Wie pan co, panie Jones, chyba lepiej będzie załatwić to formalnie. Zaraz po powrocie do biura zajmę się papierami.

W drodze do wyjścia wziął rozkład jazdy. A siedząc już w kabinie pikapa, zaczął obliczać. Wyjechała z domu za dziesięć trzecia. Przy założeniu, że podczas jazdy, podobnie jak on, tylko minimalnie przekraczała dozwoloną prędkość, powinna dotrzeć do dworca około piętnastej czterdzieści pięć – jeżeli przyjechała tu od razu. Nie sądził jednak, by tak było. Nie została uprzedzona o jego wyjściu na wolność. Czyli uciekła, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Pewnie zatrzymała się gdzieś, by wypłacić pieniądze i – on na pewno zrobiłby tak na jej miejscu – kupić telefon na kartę.

Dodał pół godziny. Otworzył rozkład jazdy. Jakie autobusy odjeżdżały stąd około szesnastej piętnaście? Były dwa. Jeden do Detroit, drugi do St. Louis. Połączenie do Michigan było lokalne, co oznaczało, że na trasie autobus zatrzymywał się na trzydziestu kilku przystankach. Natomiast drugi był ekspresem. Przed St. Louis zatrzymywał się tylko w czterech miastach.

Detroit... St. Louis...

Merritt przeciągnął się za kierownicą.

Przypomniał sobie sprawę sprzed lat. Pracował wtedy w wydziale narkotykowym i stale wchodził mu w drogę pewien ćpun, który w niczym nie przypominał typowych narkomanów. Żyłasty chudzielec był wyjątkowo inteligentny. Gdy okradł i zamordował pewną bogatą parę, zapadł się pod ziemię i nikt nie potrafił go znaleźć. Doprowadzało to Merritta do szału. W końcu siłą woli zdołał się uspokoić. Musiał myśleć nie jak myśliwy, lecz jak ofiara. Tydzień później wyważył drzwi taniego mieszkańca na południu Ferrington i nie bez satysfakcji zastrzelił nieuchwytnego ćpuna. Odnalazł go dzięki temu, że psychicznie niemal wcielił się w niego i w przeblysku natchnienia odgadł, gdzie sprawca mógł się ukrywać.

Teraz próbował przeniknąć sposób rozumowania swojej byłej żony. Nie miał już tak przenikliwego umysłu jak wcześniej. Potrafił to zrobić?

Recytował w duchu:

Detroit, St. Louis, Detroit, St. Louis...

21

Dziwna rzecz ta ciemna strona duszy u mężczyzn, w każdym razie u niektórych. Nie można jej zobaczyć. Oni ją ukrywają. Świetnie kamuflują. I nagle wyskakuje jak atakujący wąż. – Pstryknęła palcami. – To właśnie jest Jon Merritt.

Matka Allison Parker, Ruth, była w Denver i rozmawiała przez Zoom z Harmonem, Shawem i Nilsson, która zaoferowała swoją pomoc, na co Shaw skwapliwie przystał.

Prezes siedział za swoim biurkiem, a oni dwoje znowu na kanapie. Kiedy siadali, dotknęli się kolanami i oboje odrobinę odsunęli się od siebie. Teraz patrzyli na zamontowany na ścianie duży monitor.

Pani Parker miała długie brązowe włosy gęsto przetykane siwizną, na sobie kostium w ciemnoczerwona kratkę i białą bluzkę. Rozmawiała z gabinetu czy pokoju do pracy. Tło wypełniały książki. Wiele z nich dotyczyło projektowania i dekoracji wnętrz.

– Ukrywał to latami – ciągnęła. – Tak jak swoje kłopoty z alkoholem. Aż wreszcie przestało mu zależeć.

Nilsson patrzyła na ekran bez emocji, ale Shawowi wydawało się, że przy tych słowach w jej oczach pojawił się błysk. Ciekawe, czy jej były mąż, o którym wspominała, też zachowywał się w ten sposób.

Pani Parker spoglądała w obiektyw surowym wzrokiem.

– Co to za mężczyzna, który krzywdzi kobietę? Gdy mąż zdradza żonę, a ona się dowie, to straszne. – Zamilkła na ułamek sekundy. – Nie mówimy jednak o krzywdzie fizycznej. A to, co Jon jej zrobił w listopadzie zeszłego roku... – Na moment przymknęła oczy.

Shaw domyślał się, że lista rodzinnych uraz i pretensji jest długa, ale było to dla niego nieistotne. Musieli jak najszybciej rozpocząć poszukiwania matki i córki.

Harmon przedstawił Shawa jako „eksperta w dziedzinie ochrony osobistej” – co pod pewnym względem odpowiadało prawdzie. Pani Parker przyjęła to do wiadomości, nie zadając żadnych pytań.

Colter otworzył notes na pustej stronie, ominął szczegóły kradzieży ADEB-u, i odkręcił wieczne pióro.

– Co dokładnie napisała w tych mejlach?

Wiadomości brzmiały podobnie i informowały oboje odbiorców, że Merritt został zwolniony, a ona wyjeżdża razem z córką i nie wróci, dopóki nie zostanie zatrzymany za naruszenie sądowego zakazu i z powrotem zamknięty. Allison niepokoiła się, że szukając

jej, mógłby wykorzystać kontakty z czasów pracy w policji, dlatego znikają z mediów społecznościowych i przestają używać telefonów oraz skrzynek mejlowych.

– Jesteście oboje pewni, że te wiadomości pochodzą od niej?

– To znaczy? – zdziwił się Harmon.

– Zgadza się adres i serwer? – spytała Sonja Nilsson.

Oboje przytaknęli.

– A język, słownictwo, interpunkcja? – indagował Shaw.

Oboje byli wyraźnie skonsternowani pytaniem.

– Obawiamy się, że mógł je wysłać Merritt – wyjaśniła Nilsson.

– To znaczy, że już mógł im zrobić coś złego? – przestraszył się Harmon.

– Nie, to na pewno była Alli – stwierdziła jednak Ruth. – Poznałam po sformułowaniach. I podpisała „OXOX”, odwrotnie, niż powinna. To taki nasz żart. Jon nie mógł o nim wiedzieć.

Harmon przejrzał otrzymany od niej e-mail.

– Tak, brzmi jak jej słowa, podobnie pisze notatki i mejle.

– Odpowiedzieliście jej? – zapytała Nilsson.

Oboje odpowiedzieli, ale nie zareagowała na ich wiadomości.

– Czy Allison widuje się z ojcem? – spytał Shaw.

Z tego, co wcześniej mówiła kobieta, nietrudno było wydedukować, że jej małżeństwo się rozpadło.

– Może raz do roku. Nie jest do niej zbyt przywiązany. Nigdy nie był.

Ale choć zdradzał żonę, nigdy jej nie uderzył.

– Czyli nie ukryłaby się u niego.

Odpowiedział mu śmiech.

– Ma jakieś rodzeństwo?

– Nie, jest jedynaczką.

Notując informacje, Shaw przeszedł do kwestii przyjaciół. Powodzenie łowcy nagród – i każdego tropiciela zaginionych osób – zależy od ludzi. Historia przeglądania sieci, numery rejestracyjne samochodów i kamery bywają pomocne, ale nic nie może się równać z ludzkim źródłem informacji. Nawet gdy ktoś kłamie i przysięga, że zaginiony pojechał na wschód, to jeżeli potrafisz poprawnie odczytać zachowanie świadka, wiesz, że pojechał na zachód.

Ruth zastanowiła się przez moment, po czym wyliczyła kilka osób, o których wspominała jej córka. Informacje były niedokładne. Matka nie знаła adresów ani telefonów, nie była nawet pewna, czy dobrze zapamiętała nazwiska. Harmon też przypominał sobie tylko kilka; wyjaśnił, że raczej nie spotykali się z Parker na stopie towarzyskiej.

– Może pojechała do jakiegoś ulubionego miejsca? – podsunęła Nilsson. – Miała takie? O których nie wiedział jej były?

Ruth Parker spojrzała w stronę sufitu.

– Rzadko jeździła na wakacje.

Harmon uśmiechnął się blado.

– Trudno było ją wyrwać z biura.

– Ale gdy już wyjeżdżała, miała jakieś preferencje geograficzne? – zapytał Shaw. – Góry, lasy, plaża?

– Kiedy była mała, niewiele wyjeżdżaliśmy w plener. Przede wszystkim do kurortów. A ostatnio? Nie słyszałam, żeby byli na plaży. Jeździli z Hannah do miejsc typu parki Disneya i Universal.

– Miała jakieś lęki albo niechęć do konkretnego środka transportu albo miejsca? – pytał dalej Shaw.

– Chodzi panu o chorobę morską?

– Albo lokomocyjną. Jakąś dolegliwość, która przeszkadzałaby w odbywaniu dłuższych podróży.

– Nie, nie miała niczego w tym rodzaju – odparła Ruth. – Dwa lata temu Alli, Hannah i ja pojechaliśmy na narty do hrabstwa Summit. Żadna z nich nie miała kłopotów w drodze.

Shaw spojrzał na Harmona, który pokręcił głową.

– Tutaj nie mogę ci pomóc.

– Myśli pani, że wiedziałyby, jak zniknąć, zaszyć się z dala od świata?

– Wiem, że ona, Jon i Hannah trochę jeździli pod namiot – powiedziała Ruth. Cierpkim tonem dodała: – Ale od jakiegoś czasu już nie; z tego, co wiem, w lasach jest niewiele barów. A jeżeli chodzi o biwaki i łowienie ryb? Nie, to nie w stylu Alli. Nie należy do tych postrzelonych surwiwalowców.

Shaw powstrzymał się od uśmiechu.

– Mamy zakładać, że jest uzbrojona?

– Nie, nie. Nie znosiła tego, że Jon trzymał w domu broń. Z powodu jego pijaństwa. A po tym, co stało się w listopadzie, na pewno nie chciała mieć nic wspólnego z bronią.

– Jeżeli będziemy mieli szczęście, to zajrzy do skrzynki mejlowej – rzekł Shaw. – Wyślijcie do niej oboje wiadomość z prośbą, żeby zadzwoniła do mnie albo do Sonji. Powinna mnie pamiętać z dochodzenia w sprawie ADEB-u.

Wyrecytował cyfry swojego numeru.

Harmon i matka Parker zaczęli stukać w klawisze.

– Gotowe – powiedziała Ruth.

– Jakie są szanse, że to przeczyta? – zapytał Harmon.

Colter Shaw, który oceniał prawdopodobieństwo we wszystkich aspektach swojego życia, wiedział, że czasem jest po prostu za dużo zmiennych i za mało faktów, by podać konkretną liczbę.

– Możemy mieć tylko nadzieję – odezwała się Nilsson.

Lepiej chyba nie dało się tego oszacować.

– Zawiadomią mnie państwo, jak idą poszukiwania? – spytała cicho Ruth.

– Oczywiście – zapewnił ją prezes. – Colter i Sonja będą mnie informować na bieżąco, a ja dam pani znać.

– Dziękuję.

– Pani Parker – odezwała się Nilsson – jak pani sądzi, dlaczego ona z nim została?

Odpowiedź padła dopiero po chwili.

– Ludzie często zadają to pytanie. Dlaczego kobiety zostają z mężczyznami, którzy się nad nimi znęcają? Chyba ze strachu... przed samotnością. – Odwróciła wzrok. – A nawet jeżeli zdobędą się na odwagę i zrobią to, co powinny, to znaczy odejdą, muszą zadać sobie pytanie, czy warto zapłacić za to pustym domem. Czasem odpowiedź brzmi tak, czasem nie.

22

Matka zmierzała z córką na północ, znowu pędząc całkiem znośną nawierzchnią drogi numer pięćdziesiąt pięć.

Nie jechały autobusem ani toyotą, lecz nowym modelem kii sedan, który przed chwilą wypożyczyła.

Jon Merritt był niebezpiecznym alkoholikiem, ale też kapitalnym detektywem. Na pewno zakładał, że z powodu swoich paranoicznych obaw Parker porzuci samochód i przesiądzie się do niewykrywalnego autobusu, a wcześniej kupi bilety za gotówkę.

To miało sens.

Autobus nie pasował jednak do jej planu ucieczki. Ani Greyhound, ani Trailways nie mogły jej zabrać tam, dokąd chciała pojechać.

Dokąd musiała pojechać.

Do miejsca, w którym byłaby bezpieczna.

Owszem, zaparkowała przy dworcu autobusowym, kupiła dwa bilety do St. Louis, a przy okazji zrobiła małą scenę przy kasie – upierała się, że kasjer wydał jej za mało reszty, by ją zapamiętał, a po chwili ze skruchą przeprosiła za zamieszanie i przyznała, że sama popełniła błąd. Potem wyszła i pojechała z córką toyotą do pobliskiego centrum handlowego, czyli zrobiła dokładnie to, co zrobiłby ktoś uciekający przed sprytnym i groźnym byłym mężem – nie zostawiła wozu na parkingu dworca.

Następnie, wśród utyskiwań Hannah, przeszły około ośmiuset metrów do biura wypożyczalni samochodów, dźwigając walizki, torby i plecaki. Zapłaciła służbową kartą kredytową, która ostatecznie umożliwiłaby namierzenie użytkownika, ale wymagałoby to intensywnej szperaniny. Jej projekty inżynierskie składały się z niezliczonych warstw podsystemów i interfejsów. Te skomplikowane struktury, budzące grozę u wielu osób, były chlebem powszednim dla Allison Parker, która poruszała się w nich z całkowitą swobodą.

Zaplanowała to tak, by Jon znalazł samochód, wydusił z kasjera na dworcu informację, dokąd pojechały – może wykorzystał swoją starą odznakę – a potem sprawdzał dworce na trasie do St. Louis, podejrzewając, że wysiądą wcześniej, zanim autobus dotrze do miasta ze słynnym łukiem. Tam będzie próbował na nowo podjąć trop.

Przypuszczała, że przez to zauważą go kamery monitoringu i wzbudzi podejrzenia. Jeśli będzie miała szczęście, znajdą go i aresztują w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Allison była z zawodu inżynierem. Do swoich profesjonalnych zadań podchodziła systemowo. Marty Harmon powiedział kiedyś, że chyba nie poznał dotąd osoby tak kompetentnej i nastawionej na cel. Słyszac te pochwały na uroczystości wręczenia nagród, Parker autentycznie się zarumieniła.

– Przy czym Allison wnosi do naszej firmy jeszcze jeden atut – kreatywność.

Znowu się zarumieniła.

Za tę cechę mogła podziękować swojemu idolowi, słynnemu profesorowi Billy'emu Koenowi, profesorowi inżynierii na Uniwersytecie Tekszańskim w Austin, który napisał:

Metoda inżynierska polega na wykorzystaniu heurystyki do wywołania najlepszej możliwej zmiany w sytuacji, którą nie do końca rozumiemy, za pomocą dostępnych środków.

Metoda heurystyczna była drogą rozwiązywania problemów, która bynajmniej nie udawała doskonałej – podobnie jak metoda prób i błędów, czyli stawiania i sprawdzania hipotez.

Rzecz w tym, że rzadko można znaleźć doskonałe rozwiązanie problemu. Na początku próbuje się tego i owego, i wolno dochodzi się do satysfakcjonującej odpowiedzi.

Dzięki heurystyce wynalazła dezaktywator ADEB i pojemnik bezpieczeństwa na paliwo dla Miniślońc.

Koen wyrażał też przekonanie, że inżynieria ma o wiele szersze znaczenie niż jej definicja przemysłowa czy naukowa. Wszyscy jesteśmy inżynierami, twierdził, w każdym aspekcie swojego życia.

Parker skorzystała z tej metody, by ułożyć plan ucieczki przed byłym mężem.

Połączyła kilka rozwiązań. Przeanalizowała je, wyznaczyła priorytety, przetestowała modele i konsekwencje działania każdego z nich.

Odrzucała, odrzucała, wpadała na nowe pomysły. I znowu odrzucała.

Wreszcie uznała, że ma najlepsze rozwiązanie jak na te okoliczności.

Niedoskonałe. Wymagające dalszych usprawnień.

Ale to już był jakiś początek.

Tak więc pędziły drogą pięćdziesiąt pięć na północ, ona popijała kawę o posmaku spalenizny, uratowaną na szczęście orzechowym zabielačem, a Hannah pepsi light. Córka uważała, że za dużo waży, ale absolutnie się myliła. Jej obawy w związku z postrzeganiem własnego ciała, charakterystyczne dla dziewczynek na Instagramie i w innych mediach społecznościowych, nie osiągnęły jednak niepokojącego poziomu, o jakim Parker czytała na stronie internetowej szkoły i słyszała z telewizji.

Rozejrzała się wokół. Zanieczyszczenie Kenoah i pogorszenie koniunktury mocno poraniły Ferrington, ale świat nie potrzebował już firm molochów z początku

dwudziestego wieku i można tu było zobaczyć całkiem sporo mniejszych magazynów i wytwórni. Po długim odcinku pustki dostrzegły błysk parterowej budowli z blachy falistej, a później znowu otworzyła się przed nimi głusza.

Radio było nastawione na stację Top 40. Żółty sedan miał na wyposażeniu odbiornik satelitarny SiriusXM, ale Allison nie wspomniała o tym córce. Została przy analogowym radiu. Nie miała wątpliwości, że dzięki systemowi multimedialnemu bez problemu można namierzyć samochód, a łączność satelitarna zostawiała znacznie więcej śladów niż naziemna. Dowiedziała się o tym nie od męża gliniarza, lecz z reportażu kryminalnego.

Hannah badawczo przyglądała się desce rozdzielczej. Parker spodziewała się usłyszeć narzekania, że auto nie ma tak bogatego wyposażenia jak toyota, bo nie miało. Dziewczyna zaskoczyła ją jednak, bo z uśmiechem szepnęła:

– Śliczny.

– Podoba ci się?

Zrobiła filuterną minę.

– Jest całkiem w moim stylu.

Parker też się uśmiechnęła. Szesnastoletnia Hannah, która niebawem miała zrobić prawo jazdy, od pewnego czasu próbowała sugerować, jaki samochód powinna jej kupić matka.

– Jaki kolor mogę wybrać?

To zależy, co będzie w ofercie w CarMax albo Caravanie. Albo w miejscowym komisie – i w rozsądnej cenie. Nie chcąc jednak naruszać kruchego spokoju, jaki między nimi zapanował, Parker odparła:

– Na pewno znajdziesz auto w takim kolorze, jaki sobie zażyczysz. Może z wyjątkiem majerankowego. Albo amarantowego.

– Co? – Hannah zmarszczyła czoło. – To nie może być prawdziwy kolor.

– Owszem. Rodzaj fioletowoczerwonego. Jak kwiaty amarantusa. – Posłała córce pełne entuzjazmu spojrzenie. – Zaraz! Już wiem! Najlepiej ci będzie w samochodzie w kolorze maków.

Hannah już chichotała.

– Chwileczkę! – szepnęła Parker, też się śmiejąc. – Gumiguta...

– Nabierasz mnie, nie ma takiego!

– Jest, jest! – Matka chciała jej poradzić, żeby sprawdziła, ale w porę przypomniała sobie, że zabroniła córce korzystać z internetu.

Hannah ze śmiechu nie mogła wykrztusić słowa, a ona miała wrażenie, że ze szczęścia lada chwila eksploduje jej serce.

Zjadły minipączki Hostess, a okruchy osypały im gors i kolana. Po chwili, kilka łyków pepsi później, dziewczyna spoważniała.

– Chciałabym czerwony albo żółty. Są sexy.

Parker nie znała się za bardzo na seksowności kolorów samochodów, ale nie sprzeciwiałaby się wyborowi córki. Takie barwy były lepiej widoczne po zmierzchu

i podczas niepogody.

Wiedziała też, że te dwa kolory policja bierze na cel częściej niż inne. Ta myśl nasunęła skojarzenie z Jonem i popsowała jej humor.

Nowy telefon pokazywał dwadzieścia cztery minuty po osiemnastej. Niedługo miały się zatrzymać w niedużym motelu nienależącym do żadnej sieci. Parker zamierzała zapłacić gotówką. Mogła dotrzeć do ostatecznego celu jeszcze dzisiaj – za jakieś dwie godziny – ale chciała najpierw zyskać pewność, że jej eks nie odgadnie, dokąd zmierzały.

Jeżeli w ciągu dwóch dni Jon się nie pojawi, miała zamiar ruszyć dalej na północ do miejsca, które nazywała w myślach swoją „kryjówką”.

O ile do tej pory nie zostanie ponownie aresztowany.

Gdzie teraz był?

O czym akurat w tym momencie myślał?

Ile już wypił?

Czy był wściekły, że nie udało mu się złapać jej w wynajętym domu?

Nie myśl o tym. Nie myśl.

Jak gdyby to było magiczne zaklęcie, nagle w wyobraźni ujrzała tamtego konika morskiego.

W ustach poczuła tamten metaliczny smak krwi.

Usłyszała swój szloch.

Dlaczego mi to robisz?

Uderzenie pistoletu, od którego pękła kość policzkowa.

A potem...

– Co się stało? – odezwała się Hannah.

Parker odwróciła się do niej.

– Zrobiłaś bardzo dziwną minę.

– Nic się nie stało. Zastanawiam się tylko, gdzie zatrzymamy się na noc.

Córka wpatrywała się w nią jeszcze przez chwilę.

Ostatnio częściej zdarzały się kłamstwa. W drobnych sprawach, ale oszustwo to zawsze oszustwo...

Po obu stronach drogi ciągnęły się ciemne połacie lasów, łąk i pól najeżonych rżyskami po pszenicy i kukurydzy. Słupki milowe pojawiały się i znikwały. Parker pomyślała o rachunku różniczkowym i całkowym, ponieważ jego łacińska nazwa, *calculus*, pierwotnie oznaczała kamyk, jakimi w starożytnym Rzymie odmierzano odległości. Ze wszystkich dziedzin matematyki tę Allison lubiła najbardziej i korzystała z niej codziennie.

Hannah nie była już taka ożywiona; zapewne wyczuła nastrój matki. Parker nieco przyspieszyła na pustej dwupasmowej drodze. Słońce już zniknęło. W ten pachnący wieczór nisko wiszące chmury sunęły szybko, zwartą ławą po jesiennym niebie. Wiatr zrywał z gałęzi liście i puszczał je w ruch wirowy, a kiedy opadały, dostawały się w kolejne wiry powietrza, tworzące się za pędzącym pojazdem.

– Trochę strasznie – powiedziała dziewczyna.

Rzeczywiście.

– Jestem zmęczona. Daleko jeszcze?

Allison nie umiała odpowiedzieć. Wiedziała tylko, że każdy kilometr, o jaki oddalały się od Jona Merritta, traktuje jak podarunek.

23

Detektyw był młody i miał krótko ostrzyżone włosy, które przylegały do czaszki podobnie jak u Shawa, tyle że były ciemne. Nosił czarne spodnie, niebieską koszulę i czarno-czerwony krawat, niedbale zawiązany na rozpiętym kołnierzyku, w stylu, którego Shaw nigdy nie rozumiał.

Sylwetka Dunfry'ego Kempa miała kształt trójkąta, a jego muskularne ramiona testowały wytrzymałość bawełnianej koszuli. Zapewne uprawiał kiedyś zapasy, ten sam sport co Shaw podczas studiów.

Detektyw, który właśnie rozmawiał przez telefon, uniósł wzrok i zdziwił się na widok Coltera zajmującego jedyne wolne krzesło. Na dwóch pozostałych leżały papiery. Przywitał go ciężkim skinieniem głowy mocno zapracowanego człowieka.

Gabinet Kempa znajdował się na pierwszym piętrze komendy policji Ferrington, w długim korytarzu, gdzie, jak głosiły tabliczki, mieściły się wydziały śledczy i administracyjny. Klitka mogłaby być jednak składzikiem. Na biurku, pod zielonymi ścianami, na brązowej wykładzinie i dwóch z trzech krzeseł piętrzyły się wymięte brązowe i szare teczki oraz segregatory. Chyba ze dwie setki. Leżały tu też luzem jakieś papiery. Na ścianie wisiała biała tablica – schemat czynności w śledztwie w sprawie seryjnego zabójcy, Sprzątacza Ulic, oraz twarze ofiar.

Kemp rozłączył się i zapytał:

– Pan...?

Kobieta w niebieskim mundurze przyniosła jeszcze dwie teczki. Detektyw przyjrzał im się struchlałym wzrokiem.

– Colter Shaw.

– Pracuje pan u Marty'ego Harmona. W ochronie?

Prawie trafił.

– Zgadza się.

– A chodzi o...

Do pokoju zawitała następna mrówka i złożyła następną porcję teczek. Nic dziwnego, że chłopak miał kłopoty z dokończeniem zdań.

– Rany... – szepnął.

– Próbuję zlokalizować żonę i córkę Jona Merritta – przejął narrację Shaw. – Jak się domyślam, ta sprawa trafiła się panu.

Kemp spojrział na niego kątem oka. Nie było w tym nic fałszywego. Wydawało się, że to jego naturalny sposób patrzenia na ludzi.

– Fakt faktem, jeżeli mam być szczery, to normalnie nie rozmawiałbym z cywilem, kapitan mówi jednak, że to dla pana Harmona. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale on w pewnym sensie ratuje nasze miasto.

– Woda.

– Tak jest. Ale tak naprawdę nie ma żadnej sprawy. Jon tylko mówił o tym, że chce ją skrzywdzić.

– Zabić – poprawił go Shaw, zwracając uwagę, że detektyw użył imienia Merritta.

– Został jednak legalnie zwolniony i nie popełnił jawnie żadnego zabronionego czynu. To słowo jest tu kluczowe. „Jawnie”.

– W takim razie nie wie pan o złamaniu sądowego zakazu zbliżania się do rodziny. Był pod domem swojej byłej żony.

Stukając grubymi palcami w grubą teczkę, detektyw lekko ściągnął brwi.

– Słyszałem o tym od jej adwokata, pana Steina. Nie potrafił jednak potwierdzić z całą pewnością, że Jon znalazł się w odległości trzystu metrów od domu. Poza tym akurat jej nie było.

– Czyli nie będzie nakazu aresztowania?

– Nie. W sprawie takich naruszeń postanowień sądowych naprawdę nic nie robimy. Nie jesteśmy nawet pewni, czy zakaz obowiązuje, kiedy nie ma jej w domu.

– Obowiązuje – odparł Shaw. Nie mógł się jednak powstrzymać przed pytaniem: – To wszystko dlatego, że chodzi o Jona Merritta?

Milczenie oznaczało odpowiedź twierdzącą, ale Kemp potoczył wzrokiem po pokoju, sugerując, by Shaw zrobił to samo.

– Sam pan widzi, jak to wygląda. Musimy ustalać priorytety. Prowadzę dochodzenia w sprawie gwałtów, zabójstw i narkotyków. Dostałem część sprawy seryjnego mordercy. I podpalenia.

– Wszyscy twierdzą, że to socjopata, detektywie. Jak pański seryjny morderca. Jeden z więźniów twierdził, że mówił o rozszerzonym samobójstwie. Mam nadzieję, że pan rozumie, jakie niebezpieczeństwo im grozi.

– Rozumiem.

– Dzwoniłem do więzienia okręgowego – ciągnął Shaw. – Chciałem rozmawiać z jego terapeutą. Nikt już się stamtąd nie odezwał.

– Czyli robią uniki, bo przed zwolnieniem nie wybadali go, jak należy – zauważył Kemp. Nagle urwał, zapewne dochodząc do wniosku, że lepiej nie mówić tego głośno, chociaż to było oczywiste.

Potężne ramiona uniosły się i opadły.

– Fakt faktem, że psychiatrzy i tak nic nie powiedzą. Rozumie pan, tajemnica lekarska.

– Tajemnica lekarska nie obowiązuje – odparował Shaw – jeżeli pacjent mówi lekarzowi, że ma zamiar kogoś skrzywdzić.

– W takim razie pewnie nic takiego nie powiedział. Inaczej wiedzielibyśmy i zostałyby to odnotowane w aktach. A nie jest.

– Zadzwoń pan do zakładu karnego?

Kemp po chwili wahania odrzekł, że tak.

Shaw nie wiedział, dlaczego ma ochotę podziękować funkcjonariuszowi organów ścigania za to, że po prostu wykonuje swoje obowiązki.

– I złożę pan wniosek o nakaz aresztowania za naruszenie sądowego zakazu zbliżania się do rodziny?

– Zajmę się tym.

Ktoś zbliżał się korytarzem i Kemp ze skrzywioną miną spojrzął na drzwi, ale policjant minął je, nawet nie zaglądając do środka.

– I wydacie komunikat o zaginięciu Allison i Hannah?

Znowu posłał mu spojrzenie z ukosa.

– Hm... A kiedy zginęły?

– Detektywie... – Shaw przez chwilę milczał. – Próbuję chronić Allison i Hannah.

Użył ich imion, by nadać im bardziej osobisty wymiar. Sięgał po tę sztuczkę, gdy rozmawiał ze świadkami nieskorymi do pomocy.

– I zaręczam, że Merritt będzie próbował je zabić.

Kemp spojrzął na mur z teczek.

– Fakt faktem, że komunikat o zaginięciu nikogo nie ruszy. Nikt nie zwraca na nie uwagi. Ale coś mogłoby podziałać... – Kiwnął głową do swoich myśli. – Damy komunikat, że uciekł ważny świadek w sprawie. – Tym razem nie zerkał z ukosa. Popatrzył prosto w oczy Shawa. – To wzbudzi jakieś zainteresowanie. Chyba. Nie mam pewności.

– Dziękuję, detektywie. Jeżeli się znajdą, zadzwoni pan do mnie? Nie chcę, żeby trafiły do jakiegoś chronionego domu dla świadków.

Zaśmiał się.

– Chronionego domu. Jasne.

Pewnie to też jakiś problem budżetowy.

Wzrok Shawa padł na brązową harmonijkową teczkę. Wyblakły napis na kawałku białej taśmy samoprzylepnej brzmiał: Merritt. 399407.

– Mogę na to rzucić okiem?

Kemp się zawahał. Shaw wiedział, że z tą prośbą przesadza, ale spokojnie spojrzął w ciemne oczy policjanta.

Potężna dłoń podsunęła mu teczkę.

Otworzył ją i przejrzał zawartość, czyli akta śledztwa i orzeczenie sądowe w sprawie zeszłorocznej czynnej napaści z ciężkim uszkodzeniem ciała. Nie przypuszczał, by

znalazła się tu jakaś informacja przydatna w poszukiwaniu kobiety i jej córki. Chciał tylko zobaczyć, co się stało w wyniku napaści.

Przemoc nie była obca Colterowi Shawowi. Był jej świadkiem, doświadczył jej i sam jej używał. Ale trudno było patrzeć na fotografii twarzy Allison Parker. Skórę oczyszczono z krwi, lecz zostało mnóstwo ciemnobrązowych plam na kołnierzu i jeśli dobrze się przyjrzeć, to również we włosach. Najbardziej niepokojąca była zaburzona symetria twarzy. Merritt uderzył ją służbową bronią w policzek i złamał kość, deformując jej płaszczyznę.

Równie niepokojące były łzy, które mąciły idealne soczewki oczu.

Zamknął teczkę i odsunął. Z kieszeni džinsów wyłowił wizytówkę i wręczył detektywowi. Nie trafiła do szuflady, lecz obok klawiatury komputera. Jeszcze raz podziękował Kempowi i wstał, zostawiając policjanta w morzu dokumentów.

Spotkanie było przydatne czy nie?

Odpowiedź brzmiała: tylko w dwudziestu procentach.

Mimo to czasem najmniej obiecujące metody przynosiły najcenniejsze korzyści. Dlatego tak czy owak dobrze było po nie sięgnąć.

Fakt faktem.

24

To nie był autobus.

Jon Merritt siedział w McDonalddie przy skrzyżowaniu Cross County z drogą numer pięćdziesiąt pięć i w zamyśleniu przyglądał się wchodzącym i wychodzącym klientom.

Nie autobus. Jego eks wypożyczyła samochód. Był pewien na dziewięćdziesiąt pięć procent.

Detroit, St. Louis...

Ani jedno, ani drugie.

Przypominała tamtego ćpuna, którego zabił: wymyśliła plan, który miał zamydlić mu oczy.

Kupiła bilety – zorientował się po wyrazie twarzy kasjera – zostawiła toyotę tak jakby schowaną, choć niezupełnie, i pieszo ruszyła spod dworca do którejś z pobliskich wypożyczalni samochodów. Zastanawiał się, czy nie wejść do środka, uznał jednak, że z udawaniem gliniarza już przesadził. Kasjer mógł zadzwonić na komendę w Ferrington.

Zaparkował pikapa tyłem, by widzieć każde zbliżające się zagrożenie. Siła przyzwyczajenia. Jon Merritt w swoim poprzednim życiu narobił sobie wielu wrogów, od ludzi z narkomańskich melin po władze hrabstwa, i nie tylko. Wrogów, którzy chętnie pozbawiliby go życia z zemsty albo z innego powodu. Co za paradoks, pomyślał. Od początku małżeństwa przestrzegał Allison, by zawsze była czujna i gotowa się bronić. Na pewno przyjęła taką samą postawę, by teraz umknąć przed nim.

Kęs burgera, łyk gazowanego napoju. Dobra, trzeba pomyśleć...

Jedzie samochodem. Pierwsza kwestia, dokąd dotrze dzisiaj, a dokąd jutro? I w którą stronę pojechała?

Robiło się późno. Zakładał, że promień mierzy około dwustu pięćdziesięciu kilometrów od domu. Powinna zatrzymać się maksymalnie w tej odległości.

Jeśli chodziło o kierunek, to na początek ruszyła na północ; zakładał, że będzie dalej jechała w tę stronę, a droga numer pięćdziesiąt pięć wydawała się najbardziej racjonalnym wyborem.

Na północy musiało być jakieś miejsce, które dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

Co to było?

Dokąd mogłaby zbiec żona uciekająca przed mężem?

Przychodziło mu do głowy kilka możliwości.

Do przyjaciół. Prawdopodobieństwo? Niewielkie. Znał większość bliskich jej osób. Znał też ich adresy, a jeśli nie, to łatwo mógłby je ustalić. Nie narażałaby ich na ryzyko.

Do matki. Prawdopodobieństwo? Niewielkie. Faktycznie, mogłyby z pięćdziesiątkipiątki skrócić w międzystanową siedemdziesiątkę i pojechać dalej na zachód. Ale Ruth mieszkała ponad półtora tysiąca kilometrów stąd, to byłaby długa i niebezpieczna wyprawa. Na tych drogach łatwo byłoby zrównać się z ich samochodem i strzelać w okna.

Biwak w głuszy. Prawdopodobieństwo? Średnie. Całą rodziną wyjeżdżali na kilkanaście kempingów. Nie były to naprawdę spartańskie warunki, ale Allison potrafiła rozstawić namiot i gotować na polowych kuchenkach. Czynnikiem przemawiającym przeciw tej możliwości wydawała się Hannah. W wieku ośmiu lat byłaby zachwycona. Przeczucie mówiło mu jednak, że szesnastolatka sprzeciwiałaby się nocowaniu pod gołym niebem.

Motel na jakimś zadupiu. Prawdopodobieństwo? Wysokie.

Schronisko dla kobiet. Prawdopodobieństwo? Wysokie. Kilka razy, gdy Merritt dobrze sobie popił i demolował dom, Allison i Hannah uciekały do takiego azylu. Niewykluczone, że teraz zrobiła to samo. To byłoby niegłupie wyjście. Większość takich placówek miała uzbrojoną ochronę, złożoną zwykle z byłych gliniarzy.

Jej przyjaciele, których nie znał. Prawdopodobieństwo? Wysokie. To musiałyby być osoby z biura – do którego po kilku incydentach praktycznie zabroniono mu wstępu.

Doszedł do wniosku, że z tych trzech najbardziej prawdopodobnych możliwości najlepiej będzie sprawdzić schronisko i nieznanych przyjaciół. Motel teoretycznie też był dobry, ale zlokalizowanie go wydawało się prawie niemożliwe. Pomagał mu Dom Ryan, który miał kontakty przede wszystkim w różnych organach władzy. Allison znalazła zapewne hotel nienależący do żadnej sieci, zameldowała się pod fałszywym nazwiskiem i zapłaciła gotówką.

Czyli schronisko albo przyjaciele.

Zjadł kawałek hamburgera, pociągnął odrobinę napoju i wciąż się zastanawiał.

Decydujące znaczenie miał czas. Merritt nie mógł wziąć na siebie jednego i drugiego. Podjął decyzję. Spróbuje namierzyć jej nieznanych przyjaciół. Jeśli chodziło o schronisko, to komuś zleci to zadanie. W końcu wydawał własne pieniądze.

25

Moll odchylił się w fotelu, siedząc za kierownicą forda transita i przyglądając się złudzeniu optycznemu – czterem kołom samochodowym umocowanym pod kątem czterdziestu pięciu stopni, które obracały się wokół pionowego pręta. Wydawało się, że wirują w magiczny sposób.

Działy na niego hipnotyzująco.

Siedzieli z Desmondem w samochodzie zaparkowanym przy pasażu handlowym ulicę dalej od wynajętego domu Allison Parker przy Maple View. Tkwili tu już od wielu godzin po ucieczce żony i córki Merritta.

Zadanie zostało na razie odłożone, a oni czekali na dalsze instrukcje.

Być może właśnie nadeszły; telefon Molla zabrzączał, informując o odebranej wiadomości. Mężczyzna przeczytał i mruknął:

– Najwyższy czas.

– No i?

Moll schował telefon.

– Merritt przypuszcza, że mogły pojechać do schroniska. Mamy je sprawdzić.

– Do schro... aha, dla maltretowanych kobiet.

– A co myślałeś? Że mówię o górskich?

– Dlaczego tam? – zainteresował się Desmond.

– Była kiedyś w takim. Może wróciła. To ma sens... Prosznie.

Powiedzonko czasem brzmiało wesoło. Mogło mieć też trochę wulgarny wydźwięk.

Żaden z nich nie cieszył się, że żona i córka Merritta były w trasie.

– To nie było za mądre z jego strony, że je spłoszył.

Moll zwrócił się w duchu do swojego okazjonalnego współnika: gdybyś przyszedł do mnie punktualnie, moglibyśmy dotrzymać paniom towarzystwa, dopóki nie pojawiłby się Merritt. Nie powiedział tego jednak głośno. Po co? Humorzysty Desmond był nie do zniesienia.

Moll otworzył internet w iPhone i sprawdził adresy schronisk w mieście. Wybrał najbliższe na północ od Ferrington – Merritt uważał, że pojechały w tamtą stronę. Wrzucił bieg i wytoczył transita na drogę.

Desmond przyglądał się jasnozielonej gałązce wierzby, długości około pół metra. Była świeża, wilgotna i gładko przycięta na obu końcach. Zaczął postukiwać w nią rękojęścią

składanego noża SOG, który w tym momencie był otwarty.

Pac, pac, pac – kogoś innego mogłoby to irytować, ale Mollowi nawet się podobało.

– A on co robi?

– Merritt? Bada inny trop.

Pac, pac.

Mina Desmonda zapowiadała nowy powód do narzekań.

– To miał być szybki numer, raz-dwa i jedziemy przegryźć coś z grilla. Marzyły mi się zeberka. A teraz jak długo to potrwa? Przecież nie rzucę interesu. – Desmond prał brudne pieniądze w swoim komisie samochodowym. Wiedział, co robi. Gdzie indziej na świecie subaru z 1998 roku szły po dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Moll też miał swoje plany. Lubił iluzjonistyczne malowanie mebli, ale w ramach usług specjalnych stał się ekspertem od spraw usuwania zwłok, które pozostały po zleceniach wykonanych przez niego i Desmonda lub innych klientów. Obecnie musiał domknąć sprawę niejakiego Edgara Bartha, domniemanego sygnalisty, który zimny i sztywny leżał owinięty w brezent, ukryty w pewnym domku w Ralston. Chodziło o to, by zostawić Edgara w jakimś miejscu, w którym nikt nigdy nie będzie go mógł znaleźć, w drodze do Akron, gdzie Moll miał dostarczyć malowaną ławkę z oparciem. Zamierzał wyjechać jeszcze tego dnia po południu.

Ale w tej sytuacji...

Zapiekł go szyja i ręce. Znowu spryskał je benadrylem. Lepiej.

Desmond uważnie obejrzał wierzbową gałązkę. Potem odłożył ją i wziął telefon. Moll zauważył, że przegląda wiadomości ze szczegółami zlecenia, zwłaszcza zdjęcia Allison Parker i jej córki.

Zapamiętali wygląd kobiety i dziewczyny. Rozsądek nakazywał, by nie mieli absolutnie żadnych wątpliwości, na kogo polują. Kiedy wyprawiasz się na słońkę, to nie po to, by przez pomyłkę ustrzelić przepiórkę, zanim zaczniesz się na nią sezon.

Moll dostrzegł błysk w oku Desmonda, gdy ten studiował fotografię całej sylwetki Allison Parker.

Był znany z tego zamiłowania...

– Nie – rzucił Moll.

Kumpel zamienił telefon na wierzbową gałązkę. Wzruszył ramionami.

– Chyba każdy może sobie pomarzyć, nie?

I znowu zaczął swoje pac, pac, pac.

26

Allison Parker patrzyła na nieszczęsne łóżka w nieszczęsnym pokoju 306 w motelu Sunny Acres, do którego tego posepnego wieczoru przyciągnęła je niczym latarnia morska różowa tablica informująca o wolnych pokojach.

Hotelik był nędzny, odrapany, szyba w oknie pęknięta, ram i rynien chyba dawno nie malowano. Z pokoju miały malowniczy widok na parking i ogrodzenie z drucianej siatki z wsuniętymi między oczka listwami zasłaniającymi złomowisko samochodowe.

A więc do tego doszło, pomyślała.

– Tutaj? – zapytała Hannah.

Zgroza dziewczyny stanowiła dokładne przeciwieństwo radosnej reakcji na auto z wypożyczalni.

Ściany pomalowano na biało, ale zrezygnowano z położenia drugiej warstwy farby. Jasne meble były sterane i poznaczone szramami. Ciemnoniebieski odcień wykładziny przemysłowej miał maskować plamy, co udawało się raczej średnio, a w lampie z dwiema oprawkami była tylko jedna żarówka. Dwa podwójne łóżka wyglądały na podwójne tylko z nazwy. Wszystko spowijał zapach stęchlizny i środka chemicznego czyszczącego z siłą wodospadu.

– Na razie wystarczy.

Dziewczyna znowu teatralnie westchnęła.

– Wyprawa po przygodę.

Kiedyś na te słowa twarz córki jaśniała szczęściem – gdy była młodsza i wyruszali całą rodziną do zoo, parku rozrywki albo na kemping.

Dzisiaj nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Parker nie zamierzała wspominać Zielonego Kamienia, mitycznego zamku z ich cudownej lektury do poduszki. Wydawało się, że te czasy były tak dawno...

– „Na razie”? – spytała poirytowanym tonem Hannah. – Czyli na jak długo?

– Niedługo.

To westchnienie brzmiało inaczej niż poprzednie.

Wniosły resztę bagaży.

Allison włączyła klimatyzację. W pokoju nie było zbyt gorąco, ale chciała zagłuszyć uporczywy szum dochodzący z drogi numer dziewięćdziesiąt dwa, którą jeździły głównie ciężarówki. Ten odgłos ją drażnił i z niewiadomego powodu przygnębiał.

Zamierzała wszystko rozpakować. Zorganizowana do przesady Parker zawsze tak robiła w podróży, bo nie czuła się dobrze, żyjąc na walizkach. Hannah mogła jednak z tego wyciągnąć wniosek, że „na razie” potrwa dłużej, niż się spodziewała. Mimo to, kiedy córka przerzucała nieliczne kanały telewizji kablowej, matka, narażając się na jej badawcze spojrzenia, zabrała przybory toaletowe do łazienki i powiesiła część ubrań w szafie. Stojący na biurku ekspres do kawy Keurig był w całkiem niezłym stanie, a kapsułki z kawą prawdopodobnie miały długi okres ważności, jeśli ich trwałość nie była wręcz wieczna. Obok stał słoiczek śmietanki w proszku. Nagle wróciło bolesne wspomnienie. Niedługo po ich ślubie zaprosili na kolację przełożonego Jona z komendy w Ferrington. Zorientowała się, że w domu nie ma mleka do ciasta, które chciała upiec. Bardzo jej zależało na udanym posiłku, ale wyprawa do sklepu po jedną buteleczkę trwałaby za długo. Powiedziała wtedy Jonowi, że ma pomysł, i przyrządziła kubek „mleka”, mieszając ciepłą wodę z zabielaaczem do kawy.

Żona porucznika zjadła deser i nawet wzięła drugi kawałek. Potem spytała o przepis, zastanawiając się nad sekretem pysznego ciasta. Parker i Jon wymienili konspiracyjne uśmiechy.

– Jest jeden tajny składnik – przyznała.

Przytłoczona tym wspomnieniem nagle poczuła wzbierające w oczach łzy. Zerknęła na Hannah, by zorientować się, czy córka to dostrzegła. Na szczęście nie, szybko więc otarła oczy.

Kolację zapewnił im Burger King (Hannah wybrała wersję wege). Podgrzały burgery i cebulowe krążki w mikrofalówce, którą Allison z początku chciała wyszorować, ale uznała, że da sobie spokój.

Córka, jedząc z wyraźnym apetytem, zaszalała na koniec i uwieńczyła posiłek waniliowym shakiem.

Dla Parker jedzenie było po prostu paliwem.

Automatycznie przyszedł jej na myśl izotop U-235.

Zebrała puste opakowania i upchnęła wszystko w maleńkim koszu na śmieci.

– Idź wziąć prysznic.

– Mamo...

– I nie zapomnij o zębach.

– Nie wzięłam żadnej...

Parker podała córce tubkę pasty Crest i nowiutką, nierozpakowaną szczoteczkę.

Kolejne westchnienie pochodziło wprost z antologii wieczornych dialogów matki z córką.

Wszystko w porządku.

W chwili, gdy zamknęły się drzwi, Parker sięgnęła do torebki i wyjęła z niej czarną kopertę, dość dużą i grubą. Była zrobiona z ognioodpornego poliwęglanu. Nawet temperatura powyżej tysiąca stopni nie groziła zniszczeniem jej zawartości.

Kiedy zaraz po ucieczce przed Jonem zrealizowała czek w First Federal Banku w Carter Grove, poszła prosto do swojej skrytki bankowej – o której nie wiedział nikt prócz niej – zabrała stamtąd kopertę i ukryła w torebce. Zamiast skórzanej, którą nosiła na co dzień, wzięła większą torbę Coach. Dziwny wybór jak na wyjście do banku po trochę gotówki, ale córka nie zwróciła na to uwagi.

Zerkała na drzwi, nasłuchiwała szumu prysznic. Z hałasem podniosła zamykaną na rzep klapkę koperty i rozsunęła zamek błyskawiczny. Tkwiło w niej mnóstwo dokumentów oraz pendrive. Podłączyła pamięć do portu USB w swoim laptopie i po otwarciu zaszyfrowanego archiwum na dysku wybrała trzydzieści plików – tekstowych i graficznych – które skopiowała na pendrive. Gdy pasek postępu pokazał sto procent, natychmiast wyciągnęła urządzenie z gniazda. Potem szybko, swoim niedbałym charakterem pisma, zrobiła notatkę na pierwszym dokumencie. Następnie papiery i pendrive powędrowały z powrotem do pancерnej koperty.

Zamknęła ją, wstała i sprawdzając, czy w łazience wciąż leci woda, wyszła z pokoju i szybkim krokiem skierowała się do samochodu.

Wsunęła kopertę do schowka i zamknęła.

Po powrocie do pokoju zamknęła drzwi na klucz i usiadła na łóżku, popijając colę light. Serce jej waliło, rwał się oddech. Powoli, udając, że ogląda program w telewizji, zdołała się opanować.

Allison Parker zdała sobie sprawę, że jej spokój w dużej mierze opiera się na przekonaniu, że zawartości tajnej koperty nie grozi pożar, powódź ani inny kataklizm z wyjątkiem – nie mogła uciec od tej myśli – katastrofy nuklearnej.

Colter Shaw siedział w pustym pokoju działu ochrony, znajdującym się w budynku numer jeden firmy Harmon Energy Products.

Nowoczesne ergonomiczne krzesło stało przy biurku ze szklanym blatem, który zajmował komputer, w tym momencie w stanie uśpienia, oraz jego notes i pióro. Shaw przerzucał kartki, czytając swoje notatki. Sonja Nilsson bawiła się w prywatnego detektywa i rozmawiała z pracownikami, którzy znali Parker. Przekazywała mu detale, które mogły ich naprowadzić na trop, ale nie było ich zbyt wiele.

Jon Merritt, 42 lata, były mąż Allison Parker, 42 lata. Warunkowo zwolniony z więzienia okręgowego hrabstwa Trevor. Odsiadywał wyrok 36 miesięcy za czynną napaść z niebezpieczną bronią i spowodowanie ciężkiego uszkodzenia ciała. Parker zeznała policji, że Merritt groził jej śmiercią. W ramach ugody oskarżenie wycofało zarzut usiłowania zabójstwa.

Merritt całe zawodowe życie pracował w policji. Wstąpił do służby 16 lat temu, był w obyczajówce, wydziale kradzieży i rozbojów, narkotykowym, 10 lat temu został awansowany na detektywa, pracował głównie przy sprawach korupcji i przestępczości zorganizowanej. Odznaczony. Wcześniej nie było skarg na wykonywanie przez niego obowiązków służbowych, pierwsza wpłynęła 3 lata temu.

Po zwolnieniu Merritta pojawiła się informacja, jakoby w rozmowach ze współwięźniami twierdził, że po wyjściu na wolność zamierza znaleźć Allison i ją zabić.

Merritt nadużywał wcześniej alkoholu i opioidów. Kilka lat przed aresztowaniem kilkadziesiąt razy wzywano do jego domu policję, nie doszło do aresztowań. Sporadycznie uczestniczył w spotkaniach grup samopomocowych. Bez powodzenia. W ciągu roku przed napaścią, za którą został aresztowany, nie uczestniczył w żadnym mityngu.

Merritt i Parker mają jedno dziecko, Hannah, 16 lat.

Allison jest głównym inżynierem nuklearnym w Harmon Energy Products. Ma krajowe poświadczenie bezpieczeństwa. Wynalazła dezaktywator ADEB (prototyp został skradziony, ale udało się go odzyskać) oraz pojemnik transportowy na pręty paliwowe, kluczowe urządzenia dla produktu firmy, małego reaktora modułowego o nazwie Miniłóńce.

Motyw zamiaru zabójstwa Allison nieznany. Być może zemsta. Być może obawa, że wiedziała o mężu coś, czego nie chciał ujawnić. To mógł być motyw napaści w listopadzie zeszłego roku. Nikt z przesłuchiwanym nie wiedział, o jakie fakty może chodzić.

Merritta opisuje się jako klasycznego socjopatę. Z jednej strony uroczy i dobrze funkcjonujący, z drugiej wściekły i niebezpieczny dla otoczenia.

Zwolnienie z więzienia unieważniono i wydano nakaz aresztowania za złamanie sądowego zakazu zbliżania się do byłej żony przez wtargnięcie na teren jej posesji. Policja w Ferrington uważa to za drobne wykroczenie i nie prowadzi energicznego śledztwa – z powodu braków kadrowych i jego zasług z czasów służby.

Nazwisko Merritta oraz markę i numery rejestracyjne jego samochodu wymienia się w komunikacie w całym hrabstwie. Jeździ białym fordem F-150 pikapem, numer JKT345. Nie wiadomo, czy ma inny pojazd.

Miejsce pobytu Merritta jest nieznane.

Adwokat Parker, Davis Stein, nie wie, gdzie są Allison i Hannah.

E-maile do Marty'ego Harmona i Ruth Parker, jej matki – wysłane z telefonu Alli, brak wskazówek co do celu podróży Allison i Hannah.

Profil Allison Parker odnośnie do możliwego miejsca jej pobytu.

• Na ogół woli okolice śródlądowe, tzn. kemping niż plażę. Ma podstawowe umiejętności, które wystarczą, by przeżyć w terenie przy umiarkowanej pogodzie, jak o tej porze roku.

• Brak dolegliwości utrudniających podróżowanie (to samo dot. córki).

• Zdrowa, wysportowana, pływa.

• Jeździ szarą toyotą 4runner, numer RTD478.

• Prawdopodobnie nieuzbrojona.

Sprawę prowadzi detektyw z komendy Ferrington, Dunfry Kemp, ale nie wkłada zbyt wielkiego wysiłku, by znaleźć Merritta. Jego nazwisko i dane pojazdu są w komunikacie, podobnie jak informacje o Allison i Hannah. Nie wysłano żadnych detektywów na poszukiwania.

Wszystkie znane strony w mediach społecznościowych Allison i Hannah zostały zlikwidowane. Numer telefonu Allison jest nieaktywny. Konta e-mailowe mogą być aktywne, ale Allison nie odpowiada na wiadomości wysyłane przez Harmona i matkę.

Sonja Nilsson rozmawia ze współpracownikami Allison Parker. Nikt nie potrafi się domyślić, dokąd mogła wyjechać. Zostało jeszcze kilka osób, z którymi ma się skontaktować. Parker nie ma w okolicy żadnej rodziny.

Matka Jona Merritta mieszka w Kansas; ojciec nie żyje. Matka twierdzi, że nie miała żadnych wiadomości od syna ani od Alli Parker, z którą pozostawała w dobrych, choć niezbyt zażyłych stosunkach.

Przeczytał notatki dwa razy. Miał już solidną podstawę.

Niespokojny człowiek zaczynał się niecierpliwić.

Wstał i poszedł do pokoju Sonji Nilsson. Rozmawiała przez drugi telefon, ten nieznaney marki. Jej mina świadczyła o tym, że chodzi o poważną sprawę.

Uniosła wzrok.

– Wychodzę – poinformował ją. – Wracam za godzinę, może dwie.

Skinęła głową i ponownie skupiła całą uwagę na rozmowie przez telefon.

Shaw wysupłał z kieszeni kluczyki do motocykla i podszedł do windy, mijając kolorowe rysunki Minisłónc. Od kopuł tych urządzeń rozchodziły się promieniście jasnożółte linie, które do złudzenia przypominały mu poświaty otaczające głowy chrześcijańskich męczenników na średniowiecznych obrazach, gdy mieli wydać ostatnie tchnienie.

Znowu zaparkował na Cross County – tym razem nie musiał się bać, że jego eks spuści mu powietrze z kół – i pokonał tę samą trasę co wcześniej, przez las za jej domem.

Całkiem ładny, ocenił Jon Merritt. Niewielki. Oczywiście z basenem. Musiała mieć basen.

Zobaczył w wyobraźni konika morskiego...

Śnieg...

Zbryzgany jej pąsową krwią.

Odsunął wspomnienia w kąt i podkradł się pod tylne drzwi.

Cholerny szczęściarz znowu miał szczęście.

Jego eks i córka opuszczały dom w takim pośpiechu, że zapomniały zamknąć drzwi na klucz i włączyć alarm. Na urządzeniu świeciła zielona lampka. Wszedł do środka. Zamierzał krążyć od pokoju do pokoju, by zasłonić okna, ale jego żona już to uprzejmie zrobiła. Chyba wciąż miała skłonności do paranoi.

Pod ścianą stały równe rzędy kartonów i każdy z nich był starannie opisany – w odróżnieniu od wynajętej komórki, gdzie wrzucała rzeczy do pojemników bez ładu i składu. Trzecia sypialnia od podłogi po listwy przy suficie była wypełniona pudłami i wieszakami pełnymi ubrań.

Rozpakowała tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dokąd planowała przeprowadzić się na stałe? Na wieś? Do innego stanu? Praca była dla niej ważna, ale w kraju działali inni producenci miniaturowych reaktorów. Przypominał sobie, że niektórzy chętnie by ją Harmonowi wykradli.

Owszem, dom był skromy i wyglądał na przejściowe lokum, mimo to Allison starała się, by miło się w nim mieszkalo; wprowadziła tu przytulność w wersji light. Z kilku przezroczystych wazonów buchały wielobarwne bukiety żywych ciętych kwiatów. Panele podłogowe przykrywały perskie dywany z domu towarowego Macy's. Na ścianach wisiały zdjęcia. Występowała na nich cała rodzina z wyjątkiem jego; Allison zrobiła to samo, co sowieccy dyktatorzy – czystkę.

Zaczął przetrząsać dom.

Sypialnia jego eks służyła jej też za pokój do pracy.

Laptop zniknął, a komputer stacjonarny był zabezpieczony hasłem. Znalazł stary, znajomy telefon, nokię z klapką. Przypominał sobie, że to jej drugi aparat – o którym mu

wcześniej nie mówiła – bo twierdziła, że jest służbowy. Kiedy półtora roku temu Merritt obudził się któregoś ranka sam w łóżku, wciąż pijany, zorientował się, że rzucił tą komórką przez cały pokój. Aparat wyszedł z tego bez szwanku. Lustro było rozbite. Włączył nokię; była już nieaktywna.

Merritt kucnął i przystąpił do rewizji biurka, wyciągając szuflady i wysypując ich zawartość na podłogę. Szukał terminarzy, notatników, notesów z adresami, kopert z ręcznie zapisanymi adresami zwrotnymi, wizytówek, pokwitowań, samoprzylepnych karteczek, rachunków, wyciągów z kart kredytowych, ulotek...

Doskonale wiedział, że dzięki krótkiej notatce można wyjaśnić sprawę. Gdy znajdował coś, co mogło się okazać ważne, nie czytał uważnie od razu, tylko chował do plecaka; nie chciał spędzać tu więcej czasu, niż to było konieczne. Chociaż wizyta policji była mało prawdopodobna, to nie mógł jej wykluczyć.

Szperał, szperał, sortował, wyrzucał, upychał...

Boże, mnóstwo śmieci, przede wszystkim z pracy: schematy, wykresy, tabele i długie skomplikowane raporty. Nie pamiętał, by przynosiła do domu takie masy papierów, gdy mieszkali razem. Obowiązywał zakaz wynoszenia z biura większości dokumentów.

Kiedy biurko zostało opróżnione, zajrzał do nocnych szafek, komody, toaletki, szaf. Poszukiwania nie przyniosły prawie żadnych rezultatów. W końcu zarzucił plecak na ramię i ocenił, że zebrał dobre dwa i pół kilo Osobistego Życia Allison Parker.

Przeszedł do pokoju córki, chociaż nie przypuszczał, by trafił tam na jakąś wskazówkę. Po pierwsze, to jego eks wiedziała, dokąd uciekają, nie Hannah. Po drugie, jako typowa nastolatka dziewczyna prowadziła przede wszystkim życie w sferze cyfrowej. Nie miała terminarza, notesu z adresami, karteczek. Znalazł tylko jakieś bazgroły na zadaniach szkolnych. Kawałek oderwanej różowej kartki z wiadomością: „Podobasz się Kyle’owi. Serio!”. Imię chłopaka, o którym Merritt nigdy nie słyszał, pojawiło się jeszcze w dwóch miejscach.

Może rodzice Kyle’a należeli do grupy nieznanymi przyjaciół, u których mogły się zatrzymać?

Gdy Merritt przerzucał grubą stertę poezji, zdjęć i prac szkolnych, usłyszał na zewnątrz warkot motocykla. Silnik ryknął jeszcze raz i ucichł. Jon upchnął papiery w plecaku i zerknął przez okno.

Przed domem zobaczył szczupłego, trzydziestokilkuletniego mężczyznę, który położył kask na siodelku terenowej yamahy. W brązowej skórzanej kurtce, czarnych dżinsach i czarnych butach. Kurtka była rozpięta i Merrittowi zdawało się, że nisko na jego prawym biodrze dostrzegł rękojeść pistoletu. Broń tkwiła w szarej kaburze przypinanej od wewnątrz do paska.

Kto to może być?

Poszedł do kuchni, otworzył drzwi prowadzące do garażu i wszedł tam, wyjmując po drodze broń.

Rewolwer za dwieście dolarów, który kosztował siedemset.

29

Wykonując polecenie sympatycznego głosu dziewczyny z GPS-u, Moll wjechał na parking przed parterowym budynkiem. Białym z czarnym obramowaniem okien.

Napis na skromnej tabliczce nad wejściem brzmiał:

ZACISZE

Trzecie na liście schronisko dla kobiet. Allison Parker nie miała żadnych związków z tym na północ od miasta – choć wydawało się najbardziej prawdopodobnym wyborem, skoro pojechała w tamtym kierunku. Drugie znajdowało się w Bakersville, najbardziej podejrzanej części Ferrington, i tam też nikt jej nie znał.

– Lepiej, żeby tu były. – Moll chwycił dużą białą kopertę i wysiadł z forda transita.

Był prawie pewien, że Allison Parker i jej córki nie ma w tym schronisku, bo znajdowało się na południe od Ferrington. Mogła jednak pojechać na północ i zawrócić. Merritt mówił, że na pewno spędziła trochę czasu w jednym z tych miejsc, więc Moll liczył na to, że znajdzie kogoś, kto się z nią przyjaźnił, z kim mogła rozmawiać już po ucieczce. Być może nawet ta osoba poleciła jej schronisko w innym hrabstwie. Przecież Allison chętnie uciekłaby jak najdalej od zagrożenia.

Moll wcisnął przycisk domofonu.

– Tak? – dobiegł ich kobiecy głos z głośnika pod obiektywem kamery. Brzmiał srogo.

– Dzień dobry, kurier. – Moll starał się zachowywać jak stuprocentowy profesjonalista. Uniósł kopertę. – Trzeba podpisać.

Badawcze oko ujrzało mężczyznę w garniturze i pod krawatem. Białego mężczyznę. Smutne, ale to miało znaczenie. Rozległ się brzęczyk i Moll wszedł z myślą: co za nieostrożność.

Recepcja była wyłożona tanią boazerią, a po nierównych i niedbałych łączeniach desek można było poznać, że to dzieło domorosłego rzemieślnika. Za odrapanym biurkiem siedziała kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, w białej bluzce i czarnej spódnicy. Miała ciemne włosy ściągnięte w koński ogon dwiema gumkami, frotkami, czy jak to się nazywało. Jedna była tuż przy skórze głowy, druga prawie na samym końcu kucyka.

Nie była sama. W kącie siedział rosły ciemnoskóry mężczyzna w niebieskim uniformie ochroniarza. Przyjrzał się Mollowi, po czym wrócił do wiadomości w telefonie. Był uzbrojony.

Z najbardziej sympatycznym wyrazem twarzy, jaki mógł przybrać taki kolos, Moll pokazał kopertę z naklejką adresową.

– Kopia skorygowanego zakazu sądowego dla pani Allison Parker – oznajmił. Miał zamiar zawahać się i sprawdzić nazwisko na kopercie, ale uznał, że mógłby przeszarżować. – Szeryf właśnie pojechał doręczyć go Merrittowi. Jeżeli go znajdzie.

– Dla Allison?

Na dźwięk tego słowa Moll uznał, że to wcale nie jest taki zły dzień. Kobieta nie spytała, o kogo chodzi. Znała byłą żonę Merritta.

– Zgadza się. Jest w schronisku, czy tak?

Kobieta z niezadowoloną miną zerknęła na kopertę, może spodziewając się, że Moll pokaże jej treść dokumentu, co nie mogło nastąpić, ponieważ tkwiło tam dziesięć arkuszy czystego papieru do drukarki.

– Nie – brzmiała jej odpowiedź.

Spojrzał na nią z takim samym zdziwieniem, jakie malowało się na jej obliczu.

– Sekretarz sądu mówił, że jest w schronisku. Przypuszczałem, że w tym, bo z papierów wynika, że była tu wcześniej.

– Zgadza się. Ale teraz jej nie ma. Niech pan lepiej skontaktuje się z sędzią.

– Rozmawiała z panią ostatnio o tym, że zamierza tu wrócić?

To nie było pytanie, jakie mógłby zadać goniec z pismem sądowym. Kobieta mu się przyjrzała. Czy w jej oczach nie błysnęła podejrzliwość?

– Mogę spytać, dlaczego najpierw pan nie zadzwonił?

Dobre pytanie.

Wzruszył ramionami.

– Byłem w okolicy z innym pismem. Dziękuję za pomoc. Miłego wieczoru.

Kobieta skinęła głową i szczęśliwie dla Molla odwróciła się do ekranu, dzięki czemu miał okazję zapamiętać jej biust. Na przyszłość.

Desmond miał z tym problem. Moll nad tym panował. Ale w końcu był mężczyzną.

Wyszedł z budynku i wsiadł za kierownicę forda.

– Recepcjonistka ją zna.

– Powiedziała coś, co się nam przyda?

– Jeszcze nie – odparł. – Ale powie.

Ojciec Coltera Shawa, Ashton, miał zasadę: nigdy nie łam prawa.

Ostatnie słowo w tym zdaniu podlegało jednak pewnej interpretacji.

Istniały różne przepisy prawa, a sztuka przetrwania od czasu do czasu wymagała przededefiniowania pojęcia zakazów prawnych.

Można też sporo zyskać dzięki obronie pozytywnej: tak jest, wysoki sędzie, złamałem prawo, ale zrobiłem to, by uratować ludzkie życie. Shaw, który o mało nie został praktykującym prawnikiem, bardzo blisko zaznajomił się z tą koncepcją w pracy łowcy nagród, dlatego bez dłuższego wahania uchylił otwarte tylne drzwi domu przy Maple View, wynajętego przez Allison Parker.

Poza tym, jeśli gliniarze nie mogli się zmobilizować do wytropienia człowieka planującego zabójstwo żony, to przestępstwo Shawa, czyli wtargnięcie na teren prywatny, prawdopodobnie nie wzbudzi ich zainteresowania.

Wszedł do ciemnej kuchni i przez moment stał bez ruchu z dłonią na pistolecie, wpatrując się w to, co widział: część jadalnianą, fragment salonu, spiżarnię.

Nasłuchiwał.

Skrzypienie osiadającego domu. Stukot gałęzi i szelest liści; wiatr się wzmagał.

Było mu potrzebne światło, ale wolał z tym poczekać, dopóki nie sprawdzi, czy niewielki parterowy dom jest pusty.

Musiał zajrzeć do wszystkich pomieszczeń po kolei.

Z bronią w ręce przeszedł przez kuchnię, potem salon, małą sypialnię w głębi, dużą sypialnię od frontu i mniejszą po drugiej stronie korytarza. W łazienkach było pusto. W szafach też. Piwnicy nie było.

Został tylko garaż, do którego prowadziły drzwi z kuchni.

Kiedy pociągnął je i uniósł pistolet, instynkt kazał mu się pochylić i lekko ugiąć nogi w kolanach.

Ujrzał przed sobą ciemną przestrzeń wypełnioną zaklejonymi kartonami, meblami i innymi sprzętami czekającymi na docelowy dom.

Żadnego ruchu.

Gdyby rzeczywiście Merritt się tu schował, dobrą kryjówkę znalazłby za stertą pudeł. Prawdopodobieństwo, że przyczał się w garażu, było nikłe, ale gdyby tak się okazało, konsekwencje tej możliwości nie byłyby przyjemne.

Shaw mógł to sprawdzić, tylko wchodząc za ścianę kartonów.

I stałby się doskonałym celem.

Dlatego wybrał inne wyjście: lewą ręką popchnął górny rząd pudeł w kierunku potencjalnej kryjówki, kierując lufę glocka w miejsce, w którym mógł się pojawić napastnik.

Kartony spadały jeden po drugim z różnym natężeniem hałasu. Nie zależało mu szczególnie na szkle i porcelanie, ale chyba nic się nie rozbiło.

Trwało to niecałą minutę. Colter wszedł za pudła i upewnił się, że nikogo tam nie ma.

Następnie wrócił do kuchni, zamknął drzwi na klucz i zaczął zapalać światła. Chodził od pokoju do pokoju i szukał wskazówek, które zdradziłyby mu, dokąd wyjechała Allison.

Potrzebował niewiele czasu, by się zorientować, że to prawdopodobnie daremny trud. Sypialnia w głębi domu była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć kilku zaklejonych pudeł. Dwie pozostałe wyglądały, jakby przeszła przez nie trąba powietrzna. Jasne, opuszczały dom w pośpiechu, ale nie był to efekt szybkiego i bezładnego pakowania. Pokoje zostały wywrócone do góry nogami przez kogoś, kto dobrze się na tym znał – na przykład przez byłego glinę. Szuflady były wyciągnięte i odwrócone, ponieważ Merritt sprawdzał, czy nie przyklejono czegoś pod spodem. Zawartość biurka, komody i szafek nocnych leżała na dywanie podzielona na osobne kupki. Shaw domyślał się nawet, gdzie mężczyzna usiadł, by posegregować wyrzucone rzeczy.

To samo stało się w pokoju córki.

Jeżeli w domu był jakikolwiek trop, to zniknął.

Shaw zgasił światła, wyszedł na zewnątrz i skręcił do domu obok. U sąsiadów było ciemno, paliło się tylko jedno wątle światelko, więc nie zdziwił się, że gdy zadzwonił do drzwi, nikt mu nie otworzył. Dom naprzeciwno był natomiast rześście oświetlony. Kobieta, która otworzyła, powitała rozpromienionego Coltera życzliwym skinieniem głowy – uśmiech był jego głównym narzędziem do wyciągania informacji od nieznamomych. Przedstawił się jako znajomy matki Allison, co nie było aż tak dalekie od prawdy, i powiedział, że chciałby jej przekazać jakieś rzeczy. Miała być w domu, ale nie otwiera.

– Nie wie pani, kiedy wrócą?

– Nie potrafię powiedzieć. Dzisiaj ich nie widziałam. Chociaż tak naprawdę chowają się jak dwa ślimaki w jednej skorupie. Matka i córka. Zawsze sprawiały wrażenie podejrzliwych. Zero kontaktów towarzyskich. Raz zostawiłam im babeczki, to przysłała mi mejla. Myślałam, że przynajmniej do nas zajrzy.

Shaw podziękował, wrócił na ulicę przed dom i podszedł do skrzyżowania Maple View i Cross County, czteropasmowej arterii miasta. Na chodniku siedział mężczyzna w brudnym i pogniecionym ubraniu. Tabliczka obok niego informowała przechodniów, że jest weteranem bez pracy.

Shaw zbliżył się do niego. Wrzucił dziesięć dolarów do kartonowego pudełka, gdzie leżało parę monet.

– Wielkie dzięki. – Powiedział to ze zrozumiałą ostrożnością, ponieważ po wrzuceniu datku Shaw nie odchodził.

– Mam pytanie. – Pokazał weteranowi zdjęcia Allison i Hannah, które miał w telefonie. – Te dwie osoby zaginęły. Widział je pan może dzisiaj?

Zmarszczył brwi i przechylił głowę.

Do pudełka powędrowała dwudziestodolarówka.

– Tak, odjechały parę godzin temu, bardzo szybko. Kobieta nie zatrzymała się nawet na znaku stopu. Jakiś kierowca pokazał jej środkowy palec. Pędziła, dopóki nie zatrzymała się przy pikapie.

– Jakim pikapie?

– Białym. Stał gdzieś tam. – Wskazał.

– Ford F-150?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Mówi pan, że się zatrzymała?

Zachichotał.

– Aha. Spuściła z koła powietrze. I popędziła dalej. Piorunem.

W miejscu, w którym wcisnęła gaz, były ślady opon.

– Kiedy po jej odjeździe wrócił kierowca pikapa?

– Dosłownie chwilę potem. Bardzo błądy facet. Wyglądał groźnie. Strasznie. Upiornie. Rzadko się słyszy to słowo, prawda?

Shaw wyjął telefon i pokazał mu zdjęcie Merritta z kartoteki.

– Tak, to ten.

– Co zrobił po zmianie koła?

– Pojechał za nią.

– Ma pan telefon?

Shaw sięgnął do kieszeni po rulon banknotów i odliczył sto w dwudziestkach. Pieniądze powędrowały do pudełka.

– O rany.

Do banknotów dorzucił wizytówkę z numerami telefonów na kartę; bez nazwiska.

– Niech mi pan poda numer.

Weteran zerknął na niego podejrzliwie.

– Chce pan sprzedać telemarketerowi? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Potem wyrecytował cyfry, które Shaw wprowadził do swojego telefonu.

– Gdyby zobaczył pan tego białego pikapa w pobliżu domu, proszę zadzwonić.

– Dobrze.

Colter zrobił w tył zwrot, żeby odejść.

– Ale on tu już nie przyjedzie.

Odwrócił się z powrotem do mężczyzny.

– Skąd pan wie?

– Porządnie go pan przestraszył.

– Jak to?

– Kiedy pan zajechał tym swoim motorem, niecałe trzy minuty później wylazł przez to okno. – Pokazał na garaż. – Pobiegnął do pikapa i tym razem pojechał na wschód. – Szarpnął krzaczastą brew. – Mogę zachować tę stówę?

Shaw sprintem ruszył do yamały, odpalił silnik i z piskiem opon wyjechał na ulicę.

Po trzech kilometrach, minąwszy dziesiątki węższych i szerszych przecznic, w które Merritt mógł skręcić i rozplątać się w labiryncie tej części Ferrington, ostro zahamował, wyjął telefon i ułożył wiadomość do Sonji Nilsson.

Zanim wcisnął WYŚLIJ, dostał SMS-a.

Od niej.

Obie wiadomości miały mniej więcej tę samą treść.

31

Jon Merritt zaparkował forda F-150 na jednej z wielu pustych działek w pobliżu rzeki, w bok od Manufacturers Row.

Nie było sensu stawać do walki z facetem na motocyklu.

Wynajęty mięśniak.

Ale dla kogo pracował?

Oto jest pytanie. Nie tracił jednak czasu na domysły. Musiał działać. Jak dotąd jego przestępstwa – te, o których wiadano – polegały tylko na naruszeniu sądowego zakazu zbliżania się i na wtargnięciu na prywatny teren. Oczywiście niedługo to się miało zmienić i nawet bohatera z Beacon Hill nic nie uchroni przed pościgiem.

Na razie jednak trwał dla niego okres karencji.

Merritt wysiadł z kabiny pikapa. Przyglądali mu się wychudli ćpuni, którzy stali lub siedzieli na bulwarze, mężczyźni i parę kobiet. Zdesperowani i nerwowi, patrzyli z nadzieją, że będzie mógł im coś skombinować. A jeśli nie, to przynajmniej że ma przy sobie coś, czego mogli go pozbawić i przehandlować za działkę. Dwaj mężczyźni podnieśli się i zbliżyli do niego chwiejnym krokiem. Kiedy pokazał broń, odwrócili się i zniknęli, jak gdyby zdmuchnął ich powiew wiatru. Tak samo jak tamtego włóczęgę przed dworcem autobusowym.

Tacy ludzie przypominali komary. Wystarczyło trzepnąć, by się ich pozbyć.

Merritt poszedł na zachód w kierunku mostu na Czwartej Ulicy. Służby miasta malowały go w dość przypadkowy sposób i oryginalna zgniła zieleń sąsiadowała z młodszymi, ciemniejszymi odcieniami tej barwy. Było też sporo rdzy. Przeszedł na drugą stronę chodnikiem, przy którym biegła trzymetrowa bariera z drucianej siatki. Ogrodzenie postawiono parę lat temu, gdy to miejsce stało się popularnym miejscem samobójstw. Ciekawa rzecz, bo odległość od mostu do lustra wody wynosiła około piętnastu metrów. Spadając z takiej wysokości, nie można nabrać zabójczej prędkości. Przyczyną śmierci – najczęściej zwolnionych z pracy robotników – było utonięcie.

Merritt jako świeżo upieczony funkcjonariusz policji prowadził niektóre z tych spraw. Sądził, że gdyby kiedykolwiek chciał ze sobą skończyć, użyłby broni palnej, zamiast dusić się w tej zupie z toksyn.

Tarczę jesiennego księżyca otulała mgiełka – trochę z dymu, trochę z zanieczyszczeń. Ferrington wyglądało lepiej niż w czasach, gdy Merritt był nastolatkiem, a jego ojciec

pracował w jednej z fabryk, których kominy wyrzucały coś do atmosfery. Słyszał, że to tylko gorące powietrze; że trucizny neutralizowano i unicestwiano w fabryce. Oczywiście było to wierutne kłamstwo.

Po drugiej stronie rzeki stał wyblakły billboard.

TOWAR Z FERRINGTON ZNAJDZIECIE W KRAJU I NA CAŁYM ŚWIECIE

Pod sloganem namalowano szereg produktów przemysłowych. Merritt nie miał pojęcia, co to właściwie jest. Metalowe elementy, przewody, zbiorniki, skrzynki, urządzenia sterujące. Ferrington nie było znane z dóbr konsumpcyjnych.

Dotarł do handlowo-usługowej części Czwartej, gdzie większość lokali była już ciemna, ale minął witrynę, za którą ktoś jeszcze siedział. Wsunął się do zaułka naprzeciwko i sprawdził broń. Niebawem i w tym biurze zgasło światło. Wyszedł z niego niski mężczyzna niewiele po czterdziestce, ale przedwcześnie posiwiały. Miał na sobie garnitur i krótki płaszcz, niósł aktówkę. Zamknął na klucz drzwi i ruszył na północ, drepcząc jak kaczką. Merritt wynurzył się z ciemnej uliczki i poszedł w tym samym kierunku, trzymając się ponad pięć metrów z tyłu.

Razem minęli skrzyżowanie, gdy nagle Merritt usłyszał ćwierk samochodu i zobaczył powitalne mrugnięcie świateł. Natychmiast przyspieszył kroku.

Mężczyzna usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Zanim uruchomił silnik, Jon podszedł i zastukał w okno. Nie pokazując twarzy, przytknął do szyby legitymację policyjną.

Szyba się opuściła.

– Czy mogę wie...

Błyskawicznie sięgnął do środka, przycisnął guzik zamka drzwi po stronie pasażera i pociągnął za klamkę, wyciągając równocześnie rewolwer. Wsiadł do samochodu i wycelował go w twarz Davida Steina, adwokata Allison.

Mężczyzna zgarbił ramiona i pokręcił głową.

– Rany boskie, Jon...

– Cii. – Merritt zamknął okno.

– Co z tego będziesz miał? Tylko furę kłopotów. Nigdy nic złego ci nie zrobiłem.

Na te słowa Merritt zadygotał z wściekłości.

Stein szybko się wycofał.

– Przepraszam, Jon. Chciałem tylko...

– Cii. – Merritt sięgnął po pas bezpieczeństwa. – Nie zapinaj swojego, odpal silnik i jedź, dokąd powiem.

– Jon...

– Prosto. Potem w lewo w Monroe.

Adwokat skrzywił się z niesmakiem, ale spełnił polecenie.

Były policjant odbezpieczył broń i gdy oparł lufę o jego szyję, prawnik wyraźnie się wzdrygnął.

Wskazówka brzmiała: jedź powoli. Nie musiał dodawać, że nawierzchnie ulic w Ferrington są w tak opłakanym stanie, że podjęcie jakiegokolwiek bohaterskiej próby oporu najprawdopodobniej nie skończy się dla niego najlepiej.

32

O godzinie 23.00...

Ze schroniska Zacisze wyszła recepcjonistka.

Była szczuplejsza, niż Moll zapamiętał, chociaż nie mniej biuściasta. Widział to wyraźnie, bo czarna skórzana kurtka mocno ją opinała.

Odchodząc od drzwi, zapaliła papierosa, a dym szybko zniknął w podmuchu chłodnego wiatru. Zarzuciła sportową torbę wyżej na ramię, wyjęła telefon i zadzwoniła.

Na parkingu stały cztery samochody. Moll zastanawiał się, który należy do niej. Miał nadzieję, że biała toyota camry, którą najłatwiej było śledzić.

Plan był prosty: zmuszą ją do zatrzymania się na poboczu, wywloką z samochodu i wpakują do transita. Potem staną w jakimś ciemnym miejscu i zabiorą się do pracy. Czy wiedziała, dokąd pojechała Allison Parker?

Odpowie, że tak albo że nie.

Moll nie miał wątpliwości, że pozna, czy mówi prawdę.

– Odłóż ten cholerny telefon i rusz się – mruknął Desmond, nie spuszczać jej z oka.

Nie mogli nic zrobić, dopóki nie wsiądzie do samochodu i nie odjedzie.

Kobieta paliła i gadała, paliła i gadała.

– Popatrz tylko na...

– ...jej pasek – dokończył Moll. – Widziałem.

Mieli na myśli pojemnik z gazem pieprzowym.

Zawsze istniało ryzyko, że ofiara będzie się bronić, używając wszelkich środków, od ciosów karate przez gaz po broń palną, ale można było sobie z tym poradzić. Należało mieć to na uwadze i reagować.

Kobieta pokiwała głową i zakołysała się, jak gdyby kończyła rozmowę i psychicznie oddalała się od rozmówcy.

Nareszcie.

Nagle Desmond zeszywniał.

– Niech to szlag.

Patrzył w boczne lusterko. Moll zrobił to samo i zobaczył radiowóz – samochód z biura szeryfa – który wolno zbliżał się do transita.

Obaj mężczyźni instynktownie wsunęli broń do schowków pod przednimi siedzeniami. Wyglądały jak wbudowane odtwarzacze DVD. Moll wykonał je własnoręcznie.

Zachowywali spokój. Nie pili przecież alkoholu, w części ładunkowej vana nie było widocznych śladów krwi Edgara. Można było je ujawnić za pomocą luminolu, ale wykorzystanie tak wyrafinowanej metody kryminalistycznej wymagałoby nakazu sądowego lub przynajmniej uzasadnionej przyczyny.

Zatrzymali się tylko po to, żeby zadzwonić i wysłać parę wiadomości. Nieuwaga kierowców to jedna z głównych przyczyn śmiertelnych wypadków drogowych, tak słyszałem, panie posterunkowy. Mój kolega i ja zawsze zachowujemy ostrożność.

Ale samochód minął ich, zastępca szeryfa nie zwrócił na nich uwagi. Zatrzymał się przed schroniskiem, a recepcjonistka zakończyła rozmowę przez telefon, rozgniotła niedopałek i wsiadła do radiowozu. Przywitali się z zastępcą szeryfa pocałunkiem małżonków z dziesięcioletnim stażem.

Policjant wrzucił bieg i odjechali.

– Hm – chrząknął Moll. Wysłał SMS-a z nieszczęsną wiadomością. Schronisko, przynajmniej dziś, było ślepą uliczką. Schował telefon.

Sięgnęli po broń.

Moll wolno wyjechał na drogę stanową i skierował się w stronę swojego domu w Ferrington.

Desmond wyjął wierzbową gałązkę i znowu zaczął się bawić i stukać w nią czarnym nożem.

Moll pomyślał o biednym Edgarze, który z każdą godziną coraz mniej przypominał człowieka. Powinien dotrzeć do Ralston i to załatwić. Teraz będzie musiał posmarować sobie nos maścią VapoRub, żeby znieść ten smród. Chociaż z drugiej strony łatwiej będzie piłować.

Jutro. Błagam, żebyśmy mogli to skończyć jutro.

Był zmęczony... i głodny. W jadłospisie tego dnia nie figurowały wykwintne żeberka z grilla, tylko burgery z sieciówki.

Desmond celował z gałązki jak ze strzelby.

– Z żoną bankowca nie miałeś problemu.

Znowu do tego wracał?

– Nie, to zlecenie to zwykła robota. Prosta i czysta. Musisz trzymać fiuta na uwięzi. A historia z tamtą żoną? Zanim się zorientowałem, co chcesz zrobić, już się do niej dorwałeś. Potem musieliśmy spalić domek. Żeby nie było śladów.

Pac, pac pac... Stukał w gałązkę. Moll zdawał sobie sprawę, że ta część zadania trwa długo.

Przyjrzał się Desmondowi.

– Przecież rozumiesz, że nawet tylko tam siedząc, zostawiłeś dość śladów, żeby dostać bilet w jedną stronę do pudła o najostrzejszym rygorze. Wyobraź sobie, co byś zostawił,

gdybyś rozpiął rozporek.

Desmond z namysłem przechylił głowę.

– Możesz być spokojny, przyjacielu, powstrzymam się od obcowania płciowego z tym pojazdem. Chociaż trudno się oprzeć pokusie.

Od czasu do czasu przejawiał jakieś poczucie humoru.

– Jedź na swój parking dla ciężarówek.

Facet prychnął kpiąco.

– Tam? Połowy tych dziewczyn nie ochrzcili Betty ani Sally.

– Co cię to obchodzi, kogo posuwasz?

– Tylko mówię.

Skąd u tego gościa brało się tyle hormonów?

Sygnał odebranej wiadomości. Moll przeczytał ją, zerkając to na ekran, to na drogę.

– Merritt gadał z jej adwokatem. Niczego się nie dowiedział.

– Szlag. To mógłby być dobry trop.

Desmonda wyraźnie znudziła już zabawa gałązką. Odłożył ją, a potem nóż.

– Co z tamtym gościem, motocyklistą?

– To znaczy?

– Ma broń, włamuje się do jej domu. Kto wie, co wykombinuje.

Moll zastanowił się nad tym.

– Moim zdaniem facet z jednej strony może nam się przydać, a z drugiej może być dla nas problemem.

– Mhm. – Desmond przybrał swoją minę pod tytułem „nie jestem w nastroju”. – Co to znaczy?

– Jeżeli nas do niej doprowadzi, to się nam przyda. A kiedy już doprowadzi, stanie się dla nas problemem.

33

O godzinie 23.00...

Allison Parker stała w oknie motelu Sunny Acres, odchylając zasłonę, by popatrzeć na drogę numer dziewięćdziesiąt dwa.

Zastanawiała się, po co w ogóle zadaje sobie trud. Jak mogłaby rozpoznać zagrożenie? Przemykające drogą światła mogły należeć do kombi, którym jakaś zakonnica jechała na zjazd zakonnice. Albo do forda F-150, prowadzonego przez człowieka, który używał swoich supermocy, by odnaleźć ją na przekór wszystkiemu.

I który za chwilę zaparkuje, zorientuje się, w którym są pokoju, i...

Przestań, rozkazała sobie w duchu.

Wróciła do tamtej mantry. Po prostu o tym nie myśl.

Hannah znowu straciła humor. Wpatrywała się w ekran komputera i bębniła w klawisze. Jej milczenie drażniło Allison jak drzazga, która utkwiała głęboko pod skórą.

– Musisz zostać w trybie samolotowym – powiedziała do córki. Nie można było wyłączyć internetu tylko w jednym pokoju. Pytała o to w recepcji.

– Jestem – odburknęła dziewczyna. – Chcesz sprawdzić? – Była zła.

– Nie, kochanie. Wierzę ci.

Cisza trwała jeszcze pięć minut, po których Hannah zamknęła laptop i postawiła na nocnym stoliku. Nie odzywając się ani słowem, zdjęła spodnie dresowe. Pod spodem miała granatowe bokserki. Weszła pod kódrę i odwróciła się na bok, plecami do matki.

Parker usiadła na motelowej namiastce biurowego krzesła i zamknęła oczy. Pięć minut później ocknęła się i wstała, by pójść do łazienki i zająć się wieczornym rytuałem. Jeszcze raz wyjrzała przez okno. Rzuciła okiem w stronę złotej kii, która kryła w swoim wnętrzu magiczną kopertę. Wreszcie zgasła światło i też położyła się w łóżku, szczelnie otulając się pościelą.

Słuchała małego o tej porze ruchu na drodze.

Zakonnice?

Czy jej eks?

Opadły ją następne wspomnienia. Tym razem o córce.

Pięcioletnia Hannah. Pierwszy wyjazd do Disneylandu, rozkołysane palmy na Florydzie, upał, ulewa o czwartej po południu trwająca dokładnie piętnaście minut. Goofy, który

przestraszył ją do łez.

Siedem lat – z ognistym rumieńcem na twarzy siedziała pod choinką i rozrywała paczkę z lalką American Girl.

Dziesięć lat – wróciła ze szkoły z niepewną miną, ściskając w dłoni kopertę od dyrektora. Gdy jadła paluszki z mozzarelli i krakersy, Parker otworzyła kopertę, zaniepokojona, że córka wpakowała się w jakieś kłopoty. Wieczorem otrzymali z Jonem w ramki dyplom za osiągnięcia w matematyce, czyli za najlepszy rezultat w historii Szkoły Benjamina Harrisa.

Dwanaście lat – z ognistym rumieńcem na twarzy siedziała pod choinką i rozrywała paczkę z wiatrówką, którą kupił i własnoręcznie zapakował jej ojciec. Parker miała wątpliwości co do tego prezentu, o którym Jon nic jej nie powiedział, mimo to uśmiechała się na widok radości Hannah, gdy dziewczyna strącała z brzękiem puszek po sprucie, których zieleń ożywiała szarą monotonię grudniowego ranka.

Trzydzieści lat – spytała matkę o całujące się dziewczyny. Ot tak, po prostu. Jak gdyby pytała, czy dzisiaj będzie padać. Starannie skonstruowana odpowiedź, którą matka przygotowała sobie mniej więcej rok wcześniej, była prosta i wolna od jakichkolwiek osądów. Miesiąc później dziewczyna „była w związku”, czyli po prostu chodziła, z samym Lukiem Shepherdem, tak jest, właśnie tym, gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej.

Czternaście lat – przyglądała się czujnie ojcu, który lawirując przez salon, potknął się o krzesło i z trudem dźwigał się z podłogi.

Piętnaście lat – z niepohamowanym szlochom rzuciła się na rodziców, gdy Jon wyrzaskiwał przekleństwa i oskarżenia kilka centymetrów od twarzy Parker. Nieczuły na uścisk córki, która próbowała odciągnąć go od matki. Niezważający na krzyk żony, by przestał.

Wreszcie listopad zeszłego roku – siedziała na łóżku, skupiona bez reszty na wiadomościach w telefonie i głośnej muzyce sączącej się prosto do jej mózgu przez słuchawki Beats, podczas gdy pod konikiem morskim na zewnątrz rozgrywał się krwawy dramat.

Sen nie nadchodził. Parker odwróciła się na wznak i utkwiała wzrok w porowatym dźwiękochłonnym suficie. Do pokoju docierał blady różowy blask podświetlanego napisu na froncie motelu. Żałowała, że nie może go wyłączyć, myśląc przesądnie, że szylt może zdradzić Jonowi Merrittowi miejsce ich pobytu.

Szelest na sąsiednim łóżku. Hannah się poruszyła. Spała w takiej pozycji jak dawniej, gdy ona i Jon zaglądali do niej w nocy: na boku, przytulając do siebie drugą poduszkę.

– Kocham cię, Han.

Chwilę później usłyszała głos dziewczyny. Choć był zniekształcony, wtopiony w jej spokojny oddech i stłumiony motelową bawełną, najprawdopodobniej odwzajemniła się takim samym wyznaniem:

– Też cię kocham.

Przez następny kwadrans, dopóki myśli nie zasnuł jej sen, analizowała znaczenie – nie samych słów, jeśli rzeczywiście były takie, jak sądziła, lecz tonu, jakim córka je wypowiedziała: czy to było szczere wyznanie, nic nieznaczący wypełniacz ciszy, obowiązek, próba uniku przed wrogiem, sardoniczna uwaga? Allison Parker, matka i inżynier, traktowała to pytanie, jak gdyby mierzyła się ze skrajnie trudnym problemem matematycznym, gdzie w grę wchodziły granice, sinusoidy, całki, różniczki, ciągi i zmienne...

Analityczne umiejętności zawiodły ją jednak i jedyny wniosek, jaki zdołała wyciągnąć, był taki, że rachunek uczuć jest nieskończenie złożony i równocześnie absurdalnie prosty, a przez to całkowicie nierozwiązywalny.

34

O godzinie 23.00...

Jon Merritt siedział w łóżku wsparty na poduszce.

Za oknem słyszał samotną syrenę pchacza albo holownika transportującego barki przez Kenoah.

Obok siebie miał butelkę whiskey, puszkę gazowanego napoju, resztki jednej z kanapek, które jadł wcześniej, i setki informacji zebranych w domu swojej eks.

Kipiał ze złości.

Adwokat mu nie pomógł, zapewniając go z płaczem, że nie ma pojęcia, dokąd pojechała. W końcu Merritt mu uwierzył.

W innych okolicznościach byłoby mu przykro z powodu tego, co spotkało tego pechowca – i tego, przez co będzie przechodziła jego rodzina. Ale nie dziś.

Z mecenasem Steinem się nie udało.

Nie udało się też w schroniskach dla kobiet.

Pozostało mu więc to, co zwykle robili detektywi: mozolne poszukiwania.

Skrawki papieru, karteczki, wizytówki, wycinki, notatki na stronach wydartych z fachowych czasopism dla inżynierów, opinie o Hannah pisane przez nauczycieli.

W tym momencie liczył tylko na to, że znajdzie obcą sobie osobę, która przyjaźni się z jego byłą żoną.

Nic, nic, nic...

Opróżnił szklaneczkę z tak cienkiego plastiku, że nieomal pękła mu w dłoni. Nalał jeszcze trochę. Wypił.

Do pracy...

Kartki przesuwają się przed jego zaczerwienionymi oczami w drodze na stertę śmieci.

Sytuacja przypomniała mu prowadzone przez niego śledztwo w dużej sprawie korupcyjnej. Ślęczał nad każdą stroną dokumentacji finansowej, aktów własności, umów i dokumentów korporacyjnych, rachunków, ksiąg rachunkowych, arkuszy Excela i wielu innych papierów.

I nagle...

Wreszcie natrafił na szczegół wart góry złota. Nie – platyny. Trop, który zaprowadził go do Beacon Hill i tego, co zostało ukryte w prowadzącej donikąd rurze kanalizacyjnej.

A ostatecznie do tego, co stało się potem.
Wypił łyk z kruchego naczynka.
Zamknął oczy.

Ten zapach.

Merritt poznał, że to tuńczyk. Sesje z doktorem Evansem są o pierwszej po południu, więc przypuszcza, że psychiatra chętnie jada na lunch kanapkę z tuńczykiem – traktował ją jak oazę na pustyni niebezpiecznych wariatów.

Dzisiaj lekarz występuje w dwóch rolach: psychiatry oraz doradcy zawodowego.

– Po wyjściu na wolność będziesz musiał skorzystać z któregoś programu.

– Och, skorzystam. Najchętniej zostałbym w nim na zawsze. Podobają mi się. – Wrócił Jon Czarus. Jak zawsze w gabinecie psychiatry.

– A potem trzeba pomyśleć o pracy. Nie będziesz już mógł być policjantem.

Przypomnienie tego faktu doprowadza go do szału. Mimo to z entuzjazmem odpowiada:

– Zastanawiałem się nad tym, panie doktorze. Mam wiele możliwości.

– Widziałem opinie personelu. Piszą, że twoja praca w warsztacie obróbki metalu przebiega wzorowo... – Milknie, być może uznając, że to za duże słowo dla skazańca.

Merritt przed akademią policyjną skończył college, ale nie daje po sobie poznać urazy i złości.

– Lubię pracować rękami. To coś w rodzaju talentu. A pan lubi? – Spogląda na Evansa z zaciekawieniem, które wygląda na autentyczne.

– Nie. – Lekarz nie lubi odpowiadać na pytania o swoje życie poza tym gabinetem.

– Przez całe studia w college'u pracowałem przy taśmie w wytwórni Hendersona.

Była to jedna z niewielu wciąż działających firm przy Manufacturers Row, choć trudno powiedzieć, by dobrze prosperowała.

Doktor Evans wpatruje się w tablet. Merritt nie jest pewien, czy czyta, czy nie. Utrata kontaktu z rzeczywistością to zasadniczy element jego praktyki. Można zakładać, że w czasie sesji dojdzie do niego kilka razy.

Obsesyjnie dręczy się zdrowiem psychicznym pacjentów z więzienia?

Marzy o tym, żeby się zajmować gospodyniami domowymi?

Czy może myśli o kanapkach z tuńczykiem?

Lekarz mruga, wraca z innego wymiaru i spogląda na Merritta.

– Dostałem raport, Jon. O tym osadzonym z oddziału C. Skoczył na ciebie. Nie broniłeś się.

– Nie chciałem, doktorze. – Śmiech. – Nic dobrego by mi z tego nie przyszło. Dostałbym tylko porządnie w kość, i tyle.

Niewiele brakowało. Przez ułamek sekundy Merritt gotował się z wściekłości. I chociaż nie jest już siłaczem, to mógł złamać kark żyłastemu ćpunowi na głodzie, kiedy jego

przezarty narkotykami mózg w zagadkowy sposób skojarzył brak towaru z osobą Merritta.

Mimo to cofnął się i spokojnie przyjął ciosy.

Jaki miał wybór? Chciał wyjść na wolność. Bójka zatrzymałaby go w pudle.

Dlatego padł na mokry beton i osłonił głowę. Mógł znieść obijanie jak mężczyzna...

Znieść ciosy.

Znieść lanie pasem.

Pasem...

Nagle ze zdziwieniem uświadamia sobie, że tym razem nie chce okłamywać lekarza.

– Wie pan co, coś mi się przypomina. Miałem wtedy dziewiętnaście lat.

Evans patrzy w jego stronę i kiwa głową.

– Brałem nadgodziny, żeby zarobić na szkołę, i wróciłem do domu po drugiej zmianie, a mój ojciec wpadł we wściekłość. Myślał, że poszedłem się lumpić. Tak to nazywał, kiedy włączyło się z dziewczynami, paliło i piło piwo. „Lumpić”. Powiedziałem mu, że wziąłem nadgodziny, żeby dostać wyższą stawkę za drugą zmianę, ale mi nie uwierzył. Przypominam, miałem dziewiętnaście lat. A on wstaje, zaczyna zdejmować pasek i...

– Zaraz, Jon, widzę, że czas nam się skończył. Wydaje mi się, że powinniśmy przyjrzeć się temu bliżej. – Przesuwa palec po ekranie tabletu, szykując się do wizyty następnego pacjenta, dla którego nie ma już nadziei.

Merritt jest wściekły. To dojmujący gniew. Sięga głębi duszy. Ale opanowuje go i się uśmiecha.

– Oczywiście, panie doktorze – mówi. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Wychodzi z gabinetu z myślą, że chyba dobrze było przerwać w tym miejscu. Gdyby ciągnął tę historię, fasada uroku osobistego zaczęłaby pękać i pewne fakty mogłyby wyjść na jaw.

Na przykład Prawda przez duże P, a mianowicie że sympatyczny pacjent umówiony na pierwszą w rzeczywistości jest mordercą. I nie chodzi o usiłowanie zabójstwa, lecz o faktyczną zbrodnię.

Teraz, w innego rodzaju celi, czyli motelu River View, Jon Merritt zgasił światło, omal nie strącając rachitycznej lampy na podłogę. Nastawił budzik w telefonie i położył się w łóżku. Nie poszedł się umyć ani wysikać, nie wyszorował zębów.

W tym momencie myślał tylko o tym, że chce usłyszeć jeszcze jedną syrenę pchacza albo statku rzecznoego. Im więcej syren, tym więcej szczęścia będzie miał szczęściarz.

W ciągu kilku następnych minut rozległy się dwie – jedna głośna, druga ledwie słyszalna, a potem ogarnął go sen.

35

O godzinie 23.00...

Colter Shaw znowu znalazł się w jednym z pozbawionych okien pokoi działu ochrony Harmon Energy Products.

Nie był sam. Obok niego siedziała Sonja Nilsson, a na długim biurku przed nimi stały dziesiątki monitorów i klawiatur.

Shaw rozmawiał przez telefon z detektywem Dunfrym Kempem.

Nigdy nie zrażaj do siebie organów ścigania...

Trudno mu jednak było ukryć frustrację.

– Detektywie, z całym szacunkiem. Tym razem to jawne przestępstwo. Był w tym domu, wywrócił go do góry nogami, szukając wskazówek, dokąd pojechała Allison.

– Widział go pan?

– Widziałem, jaki bałagan po sobie zostawił. Pewien bezdomny zauważył go, jak wychodził z domu. Mam numer jego telefonu.

– Bezdomny ma telefon?

– Podać panu?

Chwila milczenia.

– Pan też był w tym domu, panie Shaw?

– Stanowy kodeks karny, punkt 224.655, w ramach obrony pozwala przedstawić dowody, że wejście na teren prywatny bez zezwolenia miało na celu ratowanie życia innych osób.

– Sprawdził to pan.

– Owszem.

– Przed włamaniem czy później? Zresztą mniejsza z tym.

– Detektywie, sprawa przechodzi o oczko wyżej. Trzeba wyznaczyć do niej kogoś ze złotą odznaką.

A może położyć ją na biurku kogoś, kto nie jest zbyt leniwy, żeby zabrać się do roboty?

Nie, to nie fair, przecież te zwały papierów... Chociaż z drugiej strony...

Nilsson patrzyła na niego. Pokręcił głową.

Milczał. Nie było lepszego sposobu, by zmobilizować kogoś do działania. Cisza działa o niebo lepiej niż powtarzane kilkanaście razy pytanie.

– Fakt faktem, to też tylko wykroczenie.

Znów ani słowa.

Westchnienie.

– Pójdę z tym do szefostwa.

Shaw głęboko zaczerpnął tchu.

– Jeżeli może pan coś zrobić, detektywie, będę bardzo zobowiązany.

Rozłączył się.

– To na nic – mruknął. – Jak gdyby Merritt chodził w kamizelce kuloodpornej.

– Czyli wracamy do grzebania w plikach – odparła Nilsson.

Otrzymana od niej wiadomość, którą Shaw przeczytał, gdy zatrzymał się na poboczu drogi Cross County, brzmiała:

Nic nie ma. Sprawdźmy kamery.

Ta, którą właśnie zamierzał wysłać, brzmiała natomiast:

Za dużo stogów, żeby znaleźć igłę. Można mieć dostęp do kamer na skrzyżowaniach?

Nilsson wyjaśniła, że wprawdzie organa ścigania Ferrington cierpią na braki kadrowe, to jakby w ramach rekompensaty władze miasta zainwestowały w rozbudowany system monitoringu wizyjnego.

– Nie jest tani, ale kosztuje mniej niż ludzie, no i nie trzeba płacić ubezpieczenia ani emerytur.

System poszerzono o dostęp do części prywatnych kamer – zainstalowanych w sklepach i na stacjach benzynowych, jeżeli właściciele sami zgłosili się do władz.

Jako znany dobroczyńca miasta Harmon zadzwonił do kilku osób i uzyskał pozwolenie dla Nilsson, a więc i dla Shawa, na zalogowanie się do skonsolidowanego systemu.

W pokoju stały dziesiątki monitorów, na których właśnie oglądali zapis wideo, szukając toyoty 4runner Allison Parker i forda pikapa F-150, należącego do jej byłego męża.

Zaczęli od ustalenia faktu, że pojechała drogą Cross County na zachód.

Shaw otworzył mapę północnego Ferrington. Nilsson nachyliła się nad ekranem tuż obok. Wyczuł kwiatowy zapach. Zaraz jednak skupił się na siatce ulic. Cross County przecinało wiele przecznic i dróg, ale część z nich prowadziła do zamkniętych osiedli w pobliżu Ferrington, skąd nie było innego wyjazdu.

Nilsson pokazała na nie.

– Może Allison kogoś tam zna.

– Prawdopodobne. Moim zdaniem na dziesięć procent. Wydaje mi się jednak, że nie zatrzymała się tak blisko. Chciała odjechać jak najdalej z Ferrington.

– Racja.

Potem usiedli w tym pomieszczeniu i zabrali się do przeglądania zapisu z kamer wzdłuż Cross County, poczynawszy od przybliżonej godziny jej ucieczki.

Shawowi zdawało się, że dostrzegł 4runnera w takim kolorze jak jej wóz, skręcającego na południe w drogę numer pięćdziesiąt pięć. Za tym pojazdem pojawiła się jednak ciężarówka i częściowo zasłoniła widok. Numer rejestracyjny był niewidoczny.

Nilsson przyglądała się obrazowi.

– Być może. Da się zobaczyć kogoś w środku?

Nie. Odblask słońca i ziarniste zniekształcenia.

Shaw przerzucił się na kamery wzdłuż pięćdziesiątej piątej w stronę południa, a Nilsson kontynuowała poszukiwania pikapa Merritta w kierunku na zachód – gdy pierwszy raz odjechał spod jej domu – i na wschód, po ucieczce spowodowanej przyjazdem Shawa.

– Być może ją mam – powiedział.

Mniej więcej pół godziny po skręcie na południe jakaś toyota 4runner szybko odjechała z parkingu centrum handlowego i popędziła na północ drogą numer pięćdziesiąt pięć. Jeżeli to był jej wóz, który widzieli, jak skręcał wcześniej na południe, to krótką chwilę spędziła w Carter Grove. Gdy pojazd znalazł się na Cross County, pojechał na północ.

– To ona. – Kamera na skrzyżowaniu wyraźnie uchwyciła tablicę rejestracyjną. – Dokąd może dojechać tą drogą?

– Do Chicago, Detroit, Indianapolis, International Falls, Red Lake, nad Ontario, gdzie jeździłam z ojcem na ryby. Popatrz.

Shaw przysunął się do niej i znowu zetknęli się ramionami, jak wcześniej, podczas nieudanej próby zjedzenia lunchu. Odtwarzała nagranie z kamery bliższej centrum, skierowanej na południe Cross County. Obiektyw ujmował panoramę miasta, sklepy, warsztat samochodowy. W stronę kamery jechał biały pikap. Licznik czasu świadczył o tym, że działo się to krótko po drugiej wizycie Merritta w wypożyczalni samochodów. Wóz skręcił w prawo, na południe, i zniknął. Nilsson cofnęła zapis.

– Gdyby to był film science fiction, mówiłabym „wyostrz, wyostrz”, dopóki nie zobaczylibyśmy marki, modelu i koloru oczu kierowcy – skomentowała.

Ciekawe, że o tym wspomniała. Znowu pomyślał o zieleni jej oczu.

– To na pewno stopięćdziesiątka – orzekł.

– Dobra, ale czy jego? – W tym stanie przepisy nie wymagały posiadania tablicy rejestracyjnej z przodu pojazdu.

– W jaką ulicę skręcił?

– Miller. Prowadzi do centrum. – Westchnęła. – Ale to labirynt. Potrzebowalibyśmy kilkunastu par bystrych oczu i dwóch czy trzech dni solidnej pracy, żeby przejrzeć to wszystko.

– Skupmy się na jednym – znajdziemy Allison i Hannah. Pojechała pięćdziesiątkąpiątką na północ. Jest tam monitoring?

Spojrzała na listę dostarczoną przez komendę policji Ferrington.

– Za Cross County nie ma żadnej kamery miasta ani hrabstwa. Parę prywatnych. – Długie palce o ciemnych paznokciach szybko stukwały w klawisze. – Mamy dostęp do sześciu. Musimy się zalogować. Tu są adresy i hasła. Sprawdź trzy pierwsze, ja wezmę resztę. – Położyła przed nim kartkę.

Skupił wzrok na ekranie, zalogował się do zapisu z pierwszej kamery, która mu przypadła – na stacji benzynowej. Ukazywała tylko częściowy widok na drogę. Obraz był ziarnisty, kolory wyblakłe. Shaw musiał wolno przewijać nagranie i zatrzymywać je na każdym przejeżdżającym pojeździe, by dokładniej mu się przyjrzeć. Pięćdziesiątkapiątka była ważną drogą; panował na niej spory ruch.

Zerknął w bok. Nilsson siedziała w identycznej pozycji. W skupieniu marszczyła brwi – on zapewne robił to samo.

Wracając do manipulowania suwakiem paska przewijania, spytał:

– Są w tamtą stronę jakieś stacje kolejowe, dworce autobusowe, wypożyczalnie samochodów?

– Pociągów nie ma, ale w Herndon jest dworzec autobusowy. Trzy wypożyczalnie. I salony, w których pewnie też można wypożyczyć samochód.

– Autobusy zawsze są wygodne. Gotówka, nie trzeba pokazywać dokumentów. Wypożyczalnia – być może, tyle że zostawia się tam ślad. Ale wydaje mi się, że byłaby skłonna zaryzykować.

– Jak sądzisz, będzie potrzebny nakaz do Hertza albo Avisa? Żeby pokazali nam nagrania ze swoich kamer?

– Na podstawie tych faktów będą oponować – odrzekł Shaw. – Tak samo przewoźnik autobusowy.

Po pięciu minutach ciszy, którą zakłócał tylko stukot klawiszy, Shaw spytał:

– Co łowiliście?

– Najczęściej bassy – padła błyskawiczna odpowiedź. – Czasem szczupaki...

W rodzinie Shawa pierwszym myśliwym była jego matka, Mary Dove. Najlepiej radziła sobie z długą bronią. Drugie miejsce zajmował Colter. Ale ryby łowili wszyscy. Shaw pamiętał, jak zabierał sprzęt i wcześniej, w chłodny granatowoczarny świt wychodził z jednym albo obojgiem rodziców, czasem z rodzeństwem. Każde z nich zajmowało inne miejsce na cyplu nad stawem, który Dorion, jego siostra, z oczywistych względów nazwała Egg Lake – Jeziorem Jajowym. O siódmej rano mieli połów na cały tydzień.

W Posiadłości nie łowiono po to, by wypuszczać ryby z powrotem do wody. Łowiono, żeby je zjeść.

Nigdy nie baw się zwierzętami. Nie istnieją dla twojej rozrywki...

– A ty?

Odpowiedział, że teraz rzadko chodzi na ryby.

– Ale kiedy dorastałem, byliśmy samowystarczalną rodziną.

– Aha. To by wymagało uzupełnienia.

Od czego zacząć?

Shaw przedstawił jej wersję skróconą. Opowiedział, jak jego ojciec, Ashton, i matka, szacowni nauczyciele akademicy, uciekli znaną Zatoką San Francisco, gdy Shaw miał sześć lat, jego brat dwanaście, a siostra trzy, i zamieszkali na pogórzu Sierra Nevada.

– Uciekli?

– Ashton pasjonował się teoriami spiskowymi, tyle że jego podejrzenia nie okazały się urojone. Odkrył coś, co mogłoby zagrozić wpływowym ludziom. Dlatego nauczył się, a potem nas, sztuki survivalu.

– A ci ludzie? Znaleźli was?

– Zgadza się. Ojciec nie przeżył.

– Och, przykro mi. – Spojrzała na niego z wyrazem twarzy, z którego wyczytał pytanie: i sprawa jakoś się potem rozwiązała?

– Załatwiłem to.

Sprawiała wrażenie kobiety, która sama też byłaby skłonna załatwiać sprawy.

– Moja matka dalej mieszka w tym domu w górach. Siostra ma na Wschodnim Wybrzeżu firmę, która prowadzi szkolenia i świadczy usługi z zarządzania kryzysowego. A brat pracuje dla rządu.

– Mhm. To się dopiero nazywa historia.

– Dłuższa wersja odpowiedzi na pytanie o ryby.

Wrócili do frustrującego i posuwającego się w ślamazarnym tempie przeglądania zapisu z kamer.

Każde z nich przejrzało dwa z nagrań, które rozdzielili między siebie, i nie znaleźli ujęcia toyoty Allison. To oznaczało, że albo gdzieś skręciła, albo pojazd utonął w potoku samochodów, które zasłoniły go przed okiem kamery.

Shaw i Nilsson zabrali się do sprawdzenia ostatnich zapisów monitoringu. Jego nagranie przedstawiało niewyraźny i ciemny obraz w niskiej rozdzielczości ze stacji benzynowej. Na drugim końcu podjazdu było widać krótki odcinek drogi numer pięćdziesiąt pięć.

Po kilku minutach Nilsson powiedziała:

– Zauważyłam coś. Odkąd tu siedzisz, nigdzie nie dzwoniłeś ani nie odbierałeś telefonów.

Domyślała się, czego ma dowodzić to spostrzeżenie.

– To prawda.

I rzeczywiście:

– Nie jesteś żonaty.

Pomyślał o Margot, z którą łączyło go coś na kształt więzów małżeńskich.

– Nie. Ty mówiłaś, że miałaś męża.

– Zgadza się. – Wzruszyła ramionami. – Uznałam, że tracę czas. To nie tak, że nagle mnie trafiło. Spotykasz się teraz z kimś?

Pomyślał o Victorii.

– Czasami.

Wyjaśnił, że widuje się od czasu do czasu z kobietą – też specjalistką od bezpieczeństwa – gdy akurat mają zadanie do wykonania w tej samej okolicy.

– Parę razy w roku.

– To nie jest spotkanie – stwierdziła przy akompaniamencie klekotu klawiszy.

– A ty dzwoniłaś – zauważył. – Z drugiego telefonu.

Zaśmiała się.

– Możesz mi wierzyć, to nie jest osoba, z którą jestem związana.

Przez chwilę panowała cisza.

Żadne z nich nie stukało w klawiaturę.

Colter odwrócił się do kobiety. Spojrzał w soczyście zielone oczy i wyczytał z nich wiadomość. Chwycił ją za ramiona i pocałował. Mocno. Odwzajemniła pocałunek i wstała. On też, gwałtownie odsuwając krzesło w stronę innego stanowiska.

Przez moment trwali w bezruchu jak posągi, patrząc sobie w oczy. Znowu się pocałowali. Dłonie Nilsson powędrowały na jego plecy, by mocniej zwarli się ze sobą.

Jego prawa dłoń zsunęła się po jej kręgosłupie, zatrzymując się tuż pod wąskim poziomym paskiem. Też przycisnął ją do siebie.

Poczuł dotyk jej piersi, otoczył go zagadkowy, uwodzicielski aromat kwiatów.

Zamknęła oczy, on też po chwili.

Pocałowali się jeszcze namiętniej, wygłodniałymi ustami.

Poczuł na policzkach dotyk jej dłoni. Chwycił prawą i pocałował palec okuty pierścieniem z wężem. Obwiodła jego usta pomalowanym na czarno paznokciem.

Spojrzał za jej plecy na stojącą pod ścianą kanapę.

Zwrócił uwagę na zamek w drzwiach i brak kamer w pokoju – zabawne, zważywszy na to, co tu robili.

Jej spojrzenie podążyło w tym samym kierunku. Zatrzymała wzrok na kanapie, odwróciła się i skinęła głową.

Obejmując ją ramieniem w pasie, ruszył w tę stronę.

W tym momencie przypadkiem spojrzał w lewo. Zobaczył zatrzymany w stop-klatce obraz drogi numer pięćdziesiąt pięć. Na ekranie nie było żadnych pojazdów, żadnych autostopowiczów. Tylko koniec stacji benzynowej i sklepik po drugiej stronie drogi.

Miejsce, przy którym Allison Parker mogła się zatrzymać tego popołudnia i przy okazji kupna napoju albo chipsów spytać sprzedawcę o godne polecenia motele w okolicy lub rzucić jakąś uwagę, z której można było wywnioskować, dokąd się wybiera z córką.

Popatrzył na Nilsson, która, jak się okazało, patrzyła na ten sam ekran.

Ich oczy znowu się spotkały, tym razem wymieniając inne spojrzenie. Shaw lekko się uśmiechnął, a Nilsson zaśmiała się ze smutkiem. Jeszcze jeden długi pocałunek i każde

usiadło przy swoim monitorze, po czym dokładnie w tym samym momencie wcisnęło przycisk odtwarzania.

CZĘŚĆ DRUGA

**ZABAWA
W CHOWANEGO**

ŚRODA, 21 WRZEŚNIA

Mnie to dobrze zrobiło. A tobie?

Minęło wpół do siódmej rano. Sonja Nilsson siedziała na skraju kanapy w pokoju z monitorami i splatała włosy w warkocz.

Colter usiadł prosto, zastanawiając się, kiedy minie mu ból pleców.

– Bywało lepiej.

Jej uśmiech był równocześnie skromny i uwodzicielski, co było niełatwym połączeniem.

Około drugiej w nocy, wyczerpani oglądaniem nagrań, uznali, że muszą skapitulować przed sennością. Shaw nalegał, by Nilsson położyła się na kanapie. Sam zablokował kółka dwóch krzeseł biurowych, zwrócił je ku sobie i usiadł, opierając stopy o krzesło naprzeciwko. Skrzyżował ręce na piersi, zwiesił głowę i prawie natychmiast zasnął. To była cenna dla survivalowca umiejętność, choć nie można jej było nikogo nauczyć. Miał po prostu szczęście, że potrafił zdrzemnąć się zawsze i wszędzie.

Nocny maraton oglądania zapisów z monitoringu przyniósł skromny sukces.

Trzecia kamera, która przypadła Shawowi – ta ze stacji benzynowej – uchwyciła toyotę Allison Parker pędzącą na północ drogą numer pięćdziesiąt pięć, pięć kilometrów na południe od Herndon, gdzie znajdował się dworzec autobusowy i wypożyczalnie samochodów.

Zaraz potem Parker przekroczyła granicę hrabstwa Marshall, gdzie nie sięgały wpływy Marty'ego Harmona, anioła stróża Ferrington, więc nie mogli liczyć, że urzędnicy udostępnią im nagrania z monitoringu. Shaw zostawił wiadomość obłożonemu obowiązkami detektywowi Kempowi, by spróbował uzyskać dostęp do wideo z sąsiedniego hrabstwa, policjant jednak nie oddzwonił. Jakie było prawdopodobieństwo, że to zrobi? Najwyżej dziesięć procent. Jeśli można było w tym znaleźć jakiś pozytyw, to tylko taki, że nie zauważyli samochodu Merritta jadącego pięćdziesiątką na północ.

Nilsson się przeciągnęła.

– Harmon Energy to kraina nocnych marków. Dla tych, którzy zostali w firmie do rana, na każdym piętrze jest prysznic. Szczoteczki do zębów. Przybory do golenia.

Shaw miał ciemny i gęsty zarost, zupełne przeciwieństwo krótko ostrzyżonych jasnych włosów wieńczących głowę. Owłosienie twarzy mu nie przeszkadzało, ale nadawało złowrogi wygląd, a zważywszy na to, co miał na dziś w planach, wolał skorzystać z maszynki do golenia.

– Co teraz? – spytała, zaparzając kawę w stojącym w rogu pokoju ekspresie. Gdy pytająco uniosła brew, skinął głową.

– Porozmawiam z jej znajomymi spoza biura. Zajmiesz się resztą pracowników?

Przytaknęła i podała mu kubek. Wsypał śmietankę w proszku i zaczął czekać, aż sama się rozpuści.

– Gdzie łazienka?

– Pokażę ci.

Wyszli razem i Nilsson wskazała mu drzwi.

Pożegnali się milczącym skinieniem głowy. Poszła dalej korytarzem do windy, a on skręcił do łazienki. Zamknął za sobą drzwi. Wypił łyk kawy i postawił kubek na półce. Jasne i czyste, wyłożone niebieskimi płytkami pomieszczenie było świetnie zaopatrzone z myślą o ciężko pracujących ludziach. Mnóstwo ręczników, pojedynczo pakowanych mydełek, saszetek z szamponem, szczoteczek do zębów i pasty, zestawów do golenia.

Rozebrał się, wszedł pod prysznic i odkręcił tak gorącą wodę, jaką był w stanie wytrzymać, a potem lodowatą. Jego kamper stał na parkingu na dole, ale w samochodzie nie było takiego ciśnienia wody; Shaw, gdy tylko mógł, korzystał ze stacjonarnej sieci wodociągowej. Wytarł się, ubrał i ogolił.

Wrócił do pokoju z monitorami, zabrał plecak, w którym nosił laptop, telefon i notatnik. Glock pozostawał stale zamocowany do paska, nawet gdy Shaw spał.

Na parterze otworzył sobie drzwi kartą i wyszedł w bezwietrzny i wilgotny poranek. Albo przyzwyczajał się do zapachu Kenoah, albo opary były dziś łagodniejsze. Może oczyszczanie wreszcie zaczęło przynosić pożądane efekty.

W winnebagu przebrał się w czyste dżinsy, granatową koszulkę polo i szarą sportową marynarkę. Na zewnątrz włożył kask i z trudem zdjął blisko stukilogramową yamahe z bagażnika z tyłu pojazdu, gdzie z przyzwyczajenia umocował ją po powrocie z domu Allison. Wsiadł na motocykl, odpalił i wpisał do GPS-u pierwszy adres z listy znajomych Parker. Zapamiętał trasę i wyjechał z parkingu.

Jako łowca nagród, jeżeli tylko mógł, zawsze odwiedzał swoich rozmówców osobiście; rozmowę telefoniczną można przecież zakończyć jednym ruchem palca.

Przez coraz ładniejsze osiedla w ciągu dwunastu minut dotarł do okazałego wielopoziomowego domu. Na podjeździe przed białym budynkiem stał mercedes z dolnej półki. Shaw minął posesję, zaparkował za rogiem i zostawił kask. Motocyklistów, nawet ubranych jak prezesi komputerowych start-upów, często ignorowano, kiedy pukali do czyjegoś domu.

Zadzwoił do drzwi i cofnął się o krok.

Otworzyła mu blondynka w wieku około czterdziestu lat. Wewnętrzne skrzydło z siatką pozostało jednak zamknięte, być może nawet na klucz.

– Pani Holmes?

– Zgadza się. – Przyjrzała mu się badawczo.

– Nazywam się Colter Shaw. Matka Alli Parker zasugerowała mi, żebym z panią porozmawiał.

Z głębi domu przyszedł mniej więcej pięcioletni chłopiec i utkwiał wzrok w nieznanym. Holmes odwróciła się do niego.

– Idź się bawić. – Ponownie spojrzała na Shawa. – Matka Alli? Dlaczego?

– Wczoraj z więzienia został zwolniony były mąż Alli, Jon. I jej matka martwi się, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

Kobieta szeroko otworzyła oczy.

– Co takiego?

Zdziwienie było autentyczne. A to znacznie obniżało potencjalną wagę tego tropu; Parker nie kontaktowała się z nią w ciągu dwóch ostatnich dni. Mimo to Holmes mogła wiedzieć o innych znajomych albo miejscach, gdzie przyjaciółka lubiła spędzać czas.

– Zniknęła razem z córką. Próbuję je odnaleźć i upewnić się, czy nic im się nie stało. – Mimo że znał odpowiedź, zapytał: – Kontaktowała się z panią w ciągu kilku ostatnich dni? A może pani wie, dokąd mogła pojechać?

Holmes podejrzliwie przymrużyła oczy.

– Proszę mi przypomnieć, kim pan jest.

– Pracuję w ochronie. Jeżeli chce pani potwierdzić moją tożsamość, proszę zadzwonić do szefa Alli z Harmon Energy albo do jej matki.

– Spotkałam jej matkę tylko kilka razy. Jej szefa w ogóle nie znam. Tą sprawą chyba powinna się zajmować policja, prawda?

– Prowadzi swoje dochodzenie, ale pani Parker uważa, że to za mało. No więc nie domyśla się pani, gdzie może być Alli? Wiemy, że z Ferrington pojechała na północ. Może wspominała kiedyś, że mieszka tam ktoś znajomy, albo mówiła o jakimś zajeździe czy hotelu, który lubi?

Kobieta spojrzała za jego plecy, rozglądając się po ulicy z twarzą, na której malował się niepokój.

– Nie, nic nie wiem. Proszę już iść. – W jej głosie drgała nuta rozpaczy, oczy wpatrywały się w niego błagalnie. – Mógł tu za panem przyjechać – dodała szeptem. – I pomyśleć, że panu pomagam.

– Nie przyjechał. Na pewno.

– Wie pan, gdzie on jest? – spytała wprost kobieta.

– Nie, ale...

– W takim razie mógł pana śledzić. Co Jon jej zrobił! Widział pan jej twarz?

Shaw znał ten ton i już wiedział, dokąd zmierza ich rozmowa – w ślepią uliczkę. Z kieszeni marynarki wyjął wizytówkę. Było na niej jego nazwisko i numer telefonu na kartę.

– Proszę zadzwonić, gdyby coś się pani przypomniało. A jeżeli zadzwoni Alli, proszę jej przekazać, żeby sprawdziła skrzynkę mejlową. Powinna przeczytać wiadomość od matki.

Wsunął wizytówkę pod zamkniętymi drzwiami z siatką.

Prawdopodobieństwo, że w ciągu trzydziestu sekund karteczka trafi do kosza?

Osiemdziesiąt procent.

W swojej pracy Colter Shaw nauczył się, że jedną z największych grup demograficznych na świecie stanowią niezaangażowani.

– Muszę już iść – poinformowała go Holmes i zamknęła drzwi. Nie podniosła wizytówki z podłogi.

Usłyszał szcęk zasuwki zamka i zakładanego na drzwi łańcucha. Wrócił do motocykla, po czym uruchomił silnik.

Pojechał pod drugi adres z listy, ale to spotkanie było niemal wierną powtórką pierwszego.

Następne też wyglądały podobnie. W piątym domu nie było nikogo – w każdym razie nikogo, kto byłby skłonny otworzyć drzwi nieznanemu.

Pod kolejnymi adresami znalazł bardziej życzliwych znajomych, ale ci, z którymi rozmawiał, twierdzili, że nie mogą mu pomóc, bo nic nie wiedzą, i wyczuł, że mówią szczerze.

Kiedy skończyły mu się adresy, zajął się listą telefonów. Siedział na siodełku yamaha na parkingu przed Walmartem, z notesem chybotliwie opartym o bak, i dzwonił. Odebrały cztery z sześciu osób. Spotkał się ze sporą dozą podejrzliwości, którą do pewnego stopnia rozwiewało wymieniane przez niego nazwisko Ruth Parker. Nikt nie miał pojęcia, dokąd Allison mogła pojechać. Pewien mężczyzna, który kiedyś był jej sąsiadem, poinformował go, niepytany, że Jon Merritt jest niezrównoważony i groźny. Na imprezie mieszkańców ulicy upił się i pobił z jednym z gości, ponieważ poczuł się przez niego obrażony.

– Facet jest zwykłym tyranem.

Pozostałym dwóm osobom, do których się nie dodzwonił, zostawił wiadomości i zastanawiał się, czy dzwonić do nich jeszcze raz.

Doszedł jednak do wniosku, że nie. To nie miało sensu. Źle się do tego zabrał.

Allison Parker, wybitny inżynierski umysł, jako uciekiniarka też na pewno korzysta ze swoich intelektualnych atutów.

Prawdopodobnie dokładnie obmyśliła plan ucieczki i nie zwierzała się z niego ani nie szukała pomocy u nikogo, o kim wiedział lub mógł się dowiedzieć jej były mąż – u osoby, którą on i Nilsson też bez trudu mogliby zidentyfikować.

Szukała schronienia u osoby albo w miejscu, o których Merritt nic nie wiedział.

Pasaż handlowy, przed którym siedział Shaw, znajdował się na stromej ulicy Humphrey Mountain Road, choć góra w jej nazwie była sporą przesadą. Formacja geologiczna wznosiła się na wysokość najwyższej trzydziestu metrów. Mimo to widział płaski krajobraz rozciągający się we wszystkie strony na odległość trzydziestu kilometrów. Na północy, jak ceglane nagrobki nad smętną rzeką Kenoah, wyrastało przemysłowe serce Ferrington. Na wschodzie, zachodzie i południu znajdowały się gęste przedmieścia, które kończyły się

gwałtownie na linii łąk, pól i lasów, roztapiających się w szarej mgle na horyzoncie Środkowego Zachodu.

Powiedz mi, Allison.

Dokąd się wybierasz?

Podobnie jak wszystkie zadania matematyczne, metodologia ucieczki zapewne była dla niej śmiesznie prosta.

Ale dla większości innych pozostawała zagadką.

W tym momencie poczuł wibracje telefonu. Zerknął na ekran.

**Być może mam trop ws. twojej prośby z rana. Motel w Ferrington. Za 15–20 minut
powinnam mieć nazwę i adres.**

Informacja nie pochodziła z lokalnego źródła, ale z miejsca odległego o wiele kilometrów.

Od Mack McKenzie.

Jego prywatna detektyw użyła swoich czarów.

Jon Merritt leżał na rozchwianym i skrzypiącym łóżku.

Spod przymrużonych powiek patrzył na słońce, które wpadało do motelowego pokoju przez podartą zasłonę w oknie i rozświetlało tysiące drobin kurzu zawieszonych w nieruchomym powietrzu.

Butelka bourbona Bulleit zostawiła ślad na jego boku, ponieważ we śnie częściowo leżał na niej. To mu przypomniało o ojcu, który nieraz zasypiał z butelką opartą o siebie w zielonym fotelu obitym imitacją skóry, gdy oglądał transmisje sportowe w telewizji. Wracał do domu, oznajmiał: „Pora wypalić z wieczornej rusznicy” i nalewał sobie pierwszą szklaneczkę. Kiedyś obudził się rano w tym fotelu, wściekły, że zawartość butelki wylała mu się na kolana. Z niewiadomego powodu winę za to miał ponosić Jon. W ruch poszedł pas.

Merritt usiadł prosto, po czym dźwignął się z łóżka i powlókł się do łazienki.

Będzie rzygać? Czekał.

Nie.

Dzięki...

Wziął prysznic, ubrał się, wsunął rewolwer do jednej kieszeni kurtki, zapas amunicji luzem do drugiej, a potem zgarnął połowę papierów i notatek Allison, których nie przejrzał wieczorem, i wcisnął je do plecaka.

Wyszedł w falę oślepiającego światła.

W pobliskim sklepiku kupił śniadaniowe burrito i kubek czarnej kawy, po czym zabrał je do małego parku nad rzeką. Nie pachniało tu zbyt ładnie, ale przyjemnie było usiąść na dworze.

Merritt zaczął jeść śniadanie. Z początku niepewnie, później z coraz większym apetytem. Nie czuł mdłości. Wypił łyk kawy, a potem odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy, skąpany w fali ciepła sięgającego głębiej niż wzbudzenie elektronów wywołane padającymi na niego promieniami słońca.

Rozkoszował się jednak tym uczuciem tylko przez kilka minut.

Wrócił do czekającego go zadania.

Wyjął telefon, uzupełnił zużyte minuty i otworzył internet. Jeszcze raz sprawdził Allison i Hannah w mediach społecznościowych, ale nie znalazł aktywnych kont.

Schował telefon i wrócił do dokumentów z domu swojej eks. Na wierzchu były prace pisemne Hannah, jej poezja i plik selfie. Następne karteczki, na których pojawiała się imię Kyle'a. Niektóre z datami i inicjałami. Przerzucił zdjęcia. Może któreś zostało zrobione w hotelu, na jakimś kempingu, w domu znajomego, dokąd uciekły? Nie. Po prostu ponure fotki zrobione przez ponurą nastolatkę. Czytał także wiersze, dopóki się nie zorientował, że tu też nie znajdzie żadnej wskazówki.

Zajął się plikiem papierów Allison. I po pięciu minutach trafił na coś, co przykuło jego uwagę.

Kopertę adresowaną do Allison, z datą na stemplu sprzed miesiąca. Był na niej adres zwrotny, którego nie znał. W środku tkwiła kartka z życzeniami. Była na niej akwarela przedstawiająca dwa motyle unoszące się nad stokrotką. Przeczytał tekst wiadomości w środku.

Dobrze, pomyślała jego dusza detektywa. Bardzo dobrze.

Wsunął kartkę do kieszeni kurtki, wstał i poprawił broń. Ruszył w drogę powrotną do motelu.

Myślał o obrazku wydrukowanym na kartce, którą Allison dostała od tej kobiety. O subtelnej akwareli i flirtujących owadach.

Pamiętał, że dawno temu oglądał program telewizyjny o motylach. Komentator mówił, że owszem, są piękne, potrafią nawigować nie gorzej niż GPS, mają dość energii i umiejętności, by migrować setki kilometrów.

Niewielu znało inny fakt o tych stworzeniach, który Jonowi Merrittowi wydał się zabawny: poza tym, że miały niebywałe zdolności, motyle były też bezwzględny i krwiożerczymi kanibalami.

Colter Shaw siedział w fotelu, którego tapicerka pochodziła z zeszłej dekady, a może nawet z zeszłego wieku. Musiał jednak przyznać, że był całkiem wygodny.

Znajdował się w małym pokoju małego motelu niedaleko rzeki Kenoah. Pod adresem, który ustaliła Mack McKenzie.

Z okna było widać parking. Pod ścianą jakiegoś magazynu spali dwaj bezdomni – wydawało mu się, że to mężczyźni. prostytutka paliła papierosa i przyglądała się przechodniom.

Shaw pomyślał o Sprzątaczu Ulic, seryjnym mordercy. Miałby świetnych kandydatów na ofiary.

Czyżby uważał zabijanie ludzi z marginesu za mniej niemoralne?

A może moralność w ogóle nic tu nie miała do rzeczy? I zabijał dla rozrywki albo z żądzy. Albo z nudy.

Shaw wrócił do lustrowania pokoju, w którym dostrzegł ślad obecności broni.

Amunicję, choć nie widział rewolweru.

Było tu bardzo niewiele rzeczy osobistych. Sam prowadził wędrowny tryb życia. Większą część roku spędzał w trasie, mimo to w winnebago miał przedmioty związane ze swoją rodziną: fotografię Posiadłości, przetwory zrobione przez matkę, zdjęcia dzieci na górskich wędrownkach, Ashtona trzymającego pstrąga, którego złowił nie wędką, lecz przygotowaną własnoręcznie linką z haczykiem, obrazki namalowane dla niego przez córki Dorion, wysłane przez ojca dokumenty, z powodu których Shaw wyruszył na poszukiwanie jego morderców.

Jeszcze raz zerknął na papiery, które przerzucił zaraz po wejściu do pokoju. Podobnie jak pociski stanowiły wyraźny dowód zbliżającego się zabójstwa.

Zabrzęczał telefon i Colter przeczytał odebraną wiadomość.

Odłożył wszystko dokładnie w takim samym położeniu i kolejności, w jakich znalazł rzeczy. Następnie wstał i cofnął się do rogu pokoju. Sięgnął do prawego biodra i wyjął czarnego glocka. Mocno zacisnął go w dłoni.

Rozległ się pojedynczy cichy szcęk, gdy karta wsunęła się do szczeliny czytnika. Drzwi uchyliły się powoli i do środka wkroczył mężczyzna ze wzrokiem wbitym w ekran telefonu.

Kiedy drzwi się zamknęły, Shaw odezwał się spokojnie:

– Mam cię na muszce. Nie ruszaj się.

Tykowaty Siergiej Lemierow stanął jak wryty.

Czyżby lekko zgarbił ramiona? Shaw nie był pewien.

– Pan Colter Shaw?

– Rzuć telefon. Podnieś ręce.

– Może rozmawiam z piękną kobietą. Nie będzie zadowolona.

Shaw milczał.

Nigdy nie wdawaj się w pogaduszki...

– No dobrze – mruknął Rosjanin.

iPhone poleciał na podłogę i odbił się od wykładziny.

– Odwróć się.

Mężczyzna spełnił polecenie i czarne paciorki oczu w kanciastej twarzy zmierzyły Shawa od stóp do głów.

– Prawą ręką wyjmij pistolet, kciukiem i palcem wskazującym. – Zauważył, że Lemierow jest praworęczny, ale w rosyjskim wojsku uczy się strzelania oburęcznego.

Rosjanin, nie mając ochoty popisywać się brawurą, ściśle zastosował się do instrukcji. Broń wylądowała na fotelu, na którym przed chwilą siedział Shaw. Colter rzucił mu plastikową opaskę zaciskową. Mężczyzna skrzywił się, ale skrępował sobie nią ręce. Nie próbował ukradkiem rozluźnić plastikowych kajdanek. Skutecznie unieruchomiły mu nadgarstki.

Shaw wskazał mu krzesło i mężczyzna usiadł, odrzucając do tyłu głowę, by odgarnąć z oczu pasmo długich blond włosów.

Rosjanin nie wyglądał na szczególnie zmartwionego. Shaw był łowcą nagród i specjalistą od zadań specjalnych wynajętym przez firmę Harmon Energy. Lemierow nie musiał się obawiać, że zabierze go do ciemnego zaułka i potraktuje tak, jak GRU pozbywało się porwanych przez siebie ludzi.

Colter zerknął na papiery, które wcześniej przeglądał. Mapy, swoje własne zdjęcia i zdjęcia kampera, notatki, nazwiska i adresy, które nic mu nie mówiły. Nie spieszył się, szukając w szczególności jakiegoś śladu Allison Parker. Nie należało przypuszczać, że Lemierow słyszał o niej osobiście, ale chciał zdobyć jej wynalazek. I Shaw musiał się upewnić, że naprawdę nie ma żadnego związku między akcją Jona Merritta a ADEB-em.

Nie było.

– Twoja praca domowa – powiedział do Rosjanina. – Masz plan marszruty. A ja jestem podróżnym.

Lekko zmarszczył czoło. Lemierow pewnie się zdziwił, że Shaw zna eufemizmy używane przez rosyjskie służby specjalne i oznaczające likwidację celu. Nauczył się ich od brata, który w świecie wywiadu czuł się jak ryba w wodzie.

Rosjanin otrząsnął się z zaskoczenia. Rozjaśnił twarz w uśmiechu.

– Co pan mówisz? Wszystko to słyszę pierwsze. A to? – Ruchem głowy wskazał papiery.
– To tylko z obserwacji, kiedy zacząłeś pan szukać tego ADEB.

Shaw nie zwrócił mu uwagi, że zdjęcia zostały zrobione po jego numerze z Ahmadem, Rassem i LeClaire'em.

Owszem, sprawa mogła dotyczyć urządzenia dezaktywującego reaktor Marty'ego Harmona, ale jeśli tak, to chodziło o przyszły plan kradzieży. Colter musiałby zostać zlikwidowany, a Harmon otrzymałby jasny komunikat: jeżeli nie dostaniemy dezaktywatora, będą konsekwencje.

Z drugiej strony sprawa mogła mieć charakter osobisty. Być może Lemierow był po prostu mocno urażony z powodu porażki.

– Kto to zlecił? Lepiej będzie, jeżeli mi powiesz.

– Ha, ha, panie Colter Shaw, chcesz prawdy? Okej. Prawdy? Chciałem cię tylko nastraszyć. Żebyś serio podszedł do negocjacji. Nikt nie krzywdzi włosa na głowie. Wracajmy rozmawiać bez ogródek... Pan nie pachniesz groszem. Mogę napchać tobie kieszeń. Rozliczymy się, przelejemy na konto w podatkowym raju. Sprowadzimy ekspertów. Mamy ubezpieczenie, gwarancje, żebyś pan bezpieczny i rodzina bezpieczna. Nigdy więcej tego. – Pokazał na papiery z planem doprowadzenia Shawa do „celu podróży”.

Shaw zmarszczył brwi.

– Skąd mam wiedzieć, że to dobre pieniądze? Kto wypisałby czek?

– Bogaty przyjaciel.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– On lubi dyskrecję. A może ona lubi dyskrecję.

– Musisz mieć swojego agenta.

– Dlaczego?

– Nie mówisz jak ktoś pochodzący z Bostonu albo Atlanty.

– A może urodziłem się w USA. Może mój agent to Bruce Springsteen! Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Ćwierć milion! Będziesz stać na wszystko.

– Powiedz mi, kto to jest.

Wygląd Rosjanina zmienił się w ułamku sekundy. Twarz wykrzywił mu grymas, głos zabrzmiał jak warczenie złego psa.

– Pieprzyć Abe Lincoln. To już niezabawne. Jak nie pomożesz, przyjdę w odwiedziny. W środku nocy. Powiem: „Dobry wieczór, panie Colter Shaw” i nic więcej już nie słyszysz. Może jak będziesz ze swoją kobietą. Niespodzianka i żegnajcie obie. – Wodził po pokoju dzikim, rozedrganym wzrokiem, jeżeli wzrok może drgać. Być może, podobnie jak Jon Merritt, Lemierow cierpiał na zaburzenia osobowości typu borderline.

Na dowód, że to trafna diagnoza, zaraz wróciła pogodna strona Lemierowa, a stało się to tak szybko, że transformacja przyprawiała o dreszcz grozy.

– Ale co nam z tego dzisiaj przyjdzie? Z twojego sprytnego planu? Ciekawe co. – Na jego twarzy malował się teraz niezmacony spokój. – Wiesz, co stanie się? Przyjdzie twoja policja i mnie zabierze. Posiedzę w celi godzinę, dwie, poznam ciekawych kolegów. Wypiję coca-colę. Potem przyjdzie adwokat i mnie wypuszczą. Co ty na to? Bo ja tu mam przyjaciół, aha, w stolicy stanu. Co sądzisz o tym? Dzwonię do nich, oni dzwonią do kogoś jeszcze, kończę coca-colę i wychodzę. – Zrobił nadąsaną minę. – I trzeba zacząć jeszcze raz. Strata czasu. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy? Wystarczy tobie tylko wejść do Harmon Energy, wyjść z dezaktywatorem i jesteś bogacz. – Uśmiechnął się konspiracyjnie.

Shaw wiedział, że są miejsca, gdzie ćwierć miliona oznacza bogactwo. Ferrington do nich nie należało.

Rozległo się pukanie.

Colter podszedł do drzwi, cały czas mierząc z pistoletu w tułów Lemierowa – w przyływie szaleństwa mógłby się rzucić na przybysza; wprawdzie miał skrupowane ręce, ale z przodu, więc mógł zadawać ciosy i dusić.

– Tak?

– Służba celna i graniczna – odezwał się chropawy kobiecy głos.

Uśmiech zniknął z twarzy jeńca.

Przyszli go aresztować federalni. Osoba we władzach stanowych, której płacił, nie miała tam żadnych wpływów. Shaw zadzwonił do swojego przyjaciela Toma Peppera, który załatwił zatrzymanie przez służbę celną i graniczną.

Do pokoju wkroczyli rośła kobieta i rośły mężczyzna w granatowych mundurach. W korytarzu stała jeszcze trójka funkcjonariuszy. Oni też nie byli ułomkami.

– Witaj, Colter – powiedziała kobieta.

– Cześć, agentko Gillespie – odrzekł, po czym przywitał skinieniem głowy ciemnoskórego muskularnego i barczystego mężczyznę. – I agencie Stahl.

Przyjrzeni się Lemierowowi. Gillespie, z blond włosami związanymi w kucyk, dała znak partnerowi, który podszedł bliżej i podczas gdy ona trzymała dłoń na broni, rozciął plastikową opaskę i skuł Rosjaninowi ręce z tyłu. Następnie zrewidował go i zabrał mu portfel, paszport, pieniądze i długi składany nóż, na który Gillespie spojrzała spod uniesionych brwi.

– Nie możecie! Nie popełniłem żadne przestępstwo!

Wzięła paszport i zrobiła zdjęcie pierwszej strony.

– Panie Lemierow, obecny tu pan Shaw złożył pod przysięgą oświadczenie, że widział u pana broń palną. Tę?

Shaw pokiwał głową.

– Kłamie!

– Do oświadczenia są dołączone pańskie zdjęcia z bronią.

Lenny Caster posługiwał się swoim canonem z wielkim kunsztem.

Stahl włożył lateksowe rękawiczki, rozładował pistolet, zablokował otwarty zamek i głośno odczytał numery seryjne, które Gillespie wpisała do telefonu.

– Proszę pana – dodała po chwili – jest pan w posiadaniu kradzionej broni palnej.

– Nie, nie! Kupiłem ją legalnie. Prywatnie. Wiem, co to druga poprawka do konstytucji.

– Czyli przyznaje pan, że kupił tę broń.

Może myślał, że powinien powiedzieć „znalazłem”. Obliznął wargi.

– Pomijając status broni, czy ma pan ważne pozwolenie na broń myśliwską albo świadectwo udziału w zawodach sportowych?

Znowu cisza.

– Wobec tego nie spełnia pan wymagań zawartych w rozdziale dwudziestym siódmym kodeksu przepisów federalnych, punkt 178.97, dotyczących posiadania broni palnej przez cudzoziemców niebędących imigrantami. – Odczytała przysługujące mu prawa.

– Chcę adwokata.

I coca-cole, dodał w myśli Shaw.

– Dostanie pan adwokata. – Stahl umieścił rzeczy osobiste Rosjanina w plastikowych torebkach na dowody rzeczowe.

Ruszyli w stronę drzwi, mocno trzymając go z obu stron za przedramiona.

– Lubisz boks? – zawołał przez ramię. – Ja lubię. Nigdy nie wiadomo, jaki koniec jest. Pierwsza runda wygląda super, druga runda też. I nagle bach, nokaut. No to pierwsza i druga runda dla ciebie. Ale ty sobie szybko nie gratuluj, panie Colter Shaw. Będą jeszcze następne rundy. Będą następne...

Allison Parker wystawiała ciało na gorący strumień z prysznicza.

Motel Sunny Acres był podrzędną norą, ale miał dwa atuty. Pierwszy polegał na tym, że recepcjonista zgodził się zrezygnować z obowiązku przedstawienia dowodu tożsamości, gdy atrakcyjna bizneswoman z córką poinformowała go z żalem – wspartym garścią gotówki – że zostawiła portfel w restauracji przy drodze numer pięćdziesiąt pięć, która jest już zamknięta.

Drugą zaletą był pierwszorzędnie działający bojler.

Oparła głowę o niebieskie płytki.

Niebieskie jak ściana przy prysznicu obok basenu, ściana z białą płaskorzeźbą konika morskiego z profilu, który mógł być komiczny, straszny albo zmysłowy.

Listopad zeszłego roku, piętnasty.

Parker siedzi w kuchni z kubkiem kawy, patrząc na śnieg i zasypany nim basen. W blasku reflektora płatki wirują jak drobiny żaru. Ona wpatruje się w te maleńkie białe fajerwerki. To spokojna scena, na widok białej kołderki przykrywającej ogród za domem zazwyczaj robi jej się ciepło na sercu – tak to uczucie określa. I czasem ją to bawi, gdy przychodzą jej do głowy tak sprzeczne skojarzenia. Dzisiaj jednak towarzyszy jej tylko niepokój.

Hannah porzuciła projekt z historii, nad którym wcześniej pracowała z Jonem, zanim gwałtownie wstał i odjechał w ciemność. Poszła się położyć. Minęła jedenasta. Na szklanym blacie stołu za plecami Allison leżą kawałki metalu i plastiku, lutownica i pistolet do kleju. Nie ma pojęcia, czego dotyczy projekt; to była sprawa taty i córki.

Była...

Parker będzie musiała napisać wiadomość do pani Talbott z prośbą o przesunięcie terminu oddania pracy.

Łyk kawy. Zupełnie bez smaku.

Serce staje jej w gardle, gdy słyszy dobiegający z zewnątrz głuchy łomot, trochę przytłumiony, ale na pewno spowodowany przez człowieka – nie brzmi jak trzask gałęzi, które od czasu do czasu poddają się ciężarowi mokrego śniegu.

Podchodzi do okna od frontu, odsłania zasłonę i patrzy. Zgadza się, samochód Jona nie wyhamował na podjeździe i przewrócił duży niebieski pojemnik na śmieci.

Miała nadzieję, modliła się, by się okazało, że przejazdka miała na celu po prostu przewietrzenie głowy.

A teraz z goryczą myśli o własnej naiwności.

Idzie do salonu, po drodze zaglądając do Hannah. Owszem, córka już poszła do łóżka, ale nie po to, by spać. Leży na wznak ze słuchawkami na uszach i wpatruje się w ekran telefonu, który oblewa jej twarz upiorną niebieskawą poświatą. Minęła już pora gaszenia światła, ale matka puszcza jej to płazem. Uznaje, że to dobry pomysł, by ogłuchnąć na wszelkie małżeńskie wymiany zdań tego wieczoru, i ma nadzieję, wbrew zasadom rozsądnego rodzicielstwa, że nastawiła muzykę cholernie głośno.

Zamyka na klucz drzwi od frontu, po czym wraca do kuchni i zapala światło na bocznej werandzie. Jeżeli będzie miała szczęście, Jon pójdzie po linii najmniejszego oporu: okrąży dom, wejdzie przez furtkę z boku, a potem prosto do kuchni.

Tam ona go przechwyci i zaprowadzi do sypialni. Może wsadzi go pod prysznic, ale prawdopodobnie mąż w ubraniu wyląduje w łóżku. Albo na podłodze. Jest na niej wykładzina. Kiedyś upadł na podjeździe, a kiedy indziej na betonowej posadzce garażu, gdzie potem obudził się tylko z bólem mięśni. Gdy alkoholik w stanie upojenia upada, najwyraźniej jest wtedy rozluźniony i giętki.

Klamka w drzwiach od frontu porusza się raz i drugi. Jon się nie dobija. Allison widzi jego sylwetkę brnącą przez śnieg tam, gdzie sobie życzyła. Światła przyciągają go do tylnego wejścia, którym przejdzie prosto do łóżka, omijając pokój Hannah. Gdyby wszedł od frontu, być może wsadziłby głowę, żeby ją zobaczyć, i jeszcze zaczęłyby pleść jakieś bzdury albo puścił pawia.

Znowu łomot, a potem trzask. Ominął garaż – zwykle nie pamięta kodu – i potknął się o śmieci.

Parker przechodzi do działania. Jeżeli Hannah zdejmie słuchawki i znowu dobiegnie ją jakiś hałas, na pewno wyjdzie sprawdzić, co się dzieje. A to będzie trudne – dla samej Parker. Córka zwykle smuci się z powodu ojca i złości się na matkę.

Wychodzi przez rozsuwane drzwi tarasu. Chłód szczypie w skórę i Allison żałuje, że nie narzuciła swetra, ale już za późno. Jon przeciska się przez furtkę w ogrodzeniu przy basenie i zatacza się wzdłuż tarasu. Gdzieś po drodze upadł i ma rozciętą głowę. Krew jest ciemna i zakrzepła w skorupę.

Podchodzi do niego.

– Nie zaczynaj – mamrocze Jon.

– Skaleczyłeś się.

– Co cię to obchodzi? Nigdy cię nie obchodzi.

Nie można odpowiadać na każde słowo i każdą myśl. Nie na tym to polega.

Najlepsza metoda to odwracanie uwagi i uniki.

Ma potargane włosy i ubranie w nieładzie.

– Dzwoniłaś dzisiaj do niego? – wścieka się.

– Uważaj. Jest ślisko.

– Aha, „uważaj” – przedrzeźnia ją. Chyba ma na końcu języka lepsze słowa, by ją zaatakować, ale ulatują mu z głowy.

Zapach whiskey jest bardzo silny. Jon mówił jej kiedyś, że po zapachu potrafi zgadnąć, ile wypił kierowca. Umiał z niezwykłą precyzją przewidzieć wynik badania alkomatem.

Stoją w zaspie rosnącej przy basenie obok płaskorzęźby konika morskiego. Parker drży, lśniące płatki śniegu osiadają jej na włosach. Głos Alexy Amazona podawał, że jest minus siedem stopni.

– Gdzie ona jest? – Jon patrzy przez szklane drzwi na stolik, na którym leży zeszyt Hannah i elementy projektu z historii. – Co jej dzisiaj mówiłaś? Nastawiasz ją przeciwko mnie. Na pewno!

– Jon, przestań. Proszę cię, po prostu przestań. – Wypowiada te słowa instynktownie. Nie odniosą żadnego skutku. Jak zawsze. On ich nie słyszy. Po co je mówić? Nie umie się jednak powstrzymać.

Mąż chwiejnym krokiem wpada za garaż i wymiotuje.

Jak gdyby to mogło mu pomóc oczyścić organizm. Ale oczywiście nigdy nie oczyszcza. Fizjologia działa inaczej.

Wraca.

– Wiem, co robisz. Wiem, co mówiłaś o mnie tym ludziom. Słyszałem. Chodzisz na te imprezy i wiem, co mówisz. To, co naprawdę o mnie myślisz. Wydaje ci się, że nie wiem? – Marszczy czoło. – Myślisz, że nie wiem, co jej o mnie mówisz? A ona... – Waha się, jak gdyby zapomniał imienia własnej córki. – Powiem jej. Zasluguje...

Parker łapie go za rękę. On odwraca się z oszalałym z furii wzrokiem.

A pięć minut później, najdłuższych minut w jej życiu, Allison Parker ze szlochem leży na wznak w zaspie puszystego śniegu – w bieli zbryzganej czerwienią. Konik morski też krwawi. Allison przyciska dłońią płatki rozciętej skóry na twarzy nad pękniętą kością policzka.

– Dlaczego mi to robisz? Dlaczego...

Allison Parker wyszła spod prysznic w pokoju 306 w motelu Sunny Acres.

Z kabiny niebieskiej jak niebieska ściana, z której wystawał profil konika morskiego.

Łzy mieszają się ze skroploną parą.

Powtórzyła sobie surowym tonem to samo, co mówiła tego ranka. Kilka razy.

Nie myśl o tym.

Wytarła się. Jednym ręcznikiem owinęła włosy. Drugim okręciła ciało.

Pomyślała o ręczniku ze SpongeBobem.

O zadaniach matematycznych, z którymi jej genialna córka rozprawiała się błyskawicznie.

O planowanej pizzy i o tym, jak dowiedziała się o Kyle'u.

O ostatnich chwilach przed eksplozją świata.

Czy to było wczoraj, czy dziesięć lat temu? A może sto?

Wróciła do zimnego pokoju. Gdy szła do łazienki, Hannah drzemała, ale już obudzona skakała po kanałach.

Ciekawe, w jakim dzisiaj jest nastroju?

Na widok uśmiechu córki Parker zrobiło się ciepło na sercu.

– Hej!

– Dzień dobry, śpiochu.

Matka zauważyła, że na drzwiach pokoju nie wisi łańcuch.

– Wychodziłaś gdzieś?

– Tylko do recepcji. Spytać o śniadanie. Nic tu nie mają.

Parker nie spodziewała się, by Sunny Acres oferował gościom menu smakosza, sądziła jednak, że mogą przynajmniej liczyć na kawę, herbatę i jakieś ciastko.

– Ale recepcjonista powiedział, że kawałek dalej przy tej drodze jest knajpka. Podobno znana. I oferują dowóz. – Podała matce menu i oznajmiła: – Chcę gofry.

40

Moll rozwiązał krawat i rozpiął koszulę. Manipulując buteleczką benadrylu pod tkaniną, zaaplikował go na ramiona, które dzisiaj swędziały go bardziej.

Pieczenie przenosiło się z jednego miejsca na drugie. Wczoraj szyja i ręce. Kilka dni wcześniej klatka piersiowa. Co to było, do cholery, i skąd się wzięło?

Dzięki magicznej substancji poczuł pewną ulgę.

– Alergia dokucza?

– Po prostu nie chce przejść – wyjaśnił Desmondowi.

Wiele razy zastanawiał się, gdzie mógł się tego nabawić. W końcu chyba znalazł odpowiedź. Mniej więcej sześć tygodni temu dostał zlecenie – miał zlikwidować kierowcę ciężarówki. Facet zrobił coś, czego nie powinien był robić, albo powiedział coś, czego nie powinien był mówić, albo wkurzył niewłaściwego człowieka, w każdym razie musiał pójść do odstrzału. Dobre pieniądze. Desmond był zajęty, więc Moll załatwił to w pojedynkę. Wykonał robotę tam, gdzie facet pracował, na jego ciężarówce, która utknęła u brzegów dopływu Kenoah. Potem wywlókł ciało z kabiny i zataszczył na oddalony o wiele kilometrów, dawno opuszczony teren przemysłowy, aby się go pozbyć. Albo Kenoah, albo zbiornik, w którym zatopił zwłoki, były zanieczyszczone jakimś strasznym syfem. Źródłem uczulenia musiała być woda. Wcześniej nigdy nie miał problemów tego rodzaju. Na przyszłość musi ostrożniej wybierać miejsca na robotę. To mu przypomniało, że powinien skontaktować się ze swoim dostawcą farb.

Obaj mężczyźni z kartonowymi kubkami kawy w rękach siedzieli na przednich fotelach forda transita. Desmond odłożył wierzbową gałązkę i ze wzrokiem wbitym w ekran swojego komputera szukał mamy niedźwiedzicy i małej misi.

Merritt też się za nimi rozglądał. Żadnemu jeszcze nie udało się trafić na ich ślad.

Moll westchnął.

– Pospiesz się i czekaj.

– Co? – Desmond nie zrozumiał.

– Tak się mówi w wojsku.

– Przecież nie byłeś w wojsku.

– Mój tato był – odparł Moll. – „Pospiesz się i czekaj”. Wypruwasz z siebie flaki, żeby gdzieś się dostać, a potem siedzisz kołkiem. Dziwne, ale nie mam nic przeciwko siedzeniu w zasadzce i czekaniu na kaczki albo wapiti.

– Albo dzika.
– Albo dzika. – Moll napił się kawy. – Ale tego mam już dość. To się ciągnie za długo.
– Pospiesz się i czekaj. – Desmond uśmiechnął się na te słowa, jakby znalazł na ulicy błyszczącą ćwierćdolarówkę.

Kolejny łyk.

– Prosznie... – szepnął Moll.
– Słuchaj, myślisz, że Merritt naprawdę jest stuknięty? – spytał Desmond.
– Moim zdaniem tak. Mógłby spokojnie dostać wariackie papiery.
– Ciekawe, co to właściwie jest. Kto wydaje wariackie papiery?

Moll zastanowił się nad tym.

– Pewnie władze. Mają jakiś wydział psychiatryczny.

Desmond prychnął drwiąco.

– I ktoś w stanowym urzędzie, kto pobiera pensję z naszych podatków, nie robi nic innego, tylko decyduje: wariat, normalny. I wbija pieczątki. Tego do domu bez klamek, a tego wypuścić. Następny. – Pac, pac. – A ta żona? Dlaczego właściwie tak bardzo zależy mu, żeby zginęła?

– Wniosła zarzuty. Prosto z przyjemnej posadki gliniarza trafił do pudła. Zrujnowała mu życie. Nie chciała wiernie przy nim trwać – dodał Moll.

– Jest taka piosenka, nie?

– Chyba. Ale to nie wszystko. Podobno ma na niego coś, a on nie chce, żeby to wyszło na jaw.

– Ech, kobiety. – Pac, pac.

VapoRub nie wystarczy, uznał Moll. Żeby przeprowadzić operację Edgara w Ralston, będzie potrzebna maska i butla z tlenem. Miał gdzieś butlę. Może...

– Jasna cholera. – Desmond nagle się wyprostował. Patrzył w monitor.

– Co?

– Popatrz. – Obrócił laptop w jego stronę.

To było zdjęcie na Instagramie.

– Niemożliwe – powiedział Moll.

Ale miał to przed oczami.

– Możemy tam być za dwadzieścia minut – stwierdził Desmond. – Trzeba sprowadzić psychologa.

Moll miał na końcu języka pytanie, kogo ma na myśli, ale zaraz się zorientował: Jona Merritta, gościa na wariackich papierach.

Colter.

W głosie Marty'ego Harmona Shaw usłyszał ton paniki.

– Tak?

– Merritt dopadł adwokata Alli.

Shaw, który siedział przy stoliku w swoim kamperze, odstawił kubek świeżo zaparzonej kawy. Nie zdążył jej jeszcze skosztować.

Prezes Harmon Energy wyjaśnił, że prawnik nie wrócił na noc do domu. Jego samochód znaleziono porzucony w parku obok rzeki, półtora kilometra od jego biura.

– Szczegóły?

– Nie znam. Boże. Dave był też moim przyjacielem. Należeliśmy razem do Klubu Rotarian.

Czyżby Merritt go torturował, a potem zabił, gdy adwokat nie mógł mu nic zdradzić na temat miejsca pobytu Allison?

– Skąd się dowiedziałeś?

– Dzwonili z policji i pytali, czy miałem jakieś wiadomości od Alli, czy coś o tym wie.

– Porozmawiam z nimi.

Shaw rozłączył się i zadzwonił pod numer centrali komendy policji Ferrington, rzucił nazwiskiem Harmona i po trzech minutach został połączony z Dunfrym Kempem.

– Tu Colter Shaw, detektywie.

– Tak? – Głos świadczył o znużeniu. Z powodu tego telefonu czy może w nocy powiększyła się sterta dokumentów?

– Podobno zaginął adwokat pani Parker.

Chwila namysłu.

– Proszę to zachować dla siebie.

Czyli nie zdradzać prasie.

– Dobrze.

– Kamera monitoringu przy jednym z lokali usługowych na Czwartej Ulicy uchwyciła mężczyznę w czarnej kurtce – takiej, jaką tego dnia nosił Merritt – wsiadającego do samochodu pana Steina. Ten człowiek miał broń. Potem odjechali. Samochód znaleziono pusty nad Kenoah około szóstej rano.

– Czyli jest uzbrojony. – To oznaczało poważną komplikację. – Są jakieś ślady walki? Krew?

– Na razie nic nie wiem.

– Rozmawialiście z kimś z jego biura? Może ktoś coś widział?

– Z jego sekretarką i aplikantką w jednym. Nie kontaktował się z nią, odkąd wróciła do domu około piątej.

– Mogę z nią pogadać?

Gotowość Kempa do współpracy nie sięgała tak daleko.

– Nic nie wie. Zresztą chce wziąć kilka dni wolnego. Boi się Merritta.

– Zostawiłem panu wiadomość o monitoringu w hrabstwie Marshall.

– Ach, tak. Dzwoniłem. Nie odezwali się. – Detektyw zasłonił mikrofon i Shaw usłyszał, jak przytłumionym głosem mówi coś do kogoś innego.

– Czyli mamy teraz śledztwo w sprawie poważnego przestępstwa – zauważył Shaw.

– To prawda. Wysłaliśmy funkcjonariuszy patrolu, żeby przeszukali okolicę, w której znaleziono samochód.

– Przydzielono do sprawy detektywów z wydziału zabójstw?

– Mamy tu wydział kryminalny. Zajmą się tym.

Shaw miał już tego dość.

– Jeszcze się nie zajęli?

– Nie. Ale ci dwaj funkcjonariusze z patrolu to weterani. Przesłuchali świadków na Czwartej Ulicy, a potem przenieśli się nad rzekę, żeby przeszukać teren.

– Ma pan ich raport?

– W tej chwili nie. – Poza znużeniem w jego głosie zabrzmiała też nuta sprzeciwu.

– Jeżeli zdarzy się coś nowego w sprawie, zadzwoni pan do mnie, detektywie Kemp?

– Mam przed sobą pana wizytówkę, panie Shaw.

Rozłączyli się.

To na nic.

Colter skosztował stygnącej kawy. Ledwie przełknął, a telefon znowu zabrzączał.

– Mack.

– Otwórz komputer – poleciała mu jego detektyw.

Przysunął sobie laptop, uruchomił go i włączył router.

Po długich trzydziestu sekundach powiedział:

– Mam.

– Sprawdź skrzynkę mejlową.

Pierwsza wiadomość była od niej. Z dołączonym zrzutem ekranu ze zdjęciem na Instagramie. To było selfie – przedstawiało uśmiechniętą Hannah Merritt w wełnianej czapce i dresowej bluzie, która patrzyła prosto w obiektyw aparatu.

Znacznik czasu na fotografii wskazywał, że zrobiono ją czterdzieści minut temu.

– Myślałem, że zamknęły wszystkie konta w mediach społecznościowych.

– Tak było. A dziewczynie wystarczyła pewnie minuta, żeby założyć nowe konto. Przyglądając się zdjęciu, powiedział:

– Tło.

– Właśnie.

Ogarnęło go takie samo podniecenie jak podczas polowania na jelenie czy wapiti, gdy dostrzegł świeży trop pozostawiony przez przyszlą kolację jego rodziny. Albo kiedy odkrywał pierwszą wskazówkę prowadzącą do ofiary porwania.

Uważnie przyjrzał się zdjęciu. Można było dostrzec miejską wieżę ciśnień, pomalowaną na niebiesko – żeby nieco mniej szpeciła krajobraz. Było widać pięć liter: HILLS.

– W tej części stanu, w której jesteś, na północ od Ferrington, to musi być Thompson Hills – wyjaśniła Mack. – Obejrzałam zdjęcia z Google Earth. Selfie zostało prawdopodobnie zrobione na parkingu z tyłu za motelem Sunny Acres. Nie należy do żadnej sieci. Allison mogła zapłacić gotówką i podać fałszywe nazwisko. Powiedziała, że ucieka przed agresywnym mężem albo że zgubiła dokumenty. A w recepcji nagieśli przepisy.

Shaw wpisał do GPS-u nazwę motelu.

Miał do niego dwadzieścia siedem minut drogi.

Pokój numer 306 w motelu Sunny Acres był klaustrofobiczny i cuchnął. Mimo to zdaniem Allison Parker obie panie radziły sobie całkiem nieźle. Nic nie burzyło kruchego rozejmu, jaki zawarły tego ranka.

Jedzenie miało niebawem dotrzeć do motelu. Duży ekran telewizora wyświetlał sitcom Disneya z gatunku tych, jakie powstają przede wszystkim dla dziecięcej widowni, ale tu i ówdzie wrzuca się bardziej wyrafinowany żart z myślą o rodzicach, zmuszonych oglądać serial razem z dziećmi.

Heurystyczny plan Parker zakładał, że spędzą tu jeszcze dwa dni i jeżeli do tego czasu Jon nie zostanie zatrzymany, to pojedą dalej na północ do „kryjówki”. Wysłała wiadomość do właściciela i w odpowiedzi dostała:

Wszystko czeka. Informuj, co się dzieje. Uważajcie na siebie...

Sprawdziła wiadomości w komórce. Nie było nic o Jonie.

Zadzwoiła do swojego adwokata, by sprawdzić, czy czegoś się dowiedział. Nie odebrał. Nie zostawiła mu numeru telefonu na kartę, nagrała mu tylko wiadomość, że zadzwoni później. Zirytował ją brak informacji od niego. Miał przecież być jej łącznikiem ze światem zewnętrznym i składać bieżące raporty.

Otworzyła laptop i przejrzała prezentację, nad którą ostatnio pracowała. W publicznych wystąpieniach umiała błysnąć dowcipem, zawsze jasno formułowała myśli i była świetnie zorganizowana. Marty często wyznaczał ją do przedstawiania prezentacji inwestorom i potencjalnym klientom. Małe reaktory modułowe były niezwykle złożonymi urządzeniami, a Parker miała niezwykle talent do tłumaczenia skomplikowanych zagadnień na język zrozumiały dla laika.

Czy ucieczka Jona będzie miała wpływ na jej wystąpienie zaplanowane na przyszły tydzień?

Boże, jeżeli do tej pory go nie złapią...

Na ekranie telewizora po disnejowskim happy endzie pojawiły się napisy końcowe.

Zauważyła, że Hannah spogląda przez ramię na monitor jej laptopa. Żaden nastolatek na świecie nie umie się oprzeć ekranowi.

– Czad – powiedziała dziewczyna. – Mega grafika.

Parker przejechała wskaźnikiem myszy niebieską kropkę na boku reaktora, który przedstawiał wyświetlany na ekranie slajd.

– Przecież to twój wynalazek, PETEP!

Parker przytaknęła. Podobnie jak ADEB, PETEP, czyli „pojemnik transportowy na paliwo”, był jej dziełem, chronionym patentem urządzeniem, dzięki któremu Ministerstwo stało się unikatowym i atrakcyjniejszym niż inne typem małego reaktora modułowego. Tradycyjna metoda polegała na tym, że eksperci ostrożnie ładowali pręty uranowe do rdzenia, a po zużyciu równie ostrożnie je usuwali. Transport z zakładów wzbogacania uranu i w miejsce składowania odpadów zawsze niósł ze sobą pewne ryzyko. Wynaleziony przez Parker PETEP był niezależną kapsułą, praktycznie odporną na uszkodzenia, którą mógł zamontować i wymontować zwykły robotnik.

Zadzwoił telefon. Parker po chwili wahania odebrała.

Nie było powodu do obaw. Przywieziono zamówione dania. Poszła do holu, żeby zapłacić kurierowi.

Po powrocie do pokoju nakryła do śniadania na łóżku. Gofry z bekonem dla mamy, z owocami leśnymi dla córki. Z prawdziwą bitą śmietaną i sztucznym syropem. W tych okolicznościach troska dziewczyny o linię schodziła na bardzo daleki plan.

Każda z nich dostała kawę.

Podając córce plastikowy talerz, Parker zerknęła na slajd ukazujący ADEB.

– Opowiedzieć ci coś? Wiesz, że jeden z pracowników ukradł to urządzenie? Był szpiegiem. Chciał je sprzedać konkurencji.

– Ukradł? No coś ty!

– Toś ja. – Uśmiechnęła się. – Wczoraj rano dzwonił do mnie pan Harmon i powiedział, że zatrudnił fachowca, który odzyskał dezaktywator.

– Złodziej pracował w twoim dziale?

– Nie, był z IT.

– Informatycy – powiedziała Hannah. – Za cholerę nie można im ufać. Przypomnij sobie *Matrix*... Znałaś go?

– Nie. Pracował w budynku numer pięć.

– Tym nowym. – Hannah znała firmę prawie tak dobrze jak matka. Parker często prosiła córkę, żeby po lekcjach przychodziła do biura. Przed piętnastym listopada chciała ją uchronić przed przebywaniem w domu w towarzystwie pijanego i nadpobudliwego ojca. A potem dręczona paranoicznymi obawami po prostu lepiej się czuła, gdy miała córkę blisko siebie.

– I co się stało? Przymknęli tego gnoja?

Matka nie zwróciła jej uwagi z powodu tego wyrażenia.

– Nie wiem. – Nie dodała, że nie miała okazji porozmawiać z Martym o losie szpiega, bo tuż po odzyskaniu ADEB-u musiały uciekać.

– Chyba nie możesz narzekać, że twoja matka ma nudną pracę, co? – Pod wpływem impulsu uścisnęła dłoń dziewczyny, a po chwili, która przeciągała się w nieskończoność – odwzajemniwały gest czy nie? – Hannah przysunęła się do matki, zarzuciła jej ręce na ramiona i wtuliła głowę w jej szyję.

Allison lekko przycisnęła ją do siebie i ze wszystkich sił starała się powstrzymać łzy.

Tam. – Siedzący za kierownicą vana Moll wskazywał na wieżę ciśnień Thompson Hills.

Budowla wystawała jak niebiesko-srebrny statek kosmiczny, który górował nad szczeniastymi ścierniskami i niskimi brązowymi budynkami kolejnego przegranego fabrycznego miasteczka.

Desmond popatrzył na wieżę spod przymrużonych powiek.

– Czyli mała zrobiła sobie zdjęcie tam z tyłu, za budynkiem. – Patrzył na parking za motelem Sunny Acres.

– Od tego neonu można oślepnąć. – Moll mówił o dużym różowym napisie WOLNE POKOJE. Przypuszczał, że gdyby podejść blisko świetlistych liter, pewnie byłoby słyhać, jak skwierczą.

Przejechali przez parking, powoli zataczając łuk i skręcając za obskurny motelik. Wiedzieli, że kobieta nie podróżuje już toyotą 4runner; wypożyczyła inne auto, którego marka i model pozostawały zagadką.

– Sprawdzamy każdy wóz? – spytał Desmond. – Ustalimy, który jest ich. I dopadniemy ich, gdy wyjdą.

Moll pokręcił głową.

– Zostawiłyby w samochodzie coś, co pozwoliłoby je zidentyfikować? Pewnie zabrały wszystko do pokoju. Moim zdaniem lepiej wejść i pogadać z recepcjonistą.

– Może być. Gdzie Merritt?

– Niedaleko – odrzekł Moll.

– Nie czekamy na niego?

– To nie jest konieczne. Pakujemy dziewczyny do vana, trochę uspokajamy i jedziemy gdzieś zaczekać na niego.

– Do vana – powtórzył wolno Desmond z uśmiechem zadumy, który wzbudził w Mollu najwyższy niepokój.

Kominiarki i rękawiczki.

Niewygodne. Nie mieli jednak wyboru. Dzisiaj we wszystkich motelach, nawet w nieszczęsnym Sunny Acres, były kamery. Mogliby spróbować zabrać twardy dysk, ale nie mogli zapominać o zabezpieczeniu w postaci chmury.

Szybkim krokiem weszli do holu z pistoletami gotowymi do strzału. Teraz ludzie powszechnie noszą ukrytą broń. Moll zawsze wychodził z założenia, że każdy powyżej piętnastego roku życia jest uzbrojony.

– Boże – jęknął pucołowaty recepcjonista. Na jego twarz i łysą czaszkę wypełził ognisty rumieniec. Poderwał ręce. Gdy się odezwał, wyrzucił z siebie jedno długie zdanie, bez żadnych pauz.

– Weźcie pieniądze ale nie ma za dużo goście najczęściej płacą kartą kredytową na pewno rozumiecie dam wam kartę do bankomatu PIN to osiem osiem dziewięć dziewięć weźcie wszystko...

Cios, jaki wymierzył mu w twarz Desmond, wydał się Mollowi odpowiednio solidny.

– Nie, nie, nie! – Mężczyzna odsunął od twarzy dłonie i zobaczył na nich krew. Czerwień wzbudziła w nim chyba taką samą grozę, co ból.

– Chodzi o gościa. Allison Parker i jej córkę. Przyjechały wczoraj.

– Nie znam tego nazwiska, nie ma tu nikogo takiego, proszę pana, to naprawdę mały motel i z matką robimy wszystko, żeby...

Teraz rąbnął go Moll. W szczękę. Mężczyzna wrzasnął.

– Wiesz, o kim mówimy.

– Pokój trzysta sześć, proszę pana, trzysta sześć.

Odprowadzili udręczonego recepcjonistę do biura.

– Nic o was nie wiem oczywiście nie widziałem waszych twarzy przecież macie kominiarki nie zwróciłem uwagi na wasze ubranie wzrost ani nic takiego zresztą i tak mam kiepską pamięć i wszyscy o tym wiedzą...

Gdy Moll zwinął dłoń w pięść, facet zamknął się, przymrużył oczy i odwrócił głowę.

– Dysk z nagraniem z monitoringu.

Mężczyzna ruchem głowy wskazał czarną skrzynkę z trzyipółcalowym dyskiem. Moll wyrwał go z obudowy i wepchnął do kieszeni.

Desmond nałożył mężczyźnie plastikową opaskę zaciskową, Moll znalazł rolkę taśmy do pakowania, którą zakleił mu usta. Zostawili go na podłodze, by dręczył się myślą, że właśnie podpisał wyrok śmierci na dwójkę motelowych gości.

Ruszyli korytarzem prowadzącym do pokoju, mijając po drodze kostkarkę do lodu i automaty z jedzeniem. Na końcu wisiła reprodukcja przedstawiająca wieżę Eiffla. Dlaczego akurat ją? Moll nie miał pojęcia. Tabliczka informowała, że po prawej znajdują się pokoje od 301 do 319. Szybko skręcili w tę stronę.

Kiedy zbliżali się do drzwi z numerem 306, z pokoju naprzeciwko wyszła para starszych ludzi. Oboje byli ubrani w kolorowe dresy, ona w różowy, on w niebieski. Głowę mężczyzny zdobiła czapka bretonka w jodełkę. Stanęli jak wryci i trudno im się było dziwić.

– Ojej... – szepnęła kobieta.

Moll zerknął na Desmonda, który poradził:

– Kochani, wejdźcie na chwilę z powrotem. – Zaprowadził ich do pokoju i zamknął drzwi.

Wyszedł stamtąd trzy minuty później.

– Nazwał mnie skubańcem. „Skurwysyn” chyba nie przeszedłby mu przez usta. Nie lubię takich ludzi.

Podeszli do pokoju 306. Moll przysunął ucho do drzwi i nasłuchiwał. Wyłowił dźwięk włączonego telewizora. Pociągnął nosem.

– Kawa i bekon.

Działając od paru dobrych lat w branży produkcji i usuwania zwłok, Moll poznał kilka skutecznych sposobów forsowania drzwi. Nauczył się lockpickingu i praktykował tę sztukę z dużą zręcznością. Potem jednak hotele zaczęły stosować elektroniczne zamki i karty, co było równie irytujące jak odkrycie DNA.

Istniała jednak stara i niezawodna metoda.

Zerknął na Desmonda, który skinął głową. Moll cofnął się o krok, głęboko zaczerpnął tchu, co z jakiegoś powodu mu pomagało, i z całą siłą masywnej prawej nogi uderzył stopą w rozmiarze dwanaście w drewno tuż pod zamkiem.

Colter Shaw wjechał kamperem na spękany asfalt parkingu motelu Sunny Acres niedaleko drogi numer dziewięćdziesiąt dwa.

Nawet w jaskrawym świetle dnia trudno było tu dojrzeć słońce, które miał w nazwie obiekt otoczony trawiastym terenem zawalonym śmieciami. Z każdej strony widniały niskie zabudowania przemysłowe, jeżeli w ogóle było coś widać między zielonymi listwami w ogrodzeniu z drucianej siatki. W głębi rosła wysoka trawa, z której wystawały zardzewiałe maszyny i urządzenia przypominające przyczajonych żołnierzy czekających na rozpoczęcie potyczki.

W oddali wznosiła się charakterystyczna wieża ciśnień.

Sprawdził glocka 42. Płaski pistolet miał sześć naboji w magazynku plus jeden w komorze. Czasem Shaw nosił zapasowy magazynek – zawsze na lewym biodrze, tak jak uczył go ojciec. Czasem dwa. Dzisiaj przypiął od wewnątrz paska dwie skórzane ładownice. Wyciągnął na wierzch koszulkę polo, by zasłonić broń; zwykle była widoczna pod skórzaną kurtką, kiedy się schylał lub odwracał.

Jedna z zasad jego ojca, w rzadkiej dla niego formie wierszowanej, brzmiała:

Nigdy nie odsłaniaj, co masz do schowania...

Z dłonią w pobliżu rękojeści pistoletu, szybko zmierzał do recepcji motelu, rozglądając się za pikapem Merritta albo toyotą 4runner należącą do Parker. Na parkingu nie było żadnego z tych pojazdów, przy czym nie miał wątpliwości, że Allison zmieniła wóz. Był wśród tych, które tu stały? Dostrzegł parę sedanów, parę SUV-ów, białego forda transita, dwie ciężarówki z naczepami. Wiele pojazdów miało rejestracje spoza stanu, ale jeden z nich mógł być wypożyczony przez Parker; tego rodzaju firmy stale przesuwają swoją flotę w różne miejsca kraju.

W recepcji nie było nikogo.

Wcisnął przycisk dzwonka na ladzie. Na ten dźwięk nikt nie zareagował.

Shaw wyciągnął broń, wszedł do korytarza i zapukał do drzwi biura.

Usłyszał zduszone stęknienie.

I łomot.

Wpadł do środka z uniesionym glockiem, którego trzymał oburącz. Zobaczył skrępowanego i zakneblowanego recepcjonistę, który rzucał się jak oszalały, usiłując się wyswobodzić. Korpulentny mężczyzna, którego twarz, koszulkę i dłonie pokrywała śliska

warstwa krwi, na widok uzbrojonego Shawa wpadł w jeszcze większą panikę i próbował odpełznąć w głąb klitki, jak gdyby miał się tam gdzie ukryć.

Shaw zerwał mu taśmę z ust.

– O Jezu...

– Kiedy on tu był?

– Ja krwawię!

– Kiedy?!

– Pięć minut temu.

– Uzbrojony?

– Obaj są uzbrojeni.

– Obaj?

– Przyszli we dwóch.

We dwóch? O co chodzi? Merritt z kimś jeszcze? A może ludzie, którzy dla niego pracują?

– Niech ich pan szybko opisz.

Zawahał się.

– No! – warknął Shaw.

– Duży gość w garniturze, drugi w beżowej kurtce. Chudszy. Zamaskowani. Mają pistolety. Wielkie. Chcieli mnie zabić!

– Który pokój?

– Chcieli...

– Drugi raz nie będę pytał.

– Trzysta sześć.

Shaw otworzył składany nóż i rozciął plastikową opaskę.

– Niech pan dzwoni na policję.

Z pistoletem w dłoni szybko pokonał zalatujący lizolem korytarz. Drzwi do pokoju 306 zostały wyważone kopniakiem. Wsunął się powoli do środka, trzymając broń nisko w prawej ręce.

Nigdy nie wystawiaj przed siebie ręki z bronią, gdy nie widzisz, co kryje się za drzwiami...

Wewnątrz wykonał obrót na ugiętych nogach, sprawdzając każdy zakamarek, w którym można by się ukryć.

Wszystkie drzwi były otwarte – do łazienki, do szafy. Pokój był pusty. Na łóżku i na podłodze leżały rozsypane resztki śniadania. Obok walały się części garderoby i przybory toaletowe.

Ekran telewizora wyświetlał film rysunkowy dla dzieci.

Shaw wrócił do biura.

– No i co? – Głos recepcjonisty drżał.

– Nikogo tam nie ma – odparł Shaw. – Ci dwaj mężczyźni i goście spod trzysta sześć wychodzili? Widział pan?

– Nie. Chcieli mnie zabić!

Gdyby chcieli, już by to zrobili.

Recepcjonista wskazał na telefon.

– Dzwoniłem do szeryfa. Patrol jest w drodze.

– Czym przyjechali ci mężczyźni?

– Nie wiem. Nagle weszli z bronią.

Shaw wyrzwał przez brudne okno. Zniknął kanciasty van.

– Ktoś z gości jeździ białym fordem transitem?

– Nie wpisują tego przy meldunku.

Na osiemdziesiąt procent to był ich wóz.

– Zapis z monitoringu – zażądał Shaw.

– Zabrali twarde dyski.

– W którym hrabstwie jesteśmy? Marshall?

– Tak.

Shaw wybiegł z budynku. Na dziewięćdziesiąt procent oceniał prawdopodobieństwo, że stróża prawa w innym hrabstwie niż Ferrington nie będą mieli wiele współczucia dla Jona Merritta – w każdym razie nie po tym, jak zabił adwokata Allison i włamał się do pokoju motelowego. Mimo to nie chciał polegać na uciążliwych procedurach policyjnych. Postanowił ruszyć w pościg sam, na motocyklu. Mieli nad nim przewagę, ale niewielką. Bez trudu mógł ich dopędzić.

Tylko dokąd pojechali?

Prawdopodobnie z powrotem do drogi pięćdziesiąt pięć, głównej arterii biegnącej z południa na północ.

Ale tylko prawdopodobnie. Gdyby popełnił błąd, zgubiłby ich zupełnie.

Schował pistolet. Zobaczył, jak rodzina – mąż, żona i dwóch nastoletnich synów – pakuje swojego SUV-a. Spytał, czy widzieli białego transita wyjeżdżającego z parkingu. Miał już przygotowaną bajeczkę, że kierowca zostawił w recepcji telefon i on chce mu go oddać – miał gdzieś, co ci ludzie pomyślą o wiarygodności tej historyjki.

Nie musiał niczego zmyślać. Ojciec powiedział, że bardzo chętnie by pomogli, ale nie widzieli takiego samochodu. Żona potwierdziła jego słowa skinieniem głowy. Shaw im uwierzył.

Gdy szukał na parkingu innych gości, spojrzął na swój kamper. Podeszedł do wozu i gdy stanął przy nim z tyłu, zacisnął usta.

Mógł zapomnieć o szybkich pościgach.

Obydwie opony yamaha zostały przecięte.

Na dodatek to samo stało się z jednym kołem winnebago.

O proszę.

Detektyw Jon Merritt kuca obok niedokończonej instalacji ściekowej – wybudowanej do połowy i porzuconej z powodu niedoboru materiałów i sprzętu. Tego jesiennego popołudnia niebo jest bezchmurne, temperatura nietypowo wysoka. W powietrzu unosi się mocny zapach błota i gnijących liści.

Właśnie podważył pustak kawałkiem drutu zbrojeniowego i odsunął go na bok, a teraz kieruje snop światła latarki do wnętrza rury o średnicy trzydziestu centymetrów, która miała prowadzić do miejskiego systemu kanalizacji, ale prowadzi donikąd.

Rozgląda się. Nikogo. Ale niedaleko jeżdżą dzieciaki na deskorolkach. Poznaje po szumie i stukocie kółek pędzących po betonie. Hannah przez pewien czas próbowała tego sportu. Złamała rękę w nadgarstku i na tym się skończyło.

Partner Merritta, Danny Avery, rozmawia z ludźmi w pobliskich budynkach, szukając kogoś, kto będzie umiał opisać robotników z budowy, podać nazwy namalowane na pikapach, buldożerach i betoniarkach, potwierdzić, czy przed budową parkowały jakieś limuzyny.

Merritt ma dokumenty, z których wynika, że wylanie fundamentów i wsadzenie w ziemię kilku rur – tych prowadzących donikąd – kosztowało miasto dwa miliony siedemset tysięcy dolarów. Za prace warte trzydzieści tysięcy.

Detektyw zagląda do wnętrza rury i rozprasza ciemność blaskiem latarki. Widzi gruz.

Nie ma wytłumaczenia, dlaczego miałyby się tam znajdować.

Wkłada lateksowe rękawiczki i grzebie w błocie, kamieniach i ziemi.

Wzdryga się na dźwięk zawieszzonego u pasa radia, które nagle trzeszczy.

– Detektyw dwa cztery cztery, zgłoś się.

Lewą ręką, nieunurzając w błocie, ścisza motorolę.

– Centrala, tu dwa cztery cztery.

– Jesteś w Beacon Hill?

– Tak jest.

O co chodzi?

– Jest zgłoszenie o strzelaninie przy Homewood osiem dwa cztery osiem.

Przecnicę stąd, może bliżej. Ciekawe, dlaczego nie słyszał wystrzałów. Ale większość zabudowy w Beacon Hill to cegła i kamień z początku dwudziestego wieku. Miały

wytrzymać tutejszą zimę, przetrwać długie lata.

– Notowano przypadki przemocy domowej. Właściciel to Harvey Trimble, skazany za posiadanie narkotyków. Zatrzymany w związku z podejrzeniem o pobicie, zwolniony.

Jestem zajęty, myśli, ale w odpowiedzi mruczy pod nosem:

– Zrozumiałem. Gdzie brygada?

– Będzie za kwadrans.

Oddział antyterrorystyczny policji Ferrington był niezły, ale rozsiany jak pół garści ziarenek na wielkim polu, powiedział kiedyś pewien kapitan, co powitały gremialne jęki w dyżurce.

– W tym domu są dzieci, Jon. Sąsiad słyszał krzyki.

– Cholera. Jedziemy. Odbiór.

– Zrozumiałem. Zawiadomię brygadę, że możecie być w środku.

Właśnie w tym momencie Merritt przesuwa jeszcze jedną garść gruzu i widzi to, czego szukał: kilka kopert, dość grubych. Wyjmuje je i wsuwa do kieszeni marynarki. Przez minutę sprawdza, czy jest ich więcej. Nie ma.

Podnosi się i woła:

– Danny, musimy iść! Kod dziesięć siedemdziesiąt jeden, na tej ulicy.

Krępy detektyw o gęstych ciemnobrązowych włosach, w garniturze tego samego koloru, dołącza do niego, gdy Merritt otwiera bagażnik samochodu.

– Co? Jasny szlag. Słyszałeś?

Dwa strzały. I być może krzyk.

Nie mają uzbrojenia poza służbową bronią krótką. Niektórzy detektywi wożą w samochodach karabinki M4, ale nie Merritt i Danny. Będą im musiały wystarczyć glocki 17.

Zdejmują marynarki i Merritt sprawdza, czy koperty nie wypadną z kieszeni. Następnie nakładają kamizelki kuloodporne.

– Gdzie brygada, do cholery? – pyta nerwowo partner.

– Kwadrans drogi od nas.

– Chryste. Przecież miasto nie jest takie wielkie.

Merritt parska śmiechem.

– Chcesz żyć wiecznie?

Avery zwalnia ruchy, wbija wzrok w ziemię.

O jeden żart za daleko.

Merritt przypomina sobie, że młodszy od niego o siedem lat detektyw nigdy dotąd nie brał udziału w wymianie ognia i wyjmował broń wyłącznie na strzelnicy.

– Spokojnie, Danny, wszystko gra. Ten z bronią to ćpun. Nabuzowany towarem własnej produkcji. Będziemy go mieli w garści, zanim nas w ogóle zobaczy.

Następny strzał.

Następny krzyk.

Detektywi ruszają biegiem w stronę przysadzistego budynku z cegły.

Colter Shaw wrócił na korytarz prowadzący do pokoju 306. Ujrzał parę starszych ludzi w kolorowych dresach, którzy wyglądali zza drzwi swojego pokoju naprzeciwko. Zobaczyli Shawa – bez kominiarki, z pistoletem na biodrze, krótko ostrzyżonego – i wyciągnęli oczywisty dla siebie wniosek.

– Pan z policji?

Skinął głową.

– Widzieli państwo, co tu się stało?

Mimo okoliczności byli dziwnie spokojni.

– Przyszło dwóch opryszków, zbirów – poinformowała go kobieta. – Jeden z nich wszedł do nas. Powiedział, żebyśmy nikomu nie pisnęli ani słówka. Groził nam.

– Ale przechytrzyliśmy ich.

Ciekawe, co to mogło oznaczać, pomyślał Shaw.

Dał im znak, by mówili dalej.

Opowiedzieli, że kiedy otworzyli drzwi pokoju, mężczyźni szli korytarzem. Jeden wepchnął ich z powrotem do pokoju, zabrał im komórki, wyrwał kabel z telefonu stacjonarnego, a potem groził im i ostrzegał, żeby nie wychodzili z pokoju i siedzieli cicho.

– Był bardzo niegrzeczny – dodała kobieta.

– A potem usłyszeliśmy, jak wyłamują drzwi. Do pokoju, w którym mieszkała ta kobieta z dziewczynką.

– Wyciągnęli je ze środka?

– Nie. One uciekły, zanim ci skubańcy się pojawili. Pięć, dziesięć minut wcześniej.

– Stanley – ostrzegła.

Ach, zdążyły się wydostać...

– Kobieta krzyczała na dziewczynkę – ciągnęła żona. – Była naprawdę wściekła. „Jak mogłaś?” Coś w tym rodzaju. A ona odpowiadała jej krzykiem. Wrzuciły parę rzeczy do samochodu i odjechały.

– Piorunem.

– Jaki to był samochód?

– Kia – odparł mąż. – Taką samą jeździ jej kuzynka.

– Tak jak samochód Bett. Tylko że złoty.

– Szkoda, że takiego nie kupiłem.

– Widzieli państwo, w którą stronę pojechały?

– Widzieliśmy, w którą nie pojechały – w prawo, na wschód. Z naszego pokoju widać tylko tyle.

Skręt w lewo doprowadziłby je z powrotem na drogę numer pięćdziesiąt pięć, choć autostrada dziewięćdziesiąt dwa, przy której znajdował się motel, była główną arterią,

którą można było dotrzeć na samo Zachodnie Wybrzeże.

– Ten człowiek, który u nas był, groził nam – kontynuowała opowieść żona. – Zajrzał do jego prawa jazdy. Zapamiętał adres.

– Ale od roku nieaktualny! – wtrącił ze śmiechem mąż. – Po przeprowadzce nie zmieniłem dokumentów. Wystrychnęliśmy ich na dudka.

Sztuczka z przechytrzeniem napastników była inną wersją manewru, jaki tajny agent Shaw zastosował poprzedniego dnia wobec Ahmada w magazynie.

Podziękował im i wrócił do holu, gdzie recepcjonista ostrożnie dotykał nosa.

– Nie jest złamany. Niech się pan nim nie bawi. – Shaw wyjął telefon i znalazł numer, który ostatnio wybierał najczęściej.

Ani słowa.

Allison Parker pędziła na zachód drogą numer dziewięćdziesiąt dwa.

– Szpiegowałam mnie. – Hannah próbowała udawać oburzoną i skrzywdzoną. W jej słowach pobrzmiwała jednak nuta lęku.

– Nawet... nie próbuj – mruknęła matka.

Dziewczyna siedziała obok niej, obejmując kolana. Miała krzywo nałożoną wełnianą czapkę, szarą kurtkę rzuciła na podłogę. W innych okolicznościach patrzyłaby w ekran telefonu. Teraz oczywiście nie było o tym mowy. Samsung tkwił w kieszeni jej matki i miał tam pozostać.

Parker z mocno bijącym sercem zerknęła w lusterko wsteczne. Spodziewała się zobaczyć ścigającego ich pikapa Jona.

Jeszcze nie. Ale niewiele brakowało, by je znalazł.

Z powodu Hannah.

Tuż po serdecznym uścisku, zanim zaczęły jeść śniadanie, Allison przypadkiem zerknęła na telefon córki, który nie tylko nie był już w trybie offline, lecz także wyświetlał konto na Instagramie. Nie jej poprzednie, ale @HannahMer-maid447788.

Według znacznika czasu wrzuciła do serwisu selfie zrobione za motelem, gdy matka brała prysznic. Czyli wyszła z pokoju nie tylko po to, by przynieść menu śniadaniowe.

Zdjęcie ukazywało rzadki u dziewczyny uśmiech, a w tle wieżę ciśnień z widoczną częścią nazwy pobliskiego miasteczka. Thompson Hills. Każdy średnio rozgarnięty osobnik z dostępem do Google'a błyskawicznie zorientowałby się, gdzie się zatrzymały.

Wrzasnęła i zerwała się na równe nogi, rozrzucając jedzenie i wylewając kawę.

– Wyjeżdżamy! Rusz się!

– Co?

Wyłączyła i schowała do kieszeni telefon córki.

– To moje!

Parker wrzuciła do toreb ich komputery i kilka ubrań, które wpadły jej w ręce.

– Co się stało? – jęknęła Hannah. – Nie chcę wyjeżdżać!

Allison chwyciła ją za rękę.

– Jedziemy. – Słowo ociekało wściekłością.

W twarzy matki dziewczyna dostrzegła szaleństwo, które tak ją przestraszyło, że bez słowa chwyciła bagaże i rzuciła się do drzwi. Torby nie były nawet dopięte. W pokoju zostały kosmetyki i parę ubrań. W telewizorze, za dużym jak na to pomieszczenie, znowu leciał jakiś głupawy serial Disneya.

Teraz Allison mocno wcisnęła gaz i przy ograniczeniu prędkości do stu dziesięciu rozpędziła wóz do stu dwudziestu. Chętnie pognałaby sto pięćdziesiąt, ale nie mogła ryzykować zatrzymania przez policję.

– Nie przyszło ci do głowy, że zagląda do social mediów? – mruknęła. – Że może szukać „Hannah”. I „Mer”? Jak można być taką głupią?

Jechały w milczeniu. Dziewczyna z przekorną miną patrzyła przez okno.

Niecałe dziesięć kilometrów za motelem Allison gwałtownie zatrzymała wóz na poboczu. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła telefon córki. Hannah rzuciła się po niego, ale ona uniosła rękę, by ją powstrzymać. To był pierwszy bolesny zatarg między nimi, odkąd dwuletnia Hanna uderzyła ją w wargę, sięgając po wisiorzek na jej szyi.

– Przestań! – warknęła i córka odskoczyła zjeżona ze złości. Parker знаła PIN blokady i po chwili telefon działał. Przejrzała aplikacje. Facebooka ani Twittera nie było. Tylko Instagram.

– Hasło.

Gdy dziewczyna nie odpowiedziała, spytała jeszcze raz, groźniej.

Hannah spełniła polecenie. Parker usunęła konto i uśpiła telefon, przełączając go wcześniej w tryb samolotowy.

– Chryste.

Wyjechała na drogę i dodała gazu. Oczywiście jej córka wcale nie wykazała się nieostrożnością. Zrobiła to z premedytacją. Chciała, by jej ojciec wiedział, gdzie są. Wiedziała, że będzie szukał ich imion i nazwisk. Dlatego zostawiła mu zaszyfrowaną wiadomość „znajdź nas”, nie mówiąc tego wprost.

By móc wszystkiemu zaprzeczyć.

– Twój ojciec chce mi zrobić krzywdę. Rozumiesz?

– Nie...

– Rozumiesz?

– Nie znasz go. Dlaczego ciągle muszę ci to powtarzać? – Dziewczyna się rozszlochała. Co było najbardziej bolesnym powodem jej smutku? Złość matki czy strata elektronicznego towarzysza?

Pokonały parę kilometrów. Parker zaczęła się uspokajać.

I uświadomiła sobie, że to wszystko jej wina. W swojej nadopiekuńczości nie wtajemniczyła jej w procedurę prawną po incydencie z piętnastego listopada. To samo zrobiła wczoraj, nie zdradzając jej prawdziwych intencji Jona.

– Han, nie byłam z tobą szczerą. Nie powiedziałam ci wszystkiego.

Dziewczyna dalej wpatrywała się w okno.

– Nie powiedziałam ci o wszystkim, co ustalił David. Mówiłam, że boję się, żeby nie zrobił sceny. Chodziło o coś jeszcze. Coś gorszego. Twój ojciec chce mnie skrzywdzić. Przed wyjściem na wolność mówił kilku więźniom, że chce mnie znaleźć. – Głęboko nabrała powietrza. – I zabić.

– Bzdura. Nigdy by tego nie zrobił.

– Nie jest taki, jak ci się wydaje.

– Skąd możesz wiedzieć? – odparowała Hannah. – Wsadziłaś go do pudła, po prostu się go pozbyłaś. I koniec. Nawet go nie odwiedziłaś!

Rzeczywiście, nie była na widzeniu. Nie mogła. Córce też nie pozwoliła. Wykluczyła taką możliwość. To była otwarta rana w ich związku. I nie pierwsza.

– Wpakowałaś go za kraty, żeby zająć się czymś innym.

Parker poczuła, że serce bije jej jeszcze szybciej. Nie sądziła, że to możliwe.

– Co?!

– Nie masz nic do powiedzenia?

Znowu cisza. Samochód przekroczył sto trzydzieści na godzinę. Kobieta zdjęła nogę z gazu.

– Przykro mi, Han. Wiem, że trudno ci się tego słucha. Serce mnie boli. Podjęłam decyzję. Musiałam wnieść zarzuty. Ktoś wreszcie musiał mu się postawić. A teraz zadbam o to, żeby nic złego ci się nie stało. Zrobię wszystko, co trzeba. Tak to wygląda. Musimy się wspierać. Potrzebuję twojej pomocy.

Dziewczyna prychnęła z drwiną.

Allison wyciągnęła rękę i położyła na jej nodze.

– Nie dotykaj mnie, stara więdźmo.

Matka utkwiała spojrzenie we wstędze szosy, która, jak wiele tutejszych dróg, potrzebowała nowej nawierzchni jak kania dżdżu. Poczowała pod powiekami łzy zupełnie innego rodzaju niż tamte sprzed kilku godzin.

Jej córka odsunęła się jak najdalej w prawo i instynktownie sięgnęła do tylnej kieszeni, przypomniała sobie jednak, że telefonu nie ma. Skrzyżowała ręce na piersi i obojętnie przyglądała się, jak ludzie na polu palą resztki pozostałe po zbiorze kukurydzy i jak znad niewielkich pomarańczowych ognisk unoszą się drżące i jasne pasma aromatycznego dymu.

Jon Merritt zaparkował pikapa w zacienionej części miejskiego parku w północno-zachodnim Ferrington.

Było tu niewiele osób. Jacyś amatorzy joggingu, którzy podczas biegania zapominali o bożym świecie. Jacyś biznesmeni, którzy maszerowali zdecydowanym krokiem i z przechyloną na bok lub spuszczoną głową skupiali się wyłącznie na swoich telefonach. Jacyś nastolatkwie ubrani w workowate bluzy, jak Hannah, którzy spacerowali, wystawiali w małych grupkach albo wykonywali karkołomne akrobacje na deskorolkach, zaprzeczające prawu grawitacji.

Dowiedział się, że jego była żona z córką zatrzymały się w motelu Sunny Acres w hrabstwie Marshall. Kiedy tam jechał, dostał wiadomość, że zniknęły. Może znowu uda się wpaść na ich trop, ale do tego czasu postanowił na własną rękę poszukać informacji o nich gdzie indziej. Gwałtownie zahamował, zawrócił szerokim łukiem, niszcząc jakiś trawnik i ignorując klaksony, pomknął na południe.

I teraz...

...przybył tu tropem motyli.

Park Theodore'a Roosevelta był jedną z niewielu miejskich przestrzeni, gdzie dbano o trawniki, arboreta, klomby, stawy i strumyk. Ławki były pomalowane, graffiti usunięte. Inne parki często nie dostawały złamanego dolara na utrzymanie. To jednak był Garden District, najelegantsza z dzielnic Ferrington, i choć mogło się wydawać, że to dość nisko zawieszona poprzeczka, to było tu naprawdę bardzo ładnie. Merritt niezbyt dobrze znał tę okolicę; rzadko wzywano tu policję. Raz aresztowano pewnego lekarza za podbieranie opioidów. Od czasu do czasu zdarzało się włamanie albo kradzież mercedesa. Ktoś zastrzelił biznesowego współnika – ta sprawa trafiła do serialu telewizji kablowej *Kiedy bogaci mordują*. Producent rozmawiał z Jonem i jego partnerem.

Nie z Dannym. Z innym.

Jego poprzednikiem.

Merritt wyłączył silnik, wysiadł i ruszył pod adres starannie – i praktycznie – zapisany w lewym górnym rogu koperty, w której tkwiła kartka z życzeniami, ozdobiona wizerunkiem owadów kanibali.

Jej nadawcą była Dorella Muñoz Elizondo, którą jego była żona mogła poznać w ciągu zeszłego roku. Merritt jej nie znał, nigdy nie słyszał tego charakterystycznego nazwiska.

Owszem, zdarzało się, że urywał mu się film, ale nie zapomniaby przecież znajomych Alli.

Możliwe, że ona zwierzała się tej kobiecie. Na przykład podała Dorelli swój nowy numer telefonu. W poszukiwaniach pomagał mu Dom Ryan. Gdyby Merrittowi udało się znaleźć ten numer, Ryan mógłby ustalić lokalizację, którą wyjawilby mu chciwy albo zastraszony pracownik operatora jej komórki.

Dorella mieszkała w sercu ekskluzywnego Garden District.

Merritt przypomniał sobie treść wiadomości do jego byłej żony, zapisanej przez Dorellę na kartce z motylami.

Czasem uczucie do nowych przyjaciół bywa równie głębokie i trwałe jak do tych, których znamy od dzieciństwa. Trzymaj się, Alli, musisz to przetrwać...

Pewnie mógłby przetrząsnąć jej dom w poszukiwaniu czegoś, co miałoby związek z jego żoną. Miał jednak nadzieję, że Dorella będzie w domu. Postarałby się wycisnąć z niej wszystko, co wie o Alli.

Zdecydowanym krokiem zbliżył się do furki w parkanie i odsunął zasuwkę. Wszedł za ogrodzenie, zamknął za sobą bramkę i podszedł do domu.

Uniósł wzrok i zobaczył, jak otwierają się drzwi i wychodzi zza nich wysoka ładna kobieta w letniej sukience. Żółtej, z falbankami, na szerokich ramiączkach. Sięgającej nieco za kolana. Miała w ręce konewkę i po drodze zatrzymała się przy kilku donicach pełnych bujnej roślinności. Zerknęła na niego z zaciekawieniem, w którym było jednak więcej życzliwości niż nieufności.

– Słucham pana.

– Dzień dobry. Pani Dorella Elizondo?

Uprzejmie skinęła głową.

– Zgadza się.

Podszedł do pierwszego stopnia schodów i tam się zatrzymał. Pokazał swoją starą odznakę i zaraz ją schował. Następnie służbowym głosem, pewnym siebie, lecz życzliwym, poinformował ją:

– Jestem detektyw White z policji Ferrington. Próbuje odnaleźć Allison Parker i jej córkę. Jak się domyślamy, jest pani jej znajomą. Czy kontaktowała się z panią w ciągu kilku ostatnich dni?

– Och – szepnęła z zaniepokojoną miną. – Alli coś się stało?

– Przykro mi, ale ubiegłego wieczoru zaginęły. Wczoraj został zwolniony z więzienia jej mąż, który potem naruszył sądowy zakaz zbliżania się do niej. Podejrzewamy, że uciekły. Chcielibyśmy je znaleźć i zapewnić im ochronę, dopóki nie zostanie zatrzymany.

Starannie przypudrowane czoło pofałdowały poziome zmarszczki.

– Alli mówiła mi, że jest agresywny. Zaginęły? Przypuszcza pan, że... coś jej zrobił? Jej i Hannah?

– W tym momencie nie ma powodu, by tak sądzić. Próbuje ją tylko znaleźć. – Łagodny głos. Jon Merritt znał i stosował tę zasadę: zawsze zachowuj spokój, gdy rozmawiasz z ofiarami, świadkami i samymi podejrzanymi. Głos detektywa Jona Czarusia.

– Nie kontaktowałyśmy się ze sobą od mniej więcej tygodnia.

– Nie domyśla się pani, dokąd mogła pojechać? Do jakiego miejsca poza Ferrington? Podobno kierowała się na północ.

– Na północ? – powtórzyła z namysłem kobieta i odstawiła ciężką konewkę. – Pamiętam, że Alli wspominała, dokąd chciałyby pojechać. Miała nadzieję, że wybierzemy się razem. I z jej córką. To było spa. Taki babski weekend. Niedaleko Spartanburga.

Miasteczko przyciągające turystów staroświeckim urokiem było położone na północny wschód, prawie dwie godziny drogi od Ferrington. Niezła kryjówka dla jego eks i córki.

– Chyba nawet mam adres.

– Byłbym wdzięczny.

– Oczywiście.

Dorella weszła do domu.

Po kilku minutach usłyszał jej głos:

– Znalazłam!

Nareszcie jakiś trop.

Przez siatkę wewnętrznych drzwi zobaczył, jak się zbliża.

Kiedy je otworzyła, powiedziała rozbawionym głosem:

– To ciekawe, Jon. Naprawdę myślałeś, że Alli nigdy nie pokazała mi twojego zdjęcia?

Spokojnie wycelowała do niego ze strzelby i strzeliła w prawe udo Merritta, po czym przeładowała broń i posłała drugą w sam środek jego brzucha.

Prywatny detektyw?

– Nie – odparł Shaw. – Nie mam licencji. Jestem konsultantem do spraw bezpieczeństwa.

Zastępczyni szeryfa, mniej więcej w jego wieku, zapisywała coś w notesie. Miała włosy blond – o ton ciemniejsze niż Nilsson, pomyślał odruchowo. Nosiła je ściągnięte w ciasny kok, który często widywało się u policjantek. Kanciasta twarz, wąskie biodra. Spod lewego mankietu wystawał ciemny zarys tatuażu.

– Pomagam w poszukiwaniach kobiety i jej córki, które tu się zatrzymały. Policja w Ferrington ma problemy kadrowe.

Skwitowała to znaczącym skinieniem głowy, choć nie powiedziała żadnego krytycznego słowa o organach ścigania działających na nie swoim terenie.

– Chodzi o ten komunikat o poszukiwaniu ważnego świadka. Allison Parker...

A więc przepracowany detektyw Kemp jednak dotrzymał słowa.

– Zero nakazów – zatrzeszczało radio. – Pozwolenie w porządku.

– Zrozumiałam – powiedziała do mikrofonu motoroli zawieszanej na lewym ramieniu bluzy. Oddała mu prawo jazdy i pozwolenie na noszenie ukrytej broni. Na piersi miała plakietkę ZAST. SZERYFA KRISTI DONAHUE.

Znajdowali się na parkingu motelu Sunny Acres. Jej radiowóz stał obok winnebago, a przed budynkiem pojawiły się jeszcze dwa służbowe pojazdy. Na jednym widniał napis WYDZIAŁ KRYMINALISTYKI. Karetkę zaparkowano obok głównego wejścia. Medycy w środku opatrywali recepcjonistę, który według oceny Shawa nie potrzebował szczególnie pilnej pomocy.

Przed motelem stała kilkunastoosobowa publiczność, oglądająca prawdopodobnie znacznie ciekawsze widowisko niż większość spektakli pokazywanych na scenach Thompson Hills.

Potwierdzenie autentyczności dokumentów Shawa nie uspokoiło jednak do końca zastępczyni szeryfa. Nic dziwnego, bo sytuacja była skomplikowana.

– Jej mąż uciekł z więzienia i ją ściga?

– Nie, został zwolniony. Zaraz potem wyszło na jaw, że chce ją zabić. Prawdopodobnie zabił jej adwokata i ciągle jej szuka. – Ruchem głowy wskazał na motel. – Ci dwaj z nim pracują. Przypuszczam, że to cyngle.

– Wysyłać speców od mokrej roboty na byłą żonę? – Jej głos wszedł na wyższy rejestr.

– To nie jest typowy sprawca przemocy domowej.

– Tak mi się wydaje. Słyszałam o Merritcie. Lata temu był dobrym gliniarzem, wyjaśnił parę głośnych spraw. Obyczajówka, przestępczość zorganizowana, korupcja. Potem wszystko się posypało. Prochy, alkohol. Widziałam, do czego to może doprowadzić.

Przez trzaski w radiu przebił się głos:

– Hej, Kristi!

– Mów, Marv.

– Przejrzeliśmy zapis z tej kamery, tak jak chciałaś. Złota kia – wypożyczona na firmę Harmon Energy – pojechała na zachód dziewięćdziesiątkądwójką. Potem skręciła na północ w pięćdziesiątkępiątkę.

– Widziano pikapa Merritta? – zapytał Shaw. Starał się opanować ton frustracji, udało mu się tylko połowicznie.

Cisza.

– Możesz przy nim mówić, Marv – uspokoiła kolegę Donahue.

– Żadnych fordów F-150.

– Na drodze pięćdziesiąt pięć i osiemdziesiąt cztery na północ nie ma kamer aż do Millton – poinformowała Shawa policjantka. – Przez dwa „I”. A transit? – powiedziała do motoroli. – Pojawił się?

– Zauważyliśmy białą furgonetkę. Nie mogliśmy rozpoznać marki. Pojechała dalej na zachód dziewięćdziesiątkądwójką, minęła zjazd na pięćdziesiąt pięć. Chyba jakieś, hm... trzy minuty po kii.

– Dzięki, Marv. Bez odbioru.

– Okej.

Obejrzała opony.

– Chciał pan za nimi jechać.

Skinął głową.

– Tylko po to, żeby zapisać numery rejestracyjne – dodała uszczypliwie.

– Tak jest.

Przez chwilę badawczo przyglądała się jego twarzy.

– Ma pan zapas? – spytała.

– Do motocykla jedno koło, nie wystarczy. Ale do kampera tak. Podnośnik na nic się tu nie zda. – Pokazał na grząską ziemię pod winnebago. W obawie, żeby nie ubiegł go Merritt, zatrzymał wóz na trawniku. Dzwonił już do kilku warsztatów z pytaniem, czy mają wóz pomocy drogowej, by podnieść tył kampera i umożliwić mu zmianę koła. Tylko jeden był zainteresowany, nawet gdy Shaw zaproponował dwieście dolarów gotówką jako bonus za ekspresową usługę. Specjalistyczny samochód miał przyjechać dopiero za ponad godzinę.

Zastępczyni szeryfa Donahue podeszła do yamały i przeciągnęła po niej ręką. W oczach miała zaciekawienie i podziw.

– Jeździ pani na motocyklu? – zadał jej pytanie, na które znał odpowiedź.

Milczała przez moment.

– Na harleyu. – Zdawało mu się, że zobaczył uśmiech. Trudno powiedzieć. – Mój były lubił się mną chwalić w barach dla motocyklistów. Czyli harleyowców. Zdziwił się, gdy adwokat mu powiedział, że może sobie zachować pikapa, ale motor jest mój... bo inaczej miałby furę poważnych kłopotów. Mogę panu dać namiar na warsztat, który ma spory wybór opon.

– Nie mam na to czasu.

– Co to za konsulting do spraw bezpieczeństwa? – spytała Donahue.

Wyjaśnił, na czym polega zajęcie łowcy nagród.

– Hm, dla mnie to coś nowego. – Uśmiechnęła się. – Może powinien pan zostać na dłużej w tych stronach. Budżety hrabstw są tak okrojone, że taniej chyba będzie wyznaczyć nagrodę za złapanie sprawcy niż płacić za dodatkowy personel. Mógłby pan zarobić trochę grosza.

– Proszę mi mówić Colter. Albo Colt.

– Colt.

– Jeżeli będę tędy wracał, przyda mi się numer tego warsztatu.

– Jasne. Zadzwoń do mnie. – Podała mu wizytówkę. Odwzajemnił się swoją. – Jeżeli będziemy mieli jakieś info o tych pojazdach, dam ci znać.

W tym momencie przy wjeździe na motelowy parking gwałtownie zahamował range rover. Kiedy opadł pył, Sonja Nilsson opuściła szybę po stronie pasażera i się uśmiechnęła. To do niej dzwonił Shaw, gdy wstukał najczęściej ostatnio wybierany numer w swoim telefonie.

Zastępczyni szeryfa Kristi Donahue zerknęła na nią, po czym spojrzała na Shawa i znacząco uniosła brew.

– Powodzenia, wędrowniku.

49

Jon Merritt stęknął, próbując przyjąć pozycję siedzącą. W brzuchu i nodze czuł pulsujący ból, który promieniował na resztę ciała.

Amunicja obezwładniająca – zwykle składająca się z metalowego rdzenia osłoniętego gumą – wystrzelona z broni gładkolufowej kaliber 12 uderza w ciało z ogromną siłą. Używa się jej przede wszystkim podczas tłumienia zamieszek, ale może też łamać kości, powodować pęknięcia narządów wewnętrznych i oślepić. Odnotowano również ofiary śmiertelne.

Przeprowadził szybkie oględziny. Żadnych złamań ani wewnętrznych pęknięć.

Na razie.

Dorella zrobiła krok naprzód i znowu przeładowała strzelbę.

Merritt znał procedurę użycia broni gładkolufowej do samoobrony. Należało załadować gumowe pociski jako ostatnie do magazynku rurowego – by zostały wystrzelone jako pierwsze. Następne, gdyby to nie poskutkowało, były naboje wypełnione śruciną, która przecinała skórę, a na koniec śmiertelne loftki, czyli gruby ołowiany śrut. Dorella najwyraźniej znała się na broni, podejrzewał więc, że szykuje mu coś boleśniejszego, a może zabójczego.

Zdołał dźwignąć się na nogi, zgiął się z bólu, ale wyciągnął rewolwer i strzelił.

Uciekła do domu.

Merritt, zataczając się, ruszył w stronę samochodu.

Mimo że strzały częściowo go ogłuszyły, wyłowił odgłos zbliżających się wozów ratowniczych. Wycie syren i klaksony. Przypuszczał, że są w odległości ponad kilometra. Sam fakt, że w ogóle je usłyszał, świadczył o tym, że szybko pokonują kolejne skrzyżowania.

Otworzył drzwi pikapa, zebrał siły i z jękiem bólu wsiadł za kierownicę.

Kluczyk w garść, silnik w ruch.

Po chwili ruszył z piskiem opon i pióropuszem dymu. Nie miał pewności, z której strony zbliżają się radiowozy – dźwięk potrafi zmylić, zwłaszcza gdy uszy są porażone hukiem – ale służby prawdopodobnie będą zakładać, że skieruje się w stronę międzystanowej autostrady albo głównych stanowych dróg. Postąpił inaczej. Zniknął w labiryncie bocznych uliczek Garden District.

Manewr okazał się właściwy. Nie zobaczył za sobą ani jednego charakterystycznego czarno-białego wozu.

Merritt przemknął na czerwonym świetle, na co inni kierowcy zareagowali klaksonami i uniesieniem środkowego palca. Usłyszał jakąś stłuczkę.

Miał przed sobą dość długą prostą Auburn Road. Wcisnął pedał gazu, a gdy z prędkością około stu piętnastu kilometrów na godzinę wjechał na pierwszy próg zwalniający, zdziwił się, że ciężki pikap naprawdę na moment uniósł się w powietrze.

– Patrol osiem jeden do centrali.

– Mów, osiem jeden.

– Jestem na miejscu, krzyżówka Frederickson i Sycamore. Ford 150 podejrzanego zjechał z drogi. Nie wyrobił się na zakręcie. I się rozbił.

– Zrozumiałem. Obrażenia?

– Jeszcze nie wiem. Źle to wygląda. Przyślijcie busa.

– Zrozumiałem, osiem jeden. Pamiętaj, że podejrzanym jest uzbrojony. Poszukiwany w związku z napaścią z bronią w ręku i zabójstwem.

– Zrozumiałem.

Jezu, pomyślał szczupły, ogolony na zero młody policjant, który nazywał się Peter Nagle. Jon Merritt kogoś zabił? Nie widział tej informacji w komunikacie. Był niespokojny. Czuł się jak pies, który dogonił autobus i nie bardzo wie, co z nim zrobić. Biały pikap tkwił po osie w rowie. Nie mógł się stąd ruszyć.

Nie widział Merritta zbyt dobrze. Podejrzanym siedział pochylony w kabinie, chyba się rozglądał i zastanawiał się, co począć. Jeżeli chciał uciec, miał tylko jedno wyjście: wysiąść od strony pasażera i strzelić do Nagle'a, by nie blokował mu drogi.

Boże...

– Gdzie inne jednostki?

Chwila ciszy.

– W okolicy nie ma żadnej. Najbliższa jest na interwencji na Chesterton. Może przyjechać za dziewięć, dwanaście minut.

Oto właśnie policja Ferrington.

Nagle jeszcze raz przyjrzał się kabinie. Owszem, były detektyw to bohater Beacon Hill. Ten Jon Merritt był jednak kimś zupełnie innym.

– Osiem jeden do centrali. Szczegóły tego zabójstwa?

– Adwokat jego byłej żony.

Jezu.

Nagle pracował w policji od niedawna – półtora roku – ale wzywano go już kilkanaście razy do przypadków przemocy domowej. Kiedy w grę wchodziła miłość albo jej trup, rozsądek kapitulował.

– Osiem jeden, jesteś tam?

– Tak, zrozumiałem. Podchodzę do podejrzanego... udaję się.

Ciekawe, co oznaczały te ostatnie słowa.

– To potwierdzone, że ma broń? – spytał z niepokojem.

– Tak, osiem jeden.

– Zrozumiałem.

Znał swoje zadanie. Musiał wyciągnąć Merritta z kabiny i rozbroić.

Nie tylko dla własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa innych, ale także ze względu na własną reputację. Słyszał już w głowie: i co, młody, stałeś jak kołek? Nie chciało ci się ruszyć dupy i nawet nie próbowałeś go zgarnąć?

Przykucnął za otwartymi drzwiami radiowozu i wyjął glocka. Zerknął przez szybę. Odbijało się w niej słońce. Niewiele zobaczył prócz sylwetki byłego gliniarza. Nie widział, gdzie są jego ręce.

Pomyślał o swojej narzeczonej, której oświadczył się zaledwie tydzień wcześniej w ich ulubionej restauracji Outback. Czarne pudełko z pierścionkiem położył na serwetce pośrodku firmowego dania, czyli smażonej cebuli w kształcie kwiatu.

Och, Kelli...

Dobra, pokaż, że masz jaja. Wciąż na ugiętych nogach, policjant wycelował w zarys głowy byłego detektywa. Gdy szyba się nie opuściła, poczuł większą pewność siebie. Cały czas mierząc do niego i trzymając pistolet oburącz, wyszedł zza osłony i wolnym krokiem zbliżył się do forda.

– Jonie Merritt! Wystaw ręce przez okno! Jeżeli nie pokażesz rąk, otworzymy ogień.

Ta kwestia nie pochodziła ze szkolenia, lecz thrillera, którego słuchał, stojąc z radarem na Old Davie Road. Mimo to ostrzeżenie brzmiało nieźle i pewnie używali go prawdziwi gliniarze, ponieważ autor służył kiedyś w policji nowojorskiej.

Żadnej reakcji.

– Merritt! Pokaż ręce!

Podchodząc jeszcze bliżej z uniesionym glockiem, zdjął palec z kabłąka i położył na języku spustowym. Wciąż nie widział Merritta wyraźnie, ale zobaczył w szybie własne odbicie. Lewą ręką chwycił klamkę. Gdyby drzwi były zamknięte, wycofałby się i zaczekał. Z poczuciem, że wykonał, co do niego należało.

Boże, żeby były zamknięte...

Nie były.

Nagle szarpnął je i otworzył na oścież, równocześnie przypadł do ziemi, jak gdyby ćwiczył przysiad. Modlił się w duchu, by kula, jeśli Merritt strzeli, trafiła w kamizelkę, nie w nieosłonięte ciało.

Młody funkcjonariusz zrobił wielkie oczy i opuścił broń.

Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób tyczkowaty nastolatek w bluzie AC/DC, z wyrazem paniki na przyszczatej twarzy, zdołał zwinąć ciało w tak mały kłębek, że zmieściło się

w całości na podłodze przed fotelem pasażera.

Wreszcie mogli usiąść do posiłku.

Chociaż nie miał trwać zbyt długo.

Do restauracji, która znajdowała się niecałe dwa kilometry od motelu Sunny Acres, Sonja Nilsson przyjechała drogą numer dziewięćdziesiąt dwa.

Shaw chciał się dowiedzieć, jak idą rozmowy z personelem Harmon Energy; sam zamierzał jej zrelacjonować napaść w motelu.

Czy można to było zrobić telefonicznie?

Oczywiście.

Ale... dlaczego nie mogli się spotkać, skoro i tak musiał zaczekać na naprawę kampera?

Wysiedli z range rovera i Shaw zauważył, że Nilsson się przebrała. Miała teraz na sobie czarny kostium z plisowaną spódnicą i czarną jedwabną bluzkę. Żakiet został tak dopasowany, by dobrze maskować wypukłość na jej prawym biodrze, nieco z tyłu, w tym samym miejscu, w którym on nosił glocka. Rozpuszczone jasne włosy połyskiwały w przytłumionym blasku słońca, kiedy kołysał nimi pachnący sianem wiatr.

Sprawdziła otoczenie swoim wewnętrznym radarem. Shaw zrobił to samo. Nie dostrzegł żadnego zagrożenia.

Restauracja była jedynym miejscem w okolicy, gdzie toczyło się jakieś życie. Inne budynki zostały dawno opuszczone, niektóre częściowo się zawaliły, inne już całkiem. Przed nieużywaną od dawna stacją benzynową kołysała się zardzewiała tabliczka z sylwetką zielonego dinozaura. Co to za marka? Shaw nie potrafił sobie przypomnieć. Pochodziła sprzed wielu lat.

Restauracja, której budynek w kształcie srebrzystej przyczepy kempingowej Airstream lśnił nawet w cieniu, wyglądała jak fantazja architekta. Wewnątrz wszystkie siedziska przykrywała czerwona imitacja skóry. Podłogę wyłożono szarym linoleum, na ladzie baru jeżyły się chromowane stojaki do przypraw – gościom na pewno nigdy nie zabrakło tu soli, pieprzu, keczupu ani musztardy. Knajpka nosiła nazwę Route 66, najprawdopodobniej na cześć starej telewizyjnej produkcji pod tym tytułem; wszystkie ściany były ozdobione czarno-białymi fotosami z serialu.

Przy kasie Nilsson wskazała stolik w głębi.

– Jasna sprawa – powiedziała kelnerka i zaprowadziła ich tam.

Colter zwykle siadał twarzą do wejścia.

Nigdy nie ustawiaj się tyłem do przeciwnika...

Ale to miejsce zajęła Nilsson. Nie miał nic przeciwko temu; wydawała się tak samo czujna jak on.

Uśmiechnięta kelnerka w różowym uniformie i z tatuażem na przedramieniu ukazującym tygrysa z obnażonymi kłami przyjęła zamówienie – tosty z bekonem, sałatą i pomidorem, kawa dla Shawa, herbata dla Nilsson.

– Jak to wyglądało? – spytała Sonja.

– Było ich dwóch, uzbrojonych. W kominiarkach. Nie sądzę, żeby jednym z nich był Merritt. Na nagraniu z samochodu adwokata ma ciemną kurtkę. Ci byli ubrani inaczej: jeden miał czarny garnitur i krawat, drugi beżową kurtkę. Wygląda na to, że wynajął dwóch cyngli.

– Zawodowców? – Zmarszczyła brwi.

Kelnerka przyniosła napoje. Shaw dodał mleka, Nilsson cytrynę.

– Prawdopodobnie wykorzystał jakiś kontakt z czasów pracy w policji – powiedział. – Kogoś, kto ma swoich ludzi.

– Naprawdę chce ją zabić. Wiem, że nie ma mowy o rozsądku w przypadku przemocy domowej, a to właśnie taki przypadek, ale na mój nos chodzi o coś jeszcze. Może...

– O to, o czym wcześniej wspominał Marty – dokończył jej myśl. – Wie o nim coś, a on nie chce, żeby to wyszło na jaw.

Uniosła kubek, powąchała unoszącą się z niego parę.

– Wiesz, Colter, myślałam o tych dwóch w motelu. Miesiąc temu w mieście doszło do zabójstwa na zlecenie. Sygnalista ze stanowej agencji. Znowu sprawa korupcji – ktoś skubnął fundusze na oczyszczanie rzeki. Świadek powiedział, że sprawcami byli dwaj biali mężczyźni, jeden w czarnym garniturze. Odjechali białym vanem. Był jeszcze kierowca. Nierozpoznany. Wiesz, czym ci dwaj przyjechali do motelu?

– Białym fordem transitem.

– Ciekawe, ile jest transitów – powiedziała.

– Odkąd model wszedł do produkcji, osiem milionów. Większość biała.

– Łowcy nagród wiedzą takie rzeczy?

– Sprawdziłem po prostu w sieci. Ta zastępczyni szeryfa przed motelem...

– Aha, ta ładna? – przerwała mu Nilsson.

– Ładna? – zdziwił się.

Skwitowała to drwiącym uśmiechem.

– Nadała komunikat. Jesteśmy w Marshall, ale informacja pójdzie do wszystkich sąsiednich hrabstw. Allison jeździ teraz złotą kią. Tego auta biuro szeryfa też będzie szukać.

Na stoliku zjawilo się jedzenie. Shaw zrozumiał już powód popularności restauracji. Kanapka była wyśmienita. W recenzji na pierwszy plan wybiłyby się „chrupkość”, i to w odniesieniu do wszystkich składników: bekonu, sałaty, pomidora i grzanki.

Nilsson rozejrzała się po sali. Poczuła, że on przygląda się jej twarzy, więc odwróciła się z powrotem do niego.

– Klasyka. Czuję się jak w filmie Quentina Tarantino. Często robił użytek z takich knajpek.

Shaw wiele lat temu zaczął kiedyś oglądać z Margot jeden z filmów tego reżysera. Nie pamiętał tytułu, ale rzeczywiście przypomniał sobie scenę z takiej restauracji. Nigdy nie dokończyli oglądania tego filmu, choć nie dlatego, że był słaby. Coś im przeszkodziło. A potem byli zbyt zmęczeni, żeby jeszcze raz włączyć odtwarzacz DVD.

– Wiadomo coś o adwokacie? – zapytał.

– Ciągle nic, przypuszczają, że nie żyje. Zwłoki często wrzuca się do Kenoah. Policja Ferrington ma nurków, ale nikt się nie kwapi, żeby wejść do rzeki. Ciągną zapalki. Szukają też śladów w pobliżu jego samochodu. Nie wiemy, dokąd Allison mogła pojechać z motelu?

– Kamera złapała ją na pięćdziesiątcepiątce, jechała na północ. Transit ruszył dalej na zachód dziewięćdziesiątkądwójką. Jeżeli przyjmujemy, że ona nie jedzie do Kanady, to czy jest w okolicy jakieś miejsce, gdzie mogłaby się zaszyć?

– Nie bardzo. Aż do Millton nie ma żadnych moteli. Głównie lasy i łąki. Bagna. Gdzieś tam jakieś domki letniskowe. Chatki, przyczepy. Czasem jakieś podejrzane towarzystwo.

– Narkotyki?

– Też. Prawicowe milicje, surwiwalowcy... ale nie w twoim typie.

– Jedno wiemy na pewno. Dziewczyna nie będzie więcej wrzucać do sieci selfie ze wskazówkami.

– Zgadza się, jej telefon to już przeszłość. Matka go skonfiskowała.

– Co w firmie? – spytał Shaw. – Nie udało ci się trafić na żaden trop.

To nie było pytanie. W przeciwnym razie już by coś wiedział.

– Rozmawiałam z kilkudziesięcioma osobami. Marianne Keller – asystentka Marty’ego, pamiętasz ją?

Skinął głową.

– Bardzo mi pomaga. Ale nic z tego. Żadna z osób, z którymi udało mi się pogadać, nie zna zbyt blisko Allison. Trzymała się na uboczu. Pracowała do późna. Być może wstydziła się, że jej mąż tyle razy pojawiał się w biurze pijany.

Shaw nie przypuszczał, by Allison zwierzyła się komuś w pracy, dokąd się wybiera. Oceniał tę możliwość na dwadzieścia procent. Skoro nie zdradziła tego szefowi ani matce, to dlaczego miałaby mówić któremuś ze współpracowników? Był przekonany, że ucieka do miejsca lub osoby nieznanych jej byłemu mężowi. Mimo to, jeśli mieli tak niewiele wskazówek, to czemu nie popytać w firmie?

Taka właśnie była mantra łowcy nagród.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Jeżeli chcesz, możesz mi powiedzieć – odezwał się.

Oderwała wzrok od frontowego okna.

– Patrzysz na horyzont – ciągnął. – Sprawdzasz punkty obserwacyjne nadające się na gniazda snajperskie. Drugi telefon – pewnie zaszyfrowany – przez który prowadzisz poważne rozmowy. Zwracasz uwagę na niepilnowane paczki.

– Spostrzegawczy jesteś – stwierdziła. A po chwili przyznała: – Okej. Nie jestem Sonja, nie nazywam się Nilsson.

To była niespodzianka, choć przypuszczał, że nie powinien się dziwić.

– Jesteś na jakiejś liście.

– Jestem na liście. Nigdy o tym nie mówię. Ale po wczorajszym...

Domyślił się, że mówi o pocałunku.

– Niebezpieczeństwo jest poważne?

– Nie za bardzo. Nie jestem niewidzialna, ale z nowym nazwiskiem i wyglądem można sobie z nim radzić. Gdybyś zajrzał do moich dokumentów z wojska, zobaczyłbyś brunetkę, która ważyła piętnaście kilo więcej niż ja teraz.

Ale miała zielone oczy czy nie?

– Najtrudniejsze w nowej roli jest utrzymanie tej wagi, bo od urodzenia kocham jeść. – Zaśmiała się i schrupała kilka frytek, które przykleiły się do drugiej połówki jej grzanki. – Wyznać ci coś?

Skinął głową.

– Większa część mojego życiorysu to fikcja. Nie miałam męża. Kiedy dają ci przykrywkę, lepiej się jej trzymać.

– Czyli nie było San Diego ani Hawajów. Bliski Wschód, ale gdzie konkretnie? Możesz powiedzieć?

– Nie. Ale mogę powiedzieć, że to był cel o dużym znaczeniu. Bydlak miał armię zwolenników. I chciał wsadzić kij w mrowisko. Załatwiłam to. Zostałam ewakuowana. I wszystko było dobrze. Przez jakiś czas. Potem wybuchła afera Thomasleaks.

A więc to był powód. Zleceniobiorca z dostępem do akt Pentagonu ukradł i opublikował zbiór cennych dokumentów operacyjnych, które zawierały dane osobowe funkcjonariuszy wywiadu, żołnierzy amerykańskich, wykonawców zleceń, zagranicznych źródeł osobowych. Shaw nie śledził zbyt dokładnie tej sprawy, przypominał sobie jednak, że zamordowano trzech Syryjczyków, których nazwiska wymieniono w dokumentach, a kilkunastu tajnych agentów musiało opuścić placówki – i to szybko. Inni figurowali na różnych czarnych listach osób do odstrzału.

– Nazywają to fatwą. Dla Tony’ego Soprano to byłoby po prostu zlecenie. Na jedno wychodzi. No więc uprzedzam: wczoraj wieczorem pocałowałaś naznaczoną kobietę.

– Zastanawiałem się, dlaczego tak mi się podobało. – Przyjrzał się jej zamyślanej twarzy.

– Dlaczego akurat Ferrington?

– Mój prowadzący dał mi do wyboru kilka miast kryjówek. Ferrington jest na tyle blisko domu, że mogę regularnie odwiedzać rodzinę, i na tyle daleko od mojego dawnego życia, żeby nikt mnie tu nie znalazł.

Zapadła cisza. W powietrzu wisiał następny pocałunek, tym razem jednak przeszkodził im sygnał telefonu Shawa. Ekran wyświetlił miejscowy numer.

– Pan Shaw? – odezwał się w słuchawce męski głos.

– Tak.

– Pana kamper jest gotowy.

– Dziękuję – powiedział. – Będę za dziesięć minut. – Rozłączył się, poinformował Nilsson, że musi iść, po czym odwrócił się i gestem poprosił o rachunek.

– Świetna wiadomość – stwierdziła. – Możesz ruszać w drogę.

Radość psuł tylko drobny fakt, że nie wiedział, dokąd jechać.

Nie było trudno ich nabrać.

Bo gliniarze nie rozumowali tak jak on. Tylko reagowali.

Zero kreatywności.

Po szaleńczym rajdzie, gdy uciekł przed uzbrojoną w strzelbę Dorellą Muñoz Elizondo, Jon Merritt nie ruszył w kierunku żadnej głównej drogi, lecz zdjął nogę z gazu i skręcił w stronę pobliskiej szkoły średniej Johna Adamsa. Zaparkował za salą gimnastyczną i obejrzał odniesione obrażenia. Ciemne sińce i obrzęk po gumowych pociskach wyglądały podejrzanie, ale wszystko było sprawne. Wysiadł z pikapa, zostawiając pracujący silnik i otwarte okno. Starając się nie utykać, ruszył pieszo w głąb dzielnicy domów szkieletowych z mikroskopijnymi ogródkami.

Kiedy zaczynał służbę w policji, jego rewir obejmował tę szkołę. Dzisiaj działały tu takie same gangi i niestowarzyszona gówniarzeria, co w większości poślednich placówek oświatowych – dzieciaki, które stale pakowały się w kłopoty wyłącznie dlatego, że chciały się pakować.

Ich ulubionym sportem było pożyczanie sobie cudzych aut.

By skazać kogoś za kradzież pojazdu – czyli zagarnięcie mienia znacznej wartości – formalnie rzecz biorąc, należało udowodnić zamiar trwałego przywłaszczenia sobie czyjegoś samochodu. Czasem nie było to łatwe, stawiano więc sprawcom zarzut jazdy kradzionym pojazdem, czyli zasadniczo wypożyczenia samochodu z zamiarem jego zwrotu po szaleńczej przejażdżce.

Jona Merritta zupełnie nie obchodziło, za co nastolatek zostanie zatrzymany. Członek gangu mógł rozebrać wóz na części. Ktoś inny chciałby się przekonać, jak ford F-150 radzi sobie z jazdą terenową. A jeszcze ktoś inny będzie wołał jeździć po okolicy z dziewczyną, dopóki nie znajdzie zacisznego miejsca, gdzie będą mogli się całować, i nie tylko, na wytartym kocu rozłożonym na platformie pikapa.

Opuszczając teren szkoły, Merritt obserwował całą akcję. Ford stał z pracującym silnikiem ledwie minutę, gdy na horyzoncie pojawił się chudy chłopak z brzydką cerą, w wysłużonej bluzie z nazwą grupy rockowej sprzed lat. Przystanął, rozejrzał się po parking, a ułamek sekundy później siedział za kierownicą i pędem wyjeżdżał spod szkoły.

Merritt poprawił plecak na ramieniu i poczłapał dalej chodnikiem w cieniu wiązów. Korzystając z chwili spokoju, zajrzał do telefonu i sprawdził wiadomości. Po ucieczce

z motelu Sunny Acres jego eks i córka znowu rozpląnęły się w powietrzu. Zupełnie nie było wiadomo, dokąd mogły pojechać.

Westchnął ze złością.

To oznaczało, że jeszcze raz będzie musiał przekopać się przez śmieci, które zebrał w jej domu. Ile tam jeszcze zostało papierów?

Tysiąc kartek i świstków.

Najpierw musiał jednak zdobyć jakiś wóz.

Pokonał długą drogę, mijając sześć skrzyżowań, gdy zwrócił uwagę na starszą kobietę, która na podjeździe skromnego domu parkowała lśniącego granatowego buicka, starszy model. Wysiadła, wyjęła z tyłu torbę z zakupami i ruszyła do drzwi.

Nikt nie wyszedł jej pomóc. Czyli mieszkała sama albo przynajmniej w tym momencie w domu nie było nikogo.

Psy? W jej wieku i przy jej stanie zdrowia bardziej prawdopodobny był mały głośny psiak niż rottweiler albo pitbull.

Na ulicy nie było przechodniów ani samochodów.

Staruszka podeszła do drzwi. Merritt wyjął broń i ruszył za nią.

Bezszelestnie wśliznął się do salonu, gdzie szumiał skromny system wentylacji i klimatyzacji. Wyczuł zapach cytryny, lawendy i jakiegoś środka czyszczącego. Ach tak, to amoniak. Przypomniawszy sobie sprawę sprzed lat, która rozegrała się w bardzo podobnym domu. Żona próbowała zabić męża, mieszając amoniak z innymi domowymi chemikaliami, z czego powstał niebezpieczny gaz. Wtedy powaliła go na ziemię, pozorując upadek i uderzenie głową o róg blatu. Potem rozlała śmiertcionośną miksturę na podłogę. Merritt pamiętał, jakie wrażenie zrobiła na nim jej pomysłowość – do chwili, gdy stwierdził, że zapomniała pozbyć się młotka, którym rozbiła mu głowę. Ze względu na swoje odciski palców i jego krew dostała trzydzieści lat.

Merritt przyjrzał się kolekcji figurek. Przede wszystkim zwierząt. Z białej porcelany. Kunsztownie wykonanych. Szczególnie spodobał mu się słoń.

Cicho ruszył w stronę kuchni, gdzie kobieta nuciła ładną melodię. Znaną, z jakiegoś broadwayowskiego musicalu, ale on za nic nie potrafił jej rozpoznać.

Stojąc przed dużym nowoczesnym domem, Allison Parker nacisnęła przycisk dzwonka przy masywnych drzwiach z surowego dębowego drewna. Z wewnątrz dobiegła melodia kuranta złożona z trzech tonów przypominających jej dźwięk, jaki powstaje podczas pocierania wilgotnym palcem brzegu kieliszka.

Kanciasta i lśniąca od szkła budowla robiła wrażenie. Allison chciała spytać Hannah, co o niej sądzi, ale przypomniała sobie, że jest zła na córkę.

„Wiedzmo”...

Kroki, cień. Potężne drzwi otworzyły się i stanął w nich Frank Villaine, spoglądając na matkę z córką. Uśmiechał się. Wyglądał prawie tak samo, jak go zapamiętała: zwalisty, misiowaty, brodaty, z gęstymi ciemnymi włosami przetykanymi kilkoma pasmami siwizny, których jednak nie przybyło, odkąd poznali się wiele lat temu.

– Dzień dobry.

– Frank. – Przytuliła go. Ta sama woda kolońska, po tylu latach. – To jest Hannah. Han, pan Villaine.

Na jego szeroki uśmiech odpowiedziała zdawkowym ruchem kącika ust. Do kontaktu fizycznego nie doszło. Hannah wolała zachować ostrożność. To zrozumiałe. Był obcy i znacznie nad nią górował. No i nie można było zapominać, że jej dotychczasowe życie zmieniło się w koszmar.

– Wejdźcie. – Frank wziął ich bagaże i wprowadził je do środka, zerkając na stumetrowy podjazd prowadzący do domu z gruntowej wiejskiej drogi. Lekko przymrużył oko: prawdopodobnie wyglądał tak, gdy wypatrywał zwierzyny. Na stałe mieszkał w Chicago. To był jego domek letniskowy i myśliwski.

Zamknął i zaryglował drzwi, po czym poprowadził je przez duży otwarty salon do kuchni, która, jak to się często zdarza, była sercem domu. Poruszał się powoli z natury, nie ze względu na ograniczenia fizyczne. Gdy zadzwoniły do drzwi, pracował przy wyspie i na blacie z ciemnozielonego marmuru leżały schematy techniczne, tabele, wykresy, notatki. Obok stały dwa otwarte laptopy.

Ściany domu były z drewna klonowego, podłogi wyłożono deskami, a dębowe drzwi miały zawiasy i klamki z kutego żelaza. Szerokie odsłonięte okna wychodziły na łagodne wzgórza na wschodzie, a po przeciwnej stronie na gęsty las, który który zajmował większość tej części stanu.

Dopiero teraz zauważyła strzelbę stojącą za drzwiami lufą do góry.

Był świetnie poinformowany o sprawie Jona Merritta.

– Nie wiem, co powiedzieć, Frank. – Zsunęła kurtkę, a on odebrał ją i powiesił na kołku przy tylnych drzwiach. Hannah nie zdejmowała okrycia – jakby była gotowa do wyjścia. – Zachodziłam w głowę – ciągnęła Parker – próbując sobie przypomnieć kogoś, kogo Jon nie zna... I kto byłby takim szaleńcem, by nas przyjąć pod swój dach na dzień czy dwa.

– Możecie zostać, jak długo chcecie.

– To nie potrwa długo. Na pewno są na jego tropie i niedługo go złapią.

Czyżby Hannah zareagowała na te słowa grymasem złości? Możliwe.

– Sprawdzalem wiadomości – rzekł Frank – i nic o nim nie piszą. Nie dzwoniłem na policję ani do więzienia, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

Poprosiła go, aby tego nie robił i poprzestał na monitorowaniu prasy.

– Dziękuję. Ciągłe ma kontakty.

Bała się, że ktoś z policji albo z zakładu karnego mógłby zobaczyć numer i namierzyć Franka, a w konsekwencji adres tego domu.

– Mój adwokat trzyma rękę na pulsie. Dzwoniłam do niego, ale nie odbierał i jeszcze się nie odezwał.

– Pokażę wam pokoje.

– Możemy spać w jednym.

– Jak sobie życzycie. Jestem waszym Airbnb.

– Może jeżeli pan ma drugi... – Uprzejmy uśmiech Hannah był zupełnie sztuczny.

Zerknął na Parker, która nieznacznie skinęła głową, doszedłszy do wniosku, że to chyba dobry pomysł, by dać dziewczynie odrobinę swobody. Jej też się to przyda. Wściekłość z powodu selfie za motelem wzbierała w niej i opadała. Owszem, nie była z nią szczerą, mówiąc o zagrożeniu, jakie stanowił jej ojciec, ale dziewczyna rażąco zignorowała jej polecenie. To niedopuszczalne.

Niosąc ich torby i plecaki z taką lekkością, jakby to były poduszki, Frank poszedł przodem długim ciemnym korytarzem.

– Proszę bardzo. – Ruchem głowy wskazał dwie sąsiadujące ze sobą sypialnie. Były duże, każda miała własną łazienkę. Pościel wyglądała na nową, w nogach łóżek leżały równo złożone ręczniki. Allison zajęła pierwszy pokój, Hannah drugi, bardziej w głąb korytarza.

– Han. – Parker stanęła w drzwiach jej sypialni. – Zdejmij kurtkę. Umyj się.

Dziewczyna wzięła od Franka plecak i rzuciła na łóżko, po czym wyjęła laptop i otworzyła.

– Han?

– Dobrze.

Frank położył bagaże Allison w jej pokoju.

– Będę w kuchni – powiedział.

– Dziękuję – szepnęła i mocno go uścisnęła.

Weszła do łazienki, wyszorowała ręce i twarz. Była blada i wymizerowana, chyba dobrze zrobiłby jej makijaż. Nie zawracała sobie nim jednak głowy. Zresztą większość słoiczków, buteleczek i tubek została na podłodze w motelu Sunny Acres. Włosy wyglądały okropnie. Ograniczyła się do przyglądzenia ich palcami.

Wróciła do kuchni i zobaczyła Franka stojącego przy tylnych drzwiach i znowu wolno lustrującego okolicę. Miał lekko uniesione ramiona. Wróciło wspomnienie z biwaku. Zimny wrzesień w górach. Pewnego ranka oboje oglądali niezwyklej świt. Urzekło ją piękno światła na pokrytych rosą liściach. Jego oczarował widok jelenia dziesiątaka.

– Masz otwartą sieć wi-fi? – spytała.

– Otwartą...? Aha, nie. Router jest zabezpieczony hasłem. Podam ci.

– Nie potrzebuję. Hannah może znaleźć hasło?

– Jest na routerze. Tam.

Czarna skrzynka stała w rogu.

– Możesz to schować?

Przeniósł urządzenie do szafy i zamknął drzwi.

– Dlaczego?

– Ona nie zdaje sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo nam grozi. Obawiam się, że może wrzucić coś do sieci. – Poczowała ścisnięcie serca. – Zresztą już wrzuciła. Jon mógł się z tego dowiedzieć, gdzie się zatrzymałyśmy. Próbowwała mu zdradzić, gdzie jesteśmy.

Zmarszczył brwi.

– Po co miałyby to robić?

Parker też rozejrzała się po posesji.

– Chce odzyskać ojca. Ścisłej mówiąc, tego, którego pamięta z dawnych czasów. Przypuszcza, że gdy nas przeprosi, znowu będziemy szczęśliwą rodziną. Nie rozumie, kim się stał. – Wzruszenie ramion. – Jest gotowa mu wybaczyć. I sądzi, że ja też powinnam.

Było dużo więcej do powiedzenia, chyba za dużo.

Allison Parker poprzestała jednak na tym, dodając tylko:

– Na pewno znowu zaczął pić. – Wciąż patrzyła na teren porośnięty trawą i krzewami. – To jak zapałka i benzyna.

– Tu nic wam nie grozi. Dom to forteca. W tej części hrabstwa jest sporo ćpunów. Kiedy wszystko pozamykam, Jon nie ma szans dostać się do środka. Mam przycisk alarmowy połączony z centrum monitoringu. I jeszcze... – Wskazał ciemny kąt, gdzie stała broń. Parker wiedziała, że jest świetnym strzelcem.

– To naprawdę tylko dzień czy dwa. Jeżeli pojutrze jeszcze nie będzie zatrzymany, pojedę do Indianapolis. Mieszka tam jedna z moich dawnych współlokatorek. Nigdy nie wspominałam o niej Jonowi.

Nadszedł czas – najwyższy – by porzucić temat Jona Merritta.

Przyjrzała się Frankowi z lekkim uśmiechem.

– Spotykasz się z kimś ostatnio?
Od lat był wdowcem. Po śmierci jego żony przez pewien czas byli parą.

– To nic poważnego. Za stary jestem na te wygłupy.
Prychnęła kpiąco.

– Może za bardzo zajęty.
– To już brzmi lepiej. – Pokręciła głową. – Pewnie sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Jak ja.

– Reaktory modułowe. Fascynująca praca. Przypomnij mi nazwę tego waszego produktu. Pamiętam, że brzmiała ciekawie.

– Minisłońca.

– Sprytnie. Jest już w produkcji?

– W przyszłym roku. A co u Franka juniora i Elli?

– Pierwszy na Zachodnim, druga na Wschodnim Wybrzeżu. Dzięki Elli zostanie dziadkiem.

– Och, Frank! Kiedy?

– Za parę miesięcy. Organizuję sobie plan wykładów, żebym mógł często widywać ich oboje. Frankie od trzech lat ma nowego partnera. Thom jest geniuszem komputerowym. Frankie zasypia podczas naszych rozmów o matematyce.

– Cieszę się, że tak ci się ułożyło.
Spuścił oczy.

– Nie kontaktowałem się z tobą. Powinienem być zadzwonić.
Uniosła rękę.

– Jestem tak samo winna. Życie toczy się dalej.

– Co ty na to, żebym zajął się lunchem?
Zaśmiała się cierpko.

– Byłoby wspaniale. Śniadanie skończyło się trochę wcześniej, niż planowałyśmy.
Nastawił wodę w dużym garnku, a z lodówki wyjął świeży makaron i miskę podsmażonego boczku.

– Przepraszam cię, ale Hannah jest wegetarianką.
Paski chrupiącej wieprzowiny wróciły na miejsce.

– A ser?
Pokręciła głową.

– Nie wiem. Zasady stale się zmieniają. Może dzisiaj je tylko cukinię.

– Hej, młoda damo! – zawołał Frank. – Co powiesz na makaron z serem?
Odpowiedziała mu cisza.

– Hannah, słyszysz nas?

– Słyszę.

– Odpowiedz panu Villaine’owi. Czy na lunch może być ser?

– Dziękuję, nie jestem głodna.

Parker rozłożyła ręce, a Frank parsknął śmiechem. Jego dzieci też były kiedyś nastolatkami.

– Daj jej ser. Zje.

– Co robisz w Harmon Energy? – zapytał.

– Właśnie skończyłam pracować jako antyterrorystka. Teraz zajmuję się wywózką śmieci.

– Aha.

Wyjaśniła, na czym polega działanie dezaktywatora ADEB i czego dotyczy jej obecny projekt, czyli pojemniki na pręty paliwowe.

– To jak wymiana baterii, z tą różnicą, że baterie cię nie zabiją, gdy zbliżysz się na odległość pięciu metrów.

– To twój pomysł?

– Mój.

– Podoba ci się praca w energetyce jądrowej?

– Komu by się nie podobała? – Po chwili milczenia dodała: – Jesteśmy liderem na drodze do jaśniejszego i czystszej jutra.

Deklaracja wyraźnie go rozbawiła.

– To slogan reklamowy, ale to nie oznacza, że to nieprawda. Wierzę w to, co Marty chce zrobić w krajach rozwijających się. Korzystasz z zielonej energii, zgadza się? Wiatrowej i słonecznej?

– W stu procentach.

– Zobaczmy, do czego to doprowadzi – powiedziała. – Często się słyszy, że energia jądrowa wcale nie jest ekologiczna. Dyskusja nabierze rumieńców...

– Aż osiągnie masę krytyczną?

Zaśmiała się.

Nie dodała, że nie tylko wierzy w energię jądrową, ale szczególną pewność odnajduje w jej trwałych podstawach naukowych. Można polegać na niezmiennych słowach Einsteina: energia i masa są wymienne, $E=mc^2$. We wszystkich innych sferach życia może panować nieopisany bałagan, ale wzory i równania, które towarzyszyły jej codziennie, nigdy jej nie zdradziły, nigdy nie okłamały.

– Hannah, chodź do nas. – Nie powiedziała: „wyjdź do ludzi”, chociaż miała ochotę.

Znowu żadnej reakcji.

– Pójdę po nią.

– Na pewno przeżywa teraz piekło – zauważył cichym głosem Frank. – Jeżeli chce, niech tam zostanie.

– Nie. Powinna usiąść z nami. – Parker wstała i poszła do pokoju córki. Hannah siedziała na łóżku z komputerem, ale ze wzrokiem utkwionym w nieskazitelnie czystych oknach.

Na polach królowały jesienna pustka i bure kolory, ale rosnące dalej drzewa mieniły się olśniewającymi ciepłymi barwami przeplatany soczystą zielenią sosen.

Wydawało się to niemożliwe, by ktoś na granicy lasu mógł zajrzeć do ich pokoi, ale Allison zaniepokoiła się, że są tak odsłonięte, więc podeszła do okna i opuściła żaluzję. Obawiała się protestów córki, ale ona w ogóle się nie sprzeciwiła.

Parker oparła się o komodę i skrzyżowała ręce na piersi.

– No dobrze, Han. Byłam wściekła z powodu tego selfie. Ty byłaś wściekła dlatego, że się wściekłam. A ja popełniłam błąd, nie mówiąc ci o zagrożeniu. Powinnaś była powiedzieć. Zostawmy to.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Starając się wyłączyć surowy rodzicielski ton, pożyczyla sformułowanie od Franka.

– Kochanie, wiem, że to dla ciebie piekło, ale to nie będzie trwać wiecznie. – Próbowala się podeprzeć niefortunnym banałem: – Może być jednak jeszcze gorzej, jeżeli nie będziemy trzymać się razem.

Dziewczyna nawet nie przewróciła oczami na te oklepane słowa.

– Proszę – nie ustępowała Parker. – O co chodzi?

– O nic.

Nie było nic gorszego niż usłyszeć to słowo od własnego dziecka. Mogło znaczyć dosłownie to, co oznaczało. Ale mogło oznaczać zupełne przeciwieństwo, czyli „wszystko”. Albo jeden z miliona punktów między jednym a drugim.

A ty, osoba, która za wszelką cenę chciała poznać odpowiedź, błąkała się po omacku.

– Rozmawiaj ze mną, proszę cię.

Nagle drgnęła przestraszona, bo dziewczyna wyrzuciła z siebie ze złością:

– Nie chcę tu zostać. W tym domu. Chcę jechać dalej.

– Dlaczego?

Wbiła wyzywające spojrzenie w oczy matki. Głową wskazała w stronę kuchni.

– To z nim zdradzałaś tatę, prawda? Śmiało. Przyznaj się!

Zatrzasnęła laptop i odwróciła się od niej.

Merritt nigdy w życiu nie widział tak czystutkiego samochodu jak buick należący do pani Butler.

Nawet kierownica była wypolerowana. Śliska. Wyczuł zapach sprayu do czyszczenia mebli.

Skręcił na parking przy centrum handlowym i podjechał na przeciwległy koniec, gdzie stały dziesiątki skromnych aut. Tam kazano parkować pracownikom sklepów, by dla klientów zostały bliższe miejsca. Panował tu minimalny ruch – pieszy i kołowy.

Oparł głowę o miękki zagłówek. Wbił wzrok w fakturę sufitu.

Chciało mu się spać. Był wyczerpany, oszołomiony, dręczony falami bólu wywołanego przez gumowe pociski, z których drugi trafił w mięśnie wciąż obolałe od wymiotów. Nie było jednak czasu. Złość w nim narastała, przyprawiając go o prawie takie same mdłości jak wcześniej.

Do roboty.

Wyprostował się i otworzył plecak. Był pełny. Wziął ze sobą cały dobytek z motelu River View. Za pokój zapłacił gotówką, ale istniało prawdopodobieństwo, że go rozpoznają. Lepiej znaleźć inne miejsce.

Przeszukał plecak, postawił obok siebie butelkę whiskey, położył parę ubrań, wreszcie wydobyl pozostałe dokumenty, które zabrał z wynajętego domu Allison.

Przeglądał je przez pół godziny i dotarł prawie do końca pliku, coraz bardziej zniechęcony, czyli coraz bardziej zły, gdy nagle zatrzymał się na wydruku maila. Położył go na desce rozdzielczej i kontynuował przeszukiwanie reszty papierów. Nie znalazł nic więcej. Owca

Musiał mu wystarczyć ten jeden mail. Przeczytał go jeszcze raz.

Otworzył internet i sprawdził nazwisko z okienka nadawcy. Znalazł wiele trafień, ale żadnego adresu.

Następnie wysłał wiadomość do Doma Ryana z prośbą, by skorzystał ze swoich kontaktów i zorientował się, czy z nazwiskiem wiąże się jakiś adres w okolicy.

Gangster błyskawicznie odpowiedział, że się tym zajmie. Jasne. Licznik kasy cały czas pracował.

Dziwny mail. Wysłany w wewnętrznej sieci firmowej w czasach, gdy Allison pracowała w innym przedsiębiorstwie, wieki temu.

Wiadomość była krótka.

Cześć, Alli!

Tożsamość Eulera nazywa się najpiękniejszym wzorem matematycznym.

$$e^{i\pi} + 1 = 0$$

Znam zupełnie inną tożsamość, która może ostro konkurować z Eulerem...

Najwyraźniej nadawca, współpracownik jego byłej żony Frank Villaine, nie był aż tak zaprzątnięty matematyką, by nie odkryć w sobie natury romantyka.

Nie wiem, o czym mówisz.

Dziewczyna zacisnęła szczęki o łagodnej linii. Miała zaczerwienione oczy.

– Wydaje ci się, że byłam głucha? Słyszałam wasze cholerne kłótnie. Powiedział, że wie o tobie wszystko. Zdradzałeś go! Wszyscy w okolicy was słyszeli.

Niektórzy rzeczywiście.

– Mów dalej – szepnęła Parker, odzyskując coś w rodzaju spokoju i równowagi. Z trudem.

W szepcie Hannah brzmiała złośliwa nuta.

– Tato powiedział, że wie o tobie wszystko. O romansie. To był on, prawda? Frank! – Jej oczy wezbrały łzami. – Zdradziłeś go. Dowiedział się. Dlatego zaczął pić! Zrujnowałeś mu życie!

A więc o to chodziło w słowach, jakie usłyszała od niej przy okazji poprzedniej kłótni.

Wpakowałaś go za kraty, żeby zająć się czymś innym...

Czując, że jej też łzy napływają do oczu, Allison próbowała złapać córkę za przedramiona, ale dziewczyna gwałtownie się wyrwała.

– Nie, nie, nie, kochanie. Kiedy to słyszałeś, był pijany, prawda? Wygadywał różne rzeczy, czasami bez ładu i składu.

– Co z tego? To nie znaczy, że kłamał.

– Nie, nie znaczy, że kłamał. Ale wierzył w nieprawdziwe rzeczy. Czasem zapominał, jaki jest dzień tygodnia. Nazywał mnie Judy – tak miała na imię jego dawna dziewczyna. A do ciebie mówił Abby.

Nie miała pojęcia, skąd wytrzasnął to imię.

– Pamiętasz tamtą imprezę? Czwarty lipca u Hanka i Patty. Twój ojciec wdał się w bójkę z panem Simmsem, bo był pewien, że mówi różne rzeczy za jego plecami. Popadał w paranoję, stawał się nieprzyjemny. Jezu, Han, zastanów się: kiedy miałabym czas na romans? Siedziałam w pracy sześćdziesiąt godzin w tygodniu. Resztę czasu spędzałam w domu.

– Po co by to zmyślił?

– Bo miał paranoiczne urojenia i napady wściekłości. Przestał racjonalnie myśleć. Ja przecież nigdy...

– Nie okłamuj mnie!

– Ona nie kłamie, Hannah. – W drzwiach stał Frank i zwracał ku niej okrągłą, życzliwą twarz. Dziewczyna uniosła wzrok, wyraźnie wstrząśnięta, że ktoś jeszcze słyszał ich rozmowę.

– Mogę wejść?

Chociaż nie odpowiedziała, przestąpił próg, ale zrobił tylko parę kroków.

– Przepraszam. Słyszałem, co mówiłaś. Chciałem ci tylko powiedzieć coś o twojej mamie i o mnie.

Jaki spokojny głos, jakie dobre spojrzenie...

Hannah patrzyła na niego spode łba, ale nieznacznie kiwnęła głową. Otarła łzy.

– Spotykaliśmy się kiedyś z twoją mamą. Lata temu. Zanim poznała twojego ojca. To trwało raptem parę miesięcy. I potem się skończyło.

– Zdrada, Han? Nie, to nie my – zapewniła żarliwie Parker. – Miałam swoje wady. Twój ojciec swoje. Ale coś takiego? Nigdy.

Po co? Nagle błysnął jej w pamięci obraz, jak ostatni raz kochali się z Jonem, zresztą całkiem niedługo przed jego aresztowaniem za napaść. To było takie cudowne. Jak zawsze. Żywiołowe i głębokie. Jeszcze jedna rzecz, z którą pożegnała się z żalem, gdy wniosła przeciw niemu zarzuty.

Bolesne wspomnienie.

Powiedziała córce absolutną prawdę. Owszem, małżeństwo Merritta i Parker nie było idealne, ale wśród jego wad na sto procent nie było niewierności.

– Wszystko, co mówił, gdy był pijany, to bzdury i złośliwości. Zresztą połowa z tego nie miała sensu. Pół roku przed twoimi urodzinami zapalił dla ciebie świece na gofrze. I wściekł się, kiedy zajął się obrus. Pytał, dlaczego mu nie podziękowałaś za psa, którego ci kupił. Jakiego psa? W domu nigdy nie było psa. Oskarżył mnie, że rozbiłam nowy samochód – chociaż sam to zrobił. Żył w innej rzeczywistości.

Hannah rękawem ocierała oczy. Matka wyciągnęła chusteczkę z pudełka z nadrukiem w postaci wielkich pomarańczowych stokrotek.

Nie odchodź, błagała ją w duchu. Zostań ze mną.

Córka wzięła od niej chusteczkę i osuszyła łzy.

Allison po raz dziesiąty, dwudziesty w ciągu dwóch ostatnich dni bezwiednie dotknęła swojego policzka, skóry tuż nad pękniętą kością, dawno zagojonej, ale wypukłość wciąż wznosiła się jak grzbiet góry, mimo zapewnień lekarza, że tak się nie stanie.

Ujęła dłonie córki.

– Znajdą go, w więzieniu zapewnią mu jakąś pomoc. – I spontanicznie dodała: – Pomoc, którą powinnam była mu zapewnić w zeszłym roku.

Właśnie to dziewczyna chciała usłyszeć. Skinęła głową.

W Parker kłębiły się emocje. Tak, córka uwierzyła jej, że nie zdradziła męża. Była tego pewna. Ale to oczywiście jeszcze nie był koniec. Na razie lęk i złość zeszły na dalszy plan.

Pora na strategiczny odwrót.

- Umieram z głodu. – Spojrzała na córkę. – Pan Vill...
- Nie, lepiej Frank.
- Frank przygotowuje nam lunch.
- Dobrze.
- Idźcie do kuchni – dodała Parker. – Za chwilę do was przyjdę.

Dziewczyna wydmuchała nos i wyrzuciła chusteczkę. Zdjęła kurtkę, rzuciła na łóżko i wyszła za Frankiem na korytarz. Parker cofnęła się do łazienki, oparła się o umywalkę i otarła oczy, pochylając głowę.

Odkąd poznali się w dziale badawczym Midwest Particle Technology, czuła się przy nim swobodnie. Był miły i zabawny. I dorównywał jej wiedzę, w niektórych dziedzinach nawet ją przewyższał.

Oboje dokładnie w tym samym momencie zrozumieli, że jest między nimi za mało chemii, by stali się parą – takiej chemii, która daje początek prawdziwemu związkowi.

Chemia...

Ten błysk, ten skurcz w żołądku, którego nigdy nie poczuła przy Franku, ale który pojawił się wyraźnie i zdecydowanie, gdy na imprezie halloweenowej pierwszy raz spotkała obdarzonego chłopięcym wdziękiem Jona Merritta. Miała na sobie T-shirt z dżerseju z metką z ceną, a on granatowy mundur policyjny. Nawiazali kontakt wzrokowy i Jon podszedł do niej.

- No dobra – powiedział, obrzucając wzrokiem jej ubiór. – Kim jesteś?
- Jednym z pięćdziesięciu stanów – odparła.
- New Jersey – wypalił bez zająknięcia. – Niezłe.
- A ty? Jesteś gliniarzem z jakiegoś serialu?
- Nie, jestem gliniarzem z posterunku w Ferrington. Nie chciało mi się zastanawiać nad kostiumem.
- Aha. – Uśmiechnęła się filuternie. – Czyli te kajdanki są prawdziwe.

Przegadali cały wieczór. Ścisłej rzecz biorąc, większą część wieczoru. Wylądowali w ciasnej kawalerce, gdzie chemia działała bez przeszkód do bladego rana...

Nagle w jednej chwili ogarnęła ją wściekłość. Dysząc, jakby zabrakło jej tchu, Parker zacisnęła dłoń w pięść i wzięła szeroki zamach, celując w środek lustra pół metra przed nią. Nie obchodziło jej, co sobie roztrzaska, co skaleczy.

– Mamo? – usłyszała.

Hannah wołała do niej z korytarza.

Głęboki oddech. Drugi.

– Co, kochanie?

– Zimno mi. Gdzie moja szara bluza?

Zgarbiła ramiona.

– Chyba w mojej torbie. Sprawdźmy.

Moll bębnił długimi i grubymi palcami w kierownicę.

Siedzieli w fordzie transicie stojącym na parkingu przed 7-Eleven i właśnie skończyli jeść spóźniony lunch z plastikowych pojemników. Długo oczekiwaną ucztę z grilla znowu musieli przełożyć na później.

Jadąc na zachód drogą numer dziewięćdziesiąt dwa z motelu Sunny Acres, pokonali trzydzieści kilometrów, żeby oddalić się od ewentualnego pościgu, i zatrzymali się na moment tylko po to, by cisnąć do strumienia twardy dysk z zapisem monitoringu. Następnie w wyobraźni rzucili monetą i postanowili ruszyć dalej na północ, unikając jednak kamer na skrzyżowaniu dróg pięćdziesiąt pięć i dziewięćdziesiąt dwa. Na drugą wjechali już spory kawałek za granicę hrabstwa Marshall.

Merritt miał nad nimi przewagę, więc czekali teraz na wiadomość, czy mu się powiodło.

Pospiesz się i czekaj...

Spryskując sobie szyję, Moll zerknął na fotel obok, gdzie Desmond nadal pracował nad wierzbową gałązką.

Ciekawa rzecz to jego hobby. Opukiwał gałązkę, dopóki na tyle nie obłuzował kory, by ją zsunąć. Potem w drewnianym czopie długości około ośmiu, dziewięciu centymetrów robił nacięcie i wsuwał z powrotem rurkę z kory, tworząc w ten sposób coś w rodzaju fletu.

Właśnie odłożył nóż i uniósł do ust zielony instrument. Kiedy dmuchnął, rozległ się donośny, kojący dźwięk. Przerwał i przez chwilę poprawiał nożem piszczalną. Znowu zagrał.

Fleciki działały najwyżej przez tydzień. Kiedy wierzba wyschła, instrument nie nadawał się do użytku. Stawał się z powrotem kawałkiem gałęzi. Moll z początku uważał to za stratę czasu, ale potem uświadomił sobie: a cóż w życiu trwa długo?

Czterdzieści trzy lata czy tydzień – jedno i drugie nic nie znaczy. Tyle co pstryknięcie palcami.

Desmond zagrał kilka dźwięków. Moll nie przypominał sobie tej melodii, ale miała coś wspólnego z jakąś rebelią w Irlandii, która walczyła o niepodległość z Brytyjczykami. Jedna z jego dziewczyn przekonywała go do idei reinkarnacji i trochę w to uwierzył. Stwierdził kiedyś, że Desmond w poprzednim życiu mógł być buntownikiem.

Jego współnikowi po namyśle spodobała się ta koncepcja. Spytał Molla, kim jego zdaniem był on. Może Kubą Rozpruwaczem.

Moll widział jednak parę filmów i seriali, więc odparł, że nie. Kuba zabijał z żądy i robił to byle jak. Moll zabijał dla pieniędzy, był świetnie zorganizowany i staranny. Traktował pracę nad zwłokami tak samo jak iluzjonistyczne malowanie mebli.

Jedno i drugie było sztuką. Bez różnicy.

Desmond przechylił głowę.

– A co u Jean?

Moll zawahał się przez moment.

– Odeszła.

– O, nic nie mówiłeś.

– To było niedawno.

– Przykro mi, stary. Wydawała się całkiem w porządku. – Kumpel zagrał jakiś motyw, po czym zerknął na niego z ukosa. – Chcesz powiedzieć, że odeszła... od nas na dobre?

Moll zrozumiał dopiero po chwili.

– Co? Nie. Oczywiście nie w takim sensie.

Chociaż pytanie nie było całkiem od rzeczy.

Desmondowi wystarczało szukanie szczęścia na parkingach dla ciężarówek. Moll chciał z kobietą czegoś więcej. Tego ustatkowania, o którym wspominała matka. Wyobrażał sobie nawet przyszłość: poluje, pracuje i maluje meble, a potem wraca do domu i pomaga jej – wszystko jedno, kim ona będzie – doprowadzać dom do porządku, jeździć na targ, przygotowywać kolacje, które potem będzie jeść nie za kierownicą forda, lecz przy prawdziwym stole jadalnianym. Pomagałby jej zmywać i wybierałby dobre wino. Postanowił nauczyć się tej umiejętności.

Jean, ponętna brunetka, która szefowała w pubie Huxley's, była typem kobiety, który doskonale nadawałby się do tej roli.

Ale była też bystra i spostrzegawcza, co stanowiło dla niego źródło rozterki. Osoby bystre i spostrzegawcze mogły stać się istotną zawadą w jego pracy.

Dlaczego musisz osobiście zawieźć te meble? Przecież mógłbyś je wysłać kurierem.

Skaleczyłeś się? To czerwone w furgonetce to krew?

I tak dalej.

Czyli łamigłówka.

Kiedyś pewnie ją rozwiąże. Tymczasem lubił malować. Lubiał produkować zwłoki i w pomysłowy sposób pozbywać się ich na zawsze.

Kiedyś...

– Jest jeszcze w okolicy? – odezwał się Desmond. – Jean?

– Przeprowadziła się z powrotem do Dubuque – poinformował go Moll.

– Śmieszna nazwa. – Desmond wzruszył ramionami. – Chociaż kto to mówi. Moje imię też rzadko się słyszy.

Moll burknął coś niewyraźnego. Bardzo wam dziękuję, matko i ojcie. Święcie wierzyli, że urodzi im się dziewczynka, której chcieli dać na imię Molly po kimś z rodziny. Niech to

diabli. A tu chłopiec. Trzeba coś wymyślić na poczekaniu. Pamiętał, jak kolega z klasy powiedział: „Słuchaj, przecież tak jak na ciebie wołają na jakieś dziwki, wiesz, gangsterów, nie?”¹.

Chłopak do końca semestru nie chodził do szkoły, ponieważ został poszkodowany w jakimś dziwnym wypadku, którego szczegółów w ogóle nie pamiętał. Już nikt więcej nie nabijał się z imienia Molla.

Zawibrował jego telefon. Moll przeczytał wiadomość i się uśmiechnął.

– Prosznie.

– Co?

– Merritt kogoś znalazł. Mamy adres. – Uruchomił silnik i wstukał adres do GPS-u. Zapięli pasy.

– Skoro mowa o dziwnych nazwach i imionach – dodał Moll – facet nazywa się Villaine. Inaczej się pisze, ale brzmi jak czarny charakter z filmu².

– Okej – zgodził się Desmond. – Wygrywa.

¹ *moll* – dziewczyna gangstera.

² *villain* – czarny charakter w literaturze i filmie.

Allison Parker i Hannah dołączyły do Franka, który sprzątał dokumenty i komputery z blatu wyspy pośrodku kuchni i prznosił na zastawione różnymi rzeczami biurko w kącie.

– Napijecie się czegoś? – spytał. – Mam colę light. Nie żebyś potrzebowała takiej wersji. Dziewczyna prawie się uśmiechnęła.

– Tak, niech będzie light.

Wyjął puszkę i jej podał.

– Nigdy w życiu nie widziałam większej lodówki.

Frank wziął butelkę włoskiego czerwonego wina i spojrzął na Parker, pytająco unosząc brew. Przypuszczał zapewne, że z powodu problemu alkoholowego Jona została abstynentką. Nie piła często, ale miała ochotę na wino, potrzebowała go. Skinęła głową.

Otworzył butelkę i napełnił kieliszki. Wypili po łyku.

Frank na sześciopalnikowej kuchence podgrzewał sos pomidorowy, który lekko bulgotał na wolnym ogniu. Wskazując na rondel, zwrócił się do Hannah:

– Dla Włochów ten sos to nie będzie *salsa*, tylko *sugo*.

– Super pachnie. Kiedy ze sobą zerwaliście?

Nikt tak jak nastolatki nie potrafi palnąć czegoś bez związku.

– Przeniosłam się do innej firmy – odpowiedziała Parker. – Do Marty’ego.

– A ja wyjechałem do Chicago. Oboje uznaliśmy, że związek na odległość nam nie wyjdzie. Poza tym nie jestem pewien, czy pasowalibyśmy do siebie. Zmuszałbym ją do włączenia się po lesie, żeby, cytuję, „zrobić zakupy” na kolację.

– Zamiast iść tam, dokąd należałoby – do Whole Foods.

Przez twarz Hannah przemknęło widmo uśmiechu.

Woda w garnku kipiała już na całego, więc Frank wrzucił świeże fettuccine.

– Uczta prawie gotowa. Hannah, mogłabyś mi pomóc nakryć do stołu?

– Gdzie jest wszystko?

– Tam. – Wskazał masywny mahoniowy kredens na drugim końcu kuchni.

– Tu wszystko jest duże. – Patrzyła na stół w jadalni, przy którym mogłoby zasiąść szesnaście albo osiemnaście osób.

– Zjemy tam. – Wskazał okrągły stół obok wyspy. Odsunął na bok plik schematów technicznych. – Bardziej mi się podoba to miejsce. Reszta domu wygląda jak jaskinia

urządzona przez architekta wnętrz. Często jadacie w kuchni?

– Zwykle tak. W jadalni jest za ciemno. Wynajmujemy dom i nie możemy zainstalować nowego oświetlenia. – Zerknęła na matkę. – Ani przemaalować ścian.

Dziewczyna została nauczona *savoir-vivre*'u, więc w ciągu kilku minut na szklanym blacie pojawiły się ułożone zgodnie z zasadami talerze, maty, sztucze i serwetki.

Frank wymieszał sos z makaronem i wyjął z lodówki tarty ser. Po chwili z dużego piekarnika wyłonił się bochenek włoskiego chleba z apetyczną, chrupiącą skórką. Na lewą dłoń nałożył kuchenną rękawicę i ząbkowanym nożem ukroił parę kromek, które położył w misce. Następnie wyjął z lodówki sałatę, a z półki w jej drzwiach kilka dressingów.

W trójkę zanieśli wszystko na stół.

Frank zajął miejsce i wskazał im krzesła po bokach. Parker usiadła po jego lewej, a Hannah po prawej ręce.

Zdała sobie sprawę, dlaczego chciał zjeść przy tym stole i dlaczego wybrał akurat to miejsce – żeby mieć dobry widok na długi podjazd i gruntową drogę, która biegła przed domem.

Też się jej przyjrzała, po czym przeniosła spojrzenie na długą strzelbę w kącie przy drzwiach.

Spokojnie, powiedziała sobie. Przecież to niemożliwe, żeby Jon wiedział o tym domu.

Zaczęli jeść. Rozmowa krążyła wokół różnych tematów, od energetyki przez zmiany klimatyczne, politykę, okoliczne krajobrazy, życie na wsi, szkołę Hannah i jej niesamowite zdolności do rozwiązywania zadań matematycznych. Parker przypuszczała, że dziewczyna będzie chciała mówić o swojej pasji – projekcie związanym z selfie – ale córka miała na tyle zdrowego rozsądku, by nie pisać o tym ani słowa.

Pod koniec posiłku Frank znieruchomiał, nie donosząc do ust kieliszka. Odstawił go na stół.

– Przejdźcie do salonu. – W jego głosie zabrzmiał rozkazujący ton, zupełnie niepodobny do spokojnego głosu, którym wcześniej wypowiadał zwięzłe zdania.

Zaniepokojona Hannah uniosła wzrok.

– Co?

Parker wstała.

– Han, zróbmy, co mówi Frank.

– Idźcie. Szybko

Allison z córką weszły do ciemnego pokoju, w którym królował łeb wapiti.

– Mamo?

– Cii.

Dostrzegła sylwetkę Franka, który siedł z kuchni w stronę szafki na broń. Wysunął szufladę.

Usłyszała też dźwięk, który musiał go zaniepokoić – jakiś trzask.
Podeszła do okna i stłumiła okrzyk zaskoczenia.
Przez wysokie zarośla otaczające z boku dom przedzierała się postać.
– Frank! – zawołała. – Na zewnątrz!

Twoja matka i Marty Harmon wynajęli mnie, żebym cię znalazł – powiedział do Allison Colter Shaw.

Kiedy dotarł na posesję Villaine'a w pobliżu małego miasta Greenville, nie wiedział, czy Bliźniacy – jak w myślach ochrzcił dwóch wynajętych zbirów z motelu Sunny Acres – nie zjawili się tam przed nim. Dlatego zaparkował przy bocznej drodze i przeszedł przez las. Obejrzał dom, potem przez chwilę nasłuchiwał. Gdy nie miał wątpliwości, że w środku nie ma nieprzyjaciela – Parker, Hannah i Frank Villaine jedli lunch – wyszedł z krzaków rosnących obok budynku, zadzwonił do drzwi i cofnął się, nie chowając rąk.

Villaine przywitał go z pistoletem w dłoni. Parker na jego widok krzyknęła ze zdumieniem.

– Nie, nie, Frank. W porządku. Poznałam go. Odzyskał część reaktora skradzionego z naszej firmy. To o nim ci mówiłam – dodała, zwracając się do córki.

Po potwierdzeniu tożsamości Shaw wyjął telefon. Parker obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Jon może go namierzyć?

– To numer na kartę, z którego wcześniej nie korzystałem. Poza tym nie sądzę, żeby jakiś technik z Verizonu albo Sprintu chciał się narażać na więzienie dla byłego gliniarza.

Po namyśle niechętnie skinęła głową. Shaw zadzwonił do Marty'ego Harmona.

– Colter?

– Są obok mnie jedna i druga.

– Boże – westchnął w słuchawce Harmon. – Nic im się nie stało?

– Wszystko w porządku.

– Merritt ciągle jest na wolności. Policja nie trafiła na żaden trop. Mogę coś zrobić?

– W tym momencie nie. Nie mogę teraz rozmawiać. Chciałem tylko dać ci znać. Zadzwon do Ruth.

– Oczywiście.

– Odezwę się, gdy będziemy w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Colter... – Głos lekko mu się załamał. – Dziękuję. – I Harmon się rozłączył.

– Jest pan prywatnym detektywem? – zainteresował się Frank.

– Coś w tym rodzaju.

– Jak mnie znalazłeś?

– Marianne Keller...

– Asystentka mojego szefa – wyjaśniła Frankowi Parker.

– Pomagała działowi ochrony Marty’ego odnaleźć ludzi, którzy mogli być z tobą w bliższych związkach w przeszłości i których Jon prawdopodobnie nie znał. Pojawiło się nazwisko Franka. Mieszkał na północy – a w tamtą stronę pojechałaś. Uznałem, że jest sześćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że przyjechałyście tutaj.

– Jakie może być ryzyko? – spytał ją Frank. – Przecież Jon o mnie nie wie.

– Może nie. Ale przetrząsnął twój dom. Było tam coś z nazwiskiem i adresem Franka?

Na chwilę przymknęła oczy.

– Nie sędzę, ale być może. Och, Frank, tak mi przykro...

– Trzeba zakładać, że on i jego dwaj ludzie wiedzą o tym domu – ciągnął Shaw. – I mogą już być w drodze.

– Jacy ludzie? – zdziwiła się Parker.

– Nie wiem, kim są. Ale sposób ich działania świadczy o tym, że to prawdopodobnie zawodowcy, najemnicy. Z jakiejś ekipy... to znaczy gangu. Być może twój mąż ich wynajął albo mieli wobec niego dług wdzięczności z czasów, gdy pracował w policji, i zażądał jego spłaty. Pomagają mu was znaleźć.

– O nie... – wyszeptała.

– To znaczy, że to płatni zabójcy? – włączył się Frank.

Shaw skinął głową

– Mamo! – Hannah patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.

– Napadli na recepcjonistę w Sunny Acres i znaleźli wasz pokój. Uciekłyście na chwilę przed ich przyjazdem.

Na tę wiadomość Hannah odwróciła wzrok. Myślała zapewne o swoim osławionym selfie.

– Och, Alli – szepnął Frank.

– Co z recepcjonistą? – spytała z lękiem.

– Nic mu się nie stało.

– Mój tato był z nimi? – spytała Hannah. – W motelu?

– Nie sędzę. Chyba się rozdzielili, żeby mieć większe szanse w poszukiwaniach. – Shaw spojrzął na Parker. – Skoro jesteś offline, to pewnie nic nie wiesz o swoim adwokacie.

– Co się stało z Davidem?

– Zaginął. Zakłada się, że nie żyje. Policja przypuszcza, że Jon próbował się od niego dowiedzieć, dokąd mogłaś pojechać.

Popłynęły łzy. Parker ukryła twarz w dłoniach.

– Boże, co za koszmar...

Colter uznał, że wystarczy już rozmów.

– Za długo tu jesteśmy. Musimy jechać.

– Dokąd? – zapytała.

– Znam dobre miejsce – odezwał się Frank. – Domek rybacki nad jeziorem Timberwolf. Należy do mojego przyjaciela, który wyjechał z miasta. Nie można go ze mną powiązać, poza tym stoi w głębi lasu. Nie da się go znaleźć.

– Dobrze – stwierdził Shaw.

– Ty też z nami jedź – zwróciła się do Franka Allison.

– Przyjadę. Ale trochę później. Najpierw zabezpieczę dom. Pozamykam okiennice, drzwi. Są odporne na włamanie, a gdyby próbowali, mam alarm podłączony do centrum monitoringu. – Podał Colterowi adres domu nad jeziorem.

Shaw zdał sobie sprawę, że Hannah patrzy na niego z dziwnym wyrazem twarzy, w którym przekora łączyła się z rezerwą. Uśmiechnął się, by ją uspokoić.

– Jesteś Hannah, prawda?

Skinęła głową. Nie wyciągnął do niej ręki, ale ona to zrobiła i Colter uścisnął ciepłą, suchą dłoń.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Przyjrzała mu się z dziwnie dorosłą miną, jak gdyby chciała spytać: skąd, do cholery, możesz to wiedzieć?

Spokój.

Domek, do którego wysłał ich Frank Villaine, skromna konstrukcja wykończona beżowym drewnem, stał nad jeziorem, które w tej zacisznej dolinie było gładkie jak tafla szkła. Podłużny zbiornik otaczało tysiąc, dziesięć tysięcy drzew, niektóre w pysznych wielobarwnych strojach, inne zielone, brązowe albo martwe i szare. Lustrzana tafla wody odbijała krajobraz najeżony ich wierzchołkami.

Doskonałe miejsce do wędkowania. Zimne, czyste, szerokie jezioro.

Pomyślał o Sonji Nilsson.

Najczęściej łowiliśmy bassy. Czasem szczupaki...

Zatrzymał winnebago za domkiem i wyłączył silnik. Wsiadł. Głęboko zaczerpnął tchu. Poczł zapach, a wręcz smak liści, błota, wody i rozkładających się roślin.

Chwilę później nadjechały złotą kią Parker i Hannah. Wóz zaparkował obok kampera. Shaw dał im znak, by zaczekały. Podeszedł do wejścia do domku i wstukał kod, który dał mu Villaine. Usłyszał szcęk i z dłonią w pobliżu rękojeści pistoletu uchylił drzwi.

W ciągu kilku minut sprawdził trzy przytulne sypialnie i resztę, po czym wyszedł na werandę do matki z córką. Wniosły do środka swoje rzeczy. Nie było tego dużo: torba z zakupami, plecaki i torby na ramię.

Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, zamknął drzwi.

Hannah nie czuła się dobrze; ostatni kilkukilometrowy odcinek drogi numer osiemdziesiąt cztery wił się ostrymi zakrętami. Podeszła do kanapy, której poduszki zdobiły czerwono-czarne wzory tkane przez rdzennych Amerykanów, i opadła na nią, odchylając do tyłu głowę.

– To minie – pocieszyła ją matka.

– Nie. Będę wymiotować. – Jęknęła z nutą nastoletniej skłonności do dramatyzowania.

Shaw wiedział, że minie, ale niewiele niedyspozycji osłabia człowieka równie mocno jak mdłości. Oczywiście nie chciał, by dziewczyna źle się czuła; obie musiały zachować czujność i przytomność umysłu, by nic ich nie rozpraszało. Kryjówka wyglądała nieźle, nie byli jednak niewidzialni.

Wszedł do kuchni i przejrzał zawartość szafek. Kiedy znalazł to, czego szukał, wrzucił garść mielonego imbiru do garnka, dolał wody i gotował tę miksturę parę minut. Następnie

przecedził ją przez filtr do kawy, wsypał dwie kopiaste łyżeczki cukru i zamieszał. Podał kubek dziewczynie.

Popatrzyła na niego z niepewną miną.

– Hm, dzięki, ale...

– Spróbuj.

Wypiła z wahaniem pierwszy łyżeczek. Potem drugi.

Zostawił ją i dołączył do Parker, która wróciła na werandę i patrzyła na rozległy teren. Poszedł za domek, wziął z kampera plecak i wrócił. Posesja zajmowała około siedmiu, ośmiu akrów ziemi porośniętych trawą i turzycą, plus parę samotnych dębów, głogów i klonów. Około dwustu metrów od domku ciągnął się rząd drzew wzdłuż drogi, którą tu przyjechali.

– Można urządzić niezłe stanowisko obronne – zauważył.

Parker parsknęła krótkim śmiechem.

– Mówisz, jakbyśmy byli żołnierzami.

– Proszę. – Sięgnął do plecaka i wydobyl szarą plastikową kasetkę na broń. Otworzył ją i wyjął colta pythona. Ten model, kaliber .357 magnum, uważano za najlepszy rewolwer, jaki kiedykolwiek skonstruowano. Bezkonkurencyjnie celny, z mechanizmem, który pracował płynnie jak w luksusowym zegarku. Tę broń młody Colter Shaw dostał w prezencie od ojca. Właśnie nią wypłoszył z rodzinnej Posiadłości uzbrojonego intruza.

Miał wtedy trzynaście lat.

Podał jej colta.

Parker pokręciła głową.

– Weź. Schowaj za paskiem. To rewolwer. Na pewno nie wypali przez przypadek.

– Nie.

– Być może poproszę cię, żebyś go użyła – oznajmił stanowczo.

Równie ostrym tonem odparła:

– W takim razie będziesz musiał wymyślić coś innego.

Hannah przerwała sprzeczkę, jeśli można było tak nazwać tę wymianę zdań.

– Podziałało. – Zatrzymała wzrok na broni, którą Shaw ostatecznie wsunął za własny pasek. – To jak piwo kremowe z Harry’ego Pottera – dodała. – W każdym razie wyobrażam sobie, że tak smakowało.

– Postaramy się zwiększyć nasze bezpieczeństwo – oznajmił Shaw. – Los nam sprzyja, ale nawet jeden procent prawdopodobieństwa ataku oznacza, że trzeba się przygotować.

– Co mamy robić? – spytała Allison.

– Przy głównych punktach wjazdowych założę system wczesnego ostrzegania. Na podjeździe i przy jeziorze.

– Jeziorze? – Parker zmarszczyła czoło. – Jak mogliby się tamtędy dostać?

Jej córka zwróciła uwagę na coś, o czym Colter właśnie chciał powiedzieć.

– Po drodze mijaliśmy Walmart. Można tam kupić łódkę.

– Możecie zasłonić okna? – spytał Shaw. – Prześcieradłami, ręcznikami, czym się da. – Wskazał na zawieszane na ścianach plakaty z rustykalnymi pejzażami. – Gdzieś pewnie jest skrzynka z narzędziami, w której znajdziecie młotek i gwoździe. Na zewnątrz nie może być widoczne światło. Jeżeli będzie trzeba, użyjcie dwóch czy trzech warstw.

Hannah rozejrzała się dookoła.

– Jak długo tu będziemy?

– Nie wiadomo – odparł. – W kamperze mam jedzenie i wodę. Wystarczy na tydzień.

– O, jest palenisko – zauważyła z entuzjazmem dziewczyna. – Możemy gotować na dworze.

– Nie – uciął Shaw. – Możemy się tym zdradzić.

– Ale teraz? Przecież jest słońce.

– Dym można wyczuć z odległości wielu kilometrów. Będziemy używać mikrofalówki.

– Wtedy też może być dym. – Hanna patrzyła na matkę, która wyznała Shawowi:

– Raczej marna ze mnie kucharka.

Obie z córką się zaśmiały.

Parker poszła przeszukać schowki i szafki w kuchni. Znalazła niewielką żółtą skrzynkę na narzędzia. Zaniosiła ją na stół w jadalni, wyjęła młotek i pudełko gwoździaków do wieszania obrazów. Potem ruszyła na poszukiwanie koców.

Shaw przyglądał się uważnie współczesnej budowli.

– Mój ojciec był surwiwalowcem – poinformował Hannah.

Przez chwilę zastanawiała się nad czymś z zaszępioną miną. Wreszcie spytała:

– Ale oni wydają się nieco dziwni, prawda? Są trochę ... no, rasistami.

– Niektórzy tak, ale on taki nie był. – Opowiedział krótko o Ashtonie i Posiadłości. – Dwie podstawowe zasady surwiwalu to nigdy nie zapominać o wytyczeniu trasy ucieczki i nigdy nie zapominać o zadbaniu o dostęp do broni. Najpierw zasada numer jeden. Ucieczka. Co sądzisz?

Rozejrzała się.

– Tylne drzwi na taras. Główne wyjście, okna od frontu. Okna z boku.

– Które wyjście jest najlepsze?

Chyba wyczuła, że ją sprawdza, nie miała jednak nic przeciwko temu. Chyba wręcz spodobało jej się to wyzwanie.

– Boczne – oświadczyła stanowczo. – Można wyskoczyć i pobiec tam. – Pokazała na wysokie, zielono-żółte krzewy blisko domu. – Dobre miejsce na kryjówkę.

– Zgadza się.

– Ale okna się nie otwierają. – Jej wzrok spoczął na palenisku. – Trzeba je wybić tym... pogrzebaczem.

– Nie. Jest za cienki. Na dole zostałyby odłamki. – Shaw głową wskazał w stronę kuchni.

– Widzisz te żeliwne patelnie? – Wisiały nad wyspą. Wszedł tam i wrócił z dwoma dużymi

i ciężkimi naczyniami. Położył je pod oknami, które wskazała Hannah. – Możemy wybić nimi szyby i walnąć w dolną część ramy, żeby usunąć ostre odłamki.

– Ten facet jest właścicielem domku? – zaniepokoiła się dziewczyna. – Chyba nie będzie zachwycony. Wie pan, jak mu powybijamy okna i przybijemy koce do ścian.

– Zwrócimy mu koszty.

Do jadalni weszła Allison, niosąc naręczce pościeli. Rzuciła ją na kanapę, po czym przyjrzała się oknom i otworzyła pudełko z gwoźdźmi.

– Wychodzę zorganizować system ochrony zewnętrznej – powiedział Shaw.

– Mogę panu pomóc?

Zerknął na Parker, która skinęła głową

Poprosił ją o pilota od samochodu. Podała mu go.

– Bierzmy się do roboty – zwrócił się do Hannah.

Dostała od niego wiadomość.

Colter Shaw zadzwonił, aby ją poinformować, że poszukiwania zostały zwieńczone sukcesem. Alli i Hannah były bezpieczne.

Sonja Nilsson spytała, czy potrzebuje pomocy. Odparł, że nie; zamierzali zmienić kryjówkę. I że będzie lepiej, jeśli zostanie w Ferrington i zajmie się sprawdzaniem tropów w okolicy. Zanim jednak odpowiedział, wahał się przez chwilę, co dla niej oznaczało, że rozważał jej propozycję.

Zaaprobowała jego decyzję. To był dobry pomysł. Rozsądny.

Ale po tym, co ją spotkało, i czując, że jest na celowniku, wiedziała, że czasem człowiek nie ma ochoty robić tego, co jest dobre i rozsądne.

Ma ochotę zrobić coś dla siebie.

Mimo to umiała być cierpliwa. Wciąż miała w pamięci tamten pocałunek, tamten uścisk, który pokazał, jak dobrze ich ciała do siebie pasują.

Jechała właśnie swoim range roverem przez Garden District w Ferrington. Rozmawiała z osobami mieszkającymi w pobliżu domu Dorelli Muñoz Elizondo i szukała kogoś, kto widział Merritta mniej więcej w czasie, gdy został powitany salwą gumowych pocisków.

Niestety nikogo takiego nie znalazła.

Zbliżała się teraz do Szkoły Johna Adamsa. Uczył się tam młody człowiek, który ukradł pikapa pozostawionego na przynętę przez Merritta, miała więc nadzieję, że jakiś nauczyciel czy ktoś z uczniów go widział – a byłoby najlepiej, gdyby widziano jego nowy pojazd.

Jak często jej się zdarzało, znowu wróciła myślą do „sytuacji”, w jakiej się znalazła, bo tak to nazywała.

Na celowniku...

Śmiertelny strzał do wyznaczonego celu nie padł z dużej odległości – z siedmiuset metrów. Nie był też szczególnie trudny. Był bezwietrzny i suchy dzień (wilgoć skleja powietrze i powoduje dziwne zachowanie pocisku na śmiercionośnej drodze). Lekkie szarpnięcie, mocny odrzut, a dwie sekundy później mężczyzna zeszywniał jak rażony prądem i padł – mężczyzna, który torturował jeńców, żenił się z dziećmi (tak, w liczbie mnogiej), który zniewolił sektę łatwowiernych, zapatrzonych w niego i niebezpiecznych wyznawców.

Łatwa robota.

I w czasach przedinternetowych na tym by się skończyło. Wróciłaby do innych zadań, potem skończyła służbę, zaczęła pracować w prywatnej firmie. Może naprawdę wyszłaby za męża, jak w tej bajeczce, którą opowiedziała Colterowi. Ale za kogoś sympatyczniejszego. Kogoś, kto byłby trochę podobny do niego.

Do tego jednak nie doszło... Dzięki ci, pieprzona sieci WWW.

To internet dał Michaelowi Deanowi Thomasowi możliwość opublikowania tysięcy wykradzonych z Pentagonu stron. Powodzi biurokratycznej prozy, ciężkiej i nudnej, godnej uwagi tylko z jednego powodu – zdradzała setki ciężko pracujących patriotów.

Właśnie pocałowałaś naznaczoną kobietę...

Pentagon i funkcjonariusze instytucji wywiadowczych przysyłali jej ROZ-y, czyli „raporty oceny zagrożenia”. Prawie nic z nich nie wynikało, poza komunikatem: „być może ktoś jest na twoim tropie, być może nie, po prostu bądź ostrożna”.

Nie mogła mieć im tego za złe. Przecieki spowodowane przez zdrajcę naraziły na niebezpieczeństwo pięćset osób.

Zdrajcę, który podobno mieszkał dziś w letnim domu na plaży w Wenezueli i do rozpalania grilla używał pism z żądaniem ekstradycji, przysyłanych tamtejszym władzom przez amerykańskie organa ścigania.

Nilsson zatrzymała SUV-a na parkingu, z którego chłopak, jak twierdził, rąbnął należącego do Merritta pikapa. Wsiadła, zamknęła drzwi i zarygłowała. Poprawiła spoczywającego na biodrze Glocka 43. Model dziewięćmilimetrowy. Przypuszczała, że Shaw ma taki sam. Ewentualnie Glocka 42, który strzelał nieco mniejszą amunicją kaliber .380.

Krążyła po okolicy i pokazując licencję prywatnego detektywa i zdjęcie Merritta, informowała każdego, kto otworzył jej drzwi, że bada sprawę podejrzanego osobnika, którego widziano, jak kręcił się przy szkole.

Mówiła prawdę, bo przecież prawda niejedno ma imię.

Wszyscy chętnie z nią rozmawiali – któż nie chciałby wyłapać zbrojców? – ale z pewnością mężczyźni poświęcali jej więcej czasu niż kobiety. Z oczywistego powodu. Nilsson, która miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a na studiach przez pewien czas pracowała jako modelka, raczej nie miała nic przeciwko temu, by wykorzystywać swoje atuty. Ktoś przecież powiedział kiedyś o reklamie, że najlepiej sprzedaje się w niej seks.

Niezależnie jednak od długości rozmów nikt nie przekazał jej istotnych informacji.

Nadeszła pora, by wrócić do biura. Stamtąd zamierzała skontaktować się z policją, spytać o najnowsze informacje w związku z poszukiwaniem Jona Merritta. Chciała się też zająć wieloma innymi sprawami. Kwestie bezpieczeństwa w firmie produkującej reaktory jądrowe nie uległy zawieszeniu z powodu agresywnego zachowania męża jednej z pracownic.

Zwłaszcza w takiej firmie, która w ciągu kilku dni padła ofiarą prób kradzieży istotnego produktu – podejmowanych przez dwóch złodziei.

Podchodząc do range rovera, Sonja Nilsson wyjęła z kieszeni telefon, przystanęła i zaczęła stukać palcami w ekranową klawiaturę.

Ledwie skończyła, a w kuli pomarańczowych płomieni eksplodował improwizowany ładunek wybuchowy, rozrzucając we wszystkie strony grad odłamków.

Shaw i Hannah powoli jechali nią w stronę kępy drzew przy jeziorze. Zboczyli z podjazdu i samochód kołysał się lekko na miękkiej ziemi.

Dziewczyna zdjęła wełnianą czapkę. Zdziwił się na widok jej długich włosów. Spodziewał się, że nosi krótko obcięte. Ciemnoblond kucyk, ściągnięty czarną gumką, był przetykany czerwonymi pasemkami.

Gdy znaleźli się w odległości około czterdziestu metrów od wjazdu na posesję – bramy w ogrodzeniu z żerdzi i słupków – Colter skręcił w prawo i zatrzymał auto tuż przed kępą sosen i krzewów w pobliżu brzegu jeziora. Wyłączył silnik, po czym wysiadł. Hannah dołączyła do niego.

Zarzucił na ramię plecak i ruszył w stronę bramy. Dziewczyna poszła za nim.

Maszerowali przez łąkę pokrytą niską roślinnością, żółtą i jasnozieloną: od kilku tygodni nie padało. Spod ich nóg szybko umykały pasikoniki i przeróżne pluskwiaki, jak skoczki i tarczówki.

– Fuj. Nie cierpię robaków.

– To są owady – sprostował, przypomniawszy sobie jedną z pierwszych lekcji zoologii, jakich udzielił im ojciec. – Robakami nazywa się bezkręgowce, na przykład nicienie czy płazińce.

– A owady są stawonogami.

– Otóż to.

To nie była pora na wykłady o terminologii zoologicznej i jej znaczeniu w sztuce przetrwania. O organizmach toksycznych i odżywczych, na przykład o pluskwiakach, które mogły niszczyć rośliny, ale żaden nie był niebezpieczny dla człowieka. Dziewięć gatunków było jadalnych.

Doszli do bramy. Dziewczyna trzepnęła komara.

Colter wszedł do lasu otaczającego posesję, spojrział na ziemię i zerwał kilka łodyg żeniszka meksykańskiego. Oderwał liście i podał Hannah.

– Zawierają kumarynę. Zmiażdż je i potrzyj skórę.

Powąchała i zmarszczyła nos.

– Pewnie nie smakuje tak świetnie jak imbir.

– Nie smakuje – potwierdził Shaw. – I można od tego zwymiotować.

Wyjął z kieszeni pilota od samochodu i wcisnął przycisk zamykania. Rozległ się pisk syreny. Dobrze. Wcześniej martwił się odległością. Są sposoby zwiększenia zasięgu pilota samochodowego – można go przycisnąć do butelki napoju izotonicznego albo własnej głowy, albo przedłużyć antenę kawałkiem metalu – tu jednak nie było takiej potrzeby.

Podniósł długi, płaski kawałek kory i rozglądał się po ziemi, dopóki nie znalazł małego okrągłego kamyczka. Wyjął z plecaka rolkę taśmy izolacyjnej. Przykleił ją do przycisku alarmu na pilocie, a pilota przymocował do kory. Całą konstrukcję ułożył pilotem do dołu w jednej z kolein na podjeździe.

Zaśmiała się.

– Jak przejedzie po tym jakiś samochód, włączy się alarm. – Wydawała się zachwycona tym pomysłem. – Ale czad!

– Spróbuj.

Nastąpiła na korę i rozjazgotał się alarm kii.

– Działa!

Shaw szybko podniósł korę i wcisnął przycisk ryglowania zamka, który wyłączył alarm. Położył pułapkę z powrotem na ziemi i przysypał garścią liści, żeby jeszcze lepiej ją zamaskować.

Ruszyli w drogę powrotną do domku.

– Nauczył się pan tego od ojca?

– I tak, i nie. Akurat nie tej sztuczki z pilotem. Ale uczył nas improwizowania.

– „Nas” to znaczy kogo?

– Mam brata i siostrę.

Opowiedział o Russellu – tyle, ile mógł. Spora część obowiązków jego brata w rządowej komórce bezpieczeństwa była tak tajna, że nawet Shaw nie znał jego pracodawcy. Dziewczynę szczególnie zainteresowała Dorion, która miała dyplom z inżynierii.

– Jak twoja matka. Prowadzi firmę, która zajmuje się zarządzaniem kryzysowym. Na przykład skutkami huraganów albo wycieku ropy.

– Ma pan dzieci? – spytała nagle Hannah.

– Nie.

Przyglądała się uciekającym przed nimi owadom.

– Mama chce, żebym została inżynierem i naukowcem. – Wzruszyła ramionami. – Jestem dobra z matmy. Mówi, że genialna. Czy ja wiem? Może. Rozwiązuję zadanie z rachunku różniczkowego, wynik się zgadza, ale co z tego? Tak naprawdę lubię pisać – przede wszystkim wiersze – i robić zdjęcia. – Zmarszczyła brwi. – Zrobiłabym tu całą serię, tylko mama zabrała mi telefon, bo zrobiłam coś głupiego.

– Wrzuciłaś do sieci zdjęcie z wieżą ciśnień.

– Aha.

– Popatrz na to w ten sposób – powiedział Shaw – gdybyś go nie wrzuciła, mógłbym was nie znaleźć.

- Chyba nie.
- Jakie selfie chciałybyś zrobić tutaj?

Rozejrzała się.

– Prawie same nudy. Przyroda? Fuj. – Przymrużyła oczy. – Wiem, to by było zdjęcie z panem w tle. Patrzyłby pan na jezioro albo las i sprawdzał miejsca, gdzie mógłby się czaić ktoś niebezpieczny. Ale stałby pan tyłem. Byłoby widać tylko ciemną sylwetkę.

Kiedy szli przez trawę, patrzyła na jezioro.

– Nazywa się Timberwolf... W ogóle są tu wilki?

– Możliwe. Rzadko się je spotyka.

– Są niebezpieczne?

– Zwykle unikają ludzi.

– Ale nie zawsze.

– Nie.

– Ma pan swoje pistolety. Jeżeli jakiś nas zaatakuje, może go pan zastrzelić.

Shaw pokręcił głową.

– Nie chcę tego robić.

– Dlaczego?

– To my wchodzimy na ich terytorium. Jesteśmy persona non grata.

– Kim?

– Intruzami. Jeżeli wilk cię zobaczy, wcale nie musisz strzelać. Wystarczy, że się wyprostujesz i rozepniesz kurtkę, żeby wydawać się większa. Nie odwracaj się plecami, po prostu utrzymuj kontakt wzrokowy. Nigdy nie uciekaj. Jeżeli zjeży sierść na karku i podniesie polano...

– Jakie polano?

– Ogon. No więc jeżeli zjeży sierść i warknie, trzeba w odpowiedzi warknąć. Pokazać mu, że atak na ciebie sprawiłby mu za dużo kłopotów.

– Robił pan tak kiedyś?

– Parę razy.

– Kituje pan.

Już prawie dotarli do domku.

– Jeszcze jeden alarm i gotowe.

Komenda policji w Ferrington miała oddział pirotechników. W pewnym sensie.

Składał się z dwóch funkcjonariuszy, niezbyt dobrze działającego robota i świetnie działającego psa.

Dwa ostatnie elementy miały zastosowanie, kiedy trzeba było wykryć i unieszkodliwić improwizowane ładunki wybuchowe, ale były bezużyteczne, gdy w grę wchodziła analiza skutków eksplozji. Zadanie odtworzenia przebiegu wypadków przypadło więc dwóm szczupłym mężczyznom po trzydziestce.

Na razie ustalili, że bomba została skonstruowana z jakiegoś materiału plastycznego, który został opakowany warstwą gwoździ i wkretów do płyt gipsowych.

Parking ogrodzono, tworząc trapez z żółtej taśmy. W jej obrębie znalazły się wozy strażackie, karetka i radiowozy policyjne. Czerwone, niebieskie i zielone światła migają jak w wesołym miasteczku. Wokół taśmy zebrali się gapie, których większość filmowała scenę telefonami.

– Nie jesteśmy pewni co do zapalnika – powiedział wyższy z dwóch funkcjonariuszy.

– Zdalny – orzekła Sonja Nilsson.

– Nie czasowy?

Nie chciało jej się pytać, jak w tej sytuacji mogłaby zadziałać pułapka z mechanizmem zegarowym. Zamachowiec nie mógłby wiedzieć, kiedy Nilsson wróci do range rovera. Musiał się zacząć – co według kodeksu karnego w tym stanie kwalifikowałoby się jako zabójstwo zagrożone karą śmierci.

– Nadajnik ekranowany działający na dedykowanej częstotliwości. Żeby nie mógł go przypadkowo uruchomić żaden dzieciak z dronem.

Spojrzeni na nią obaj, najwyraźniej zachodząc w głowę, skąd ta kobieta to wie. Mogłaby im powiedzieć, że z doświadczenia, bo sama zrobiła parę improwizowanych ładunków.

– Poszukamy części – obiecał niższy.

– Miała pani szczęście, pani Nilsson.

Nie, szczęście nie miało z tym nic wspólnego. Czujność – owszem. Kontrolując otoczenie, miała zwyczaj, który zaobserwował Colter: szukała nie tylko potencjalnych uzbrojonych napastników, ale i potencjalnie niebezpiecznych przedmiotów. Kiedy więc podchodziła do samochodu, by wrócić do biura, zauważyła coś, czego tam nie było, gdy

zamykała drzwi range rovera: półmetrowy odcinek rury kanalizacyjnej w kolorze terakoty leżący przy krawężniku obok jej auta od strony kierowcy.

Zamachowiec dostrzegł zapewne, dokąd powędrował jej wzrok, odczytał mowę ciała i zrozumiał, że się zorientowała. Kiedy przystanęła i wyjęła z kieszeni telefon, uznał, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko zdetonować ładunek, licząc na to, że Nilsson jest na tyle blisko, by dosięgły jej odłamki.

Żaden nawet jej nie drasnął.

Kiedy wezwała policję, szybko przeszukała teren z dłonią na pistolecie. Sprawca musiał być w pobliżu. Nie zauważyła jednak nikogo uciekającego.

Do funkcjonariuszy z oddziału pirotechniki i Nilsson dołączył detektyw. Potężnie zbudowany mężczyzna, z mocną opalenizną, którą mógł zawdzięczać jedynie niedawnym wakacjom nad morzem. Upewnił się, czy nie odniosła żadnych obrażeń, po czym wolno zlustrował miejsce zdarzenia. Powiedziała mu o swoich podejrzeniach, że sprawcą mógł być ktoś związany z Rosjaninem, który chciał zdobyć dezaktywator ADEB. Nie była w stanie wykluczyć, że namierzyli ją fanatycy, których spotkała w swoim poprzednim życiu. To jednak mogłaby powiedzieć tylko swojemu oficerowi prowadzącemu. Nie chciała się jeszcze pozbywać przykrywki.

Detektyw zanotował jej relację. Potem pokazała mu, gdzie szukała zamachowca – w których miejscach jej zdaniem mógł się czaić. Wysłał dwóch funkcjonariuszy patrolu – bo tylko na tyłu było stać komendę Ferrington – by kontynuowali poszukiwanie świadków.

Nilsson zerknęła na range rovera. Kilkanaście odłamków podziurawiło drzwi samochodu. Gdyby nie zauważyła pułapki, zginęłaby.

Na celowniku...

– Wóz będzie na jakiś czas potrzebny technikom – poinformował ją detektyw.

– Rozumiem.

I tak nie mogłaby nim odjechać. Powietrze zostało tylko w jednej oponie. Będzie musiała wypożyczyć jakiś samochód.

I zadzwonić do Shawa, żeby go zawiadomić, co się stało.

Wcześniej jednak potrzebowała czegoś innego.

– Chcę, żeby przeprowadzono szybką analizę chemiczną ładunku – oznajmiła detektywowi i pirotechnikom.

Spojrzeni po sobie: problem polegał na tym, że była przecież cywilem. Musieli przestrzegać przepisów.

– O mały włos nie wyleciałam w powietrze – przerwała milczenie.

Pirotechnicy oddali głos starszemu stopniem.

– Z całym szacunkiem – powiedział detektyw – co pani dadzą wyniki analizy?

Nilsson utkwiała w nim spokojne spojrzenie.

– Jeżeli będę znała procent zawartości cyklotrimetylenotrinitroaminy, będę wiedziała, gdzie bomba została skonstruowana.

W Rosji czy na Bliskim Wschodzie.

Policjant zrobił wielkie oczy, po czym zerknął na wyższego z pirotechników, który nieznacznie skinął głową na znak, że kobieta ma rację. I lekko się uśmiechnął.

- Proszę podać adres mejlowy, a dopilnuję, żeby dostała pani wyniki.
- Jak najszybciej.
- Oczywiście.

Co pan właściwie robi, panie Shaw?

– Ludzie wyznaczają nagrody. Na pewno widziałaś.

Skinęła głową.

– Za znalezienie zaginionych dzieci albo zgubionych rzeczy.

– Policja wyznacza je za przestępców, których nie potrafi odnaleźć. Zbiegów z więzienia.

Czytam takie ogłoszenie i staram się znaleźć tego, kto zaginął.

– Jest pan też ochroniarzem?

– Czasami.

– Umie się pan bić?

– Znam parę sposobów.

– Mógłby mnie pan nauczyć? Na przykład karate?

– Nie uprawiam tego. Opanowanie sztuk walki wymaga długiego czasu. Za długiego.

Bardzo rzadko wdaję się w jakieś bójki, ale jeśli już, to jest to forma zapasów. Nazywa się „grappling”, czyli walka na chwyt.

– Kiedyś musiałam zostać po lekcjach za bójkę.

– Co się stało?

– Jedna dziewczyna czepiała się mojego kolegi trans. Mówię jej: „Zostaw go w spokoju, suko”. Zaczęła mnie prowokować, no i jakoś tak samo wyszło. Byłam tak cholernie wściekła, że darłam się, tłukłam ją, kopałam i szarpałam. Była większa ode mnie. – Wzruszenie ramion. – Chyba wygrała. Ale straciła trochę włosów. I rozbiłam jej nos. Powtórzyłam pracownikowi ochrony w szkole, co mówiła o moim koledze, ale chyba w ogóle go to nie obeszło. A od dyrektora usłyszałam, że powinnam o tym powiedzieć doradcy do spraw tolerancji i szkoła mogłaby to załatwić. – Prychnęła z pogardą. – Doradca do spraw tolerancji. Akurat.

Dla edukowanego w domu Coltera Shawa taka funkcja w szkole była czymś zupełnie nowym.

– Chcesz posłuchać rady? – spytał.

Zmarszczyła czoło.

– Zasady pana ojca: nigdy nie bij się z kimś, kto waży dwadzieścia pięć kilo więcej niż ty?

Shaw się uśmiechnął.

– Nigdy nie wiąż przeciwnika, jeżeli nie musisz.

– Nie wiąż?

– Mówię o wiązaniu walką. Nie bij się z nim. Wiedziałaś, że nie zmienisz... Jak się nazywała ta dziewczyna?

– Brittany.

– Wiedziałaś, że nie zmienisz transfobicznych poglądów Brittany. W takim razie po co się bić?

– Po to, że była wredną suczą.

– Walka nie sprawi, że będzie mniej wredna.

Hannah zastanawiała się przez chwilę.

– Po co? Dobrze mi to zrobiło.

– Walka nie służy poprawie samopoczucia. To w ogóle nie powinno wchodzić w rachubę. Załóżmy, że musiałaś walczyć. Brittany chciała zrobić twojemu koledze coś bardzo złego. Musiałaś ją powstrzymać. Wtedy trzeba pamiętać o następnej zasadzie: „Jeżeli musisz się zetrzeć z przeciwnikiem, nigdy nie ulegaj w walce emocjom”.

– Co to znaczy?

– Nie możesz być szczęśliwa, smutna, przestraszona... na pewno nie wściekła. To wpływa na zdolność podejmowania decyzji taktycznych.

Hannah chłonęła każde słowo.

– Ile trwała ta twoja walka? – zapytał Shaw.

– Wieki. – Hannah spojrzała na jezioro, na którym właśnie lądowała kaczka. Ptak, który tak niezgrabnie poruszał się po ziemi, w powietrzu i na wodzie był wzorem gracji. – A tak naprawdę? Pięć minut. Zresztą nie wiem.

– Powinna się zakończyć w ciągu dwudziestu sekund. Ona leży na ziemi i nie może oddychać. A tobie włos nie spada z głowy.

– Czas... Ale jak?

– Szybkie ruchy. Zaskoczenie. Zwód.

– Zwód?

– Fałszywy ruch. Udawany atak. Ona szykuje się, żeby zablokować cios, ale ty nagle schodzisz do parteru, obejmujesz rękami jej udo i wstajesz. Nogi są znacznie silniejsze od rąk. Ona pada na plecy, uderzenie wyciska jej powietrze z płuc. Potem wciskasz łokieć w splot słoneczny. – Pokazał na własnym tułowiu. – Łokieć. Nie kolano. To mogłoby ją zabić.

– Super! Niech mi pan pokaże. Udawajmy, że jestem Brittany! – Dziewczyna odwróciła się i przyjęła bojową postawę.

Shaw zaśmiał się i szedł dalej. Po chwili Hannah go dogoniła.

– Następny alarm – przypomniał jej. – Na jeziorze.

– W promocji pięćdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Co?

– Łódka w Walmarcie. Dlaczego zasady pana ojca zawsze czegoś zabraniają? „Nigdy nie rób tego, nigdy nie rób tamtego”?

– Uważał, że to zrobi na nas większe wrażenie. Mój brat nazywał go Królem Nigdy. Dotarli do brzegu.

– No i co to będzie za alarm?

– Na tyłach posesji przeciągniemy przez trawę żyłkę, jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Potem postawimy pudło z naczyniami kuchennymi na desce albo gałęzi i przywiążemy do niego żyłkę. Jeżeli potkną się o nią, pudło spadnie i na pewno to usłyszymy.

– Mogę to zrobić?

Podał jej szpulkę mocnej żyłki, którą wziął z domku, i podeszli do wskazanego przez niego drzewa.

– Tego wszystkiego nauczył pana ojciec?

– Tak.

– Kiedy miał pan tyle lat co ja?

– Trochę mniej.

W jej wieku Colter wykorzystał to, czego nauczył go ojciec, i zjechał na linie z Echo Ridge, z wysokości trzydziestu metrów, do miejsca, gdzie u stóp urwistego wzniesienia leżał człowiek – jego tato. Miał nadzieję, że go uratuje. Okazało się, że to była płonna nadzieja.

– Zawiąż w tym miejscu.

Zaczęła to robić, ale ją powstrzymał.

– Nie, w taki sposób. – Zrobił węzeł rybacki, sprawdzając, czy zapamiętała, jak go związać. Potem ruszyli wzdłuż brzegu, a ona po drodze rozwijała żyłkę.

Spojrzała na posesję.

– Mogliby jeszcze przyjść przez las. – Pokazała na gęsto zadrzewiony teren po prawej od frontowej ściany domku.

– Nie ma obrony doskonałej. Najważniejsze to upolować trochę czasu.

– Upolować?

– Tak mówił ojciec. Znasz wyrażenie „zyskać na czasie”, prawda? Uważał, że trzeba działać agresywniej i „upolować sobie czas” – zdobyć go tyle, by ocenić zagrożenie, ułożyć plan, jak je pokonać albo jak przed nim uciec, albo dobrze się ukryć, dopóki nie zjawi się pomoc.

Popatrzył na las.

– Mogliby nadejść z tej strony, ale oceniam to na trzydzieści procent. Musieliby obejść całą posesję i pieszo pokonać las. Prawie kilometr. Poza tym musielibyśmy zakładać tam żyłkę przez cały dzień. Za daleko.

– Zawsze pan tak robi? Liczy procenty?

– Tak.

– Dlaczego?

– Też przez ojca. Przyglądasz się wszystkim możliwościom po kolei i oceniasz procent szansy powodzenia. Ile jest procent szansy przeżycia w śnieżycy, jeżeli się gdzieś schronisz, a ile, gdy ruszysz w dalszą drogę. Jakie są szanse, że uda mi się wspiąć na tę ścianę skalną, skoro nie ma w niej żadnych szczelin, żeby wbić haki na linę asekuracyjną.

– Pan się wspina?

– To moje hobby.

– Serio? Mamy w szkole ściankę wspinaczkową. – Uniosła żyłkę, która zahaczyła o młode drzewko. Po chwili spytała: – A te procenty można też zastosować do chłopaków, prawda?

Shaw zmarszczył czoło.

– Na przykład podoba mi się chłopak, ale ja go interesuję na dziesięć procent. Powinam o nim zapomnieć i szukać takiego na dziewięćdziesiąt procent?

– Znasz kogoś takiego, kto osiąga te dziesięć procent?

– Nie wiem. Może Kyle. Dla niego najważniejsza jest deska.

– Snowboard?

– Nie. A zresztą nie wiem, może też. Chodziło mi o deskorolkę. Mama ciągle nadaje: „Opowiedz mi o nim, co robią jego rodzice, może gdy będziesz z nim w centrum handlowym, mogłabym podejść i...”. Jezu. – Pociągnęła swój kucyk. – To jakby nie zwracać uwagi na tych na dziewięćdziesiąt procent i wybierać tych na dziesięć, chociaż to kretyński pomysł.

Święta racja.

Dalej szli wzdłuż brzegu jeziora. Shaw przerwał ciszę.

– Powinnaś coś przeczytać. Myślę, że spodobałoby ci się.

– Tak?

– Esej *Poleganie na sobie*. Ralpa Waldo Emersona.

– Kto to był?

– Filozof z dziewiętnastego wieku. Mówca, poeta, działacz. Abolicjonista.

– Uczyliśmy się tego. Ruch przeciwko niewolnictwu. O czym jest ta książka?

– O byciu sobą, nonkonformistą, który nie musi polegać na nikim i niczym innym. Nie ulega opiniom innych, jeżeli ich nie szanuje. Dostałem to od ojca. Myślę, że ci się spodoba.

– Można to ściągnąć z sieci?

– Pewnie tak. Ale lepiej mieć wersję drukowaną.

Hannah położyła kępę wysokiej trojeści i dalej rozwijała żyłkę alarmową.

– Wystarczy – powiedział do niej.

Skinęła głową, ale najwyraźniej coś innego zaprzętało jej myśli.

– Panie Shaw... mogę o coś spytać?

Zerknął na nią. Hannah miała szeroko otwarte oczy, a w jej uśmiechu było coś konspiracyjnego.

– Nauczy mnie pan strzelać?

Tato dał mi wiatrówkę, gdy miałam dwanaście lat. Całkiem niezłe sobie radziłam! – Wskazała na jego pasek. – To zasady pana ojca, prawda? Nigdy nie zapominaj zadbać o dostęp do broni.

– Ty jej nie potrzebujesz. Jesteś ze mną.

– Ale ja nie mam się czym bronić.

– Żeby nauczyć się strzelać, potrzeba długich ćwiczeń.

– Wiem, jak to się robi. Widziałam wszystkie części *Mission: Impossible...* Żartuję! Przecież pan mnie może nauczyć.

– Twoja matka nie lubi broni.

– Jestem tu właśnie z powodu matki. – Hannah powiedziała to spokojnym głosem, w którym znów zabrzmiał ton dorosłego rozdrażnienia.

Po chwili wahania Shaw wyjął zza pasa rewolwer. To była elegancka broń, z sześciocalową lufą, oksydowanym korpusem i piękną mahoniową okładziną rękojeści.

Dziewczyna wpatrywała się w colta.

Nacisnął zatrzask i odchylił bębenek. Wysypał na dłoń sześć tępo zakończonych pocisków i schował je do kieszeni.

Następnie zatrzaskał bębenek z głośnym szczękiem i zignorował jej wyciągniętą rękę, którą zaraz opuściła.

– *Posłuchaj, Colter.*

– *Dobrze, Ash.*

Dzieci zachęca się, by zwracały się do rodziców po imieniu. Przyciąga to zaciekawione spojrzenia przyjaciół i rodziny, ale jest zgodne z filozofią samodzielności, którą wpajają im Ashton i Mary Dove.

Colter ma dziesięć lat. Później przekona się, że to był kluczowy rok w jego życiu. W rodzinie Shawów to wiek wtajemniczenia w arkana broni palnej. Colter i ojciec są sami, stoją za domem w Posiadłości.

– *To jest rewolwer. Nazywany też bębenkowcem, dlatego że... ma obrotowy bębenek. – Muskularny mężczyzna z bujną brodą i rozwichrzoną czupryną obraca cylinder z przyjemnym dla ucha szczękiem.*

– *Aha.*

Ashton otwiera bębenek i pokazuje mu puste komory.

– Czy broń jest naładowana?

– Nie.

– Owszem, jest.

Chłopiec przenosi wzrok z bębena, który jest niezaprzeczalnie i ewidentnie pusty, na surową twarz ojca.

– Nigdy nie zakładaj, że broń jest nienaładowana. Nawet kiedy widzisz to na własne oczy, a potem własnoręcznie ją zamykasz, wciąż jest naładowana. Rozumiesz?

Nie bardzo, ale:

– Tak jest.

– Jak brzmi zasada?

– Nigdy nie zakładaj, że broń jest nienaładowana.

Colter chce wziąć rewolwer, nacisnąć spust i zacząć strzelać. Zaraz się dowie, że do tego jeszcze daleka droga.

– Na świecie nie ma nic poważniejszego niż broń palna. To nie jest zabawka ani narzędzie, ani ciekawostka. Broń jest osobną kategorią. Istnieje tylko w jednym celu. Żeby odbierać życie.

Chłopiec kiwa głową.

– Posłuchaj. Nigdy jej nie wyciągasz, jeżeli nie masz zamiaru jej użyć. Powtórz.

Colter jest zafascynowany powagą tej chwili. Posłusznie spełnia polecenie.

– Nigdy nie mierz z broni do niczego innego oprócz celu albo bezpiecznego miejsca, a to oznacza w dół, nigdy w górę. Niektórzy się z tym nie zgadzają, ale pocisk w ziemi to pocisk w ziemi. Ten w powietrzu mógłby trafić w szkolne boisko.

– Do celu albo w dół.

– Nigdy nie strzelaj, jeżeli nie widzisz przed sobą odsłoniętego celu. Nigdy nie strzelaj na oślep.

Skupiony chłopiec znowu powtarza.

– Nigdy nie strzelaj, żeby zranić. Strzelasz, żeby zabić. Strzelasz, żeby odebrać życie. A więc nie wyciągaj broni, jeżeli nie jesteś gotów tego zrobić. Dlatego nigdy nie używaj broni, jeżeli nie ma żadnej innej możliwości przeżycia. Powtórz to.

– Nigdy nie strzelaj, żeby zranić. Strzelaj, żeby...

– ...zabić – powiedziała Hannah. – I dlatego nigdy nie używaj broni, jeżeli nie ma żadnej innej możliwości przeżycia.

– Dobrze. Jeszcze raz. Wszystkie zasady.

Powtórzyła wszystko. Co do słowa.

I patrzyła mu przy tym w oczy, ani na moment nie odwracając wzroku.

Skierował lufę w ziemię i kilka razy nacisnął spust.

– To jest strzał z samonapinaniem.

Słuchała uważnie, przyglądając się spod ściągniętych w skupieniu brwi.

– Kurek nie jest odwiedziony. Naciskasz spust. Kurek zostaje odciągnięty, a gdy dochodzi do końca, sprężyna go zwalnia i uderza w spłonkę naboju. – Pokazał jeszcze raz.

– Ten sposób wymaga więcej wysiłku i dlatego strzał jest mniej celny.

Obserwowała to uważnie.

– Aha, koniec się rusza.

– Koniec. Wylot lufy. Dlatego jeżeli można, lepiej strzelać bez samonapinania. Odciągasz kciukiem kurek, dopóki nie kliknie. I gdy wtedy naciśniesz spust, lufa już tak bardzo się nie poruszy.

Zilustrował swoje słowa.

– Chcę spróbować.

Shaw postanowił nie wałkować zasad.

Nigdy nie deprecjonuj swoich uczniów...

Podał jej colta.

– Ciężki.

– Czterdzieści dwie uncje.

– Tysiąc dwieście gramów – stwierdziła Hannah, geniusz matematyczny.

– Strzel na sucho.

– Na sucho... aha, bez kul. Mimo że przecież jest naładowany.

– No, śmiało.

Wycelowwała w jezioro.

– Dlaczego lepiej nie strzelać w tamtą stronę? – zapytał.

Zastanowiła się.

– Bo pociski mogą się odbić od wody?

– Rykoszet. Celuj w dół, w bezpieczne miejsce.

Hannah wymierzyła we wskazany przez niego punkt.

– Najpierw z samonapinaniem.

W skupieniu zmarszczyła brwi, wymierzyła i nacisnęła spust.

Klik.

Uśmiechnęła się.

On nie.

– Za szybko. Drgnęła ci ręka. Spudłowałabyś. Naciśnij. Powoli.

– A jeżeli ktoś atakuje?

– Wtedy jeszcze wolniej.

Skupiła się na celu na ziemi. Tym razem nawet przy samonapinaniu kurka lufa zachowała większą stabilność.

Jeszcze raz.

– Dobrze.

– Chciałabym spróbować bez samonapinania.

– Spróbuj.

Odwiodła kciukiem kurek, naśladowując ruchy Shawa. Wycelowała, po czym wolno nacisnęła spust. Lufa nie odsunęła się od celu nawet na milimetr. Sam rewolwer ani drgnął. Dziewczyna była silna. Nie jest łatwo długo utrzymać w bezruchu broń takich rozmiarów.

– Uprawiasz jakiś sport? – spytał.

– Siatkówkę.

Stąd siła rąk.

Wciąż trzymając lufę skierowaną w dół, spojrzała mu w oczy i szepnęła:

– Chcę strzelić pociskiem.

Jego chwilowe wahanie uciął ostry głos, który nagle rozległ się za ich plecami.

– Wykluczone.

Allison Parker zbliżała się szybkim krokiem.

– Oddaj mu to.

– Mamo...

– Powiedziałam.

Sapnęła buńczucznie. Hannah oddała Shawowi broń z lufą skierowaną w dół. Naładował colta z powrotem i wsunął sobie za pasek.

– Przynieś jakieś pudło na garnki i pokrywki – powiedział do Hannah. – Postawimy je tam. – Wskazał na szopę stojącą obok domu, niedaleko miejsca, gdzie był zaparkowany kamper. – Przywiąż do niego żyłkę. Sprawdź, czy jest dobrze napięta.

– Dobrze. – Dziewczyna miała ponurą minę. Weszła do domku.

– Podstawowe zasady bezpieczeństwa – powiedział Shaw. – W tym kraju jest dużo broni...

– Cholernie za dużo.

– ...i prawdopodobnie będzie miała z jakąś kontakt w życiu.

– Żadnej broni – odparła stanowczo Parker. – Nie będę narażać córki na kontakt z bronią palną. Jest jeszcze dzieckiem.

Shaw nie wspomniał, w jakim wieku miał pierwszą lekcję strzelania.

– Byłabym ci wdzięczna, gdybyś w jej obecności nie pokazywał żadnych pistoletów – dodała lodowatym tonem.

– Jeżeli będę mógł.

Przez chwilę patrzyła na taflę jeziora, jakby temat został zakończony.

Ale zaraz potem pojawił się nowy.

– Słucham – powiedział do niej Colter.

– Co takiego?

– Chcę wiedzieć.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i ponownie popatrzyła na jezioro.

– To znaczy?

– Chcę wiedzieć dlaczego. Powiedz mi, o co tu naprawdę chodzi. Słyszałem już kilka powodów, dla których cię ściga, ale nic nie usłyszałem od ciebie. Jeżeli mamy opanować sytuację, ochronić ciebie i twoją córkę, muszę wiedzieć dlaczego.

Następna kaczka wykonała ślizg na lustrzanej powierzchni i wylądowała, marszcząc tafle jeziora drobnymi falami w kształcie litery V, które ruszyły w kierunku odległych brzegów. Miały długą drogę do przebycia.

Allison przez chwilę wpatrywała się w idylliczny obraz. Stała bez ruchu, jakby wrosła w ziemię. A potem powiedziała:

– Wejdźmy do środka.

Dlaczego mi to robisz...?

Była w salonie z tym dziwnym poszukiwaczem przygód. Pachniało stęchlizną i jakimś ostrym środkiem czyszczącym.

Allison zorientowała się, że znowu dotyka własnego policzka. Jeżeli chodzi o wypukłość po pęknięciu kości, lekarz nie miał racji. Wyraźnie wystawała i była ostra jak nóż.

Naprawdę miała powiedzieć temu nieznanemu prawdę?

Wyraźnie czegoś się domyślał. Był twardy i bezceremonialny, ale te cechy wcale nie wykluczały inteligencji i spostrzegawczości.

Z doświadczenia łowcy nagród prawdopodobnie znał przemoc domową, ale prócz tego było w nim coś więcej, co skłaniało do wyjawienia prawdy. To była umiejętność słuchania. Kiedy mówił ktoś z trójki Allison, Hannah i Frank Villaine, Colter słuchał. Nie czekał, by wtrącić jakąś uwagę o sobie albo podsunąć niepotrzebną radę. Gdy ktoś mówił, zajmował główne miejsce w jego świecie.

A teraz czekał, opierając się o kominek i patrząc, jak Hannah myszkuje w kuchni w poszukiwaniu utensyliów, które miały stać się elementem ich systemu alarmowego.

– Między Jonem a mną wszystko układało się dobrze przez długie lata – powiedziała cicho Allison. – Bardzo go kochałam. Był inteligentny. Zabawny. Trudno w to dzisiaj uwierzyć, ale to prawda. Rzadko się uśmiechał, za to rzucał różnymi prześmiesznymi powiedzonkami. Był dobrym ojcem. Pomagał Hannah odrabiać zadania. Kiedy musiałam iść do pracy, wykorzystał większą część urlopu, żeby się nią zajmować.

Ale potem pojawił się alkohol. Kiedy się poznaliśmy i pobraliśmy, niewiele pił, ale wystarczyło więcej niż dwa drinki, by stawał się zupełnie kimś innym. Jakby były w nim dwie osobowości. Jon, który pił, wpadał we wściekłość. To nie był zwykły gniew. Przybierał całkiem inny wymiar.

W myślach ujrzała jasną sylwetkę konika morskiego z jego uśmiechem, wyrazem pogardy albo zmysłowym spojrzaniem.

Allison Parker nie zadała sobie nawet trudu, by nakazać sobie: po prostu o tym nie myśl.

– Doktor Jekyll i pan Hyde? – spytał Shaw.

Skinęła głową.

– Ma to po ojcu. Mam na myśli zmiany emocjonalne spowodowane alkoholem. Powiedział mi o tym terapeuta. Nastroj można dziedziczyć. Jego ojciec został zwolniony

z jednej z fabryk przy Manufacturers Row i zaczął ostro pić. Prawie co dzień do końca życia zasypiał pijany. Tyle że on pod wpływem alkoholu łagodniał. Na trzeźwo Harold był wrednym i agresywnym cholernikiem. Jon opowiadał mi, że rodzina wolała go upić, żeby przestał przynosić im wstyd i obrażać ludzi, żeby nie łąił Jona pasem i nie bił żony. Chyba można powiedzieć, że Jon dostał odwrotność tego genu.

Historia był równie złożona, co trudna do opowiedzenia, ale powtarzała ją sobie często jak solidny i doświadczony aktor szekspirowski, więc tekst miała w małym palcu.

– Mniej więcej trzy lata temu był w terenie ze swoim partnerem. Pracował wtedy nad dużą sprawą korupcyjną. Odebrał wiadomość o strzelaninie w domu niedaleko. Ojciec naćpał się metamfetaminy, groził swoim bliskim, zaczął do nich strzelać. W pobliżu byli tylko Jon i Danny. Włożyli kamizelki i weszli do budynku.

Poczuła ucisk w gardle. Wyobrażała sobie przebieg zdarzenia ze wszystkimi szczegółami, jak gdyby sama tam była.

– W momencie, gdy weszli, ojciec rodziny strzelił partnerowi Jona w głowę, a potem zabił własną córkę. Danny żył, a tamten dalej strzelał. Jon ukląkł przed Dannyem jak żywa tarcza, żeby go osłonić. Dostał cztery czy pięć kul w tułów – wszystkie trafiły w kamizelkę, złamały mu żebra, ale nie przebiły osłony. Jeden pocisk poszedł niżej. Trafił go w nogę. Jon zabił narkomana i ocalił resztę rodziny.

– A Danny? – zapytał Shaw.

– Przeżył. Oczywiście odszedł z policji. Jon wydobrzeł. Rana się zagoiła, ale bardzo cierpiał. Próbował łagodzić ból wszystkim, czym się dało – elektrostymulacją TENS, kodeiną, tylenolem. Nic nie działało, więc przepisali mu oksykodon. Wreszcie pomogło. Ale... pewnie rozumiesz, co się potem stało.

– Uzależnił się?

– W końcu odstawił pigułki. I ból wrócił, straszny. Nie chciał się już faszerować prochami. Znalazł jednak substytut.

– Picie.

Pochyliła głowę.

– Picie – powtórzyła szeptem. – Powinno się pisać to słowo przez duże „P”... Jeżeli wypije się dość, pewnie da się uśmierzyć ból, ale alkohol miał jeszcze inne skutki. Gniew, zastraszanie, szyderstwa, przemoc fizyczna.

– Brał udział w programach?

– Przez pewien czas działały. A potem już nie. Miał dobrych sponsorów, ale mimo to nie dał rady. Ja chodziłam do Al-Anon, Hannah próbowała Alateen. Bez skutku. Jon nie mógł albo nie chciał nic zmienić. Kilkanaście razy wzywałam policję, zawsze jednak zdążył na tyle wytrzeźwieć, żeby ich przekonać, że przesadzam.

– A oni patrzyli na niego przez palce – dodał Shaw. – Był gliniarzem, który uratował swojego partnera.

Smutny uśmiech.

– Nazwali go „bohaterem z Beacon Hill” – od dzielnicy, w której to się stało. Myś...

Opanuj się, powiedziała sobie. I powstrzymała łzy, chociaż głos wiązał jej w gardle i musiała zacząć zdanie jeszcze raz.

– Myślałam o tym, żeby od niego odejść. Tak jak moja matka zostawiła ojca. Był nałogowym donżuanem. Miałam już plany ucieczki, a on nagle dochodził do siebie. Zabierał Hannah na jej zajęcia, przynosił nam prezenty. Wszystko wracało do normy – dopóki nie zjawiała się butelka. A zjawiała się coraz częściej.

Wdech, wydech...

– W listopadzie zeszłego roku Jon pomagał Hannah w projekcie na lekcje. Budowali coś razem, lutowali, skręcali. Świetnie się przy tym bawili. I nagle, ni z tego, ni z owego, Jon wstał. Wiedziałam, dokąd się wybiera. I wiedziałam, co to znaczy. Próbowałam go zatrzymać. Ubłagać.

Widziała to tak wyraźnie. Jej dłoń na jego dzinsowej koszuli, palce zaciśnięte na tkaninie. On się jednak nawet nie zatrzymał i wyszedł w śnieg.

– Gdy wrócił, cuchnęło od niego whiskey, ledwie powłóczył nogami. I dziesięć minut później leżałam na ziemi z pękniętą kością policzkową, wszędzie krew. – Parker wyjrzała przez okno i patrzyła, z jakim zapałem jej córka konstruuje system alarmowy. – Tym razem policja nie mogła odpuścić. Usiłowanie zabójstwa, broń, ja w szpitalu. Musieli go aresztować. Wniosłam zarzuty. Jego adwokat i prokurator zawarli ugodę. Oskarżenie uchyliło zarzut usiłowania zabójstwa i dostał trzydzieści sześć miesięcy. – Prychnęła. – Tyle że w jego przypadku to oznaczało dziesięć miesięcy. – Uniosła ręce w geście, który niemo powtarzał mantrę „bohaterski glina”.

Słuchał jej człowiek, który umiał słuchać. Kiwał głową, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że chłonie każde słowo. Po chwili jednak przyjrzał się jej badawczo i stwierdził:

– Jest tu chyba parę luk. Mogłabyś je uzupełnić?

Allison Parker patrzyła na niego przez chwilę, po czym parsknęła śmiechem.

Prawdę mówiąc...

Opowieść przerwał jednak donośny i rytmiczny ryk alarmu na łące od frontu. Hannah szybko przeszła z tylnej werandy do środka i wszyscy troje spojrzeli na podjazd.

– To Frank – powiedziała Parker.

Do domu zbliżał się wolno srebrny mercedes SUV należący do Villaine’a.

Wyszli na zewnątrz, aby go przywitać.

Samochód zatrzymał się mniej więcej pięć metrów przed nimi.

Mężczyzna, który wysiadł z mercedesa, nie był jednak Frankiem Villaine’em, lecz zwalistym typem w czarnym garniturze i pod krawatem. Jego ponura twarz była czerwona od wysypki. Wycelował pistolet w ich trójkę. Wypowiedział dziwne słowo. Parker nie była pewna, ale brzmiało jak „prośnie...”.

Jego czarne oczy prześliznęły się po nich i zatrzymały na postaci Coltera Shawa. Zobaczyli cień uśmiechu, a potem mężczyzna pokręcił głową.

65

Shaw nie próbował nawet oceniać, gdzie może być najlepsze schronienie ani najbardziej korzystne stanowiska strzeleckie. Wiedział, że przy najmniejszej próbie obrony zginie jedno z nich – albo wszyscy.

I kiedy zastanawiał się nad drugim z ludzi z motelu, usłyszał za sobą jego głos:

– Spokojnie. Bądźcie rozsądni.

Mężczyzna w beżowej kurtce miał ciemnoblonde włosy rozdzielone z boku równiutkim przedziałkiem i zaczesane do tyłu. W jego dłoni też tkwił Glock.

Shaw spojrzał na twarz Hannah i dostrzegł w niej więcej hardości niż strachu.

Zrealizował się scenariusz, któremu dawał trzydzieści procent szans.

Zdarza się. Trzydzieści to nie zero.

– Gdzie Frank? – rzuciła z wściekłością Parker. – Co mu zrobiliście?

– Cii, ślicznotko – syknął Beżowy.

– Nie... szepnęła Hannah, gdy zrozumiała, jaki los spotkał Villaine'a. – Nie! Ty gnido!

Beżowy tylko się uśmiechnął.

Każdy ostatecznie ujawnia informacje. Ból to jedna z najpotężniejszych sił na świecie. Shaw miał nadzieję, że Frank podał im adres dość szybko i Bliźniacy zakończyli jego cierpienia – te fizyczne i te psychiczne, wynikające ze świadomości, że ich zdradził.

Alarm w samochodzie Parker w końcu się wyłączył.

Garnitur przyjrzał się Shawowi.

– Wiem, że z ciebie niezły numer. Widać jak na dłoni. I masz broń.

Skąd to wiedzieli? Pistolet i rewolwer były przecież schowane. Colter przypomniał sobie jednak, że Merritt widział go przed domem Parker i musiał zauważyć Glocka, zanim przemknął do garażu i uciekł. Pewnie przekazał tę informację Bliźniakom.

– Nie mam wątpliwości, że robisz to zawodowo – ciągnął Garnitur. – Ale... – Wycelował broń w szyję Hannah. Dziewczyna wydała stłumiony okrzyk, a Parker zrobiła krok naprzód. Zatrzymała się, gdy Garnitur przysunął lufę bliżej.

– Wiem, że nie żartujesz – powiedział spokojnie Shaw. – Tylko odsuń broń.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Garnitur lekko odchylił lufę w bok. Skinął głową Beżowemu, który podał pistolet współnikowi i podszedł bliżej. Włożył niebieskie rękawiczki i fachowo zrewidował Shawa, pozbawiając go Glocka, zapasowych

magazyneków, colta i telefonu. Rozładował broń, amunicję cisnął do jeziora. Colta i telefon wrzucił do paleniska pełnego popiołu i niedopalonych polan.

Następnie obszukał Parker; jego dłoń powoli powędrowała w dół jej kręgosłupa. Z grymasem wściekłości odtrąciła łokciem jego rękę.

– Pospieszmy się z tym – powiedział Garnitur, patrząc na współnika.

Beżowy parsknął śmiechem. Zabrał Parker dwa telefony, jej i Hannah.

– Moja córka nic przy sobie nie ma – mruknęła. – Nie dotykaj jej.

Garnitur skinął głową.

Beżowy wzruszył ramionami i rzucił obydwie telefony do paleniska, a razem z nimi jeszcze jeden, który wyjął z własnej kieszeni – prawdopodobnie na kartę, który był im już niepotrzebny.

Aparat miał się okazać jednorazowy. Z lasu – gdzie Shaw dostrzegł zaparkowanego białego ford transita – Beżowy przyniósł duży czerwony kanister benzyny. Nalał jej sporo do paleniska. Zapalniczką podpalił jego zawartość. Shaw patrzył, jak płonie colt, prezent od ojca.

Garnitur cofnął się, cały czas mierząc z pistoletu do dziewczyny.

– Kamper – rzucił do współnika.

Beżowy wziął od niego swoją broń i podszedł do winnebago. Wszedł do środka.

Hannah wpatrywała się w mężczyznę w czarnym garniturze. Jej matka była rozwścieczona, ona natomiast nie. Wyglądała, jakby miała na twarzy maskę spokoju.

Pewnie myślała właśnie: nigdy nie ulegaj w walce emocjom.

Shaw musiał ją mieć na oku. To nie była dobra chwila na popisywanie się odwagą.

– Gdzie mój mąż? – spytała ze złością Parker.

– W drodze.

– Płaci wam – stwierdziła z goryczą w głosie. – Ile?

– Bądź cicho... tak będzie lepiej dla wszystkich.

– Jest biedny – ciągnęła. – Nie wiem, co wam powiedział, ale kłamał. Ale ja mam pieniądze. Dużo pieniędzy. Zapłacę wam więcej.

– Cicho, było powiedziane.

– Panie Shaw... – szepnęła Hannah.

Zauważył, że wolno przenosi wzrok z niego na Garnitur. Lufa jego pistoletu opadła, gdy zerknął w stronę winnebago.

Dziewczyna sugerowała, żeby zaatakowali go razem.

Piętnaście sekund i leży na wznak na ziemi.

Shaw stanowczo pokręcił głową.

Jej matka być może wzięła spokój w oczach córki za oznakę paralizującego lęku. Podeszła do Hannah i objęła ją, ostrzegając piorunującym wzrokiem faceta w garniturze, żeby nie próbował jej powstrzymać.

Z kampera wyłonił się Beżowy. Niósł laptop Shawa i garść telefonów. Wszystko trafiło do ognia i w niebo buchnął kłęb czarnego gryzącego dymu z palącego się plastiku.

– A teraz wszyscy do kampera – zakomenderował Garnitur.

Hannah znowu posłała spojrzenie Shawowi.

– Zrobimy, co mówią – powiedział.

Allison, obejmując ramieniem Hannah, podeszła do winnebago i wsiadła. Shaw przyjrzał się uważnie obu mężczyznom, po czym też wspiał się po schodkach i zamknął za sobą drzwi.

66

Nie podoba mi się ten facet – oznajmił Moll. – Jest gorszy, niż myślałem.

– Gorszy?

– W sensie – bardziej niebezpieczny. Nie podobało mi się, jak się na nas gapił. To nie było przyjemne.

Desmond coś burknął. Moll przypuszczał, że się z nim zgadza. Dźwięki, które wydawał jego flecik, wyrażały więcej niż to, co padło z jego ust.

Moll patrzył na jezioro.

– Ciekawe, co tu można złowić. – Choć był entuzjastą spędzania czasu na świeżym powietrzu, to nie wędkował. Złapać na haczyk to nie to samo co zastrzelić.

– Bassy.

– Popatrzysz na wodę i od razu wiesz?

– Nie – odparł Desmond. – Ale kiedy ktoś pyta, co można złowić w tym czy innym jeziorze, zawsze trzeba powiedzieć „bassy”. Kto wie, co tam naprawdę pływa? – Schował broń i wydobył puszczalkę. Wydał jeden dźwięk, potem drugi. Oderwał ją od ust. – Ta dziewczyna normalnie mroziła nas wzrokiem. Jakby się uważała za nie wiadomo kogo.

Wzrok Molla powędrował w stronę kampera.

– A ten jego alarm? – wycedził. Ruchem głowy wskazał kąć częściowo ukrytą w zaroślach. – Gdybyśmy zajechali tu transitem, wywaliłby na nas sześć kul z tej armaty Brudnego Harry’ego. A nie wątpię, że ma celne oko.

Desmond pokiwał głową.

– Być może właśnie buduje broń z kawałka rury i naboju ze śruciną, które miał gdzieś schowane.

– Może i tak. Nie pisałem się na to, żeby mnie tu położyli jak dzika.

– Wiesz, co sobie myślę?

– No...?

– Żebyśmy nie czekali na Merritta. Jest jakiś minus tego, że nie zaczekamy?

Mina Desmonda świadczyła o tym, że głęboko się nad tym zastanawia.

– Moim zdaniem nie ma żadnego – odpowiedział na swoje pytanie Moll.

– Co racja, to racja. Poza tym nie powiem, mocno się wnerwiłem, że ta cała historia okazała się dziesięć razy bardziej pokręcona, niż się zapowiadała. No więc?

Moll spojrział na palenisko.

Oczy jego współnika jeszcze bardziej się zaokrągliły. Błysnął w nich głód.

– Jeżeli mamy wszystko spalić, pozwól mi z nią spróbować.

– I Motorowiec miałby na to pozwolić? Zapłacę ci za dwie następne wizyty na parkingu dla ciężarówek.

– Trzy – odparował Desmond.

Moll westchnął. Naprawdę się o to targowali?

– Dobra.

Desmond dźwignął kanister, podszedł z nim do winnebago i wylał zawartość na ziemię pod komorą silnika. Kiedyś już podpalali pojazdy, więc wiedzieli, że płomień nie narusza baku, ale szybko stopią przewody paliwowe i tryśnie z nich płyn, który podsyci ogień. Przy odpowiednio wysokiej temperaturze zapali się nawet olej napędowy.

Kiedy skończył, odwrócił się do Molla.

– Zastrzelić ich chyba byłoby bardziej... hm, humanitarnie. Moglibyśmy zostawić otwarte drzwi. I sprzątać ich, jak będą chcieli uciec.

Moll pokręcił głową.

– A Motorowiec wyjdzie uzbrojony w łuk, strzały i bombę rurową. Nie, niech zostaną w środku. Wiesz, co się dzieje w takiej klitce? Zanim dosięgnie ich ogień, padną nieprzytomni od spalin. Jakby zasnęli.

Desmond zatrzymał wzrok na szopie. Otworzył ją i znalazł szpadel ogrodowy. Poszedł z nim do kampera i zablokował narzędziem klamkę. Sprawdził: drzwi nie dało się otworzyć.

Wziął jeszcze z szopy miotłę i zapalił włosie od słabnących płomieni w palenisku. Potem ostrożnie przytknął ogień do rozlanej benzyny.

Rozległ się stłumiony trask i pod kamperem rozwinął się dywan błękitnych i pomarańczowych płomieni.

Desmond odskoczył, a Moll uśmiechnął się na ten widok.

Mężczyźni usiedli na krzesłach na werandzie – jak kumple sączący whisky i opowiadający sobie niezwykle historie z polowania na przepióry czy bażanty. Patrzyli na niepowstrzymany postęp ognia i skręcony słup czarnego dymu.

Po kilku minutach zaczęły się wrzaski.

Desmond spojrzął na współnika spod uniesionych brwi i mruknął:

– Spaliny, pierdu-pierdu.

Moll w bezruchu słuchał krzyków. Popatrzył na domek.

– Pewnie jest tam parę rzeczy, którymi powinniśmy się zająć. Komputery, jeszcze jakieś telefony.

– Pewnie tak.

Weszli do środka. Moll zamknął za nimi drzwi. Zastanawiał się, czy to wyciszy skowyt bólu.

Nic z tego.

Bardzo profesjonalnie krzyczysz – powiedział do Hannah Merritt Colter Shaw. – Masz jakieś doświadczenie aktorskie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Właściwie to nie bardzo. W gimnazjum grałam w *Pippinie*.

Wydawało się, że to, co się przed chwilą stało, nie wywarło na niej żadnego wrażenia. W odróżnieniu od matki, która wyglądała na zszokowaną.

Wszyscy troje leżeli na ziemi piętnaście metrów od pierwszych drzew lasu, skąd prawdopodobieństwo zagrożenia jego zdaniem wynosiło trzydzieści procent. Dotarli tu, gdy Shaw otworzył wyjście ewakuacyjne w podłodze kampera pod łóżkiem. Wyciął je i przygotował własnoręcznie i aby można było z niego skorzystać, kazał zwiększyć prześwit winnebago.

Kiedy napastnicy skończyli wylewać benzynę na ziemię pod kamperem, podniósł łóżko na zawiasach i otworzył klapę wyjścia.

– Zaczekamy parę minut. Im więcej dymu, tym lepiej. Po wyjściu odczołgajcie się w lewo. Trzymajcie się ziemi. Będą się spodziewali, że spróbujemy uciekać przez okno. No i któraś z was musi krzyczeć.

Hannah wydała z siebie dźwięki o przeraźliwym natężeniu.

Parker też próbowała, ale wyszedł jej skrzek. Shaw nawet się uśmiechnął. Trochę by je uspokoić, trochę z powodu zgrzytliwego odgłosu.

Gdy przez przednią szybę zobaczyli płomienie i do wnętrza wdarł się dym, Colter uznał, że taka zasłona musi im wystarczyć.

– Idziemy – szepnął.

Wyszedł ostatni, na wypadek gdyby któraś z nich wpadła w panikę. Pierwsza wymknęła się Hannah. Potem Parker. Po wydostaniu się z kampera przeczołgali się przez trawę, dopóki nie ukryli się w głębi lasu, gdzie teraz leżeli.

Niedaleko dostrzegł forda transita – zaparkowanego na dukcie, o którym nic nie wiedział. Mógłby w jakiś sposób wykorzystać białą furgonetkę? Tak, na dwadzieścia procent, osiemdziesiąt procent wynosiło ryzyko, że zostanie zauważony. Nie było warto.

– Właśnie... – szepnęła Parker – ...właśnie próbowali spalić nas żywcem. Dlaczego?

Shaw nie znał odpowiedzi na to pytanie. Bliźniacy mieli okazję zastrzelić ich troje, co przynajmniej byłoby aktem miłosierdzia. Merritt prawdopodobnie nie chciał sprawiać im

tak straszego bólu, choć Shaw nie mógł być tego pewien. Niewątpliwie torturował adwokata Parker, by się dowiedzieć, dokąd uciekają, a potem go zabił. Musiał też wiedzieć o torturowaniu Franka Villaine'a.

– To był pana dom – powiedziała Hannah, komentując stoicki spokój, jaki malował się na jego twarzy. – Już po nim.

To prawda. Ale jego pojazd już należał do przeszłości.

Nigdy nie pozwól, żeby uczucia wpływały na twoje decyzje...

– Czekamy na strażaków? – spytała Parker. – Nie możemy zadzwonić, ale ktoś pewnie zobaczył dym.

– Mogą nie przyjechać – zauważyła Hannah. – Widzieliśmy przecież, jak farmerzy wypalali trawy.

– A kiedy nie znajdą naszych ciał – dodał Shaw – ci dwaj zaczną nas szukać. Wycofujemy się stąd. – Zerknął na ścieżkę prowadzącą pomiędzy ciemnymi dębami i rzadko rosnącymi sosnami, przez gęstą zieleń, brąz i szarość lasu, jaskrawozielonego w miejscach, gdzie kładły się plamy słonecznego blasku.

Przypomniał sobie, co o tej części stanu mówiła mu zastępczyni szeryfa Kristi Donahue z hrabstwa Marshall.

– Jak daleko stąd do Millton?

Parker się zastanowiła.

– Mniej więcej piętnaście kilometrów. Na północ. Tylko nie wiem, w którą to stronę.

Shaw pokazał.

– Tam pójdziemy. Trzeba zdobyć dostęp do telefonu. Chyba możemy zaufać tutejszej policji. Nie mają żadnych związków z Ferrington. Mam przyjaciela, byłego agenta FBI. Do niego też zadzwonię.

– Prowadzi tam droga, którą jechaliśmy, osiemdziesiąt cztery – powiedziała Parker. – Moglibyśmy się jej trzymać. Może ktoś nas podwiezie. Przynajmniej będziemy mogli skorzystać z czyjegoś telefonu.

Hannah wypowiedziała na głos to, co pomyślał Shaw:

– Powinniśmy chyba zostać w lesie. Będą się spodziewać, że spróbujemy jechać stopem.

– Westchnęła z zaciśniętymi ustami. – A kiedy on tu przyjedzie, będą mieli dwa samochody, żeby nas szukać.

Zaimek „on” wypowiedziała z obrzydzeniem. Jon Merritt nie był już dla niej „tata”.

Nikt nie odbierał.

Sonja Nilsson – która naprawdę nazywała się Beatrice Anne Gould i była kiedyś porucznikiem i odznaczoną snajperką – wysiadła z wypożyczonego samochodu i szła na komendę policji w Ferrington.

Colter Shaw nie odbierał telefonu. Nie odbierał też Frank Villaine. Allison Parker wysłała jednego mejla do matki, ale nie odpowiedziała już na wiadomości od Ruth, Marty'ego ani samej Nilsson.

Kobieta tak paranoicznie się bała, że nie chciała zdradzić swojego miejsca pobytu własnej matce.

W recepcji Nilsson spytała o Dunfry'ego Kempa i usłyszała, że w tej chwili jest nieosiągalny.

– Proszę mu przekazać, że kieruję działem ochrony Harmon Energy – oznajmiła swoim najlepiej brzmiącym żołnierskim tonem.

Cztery minuty później wprowadzono ją do jednego z najbardziej zapchanych papierami biur, jakie widziała w życiu. Potężnie zbudowany funkcjonariusz – być może kulturysta – wyglądał na mocno wymiętego. Ile godzin nie spał? Przypuszczała, że dwadzieścia, może dwadzieścia cztery. Sama miała takie doświadczenia i potrafiła to ocenić u innych.

– Detektywie, tu Sonja Nilsson.

– Chwileczkę. To pani o mało nie rozerwało na kawałki...

Dzwoniła do opalonego detektywa, którego poznała na miejscu eksplozji, by spytać o analizę materiału wybuchowego. Poinformował ją, że jeszcze nie ma wyników. Ale że wyśle, gdy tylko je dostanie. Oczywiście, że tak.

Jak najszybciej...

– Nie przyszedłem w tej sprawie. Współpracuje pan z Colterem Shawem w sprawie zaginięcia Allison Parker.

– Zgadza się. Współpracujemy. Oczywiście. – Jego wzrok spoczął na stercie teczek, jak gdyby chciał spytać: skąd się to wszystko wzięło?

– Pan Shaw ją znalazł.

Na twarzy policjanta odmalowała się ulga.

– Czyli wszystko w porządku.

– Nie, nie w porządku – odparła. – Znowu zniknęli. Byli w hrabstwie Marshall, ale pojechali na północ. Ostatnią wiadomość dostałam od nich, gdy byli blisko granicy, więc przypuszczamy, że są już w Everett. Chciałabym, żeby w poszukiwaniu włączyła się miejscowa policja. Pomoże mi pan w tym?

Nigdy nie należy mówić: mam nadzieję, że pan pomoże. Nigdy nie pytać: czy może mi pan pomóc? Zawsze trzeba stawiać pytanie wprost: pomoże pan? Nie sposób się od tego wykręcić. Trzeba się zgodzić albo odmówić.

Oczywiście Nilsson mogła zadzwonić do Kempa, ale przekonała się, że osobiste spotkanie z blondynką o sylwetce żołnierza i stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu, która podkreśla wagę sprawy przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu, zwykle przynosi lepsze rezultaty.

– Fakt faktem... jestem mocno zajęty.

Patrzyła na niego bez słowa. Ta technika też działała.

Wreszcie mimika Kempa wysłała komunikat „chyba tak”. Wziął telefon. Wyczuła, że nie jest niezadowolony, zirytowany ani urażony. Był po prostu straszliwie zmęczony.

Witamy w klubie.

Dobrze ci to zrobiło?

Myślała o Colterze Shaw.

O pocałunku.

Zmusiła się, by odsunąć od siebie to wspomnienie. Nie było łatwo.

Kiedy telefonicznie odsyłano Kempa od jednego wydziału biura szeryfa w hrabstwie Everett do drugiego, Nilsson rozejrzała się po pokoju. Ile spraw równocześnie prowadził detektyw? Co najmniej kilkadziesiąt. Zwróciła uwagę na notatkę o Sprzątaczu Ulic, z zeszłorocznej odprawy. Czyżby biedak miał na tapecie również tę sprawę? Po takim czasie została pewnie uznana za niewyjaśnioną i trafiła do kategorii najtrudniejszych.

Detektyw odwrócił się do niej, zasłonił mikrofon stacjonarnego telefonu.

– Mam na linii zastępcę szeryfa Shepherd.

Wyciągnęła rękę i wzięła od niego słuchawkę. Przedstawiła się i pokrótce zapoznała przedstawiciela władzy z sytuacją: były policjant został zwolniony z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za przemoc domową, i ścigał własną żonę. Pomagają mu dwaj wspólnicy. Doszło już do jednego zabójstwa. Żona i córka zniknęły, a wraz z nimi kilka innych osób.

– I mamy zero łączności.

– Mhm, rozumiem.

Użyła wojskowego wyrażenia, zakładając, że policjant też może być weteranem; wielu zastępców szeryfów miało za sobą służbę w armii. Jego reakcja dowodziła, że miała rację i może w związku z tym Shepherd będzie bardziej skłonny jej pomóc.

– Według najnowszych informacji w ciągu kilku ostatnich godzin prawdopodobnie wjechali do pana hrabstwa. Zapewne drogą pięćdziesiąt pięć albo osiemdziesiąt cztery,

może jakąś boczną. Są tam jakieś kamery?

– Naszych nie ma. Może jakieś miasto zamontowało pułapkę na piratów drogowych. Nie jesteśmy podłączeni do takich kamer. Pani Nilsson, proszę mi powiedzieć, co w tej sprawie robi policja Ferrington albo hrabstwa Trevor? Albo Marshall?

– Wie pan, jak to jest, gdy uciekinierzy opuszczają granice jurysdykcji. Nie ma takiej motywacji. No i są zawałeni robotą. Nada pan komunikat i wyśle jakiś wóz na poszukiwania?

– Proszę mi podać szczegóły.

– Chodzi o kamper Winnebago, beżowo-brązowy. Srebrnego mercedesa SUV-a i złotą kłębę. – Podała mu numery pierwszych dwóch pojazdów. Rejestracji samochodu wypożyczonego przez Allison nie знаła. – Podejrzani poruszają się białym fordem transitem. Numery nieznane. Są uzbrojeni.

– To dopiero kabała – westchnął. – Nadam komunikat. Jeżeli chodzi o radiowóz, mogę dać jeden, ale to duże hrabstwo. Da się zawęzić obszar poszukiwań?

– Chwileczkę.

Na ścianie w pokoju Kempa wisiała mapa tego rejonu stanu, częściowo zasłonięta piramidą teczek.

– Odsunę je – poinformowała detektywa. Dała mu telefon, po czym zdjęła papieryska i położyła na podłodze.

Odebrała telefon z rąk Kempa.

– Właśnie patrzę na mapę. Ma ją pan przed sobą?

Shepherd zachichotał.

– Droga pani, ja tu mieszkam. Od czterdziestu sześciu lat.

Przebiegła wzrokiem mapę. Z domu Franka Villaine'a mogli pojechać do dwóch miast – Millton na północnym zachodzie albo Stanton, które leżało prosto na wschód.

Powiedziała o tym policjantowi.

– Niech pomyślę.

Nilsson studiowała mapę. Pierwsza możliwość, czyli trasa do Millton, prowadziła przez kilka jezior o malowniczych i działających na wyobraźnię nazwach: Crimson Rock, Snowshoe, Timberwolf, Halfmoon.

Ten fakt przywiódł jej na myśl rozmowę z Colterem o łowieniu ryb.

Po chwili w słuchawce odezwał się ponownie zastępca szeryfa.

– Okej, na ich miejscu postawiłbym wozy osobowe w garażu i zaparkował winnebago na jakimś dużym kempingu. To igła w stogu siana. Jest tylko jedno miejsce, gdzie można zrobić jedno i drugie: Stanton. Radiowóz może tam być za piętnaście minut.

– Polegam na pańskiej wiedzy. I dziękuję za pomoc.

Prosznie...

Myślał o chwili, gdy ta melodyjna mantra pierwszy raz wkradała mu się do głowy.

Narodziła się, gdy Moll patrzył przez celownik colta na mężczyznę, który klęczał przed nim i wpatrywał się w niego zrozpaczonym wzrokiem, krzycząc:

– Nie strzelaj! Nie! Proszę, nie! Proszę, nie...

Prosznie...

To była udana robota, szybka i łatwa. Za jedno naciśnięcie spustu zainkasował dziesięć tysięcy i zaraził się powiedzonkiem, które miało z nim pozostać na resztę życia.

Ta robota w niczym nie przypominała tamtej. Zupełnie.

W tym „prosznie” kryło się przekleństwo.

Moll wyprostował masywne uda, podnosząc się z kucek. Właśnie przyglądał się trawie w pobliżu tłącego się jeszcze kampera Winnebago. W domku, który nie okazał się dźwiękoszczelny, znaleźli z Desmondem dwa komputery i wyszli, by dorzucić je do paleniska. Wtedy Moll dostrzegł coś i podszedł do miejsca, w którym teraz stał.

Zgiętą trawę.

Zdartą ziemię.

Spojrzał w głąb lasu, ale niczego nie zobaczył, zawrócił do domku.

– Mamy problem.

– Jaki?

– Uciekli.

Desmond prychnął.

– Na pewno nie. – Wstał, zeskoczył z werandy, podszedł do dymiącego wraku kampera i przyjrzał się ubitej trawie i śladom na ziemi. – Przecież słyszeliśmy wrzaski.

– Bo ktoś wrzeszczał.

– Gdybyś pozwolił mi się dobrać do mamuśki, nie bylibyśmy w takiej sytuacji.

– Nie zaczynaj – warknął Moll. Przebijając wzrokiem zasłonę dymu, spojrzał na coś, co wyglądało jak kłapa w dolnej części pojazdu. Skrzywił się.

Desmond grzebał patykiem w popiele.

– Nie będzie zadowolony.

– Nie będzie. – Moll patrzył w głąb lasu. – Na ich miejscu dokąd byś uciekał?

Zastanowił się.

– Tylko do jednego miejsca. Millton. Piętnaście kilometrów, może trochę mniej.

– To już hrabstwo Everett. Nie mamy tam znajomości w biurze szeryfa. – Moll rozejrzał się, próbując coś dojrzeć przez dym. – Zostawiliśmy coś, co może nam sprawić kłopoty?

Desmond wskazał w stronę lasu, gdzie ukrył transita.

– Ślady opon forda.

– Tu? – prychnął z pogardą Moll. – Nie przypuszczam nawet, żeby tutejsi gliniarze wiedzieli, co to są odciski palców. Ślady opon to dla nich coś z zupełnie innego wymiaru. – Znowu utkwiał spojrzenie w ciemnej gęstwinie, która go odstraszała. Gdzie jesteś, Motorowcu? Ogarnęła go fala gniewu, od której skóra jeszcze bardziej go zaswędziała. Nawet nie sięgnął po spray. Miał już dość wysypki i prób jej złagodzenia.

– Zajmę się mercem.

Desmond wylał resztę benzyny pod samochodem Franka Villaine'a i podpalił. Kanister wrzucił do środka. Mały płomyczek szybko urósł. A potem zmienił się w potok ognia, który miał zniszczyć wszystkie pozostawione przez nich ślady.

– Co z nią?

– Nie dotykaliśmy jej. A w domku mieliśmy rękawiczki. Zresztą nie ma na to czasu.

Przeszli przez kępę drzew do dróżki, na której Desmond zaparkował białego forda. Wsiedli. Moll zajął miejsce za kierownicą. Dziesięć minut później sunęli wolno drogą numer osiemdziesiąt cztery, która prowadziła do Millton.

– Nie będą chyba łapać okazji – stwierdził Desmond.

– Nie będą. Ale nie sądzę, żeby oddalali się od drogi. Będą się jej trzymać. Przecież już nie mają GPS-u.

Moll włączył światła awaryjne i wolno ruszył na północny zachód, jadąc dwoma kołami poboczem tam, gdzie się dało. Obaj wpatrywali się w zarośla, Moll po lewej, Desmond po prawej, szukając wskazówki, która zdradziłaby uciekinierów. Wiedzieli, na co zwracać uwagę. Mieli w tym doświadczenie.

To się nazywa marsz z obciążeniem – informuje trójkę swoich dzieci Ashton Shaw. – Albo przymusowy. Bo pewnie wolelibyście robić coś innego. – Chichocze i idzie dalej górską ścieżką na obrzeżach Posiadłości.

Colter, Dorion i Russell podążają za nim w takiej właśnie kolejności.

Uginają się pod ciężarem plecaków, które ważą po jakieś piętnaście kilogramów. Ojciec zaproponował Dorion lżejszy, lecz nie chciała o tym słyszeć.

Tempo jest szybkie, ale dzieci nie zostają w tyle, chociaż oddychają z wyraźnym trudem. Ojciec nie. Ashton Shaw, nauczyciel akademicki, musi być najsprawniejszym fizycznie profesorem na świecie.

– Rzymscy żołnierze uczyli się marszów z obciążeniem, zanim pozwolono im dotknąć broni – woła przez ramię. – Żeby zostać legionistą, każdy musiał pokonać trzydzieści kilometrów w ciągu pięciu godzin z dwudziestokilogramowym ciężarem na plecach i „sudis” w rękach. Kto wie, co to jest „sudis”?

Colter czyta więcej niż rodzeństwo, a szczególnie lubi historię.

– Zaostrzony pał, którego używali, żeby budować nocną konstrukcję obronną.

– Dobrze – chwali Ashton. Russell wydaje się rozdrażniony, że młodszy brat znał odpowiedź.

– Słuchajcie, mam pomysł! – woła z entuzjazmem Dorion. – Zróbmy sobie „sudis” i będziemy je nieść jak Rzymianie!

Colter i Russell każą się jej uczyć.

Shaw, Parker i jej córka szli w swoim przymusowym marszu, w lesie na północ od domku nad jeziorem Timberwolf. Nie dźwigali żadnych ciężarów, ale też czekało ich nie lada wyzwanie: stromy teren był najeżony gęstymi cierniami i zaroślami, korzeniami, kamieniami i drzewami – stojącymi i powalonymi. Surwiwalowiec, pływaczka i siatkarka posuwali się jednak naprzód w całkiem niezłym tempie.

Zwęglony szkielet winnebago został już parę dobrych kilometrów za nimi. Hannah szła na przedzie, bo sama wybrała sobie to miejsce w szyku. Nie było żadnego powodu, by nie prowadziła. Shaw i jej matka mieli na oku dziewczynę i wszelkie potencjalne zagrożenia przed nimi.

Wędrowali w ciszy. Nad sobą mieli gałęzie i konary dębów, sosen, cisów, buków, klonów jesionolistnych i choin. Niżej ziemię okrywały paprocie, astry i starce. Wszędzie zielenił się mech. To były stare lasy. Wilgotne i deszczowe centrum Ameryki rzadko doświadczało oczyszczających pożarów, więc drzewa rosły i rosły, dopóki silniejsze nie zdusiły słabszych.

Zbliżając się do szczególnie imponującej ściany zieleni, Colter wskazał w lewo i kontynuowali marsz w tym kierunku. Ashton Shaw nauczył dzieci odnajdywać drogę według słońca i gwiazd, co zawsze było trudnym zadaniem, ponieważ ziemia miała kłopotliwy zwyczaj obracania się wokół własnej osi.

Nigdy nie zakładajcie, że jedyną podstawą nawigacji mają dla was być słońce i gwiazdy. Korzystajcie, z czego się tylko da...

To prawdopodobnie była parafraza jednej z reguł ojca, ale sens był oczywisty i dziś Shaw nie korzystał ze znaków na niebie, ale na ziemi, mianowicie z niezawodnej drogi numer osiemdziesiąt cztery, skąd od czasu do czasu dobiegał szum aut osobowych i warkot hamulców silnikowych w ciężarówkach, które prowadziły ich na północ, do bezpiecznej przystani Millton.

Zwiększyli tempo, gdy znaleźli się w lesie, gdzie rosły głównie sosny i nie było zbyt wiele splątanych zarośli, które musieliby omijać.

– Pić mi się chce – poskarżyła się Hannah.

Shaw też odczuwał pragnienie. Znał kilkanaście zasad znajdowania i picia wody w głuszy – należało na przykład szukać przy stawach śladów zwierząt, bo jeśli woda jest bezpieczna dla innych stworzeń, to prawdopodobnie będzie bezpieczna dla ciebie; nie wolno pić z przezroczystych stawów, bo musi być jakiś powód, dla którego nic w nich nie żyje – ale powiedział tylko:

– Zaczekamy. Nie mamy czasu szukać bezpiecznego źródła.

Tego dnia temperatura była umiarkowana, a powietrze wilgotne. Nie groziło im odwodnienie przed końcem wędrowki. Pragnienie nie było zagrożeniem, lecz irytującą niedogodnością.

Nigdy nie pozwól, by niewygody skłoniły cię do podejmowania ryzyka...

Niewiele było bardziej niebezpiecznych i destrukcyjnych zagrożeń niż choroby czające się w wodzie.

Po czterdziestu minutach wynurzyli się z gęstwiny drzew i zobaczyli przed sobą szeroką rzekę o spokojnym nurcie. W pobliżu był pewnie jakiś most, ale Shaw miał nadzieję, że będą mogli przepłynąć się w bród; wolał unikać dróg, na których mogli spotkać Bliźniaków i Merritta.

Woda nie wyglądała na głęboką. Shaw odgadł to po kolorze powierzchni.

Zaskoczyło ich czyjeś chrząknięcie i kiedy się odwrócili, po drugiej stronie gąszczy zarośli zobaczyli wychudzonego młodego mężczyznę o ziemistej twarzy. Stał pochylony i wpatrzony w skupieniu w ekran telefonu, który trzymał w lewej dłoni. Prawą zaciskał na

krótkiej łopacie, którą przed chwilą wykopał niewielki dół w porośniętej mchem ziemi. Miał na sobie dresowe spodnie i wełnianą czapkę, podobną do nakrycia głowy Hannah.

Nagle zauważył ich obecność, szeroko otworzył oczy i stłumił okrzyk zdumienia, a po chwili twarz mu się ściągnęła.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmym tonem Shaw.

Nie było reakcji.

Shaw spojrzał na ziemię.

– Przykro mi.

Młody człowiek wyraźnie się zdziwił.

– Straciłeś kota albo psa? I przyszedłeś go tu pochować?

– Mhm... no, tak. Właśnie.

Prawda oczywiście była taka, że dołek, który wykopał, to skrzynka kontaktowa dilerów mety albo opioidów. Chudzielec robił zrzut ekranu współrzędnych GPS, które później, po otrzymaniu pieniędzy, zamierzał przesłać kupcowi. Shaw słyszał, że nawet w najdzikszych ostępach najmodniejszą walutą stał się ostatnio bitcoin.

Zważywszy na młody wiek chłopaka, przypuszczał, że to rodzinny biznes. Ilu jeszcze krewnych czaiło się w pobliżu?

Parker spochmurniała.

– To smutne.

– No, przykra sprawa – odezwała się Hannah. Z napięcia ramion dziewczyny Shaw domyślił się, że doskonale rozumie, co się dzieje.

– Nasz kamper się spalił – poinformowała chłopaka Parker. – Wszystko straciliśmy. Możemy pożyczyć twój telefon?

Błąd.

Chudzielec pomyśli, że albo są tajniakami z wydziału narkotykowego, albo – co bardziej prawdopodobne – konkurencją, która próbuje mu odebrać telefon. Shaw miał pomysł, by zachowując się jak gdyby nigdy nic, podejść do chłopaka, powalić go na ziemię i wyrwać mu telefon z ręki. Parker pokrzyżowała mu plany.

Nikt nie ruszał się z miejsca.

Ciszę zakłócało krakanie wron, szum wiatru kołyszącego jesiennymi liśćmi i odległe mruczenie silników odrzutowca z wysokości paru dobrych kilometrów.

Chłopak drgnął. Intensywnie się zastanawiał.

Przynajmniej nie był uzbrojony, bo już wyciągnąłby broń.

Minęła jeszcze jedna chwila.

Nagle błyskawicznym ruchem uniósł telefon do ucha, polecając Siri czy innej bogini urządzenia:

– Zadzwoń do taty!

Niech to szlag...

Shaw ruszył naprzód.

– Tu Bee! – krzyczał chłopak. – Jestem na miejscu. Są tu jacyś ludzie. Potrzebuję pomocy! – Rzucił telefon na ziemię, chwycił oburącz łopatę i zaczął nią wywijać. Na jego twarzy malowały się przerażenie i desperacja.

Colter bez trudu zrobił unik i dalej parł naprzód, zmuszając chłopaka, by się cofnął.

Po kolejnym gwałtownym zamachu, przy którym Bee omal nie stracił równowagi, Shaw wytrącił mu z rąk narzędzie, a chłopak zrobił w tył zwrot i rzucił się do panicznej ucieczki.

Colter zdawał sobie sprawę, że za moment będą mieli towarzystwo, ale skupił się na telefonie. Podniósł go z ziemi i zakończył połączenie. Zanim aparat zdążył się zablokować, wydobyl z kieszeni wizytówkę zastępczyni szeryfa Kristi Donahue i zadzwonił pod jej numer.

Z telefonem przy uchu wskazał na północ i wszyscy troje szybkim krokiem ruszyli ku rzece.

Włączyła się poczta głosowa, nagrał więc wiadomość, podając ich przybliżoną lokalizację i informując, że kierują się na północ w stronę Millton, kawałeczek na zachód od drogi numer osiemdziesiąt cztery. I że ścigają ich ludzie, którzy napadli na motel Sunny Acres.

Doszedł do wniosku, że w tym hrabstwie raczej nikt nie ma długu wdzięczności wobec bohatera z Beacon Hill, więc zaczął wybierać numer 911, gdy niemal równocześnie usłyszał huk wystrzału i świst pocisku ćwierć metra nad własną głową.

Jon Merritt się mylił.

Istnieje jednak podobieństwo między doktorem Evansem a psychiatrami pracującymi poza murami więzienia.

Każdy z nich ma na ścianie duży zegar. Sesja terapeutyczna musi równiutko mieścić się w magicznym przedziale czasu. Za murami to pięćdziesiąt minut. Tutaj czterdzieści pięć.

Ilekroć siada naprzeciwko lekarza, bezpieczny w swojej „sferze osobistej”, myśli o zegarze na budynku huty Carnegie, znajdującym się tuż przy powierzchni Kenoah.

O zegarze, który przestał chodzić, a jego wskazówki zmieniły się w skrzydła anioła.

Wodnym Zegarze...

– Porozmawiajmy o twoim picciu, Jon.

A więc nie zaczyna od tego, na czym skończyli w zeszłym tygodniu. Nie pamięta – albo nic go nie obchodzi zdarzenie z młodości, o którym zaczął mu opowiadać. Ale Jon Czaruś uśmiecha się uprzejmie.

– Oczywiście, doktorze.

– Całkiem dobrze radzisz sobie w programie – oznajmił Evans.

W więzieniu działa program dwunastu kroków anonimowych alkoholików i narkomanów. Większość więźniów ma problemy z uzależnieniami.

– Tak. – Merritt uczestniczy w mityngach, zabiera głos. Kłamie. Wszystko gra.

– Powiedziałeś, że alkohol wywołuje w tobie gniew, Jon. Czy to się zgadza?

Merritt nie lubi, gdy lekarz zwraca się do niego po imieniu. Słyszał o zjawisku przeniesienia relacji między terapeutą a pacjentem. To ostatnia rzecz, jakiej chce.

Kiedy nosisz w sobie taki sekret jak Prawda, nie chcesz z nikim nawiązywać emocjonalnej więzi. Czasem dochodzi do wyznań.

Mimo to życzliwie kiwa głową.

– Tak, to prawda.

Ostrożnie z tym słowem...

– Czyli wściekasz się na kogoś.

– Chyba tak. Na wszystkich. – Kręci głową. – Wcale tego nie chcę. To się po prostu samo dzieje.

Lekarz znowu odwraca wzrok i patrzy nie wiadomo na co.

Przez zakratowane okna o grubych szybach sączy się światło.

Doktor Evans wraca do rzeczywistości.

– Kiedy zacząłeś pić?

– Jako dzieciak. Brałem alkohol z baru mojego taty. To nie był bar, on go tylko tak nazywał. Po prostu półka w kuchni.

– Dawał ci spróbować?

– Broń Boże. Był na to za skąpy. Podkradałem mu.

– I dopełniałeś wodą, żeby nie zauważył?

– Nie.

Doktor Evans od Tuńczyka unosi brew.

– W takim razie może wiedział. Może chciałeś, żeby wiedział.

Brzmi to zbyt psychiatrycznie. Jon nie chce ciągnąć tego wątku. Mówi jednak:

– Słusznie, doktorze. Możliwe, że ma pan rację.

I przez pół godziny analizują ós czasową jego doświadczeń z alkoholem: kiedy Merritt uznał, że zaczyna mieć z tym problem, jakie zdarzenia wywołane upojeniem przyniosły mu wstyd albo naraziły kogoś na niebezpieczeństwo, czy miał jakąś okazję, by odmienić swoje życie, i dlaczego z niej nie skorzystał, jakiej rzeczy związanej z pić najbardziej brakuje mu w więzieniu.

Jon Czarus jest zdolnym narratorem.

Po chwili doktor Evans kieruje rozmowę na inne tory.

– Mówiłeś, że kiedy twój ojciec pił, stawał się lepszy. Co chciałeś przez to powiedzieć?

– To było bardzo dziwne. Na trzeźwo był postrachem wszystkich. Pijany – do rany przyłóż. Nigdy mnie wtedy nie bił, nie uderzył mojej matki. Chcieliśmy, żeby pił. Wtedy był miły.

– Ty natomiast jesteś miły, gdy nie pijesz, ale zły, gdy pijesz.

– Tak. Jak to się nazywa? Paradoks? – Merritt rozciąga usta w uśmiechu, ale w środku jest ostrożny. Nie ma pojęcia, do czego zmierza lekarz, i wie, że musi troskliwie tulić do siebie Prawdę, osłaniać ją przed jego spojrzeniem.

– Ty i matka próbowaliście go upijać?

– Musieliśmy. Gdyby nie był taki... odrętwiąły – chyba tak można to określić... Gdyby nie był odrętwiąły, mogłyby mu puścić nerwy. Ostatnio zacząłem panu opowiadać tę historię...

– Merritt mówi to, zanim zdąży pomyśleć, co robi. Lekarz patrzy na niego. Teraz nie wiadomo, jak się z tego wycofać. – Miałem dziewiętnaście lat. Brałem nadgodziny w wytwórni Hendersona.

Lekarz marszczy brwi, jakby to brzmiało znajomo.

Merritt uśmiecha się szeroko i kiwa głową, odświeżając Evansowi pamięć, ale wszystko w nim kipi. Ze wszystkich zdarzeń, które mu opowiada, to jedno jest prawdziwe i ważne, a ten przeklęty Zygmunta Freud nawet tego nie zauważa.

– Brałem nadgodziny. Wtedy już studiowałem i chciałem zarabiać wyższą stawkę za drugą zmianę. Myślał, że włączyłem się po mieście, i uznał, że należy mi się lanie. – Nie

chce mu się już wyjaśnić znaczenia dziwnego słowa „lumpić się”, którego używał ojciec. Z jego twarzy nie schodzi uśmiech. – Dziewiętnaście lat! A on zdejmuje pas. – Merritt nasycił głos tonem zdumienia. – Wie pan, na czym polegała jego wielkoduszność? Że postanowił użyć drugiego końca paska, tego bez sprzączki. Kazał mi się odwrócić. Chciał mnie zlać po tyłku.

– Naprawdę miałeś dziewiętnaście lat? – Nagle doktor Evans zerka na zegar, który nie jest Wodnym Zegarem; jego wskazówki nigdy się nie zatrzymują. Potem spogląda na Merritta. – Hm, Jon, widzę, że nasz czas się skończył. Zatrzymajmy się na tym wspomnieniu. Warto będzie przyjrzeć mu się bliżej.

Merritt w jednej chwili przestaje nad sobą panować, nerwy rwą się jak nitki. Zrywa się z miejsca, łapie krzesło i rzuca nim o ścianę. Potem rzuca się naprzód, zdecydowanie naruszając granicę przestrzeni osobistej doktora Evansa, nachyla się nad nim i wrzeszczy:

– Pierdol się, pierdol się, pierdol się!!!

Jon Merritt zdaje sobie sprawę, że zaraz się przekona, co się dzieje po wciśnięciu przycisku alarmowego.

Przeprawiali się w bród przez rzekę.

Dno było twarde i piaszczyste, więc stąpając naprzód, poruszali się na tyle szybko, na ile pozwalał opór wody. Kiedy byli w połowie drogi do drugiego brzegu, Shaw obejrzał się za siebie. Spomiędzy drzew wyłoniły się trzy osoby. Bee i prawdopodobnie tato, do którego zadzwonił. Towarzyszyła im chuda, wymizerowana kobieta w wieku mniej więcej trzydziestu lat, ze związanymi w kucyk włosami, których tłusty połysk świadczył o tym, że dawno nie myła ich szamponem. Miała na sobie szare spodnie dresowe i T-shirt ze Świętym Mikołajem. Wszyscy trzymali pistolety i ostrożnie podchodzili do brzegu rzeki.

Na widok Shawa Parker i Hannah, nie zatrzymując się, zaczęli strzelać, a pociski trafiały głównie w wodę i las. Żadne z nich nie miało wyszkolenia strzeleckiego i prawdopodobnie byli pod wpływem własnego towaru, co nie sprzyjało celności.

Shaw, Parker i Hannah dali nura pod powierzchnię. Ściskając ich ręce, Colter pociągnął je w stronę drugiego brzegu, do którego zostało około dwunastu metrów.

Potem dziesięć...

Narkomani strzelali na chybił trafił, w okolice miejsca, gdzie zniknęła ścigana przez nich trójka, ale jedna kula śmignęła w wodę niedaleko głowy Shawa, który poczuł mocną falę uderzeniową.

Pięć metrów...

Koryto rzeki zaczęło się podnosić i po chwili znaleźli się na błotnistym brzegu.

– Głowy nisko! – Colter ciągnął je za sobą. Hannah krzyknęła z bólu, ale nie rozluźnił uścisku.

Po tej stronie rzeki była niewielka skarpa, na którą musieli się wspiąć, narażając się na ogień, ale pociski nadal trafiały za wysoko albo za nisko. Za skarpa ujrzeli wysoki mur białych, beżowych i jasnozielonych traw. Przebili się przez niego i weszli na grząską ziemię.

Strzały ucichły.

Shaw spojrział za siebie i zobaczył, że narkomani stoją w kole i się naradzają. Zbliżyła się do nich druga kobieta, starsza, po pięćdziesiątce. W bluzce w biało-czerwona kratę i szerokich džinsach. Nadeszła od strony lasu z długą bronią w rękach. Widoczna w jej ruchach złość wskazywała, że to matka, głowa rodziny.

Bee wskazywał w stronę lasu, w którym ukrywał się teraz Shaw ze swoimi dwiema towarzyszkami. Wystarczyło jedno słowo Kobiety w Kratę, żeby się uciszył. Rozmawiała przez chwilę z tatą i młodszą kobietą, być może ich córką, po czym wszyscy czworo zawrócili i zniknęli w lesie, zmierzając do swoich przyczep czy bud, gdzie mieli laboratorium.

– Dzwonił pan do tej policjantki – powiedziała Hannah. – Zaczekajmy tu.

– Nie, nie możemy ryzykować. Powiedziałem jej, że idziemy do Millton. Tam możemy się z nią spotkać. – Zatoczył ręką łuk. – Przy takim ukształtowaniu terenu dotrzemy na miejsce za trzy, cztery godziny.

Popatrzył na telefon Bee. Ekran był czarny. Urządzenie po wyschnięciu może dałoby się uruchomić, ale z doświadczenia wiedział, że wbrew temu, co obiecywał YouTube, komórki rzadko działają po zanurzeniu w wodzie. Poza tym był pewien, że gdyby nawet telefon ożył, będzie zablokowany.

– Chodźmy.

Kiedy on i Hannah ruszyli naprzód, Parker wymamrotała coś, czego Shaw nie dosłyszał. Odwrócił się. Allison powiedziała słabym głosem:

– Chyba nie dam rady.

– Mamo! – krzyknęła zduszonym głosem Hannah.

– Mogę spróbować – szepnęła Parker – ale... – Pokazała zakrwawioną nogę.

Okazało się, że ktoś z rodziny ćpunów jednak oddał celny strzał.

Jego eks i córce znowu udało się uciec.

Kiedy dwaj cyngle spalili kamper należący do prywatnego detektywa – o ile tym się trudnił człowiek na motocyklu – wszyscy troje uciekli pieszo przez las na północ. Tamci dwaj mieli szukać ich na drogach do Millton. Merritt ruszył pieszo, starając się odnaleźć w lesie trop.

Gdzie jesteście?

Niech to szlag, Allison!

Uświadomił sobie, że porusza się szybko, nie zważając na hałas, jaki przy tym robi. Przypuszczał, że podchodzenie zwierzyny wymaga ciszy. Nic go to jednak nie obchodziło. Miał broń, miał amunicję i był wściekły.

Nie ma większego grzechu niż zdrada.

Na ziemi nie zauważył żadnego śladu, by ktoś tędy przechodził. Może były tu złamane gałęzie i poruszone kamyki, które tworzyły mapę drogową wskazującą miejsce ich pobytu, ale Merritt był miejskim detektywem. Odgadywał znaczenie plam ujawnianych przez oświetlacze kryminalistyczne, umiał czytać z betonu i asfaltu, z drewna i wykładziny. Ale nie takie ślady, nie w takim miejscu.

Mimo to nie miał prawie żadnych wątpliwości, dokąd się kierują – na północ w stronę Millton. Jakikolwiek inny cel oznaczałby konieczność pokonania trzydziestu, może nawet pięćdziesięciu kilometrów. A ścieżka, którą właśnie szedł, była najprostszą drogą do tego zapyziałego miasteczka.

W którą stronę od tego punktu dokładnie leżało? Wyjął telefon i otworzył mapę.

Ponieważ wychodząc z kępy młodych sosenek, patrzył w ekran, omal nie wpadł na bladego młodego człowieka, który ścisnął w chudych ramionach worek na śmieci.

Obaj stanęli jak wryci.

Merritt poruszył się pierwszy, wyjmując broń i mierząc do niego.

– Nie! – krzyknął chłopak. – Znowu? Tylko nie to!

Nie miał pojęcia, co to może znaczyć.

– Rzuć worek.

Spełnił rozkaz i rozejrzał się. W jego oczach malowała się desperacja.

To oznaczało, że w okolicy są jego krewni albo znajomi.

Trzeba o tym pamiętać.

– Odwróć się. Tyłem do mnie.

Zrobił to i Merritt wyjął z jego tylnej kieszeni broń. Rewolwer. Starego colta. Taki gnat to wstyd dla narkotykowego kuriera. Każdy szanujący się producent czy diler miałby co najmniej glocka, a najlepiej wielkiego chromowanego sig sauera.

– Idź przed siebie, w stronę krzaków.

Chłopak skierował się w ślepy zaułek z zarośli.

– Stój.

Zatrzymał się.

– Mogę się odwrócić?

– Czemu nie? Jeżeli chcesz.

Chłopak miał błędny wzrok jak ktoś, kto od czasu do czasu próbuje swojego towaru.

– Jest pan na ziemi mojego taty. To prywatny teren.

Merritt się zaśmiał.

– Twój tatuś gówno ma, a nie ziemię. – Zerknął na trzy płytkie doły, które wykopał chudzielec, na tandetną łopatę. – Zbierasz towar w takim tempie jak wiewiórka z pierwszym mrozem.

Czy to miało coś wspólnego ze strzałami, które wcześniej słyszał z oddali?

– Muszę coś wiedzieć: przechodzili tędy ludzie. Najdalej pół godziny temu. Troje.

– Nic nie wiem.

Merritt uniósł rewolwer.

– Gościu, co ty... dobra. Powiem. Facet, kobieta i dziewczyna. Przeszli przez Rapahan.

– Tak się nazywa ta rzeka?

– Tak.

– Doszło do jakiejś awantury między wami? Słyszałem strzały.

– Nic nie wiem.

Merritt przeciągle westchnął.

– To oni zaczęli – poskarżył się płaczliwie chłopak. – Ten facet. Strzelał do nas! Zaczął bez powodu.

– Z czego?

– Hm?

– Z jakiej broni do was strzelał?

– Nie wiem. Dużej.

– Dziwne, bo cała ich broń została spalona, jeszcze dogasa w palenisku. A jeżeli po drodze jest sklep ze sprzętem sportowym, to musiałem nie zauważyć.

Chudzielec wbił wzrok w ziemię.

Nie było potrzeby dłużej go męczyć. Czas nie stał w miejscu.

– Doszło do wymiany ognia. Kto strzelał razem z tobą?

– Moja siostra, ciotka i tato.

– Trafiliście kogoś z tej trójki?

- Zdaje się, że tak. Kobieta.
- Coś poważnego?
- Chyba dostała w nogę.

Merritt odwrócił się i spojrzał na północ. Na powierzchni rzeki było już widać migotanie słońca zniżającego się ku zachodowi. Rana na pewno uniemożliwi szybki marsz. Niedługo zapadnie zmierzch i będą musieli się gdzieś schronić.

- Co jest po drodze do Millton?
- Niewiele, proszę pana. Nie ma żadnego miasta ani wsi.
- Nic?
- Parę domków myśliwskich.
- Ktoś w nich teraz mieszka?
- Nie wiem.

Prawdopodobnie nie. Sezon na jelenie zaczyna się dopiero w przyszłym tygodniu.

Merritt podniósł worek na śmieci. Wewnątrz było kilka mniejszych przezroczystych woreczków. Zawierały torebki z metą i opioidami.

– To już należy do mnie. – Odsunął się jeszcze dalej od ćpuna i wcisnął worek do plecaka.

- Rany...
 - Jak tylko zniknę, pobiegiesz do tatusia?
- Oczy chłopaka stały się okrągłe jak monety.

– Nie, proszę pana, nie! Przysięgam. Zostanę tu. Przez godzinę. Albo dwie, jak pan chce. Nie chcę się babrać w tym syfie. Ciotka nas zmusza. Nie można się jej sprzeciwić. Chcę zostać mechanikiem. Uczciwy fach, a ja jestem w tym całkiem niezły. Zostawię to, jak tylko znajdę porządną robotę.

Gadał, co mu ślina na język przyniosła.

Chudzielec nie spuszczał z oczu rewolweru Merritta, który kołysał się tam i z powrotem jak łan pszenicy na łagodnym letnim wietrze.

- Boże, człowieku, mam dziewczynę. Będzie miała dziecko. Chyba moje.

Merritt zastanawiał się nad jedną kwestią: czy wystrzał zdradzi jego pozycję, czy raczej huk odbije się od pobliskich skał i nie będzie można ustalić, gdzie strzelano?

Uznał, że raczej to drugie.

Chłopak wydał krótki krzyk, gdy pocisk rozpruł mięśnie i kość. Jego ciało runęło bezwładnie na warstwę liści mieniących się wszystkimi barwami jesieni.

Wystrzał.

Shaw czekał.

Tylko jeden.

Jak daleko? Dwa, trzy kilometry.

Czyżby doszło do starcia między Bliźniakami a rodziną ćpunów? A może broni użył Jon Merritt?

Nie można lekceważyć tego strzału. Tymczasem była jednak ważniejsza sprawa.

Rana Allison Parker.

Kobieta leżała na warstwie igliwia, Shaw oglądał jej obrażenia, a Hannah trzymała ją za rękę.

Pocisk ominął główne naczynia udowe. Gdyby któreś z nich naruszył, skutek już byłby śmiertelny. Z kawałka podszewki swojej kurtki Shaw zrobił opaskę uciskową. To jednak zawsze był prowizoryczny środek; lepszym rozwiązaniem był stały ucisk, a potem zabieg chirurgiczny. Na razie ta możliwość nie wchodziła w grę.

Za pomocą gałęzi zacisnął opaskę i pomógł Parker wstać. Znalazł dłuższy kij, by mogła opierać się na nim jak na kuli, i podał go jej.

Skrzywiła się, ale powiedziała:

– W porządku. Poradzę sobie.

– Patrzcie. – Hanna znalazła jakąś drózkę biegnącą na północ. Jeżeli w Millton działały kiedyś tartaki, to niewykluczone, że prowadziła do samego miasteczka i dawniej wożono nią drewno. Shaw wiedział, że nie dotrą tam przed zmierzchem, ale chciał tak skrócić odległość do miasta, jak tylko to było możliwe.

Spojrzał do tyłu. Nie widział za nimi żadnego pościgu.

Kiedy ruszyli szeroką ścieżką, Parker wspierała się na dębowej lasce i ramieniu córki.

– Kula przeszła na wylot? – spytała Hannah.

– Nie, ciągle jest w środku. – To była dobra i zła wiadomość. Pociski w momencie wyrzucenia przez lufę pistoletu mają temperaturę ponad dwustu stopni Celsjusza. Trafiając w ciało, są chłodniejsze, mimo to mogą kauteryzować wiele naczyń krwionośnych. Kawał łożowiu i miedzi wywiera też nacisk na tętnice i żyły. Zła wiadomość była natomiast taka, że broń i amunicja narkomanów prawdopodobnie nie były zbyt czyste, co zwiększało ryzyko zakażenia.

Hannah spoglądała na ziemię, trochę po to, by się upewnić, czy na drodze nie ma korzeni czy kamieni, a trochę chyba po to, by nie patrzeć na matkę.

– Chyba się myliłam. Co do taty. Byłam wredna. Przepraszam.

Allison zerknęła na córkę i Shaw odniósł wrażenie, że jej twarz ściągnęła się z bólu, ale nie z powodu rany, tylko na widok jej miny.

– Nic się nie stało, Han. – Matka wyglądała na nie mniej zmartwioną niż córka.

– Niby nic, ale...

Zamilkły i maszerowały dalej.

Leśną drogę otaczały wysokie sosny – niektóre zielone, inne wyschnięte i zbielełe na kość. Rosły też drzewa liściaste: dęby, leszczyny, klony. Gdzieś tam można było dostrzec ślady jelenia albo niedźwiedzia – niewielkiego, chociaż to na pewno nie był młody, bo niedźwiedzie rodzą się w styczniu, nie musieli się więc obawiać spotkania z troskliwą matką.

Hannah była czujna. Shaw zauważył, że rozglądała się równie często jak on.

Usłyszał trzask i szelest liści. I prawie zaśmiał się w duchu, gdy dziewczyna, nie odrywając wzroku od lasu, uspokoila ich oboje:

– To nic takiego. Tylko wiatr.

Udało im się pokonać jeszcze półtora kilometra – więcej, niż Colter się spodziewał – zanim Parker przystanąła, ciężko łapiąc oddech.

– Coraz bardziej boli.

– Szok ustępuje.

Niektórzy w momencie postrzału czują tylko szarpnięcie lub uderzenie, niemal bezbolesne. Ta niewrażliwość szybko mija i pojawia się coraz silniejszy ból.

Kobieta zaczęła się osuwać.

– Mamo! – Hannah złapała ją wpół.

– Przykro mi, ale nie mogę... – wykrztusiła. – To za dużo.

Shaw rozejrzał się i dostrzegł zagłębienie terenu.

– Schowajmy się tam.

Razem z dziewczyną pomogli Parker wejść do płytkiej jamy i położyć się na posłaniu z liści.

Shaw wyszedł i przyjrzał się okolicy. Dostrzegł poruszoną ziemię w miejscu, gdzie ścieżką regularnie przechodziły zwierzęta – domyślił się, że bobry. Wydeptany szlak prowadził zapewne do strumienia albo jeziora, a ponieważ nie było wątpliwości, że spędzą w lesie więcej czasu, niż planował, chciał znaleźć źródło wody. Wybrał na chybił trafił i skręcił w lewo. Już po trzydziestu czy czterdziestu metrach dotarł na krawędź wzniesienia. Spojrzał w dół i zobaczył wielkie ciemne jezioro. Stał nad nim domek z zarośniętym trawą parkingiem – żaden samochód nie wjeżdżał tam od miesiąca. Ściany były wyblakłe, weranda zasypana liśćmi, ale poza tym budowla wyglądała na całkiem solidną. Może w środku były jakieś materiały opatrunkowe.

I broń.

Nie zauważył przewodu telefonicznego, chociaż mógł biec pod ziemią.

Czyżby też narkotykowe laboratorium?

W pewnym sensie miał nadzieję, że tak.

Jeśli w środku kryli się jacyś ćpuni, to zapewne będą zaskoczeni pojawieniem się Shawa. Zauważył na ziemi niemało sporych kamieni.

Bezszelestnie zszedł po skarpie i zbliżył się do bocznej ściany. Zasłony w oknie były rozsunięte, rolety podniesione. Wnętrze było ciemne i zakurzone. Nie widział śladów niedawnych lokatorów, chociaż domek był urządzone. Zobaczył też na ścianach trofea myśliwskie.

Wrócił do jamy przy drodze.

Rozluźniając opaskę Parker, powiedział:

– Niedaleko jest domek myśliwski. Pusty. Wątpię, żeby był tam telefon, ale może będzie apteczka. Musimy oczyścić tę nogę.

Znowu zacisnął opaskę i z pomocą Hannah dźwignął Parker na nogi.

– Mogę cię zanieść – zaproponował.

– Nie – padła harda odpowiedź. – Pójdę sama.

Piętnaście minut później stali przed budowlą, której powierzchnię oceniał na niecałe sto metrów kwadratowych. Wzdłuż całego frontu biegła zapadająca się weranda, po prawej stała dwuosobowa huśtawka. Kołysała się na wietrze. Od frontu były dwa małe okna. Kiedy schodzili po łagodnym nachyleniu terenu – ta trasa była dla Parker łatwiejsza niż pokonanie stromizny – Colter dostrzegł wychodzący na jezioro pomost. Konstrukcja była mocno przechylona w lewo, deski wyraźnie przegniłe. Nie cumowała tam żadna łódka. Nad jeziorem, którego powierzchnię oceniał na sto pięćdziesiąt hektarów, nie było też żadnego innego domku.

Od razu zdał sobie sprawę z problemu: podjazd musiał prowadzić do większej drogi, którą prawdopodobnie uwzględniał GPS; Bliźniacy i Merritt mogli ich tu wytropić.

Plus tej sytuacji polegał na tym, że to samo mogła zrobić zastępczyni szeryfa Kristi Donahue.

Parker postawiła stopę na pierwszym rozchwianym stopniu, zatrzymała się i powiedziała:

– Chyba zaraz... – Dokończyła zdanie w pantomimiczny sposób, czyli straciła przytomność. Shaw zdążył ją złapać, zanim osunęła się na ziemię.

– Panie Shaw!

– Tylko zemdląca. Pewnie z bólu, nie od utraty krwi.

Wziął ją na ręce i ruchem głowy wskazał na domek.

– Sprawdź drzwi.

Złapała klamkę i nacisnęła.

– Zamknięte. Może pan otworzyć zamek? Ojciec nauczył pana, jak to się robi?

Tak, Ashton wtajemniczył go w sztukę posługiwania się wytrychem.

Teraz jednak Colter po prostu odchylił się do tyłu i kopnął w drzwi, mierząc w niewidoczny cel kilkanaście centymetrów po drugiej stronie, by dodać uderzeniu energii.

Drzwi wpadły do środka z trzaskiem, który dziwnie przypominał huk wystrzału.

Ostatni lokal, z którego uciekli, był przeznaczony dla wędkarzy.

To był domek myśliwski. Shaw mógł się lepiej przyjrzeć łbom jeleni i wapiti, które zobaczył przez okna z zewnątrz. Ich szklane oczy wpatrywały się w coś tuż obok nich.

Broń? Przypuszczał, że na osiemdziesiąt procent nie znajdzie tu żadnej sztuki. Zarośnięty parking świadczył o tym, że z domku od dłuższego czasu nikt nie korzystał, a myśliwi raczej nie byliby skłonni zostawiać sprzętu na dłużej w chatce, do której bez trudu można się włamać.

Pokój dzienny zajmował całą szerokość frontu. Po prawej znajdował się salon, dalej sypialnie. W lewo przechodziło się do jadalni, za którą widniała kuchnia.

Nie było tu nic współczesnego ani eleganckiego. Ot, zwykły bungalow z lat pięćdziesiątych.

Colter położył Parker na kanapie w salonie z nogami wyżej. Nie odzyskała przytomności.

– Panie Shaw...

Ocecił kolor jej skóry, zbadał puls i sprawdził temperaturę.

– Wszystko w porządku, ale jest odwodniona. Zobacz, czy płynie woda w kranie.

Kiedy dziewczyna wyszła, pstryknął wyłącznikami światła. Nic. Dom prawdopodobnie miał studnię, z której nie można było korzystać przy braku zasilania. Jeszcze raz zerknął na ekran telefonu Bee. Wciąż ciemny.

Allison ocknęła się spocona i rozejrzała się, próbując ustalić, gdzie jest.

– Hannah...

– Za chwilę wróci.

Shaw ze zdziwieniem usłyszał szum wody.

Czyli domek był podłączony do miejskiej sieci wodociągowej. Może byli bliżej Millton, niż sądził.

Dziewczyna przyniosła do salonu trzy szklanki.

– Może być? Trochę czekałam, aż spłynie, ale...

Woda miała brunatny odcień. Shaw wziął szklankę i powąchał. Wypił łyk.

– To tylko rdza. Nie jak w Kenoah. – Hannah pomogła matce usiąść, żeby się napiła. Sama też spróbowała.

– Fuj.

– Żelazo jest bardzo zdrowe – poinformował ją z pełną powagą.
Dziewczyna przewróciła oczami i parsknęła śmiechem.
Podszedł do okna i wyjrzał od frontu. Ani śladu ludzkiej obecności w lesie.
– Apteczki i broń – powiedział do Hannah. – Najlepiej palna. Łuk myśliwski też będzie dobry.
– Potrafi pan z czegoś takiego strzelać?
Potrafię taki zrobić, pomyślał. Gdyby mieli czas, zajęłby się tym.
– Trzeba szukać wszędzie. Zajmiesz się kuchnią i jadalnią. Wszystkimi szafkami i spiżarniami. Aha, znajdź też jakiś alkohol. To środek antyseptyczny.
Poszła na poszukiwania. On wszedł do najbliższej sypialni.
Po kilku minutach dziewczyna zawołała:
– Mam coś, co może się panu przydać. Coś w rodzaju broni.
– W porządku. Szukaj dalej.
W dwóch sypialniach Shaw znalazł tylko kostkę mydła i myjki do twarzy.
– Kuchenka działa? – zawołał do Hannah.
Brzęk, potem krzyk.
– Pająki! – Po chwili: – Nie ma gazu!
Czyli nie mogli wygotować ani wysterylizować bandaży. Musiało wystarczyć mydło. Odkręcił kran w łazience i odczekał kilka minut, by spłynęły zanieczyszczenia, po czym nasaczył myjki. Jedną natarł mydłem, tworząc gęstą pianę.
– Są jakieś noże? – zawołał z salonu do Hannah.
– Parę.
– Przynieś mi najmniejszy. Kuchenny, nie stołowy.
Przyszła z nożem do obierania warzyw.
Pomógł Parker obrócić się na bok.
– Rozdarte dżinsy są chyba ostatnio modne, prawda?
Odpowiedziała bezbarwnym śmiechem.
Rozwiązał opaskę i odrzucił na bok.
Zaczynając od dziury po kuli, zrobił długie rozcięcie w nogawce dżinsów i szeroko je rozchylił. Obejrzał ranę. Pocisk był dość czysty, więc nie wdała się żadna poważna infekcja. Nie zauważył też silniejszego krwawienia. Stan był na razie stabilny.
Wziął namydlony kawałek tkaniny.
– To jest ten moment, kiedy mówisz, że będzie bolało? – spytała.
– Nabierz powietrza.
Zrobiła to, a kiedy przemywał ranę, jęknęła tylko:
– Au... O rany... Cholera...
Potem opłukał nogę nasączoną wodą myjką i delikatnie osuszył skórę. Odciął z prześcieradła długi pas szerokości około piętnastu centymetrów, ucisnął ranę suchą ściereczką frotté i mocno obwiązał nogę.

– I jak, w porządku? – zapytał.

– Jak można się spodziewać – odpowiedziała szeptem Parker. Powstrzymała łzy i wzięła czystą myjkę, by otrzeć pot z czoła. Uśmiechnęła się słabo. – Chyba podkreśliłeś ogrzewanie.

Też się uśmiechnął i wstał. Opatrzył pacjentkę najlepiej, jak potrafił. Teraz pora pomyśleć o broni.

Wszedł do kuchni.

– Mówiłaś, że coś może się przydać jako broń?

Pokazała podłączony do kontaktu odświeżacz powietrza.

Shaw zmarszczył brwi.

– Nie umie pan zrobić z tego jakiejś bomby? – zdziwiła się.

– Z glade?

– Z *MacGyvera*.

– Z czego?

– Był taki serial – wyjaśniła. – Chłopak, z którym trochę chodziłam, bardzo go lubił. Oglądaliśmy całymi sezonami. Bohater robił różne rzeczy, na przykład bomby, ze zwykłych przedmiotów.

– Ale chyba nie z odświeżacza powietrza.

– Aha. – Wzruszyła ramionami i wróciła do poszukiwań.

Shaw zaklinował tylne wyjście kuchennym krzesłem, drugie zabrał ze sobą do drzwi wejściowych i też podstawił pod klamkę. Następnie przejrzał zawartość składziku przy jadalni. Znalazł wiosło do kajaka. Byłaby z niego skuteczna pałka. Położył wiosło na kuchennym stole obok dwóch noży rzeźniczych, jednego z ostrzem długości dwudziestu pięciu centymetrów, drugiego – dwudziestu ośmiu.

– A to? – Hannah wydobyła spod zlewu foliową torebkę.

Poczuł zapach naftalenu.

– Naftalinowe kulki na mole. Gdybyśmy mieli wapno palone, moglibyśmy zrobić ogień grecki.

– Co to jest?

– Starożytni Grecy używali go jako miotacza ognia. Uczysz się historii?

– Tak, trochę. Do Cesarstwa Rzymskiego jest fajna, potem coraz bardziej skomplikowana. I nudna.

Colter Shaw nie mógł się z nią nie zgodzić.

– Może pan zrobić coś takiego?

– Nie mamy wapna. To nadaje się tylko na mole.

– Aha, jeszcze to. – Hannah pokazała słoiczek pieprzu cayenne. – Raz odrobina dostała mi się do oka i poczułam, jakby się paliło. Można z tego zrobić gaz pieprzowy?

– Jest butelka ze sprayem?

Nie było.

– Zrobimy jakiś alarm jak wtedy z żyłką?

– Nie. Bylibyśmy za bardzo widoczni.

Zresztą co by zrobili, gdyby Bliźniacy uruchomili alarm? Nad jeziorem Timberwolf mieli przynajmniej prawdziwą broń.

Nagle coś w głębi kuchni przyciągnęło jego wzrok.

Podszedł do zlewu, gdzie stało duże pudło proszku do prania Tide. Wziął je. Zastanawiał się przez chwilę. Z szafki wyjął szklanę do soku. Następnie zerwał znad okienka w tylnych drzwiach drążek, na którym nie wisiała żadna zasłonka.

– Potrzebuję długopisu – zwrócił się do dziewczyny.

Przekopała kuchenne szuflady.

– Jest.

– Jeszcze jedna rzecz. Są tu gumki recepturki?

Nie znaleźli.

– A to, co masz we włosach? – spytał.

– Frotka?

– Może być.

Zdjęła ją z kucyka i podała Shawowi.

Potem spojrzała na pudełko z proszkiem, szklanę i frotkę do włosów.

– Na pewno nigdy nie oglądał pan *MacGyvera*?

Są w środku.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Desmond.

– W oknie po prawej poruszyła się zasłona.

Mężczyzna wychylił się i wystawił głowę z zarośli.

– Możliwe.

– Na pewno. – Moll wrócił do kryjówki. Desmond również.

Przyczaili się naprzeciwko zarośniętego zielniem placu parkingowego przy drewnianym brązowym domku. Poszukiwania na drodze osiemdziesiąt cztery nie dały żadnych rezultatów, więc zatrzymali się i zajrzeli do ewidencji nieruchomości. Znaleźli tam ten domek nad jeziorem Deep Woods. Zaparkowali kilkaset metrów dalej, przy starej leśnej drodze po drugiej stronie wzgórza wznoszącego się naprzeciw chatki. Moll, wytrawny tropiciel jeleni i wapiti, dostrzegł prowadzące do niego ślady stóp.

Jedna z osób, które tędy przeszły – Allison, sądząc po wielkości stopy – wyraźnie powłóczyła nogami. Chyba córka pomagała jej iść. Zauważył też krew. Pewnie efekt strzałów, które słyszeli wcześniej.

– Są uzbrojeni?

Moll wzruszył ramionami.

– Wątpię. Może znaleźli coś w środku. Ale nie zostawiałbym broni w takim miejscu. Za łatwo się włamać.

Rozległe, spokojne jezioro za domkiem przybrało granatowy kolor. Nigdzie przy brzegu nie było widać innych posesji.

– Klapa w podłodze kampera? – W głosie Molla wyraźnie brzmiał niesmak. Nie miał żadnych oporów, by przypisać winę Desmondowi czy komuś innemu, ale potrafił wziąć na siebie odpowiedzialność. – Powinienem to wcześniej sprawdzić.

Desmond przez chwilę milczał.

– Skąd mogłeś wiedzieć?

Moll był mu za to wdzięczny.

– No i co robimy?

– Myślą, że jesteśmy gdzie indziej, pewnie na drodze. Musi być jakieś tylne wejście do domku. Prowadzi na ten pomost. – Znowu spojrzął na zielone i brązowe otoczenie chatki. Zastanawiał się, gdzie urządziłby zasadzkę, gdyby to była rekreacyjna wycieczka. Na tym

polowaniu przynajmniej nie musiał się martwić, z której i w którą stronę wieje wiatr. Ludzkie nosy są beznadziejne, chyba że strzelec zbyt obficie skropi się wodą Paco Rabanne.

– Cholera, gdzie jest Merritt? – zapytał Desmond.

Moll zajrzał wcześniej do wiadomości w telefonie.

– W drodze.

– Mam wrażenie, jakbyśmy odwalali całą robotę.

– Mamy płacone czy nie?

Desmond zacisnął usta i nie zaprotestował.

– Okrążysz dom i podejdziesz od tyłu – powiedział Moll. – Ja wejdę od frontu.

Kumpel potwierdził to skinieniem głowy. Wyciągnęli pistolety i ruszyli obok siebie, pochyleni, kryjąc się za wysoką zasłoną zarośli. Moll poczuł charakterystyczny kwaskowaty zapach. Bieluń dziedzierzawa. Wróciło wspomnienie z młodości, ale nie chodziło o żadne konkretne zdarzenie, tylko o wyjścia do lasu.

– Niech to szlag – szepnął Desmond.

– Co jest?

– Dwa koniki polne opluły mnie na brązowo.

– Lepiej się skoncentruj. Dasz radę?

Przystanęli przed rozrośniętym żywopłotem.

– Zaczekaj pięć minut, a potem wal w drzwi z tyłu. Zawołaj „policja” czy coś w tym rodzaju. Kiedy skupią się na tamtej stronie, stuknę ich przez okno. A ty rozwalasz każdego, kto spróbuje do ciebie podejść.

– Podoba mi się ten plan – stwierdził Desmond.

– I pamiętaj, przede wszystkim trzeba rozwalić Motorowca.

Jego rachunek prawdopodobieństwa znowu się nie sprawdził.

Bliźniacy znaleźli domek myśliwski.

Shaw i Hannah patrzyli przez zasłonkę w oknie od frontu, jak wolno wysuwają się z kryjówki i z pistoletami w dłoniach ruszają w kierunku chatki.

Podchodzili przez zarośla z boku domu – po prawej, jeśli patrzeć od frontu. Garnitur przystanął i się przyczał, a Beżowy szedł dalej. Chcieli wejść równocześnie z dwóch stron.

Pistolety kontra wiosło do kajaka, noże kuchenne i ostatnia broń, jaką znalazł Shaw, czyli młotek ciesielski.

Garnitur zamierzał szturmować drzwi wejściowe, Beżowy kuchenne.

Hannah spojrzała na niego, a on skinął głową. Odsunęła na bok zasłonkę w oknie po prawej.

Nagle...

– Niech pan patrzy! – szepnęła.

Garnitur spojrział na drzewo, do którego się zbliżał, potem na okno, w którym poruszyła się zasłonka. Znieruchomiał i błyskawicznie rzucił się na ziemię. Ostrem szeptem zawołał do współnika, który oddalił się już od niego na ponad pięć metrów. Beżowy trochę się zdziwił, ale też padł na twarz.

Garnitur znowu zerknął na okno. Hannah z powrotem zasunęła zasłonkę. Obaj mężczyźni szybko odczołgali się w stronę, z której nadeszli, dopóki nie zniknęli za zasłoną zarośli po drugiej stronie parkingu. Stamtąd popędzili w górę wzniesienia, kryjąc się za drzewami i ostatecznie rozplywając się w jesiennym popołudniu.

– Udało się! – Hannah wyjrzała przez okno i się zaśmiała. Ścisnęła ramię Shawa.

Proszek do prania Tide sprzedaje się w charakterystycznym pudełku. Czerwono-żółte kółko z logo marki można wykorzystać jako tarczę, jeżeli mieszka się w domku w środku lasu, nie ma się pod ręką zbędnej gotówki i nie chce się jechać do sklepu ze sprzętem sportowym, by wybrać coś w dziale strzeleckim.

Kiedy więc Garnitur ruszył naprzód, zobaczył przód pudełka proszku Tide, który Shaw przymocował do dębu. Musiał też zauważyć kilkanaście otworów w „dziesiątce” tarczy domowej roboty – otworów, które Shaw zrobił długopisem znalezionym przez Hannah.

Potem wzrok napastnika musiał napotkać coś jeszcze – przedmiot wyglądający jak karabin z lunetą celowniczą, wymierzony w niego z ciemnego pokoju przez rozsunięte zasłony.

Dlatego rzucili się do ucieczki – przed bronią, która w rzeczywistości była drążkiem na zasłonkę kuchenną i szklanką do soku, umocowaną do niego za pomocą frotki Hannah, a wyglądała jak lufa długiej broni i celownik teleskopowy.

Sama sugestia, że przeciwnik jest uzbrojony, bywa równie skuteczna jak rzeczywista broń.

Hannah odsunęła zasłonę, żeby łatwiej obserwować ich ucieczkę.

– Nie – powiedział Shaw. – Cofnij się od okna. Nigdy się nie wystawiaj, jeżeli nie musisz.

– Nie wystawiaj?

– Na strzały.

– Co teraz zrobimy?

Ostrożnie wyjrzał przez okna. Ani śladu nieprzyjaciela w żadnym z miejsc, w których należałoby się go spodziewać.

– Jeżeli ta policjantka nie znajdzie nas przed zmierzchem, rozpalę ogień na końcu pomostu. Na pewno krążą patrole leśne, które mają wykrywać pożary. Zobaczą ogień i kogoś tu przyślą.

– Te dwa bydlaki ich nie zastrzelą?

– Nie. Będą wiedzieli, że jeżeli patrol nie zamelduje się w centrali, to zjawi się policja i zamknie cały teren. Dojdą do wniosku, że rozsądniej będzie się wycofać. Wymyślić nowy plan.

Zmarszczyła czoło.

– Nie mamy zapalek. Umie pan rozpalić ogień?

Omal się nie uśmiechnął.

– Umiem.

Jej spojrzenie mówiło: powinnam była się domyślić.

Shaw wyciął w zasłonie w jednym z okien od frontu małe otwory. I po jednym z każdego boku.

– To twoje wizjery. Odpowiadasz za obserwację.

Wydawała się zadowolona, że przydzielił jej zadanie.

– Tylko nie dotykaj zasłon – dodał.

– Nigdy się nie wystawiaj – odparła.

Skinął głową

– A tył domu? – spytała.

– Być może. Ale wtedy wystawiliby się na ogień naszego „karabinu”.

Spojrzała przez okno w kuchni i pokiwała głową.

– Wydaje mi się, że jest jakieś pięć procent możliwości.

– Pięć procent to chyba trafna ocena.

Kiedy słońce zniżało się ku zachodowi i wewnątrz chatki powoli się ściemniało, Shaw zebrał ich skromny arsenał: noże, młotek i wiosło. Wszystko położył na stoliku w pokoju dziennym.

Pazurem młotka wydłubał z kominka kilka cegieł. Każdą umieścił w oddzielnej poszewce na poduszkę, które zawiązał tuż pod spodem. Powstało coś w rodzaju prymitywnego *bolas*, argentyńskiej broni myśliwskiej. Potrafił rzucić nią dość celnie, by uzbrojony przeciwnik musiał zrobić unik, dając mu szansę zbliżenia się na odległość umożliwiającą walkę wręcz.

Albo walkę na noże.

Obejrzał dwudziestopięciocentymetrowe ostrze. Stal nierdzewna to nie stal wysokowęglowa. Nóż był tani i tępy.

Wybił ze ściany jeszcze jedną cegłę i zaczął go ostrzyć.

Hannah zerknęła ze swojego stanowiska obserwacyjnego na zrujnowany kominek.

– Hm. Rozwalamy dzisiaj już drugi dom.

Rozbawiony uniósł brew, nie przerywając pracy. Zawsze lubił ostrzyć noże. Odgłos stali pocieranej o kamień i świadomość, że przywraca jej zdolność cięcia, sprawiały mu przyjemność. Kiedy zaczął ostrzyć drugi, z salonu dobiegł głos Parker. Bardzo cichy.

– Colter? Możemy pogadać?

– Uważaj na okna – rzucił do Hannah.

– Jasne.

Wszedł do salonu.

– Jak się czujesz?

– Lepiej. Muszę ci coś powiedzieć.

Przysunął sobie krzesło bliżej kanapy.

– Rozmawialiśmy o listopadzie, pytałeś, czy mogłabym uzupełnić parę luk.

– Nie musisz nic...

– Muszę. – Poprawiła poduszkę za plecami, by usiąść trochę wyżej. – Tamtego wieczoru Jon wrócił do domu pijany. Leżałam zakrwawiona na śniegu przy basenie, miałam pękniętą kość policzkową.

– Pamiętam.

Chwila wahania. Parker głęboko zaczerpnęła tchu, ale nie z powodu bólu.

– Colter? Tamtego wieczoru Jon w ogóle mnie nie dotknął. W listopadzie. Nie dotknął mnie. – Głos uwiązł jej w gardle. Opanowała się i mówiła dalej. – Wzięłam jego broń. Kilkanaście razy uderzyłam się w twarz. Naprawdę mocno. Potem wczołgałam się do domu, zostawiłam ślady krwi. Zadzwoiłam pod dziewięćset jedenaście, powiedziałam, że mnie pobił i grozi, że mnie zabije. Natychmiast przyjechały dwa radiowozy. Jon już stracił świadomość, ja miałam strasznie pokiereszowaną twarz. Skuli go i znaleźli broń. Powiedziałam im, że wyrwałam mu pistolet i wrzuciłam w krzaki.

– To wyjaśniało, skąd wzięły się na nim twoje odciski palców.

Otarła łzę.

– Żona gliniarza zna się na gliniarskim fachu.

– Uwierzył, że cię pobił? Był aż tak pijany?

– Nie. Wiedział, że go wrobiłam. Ale jego adwokat powiedział, że ława przysięgłych tego nie kupi. Jeżeli będą musieli wybrać, komu uwierzyć, wygra moja wersja. Za usiłowanie zabójstwa dostałby dwadzieścia lat. Zawarli ugodę i skończyło się na trzydziestu sześciu miesiącach.

Boże, nie chciałam tego. Próbowałam wszystkiego, żeby tego uniknąć. Wysyłałam go na terapie, mityngi, ale nic nie działało. Gdybym zaczęła mówić o rozwodzie, to tylko bardziej by go rozwścieczyło. Wiedziałam, że któregoś dnia zrobi coś złego mnie albo Hannah. Może przez przypadek, gdyby na przykład wziął nas za intruzów. Ale to prędzej czy później musiało się stać. No i wszystko odbijało się na jej psychice. Widziałam, że jest z nią coraz gorzej. Nie mogłam do tego dopuścić. Kiedy tamtego wieczoru wyszedł, podjęłam decyzję: muszę poświęcić męża dla dobra dziecka.

No więc to jest odpowiedź na pytanie, które mi zadałeś w tamtym domku: właśnie dlatego mnie ściga. Co noc słyszę jego głos, kiedy policja go wyprowadzała. Popatrzył na mnie i zapytał: „Dlaczego mi to robisz? Dlaczego mi to robisz?”.

– Czyli nie zrobił ci krzywdy?

– Nie.

Shaw przypomniał sobie, że jedyną osobą, która mówiła, że Jon ją skrzywdził, była jej matka, Ruth. I miała na myśli właśnie tę napaść, która okazała się sfirowana.

– Nie mówiłaś o tym nikomu więcej?

Pokręciła głową.

– Łatwo przyznać się przed tobą do winy, Colter.

Często to słyszał.

– A Hannah? – spytał.

– Coś podejrzewa. To po prostu tkwi między nami i nie znika. – Westchnienie. – Już tysiąc razy myślałam, żeby się przyznać, ale wtedy poszłabym siedzieć za krzywoprzysięstwo, a Hannah wychowywałby groźny i agresywny alkoholik. Moja córka wiedziałaby. Co zrobiłam. Nie, musiałam trzymać się swojej decyzji. – Rozejrzała się po salonie. – Jeszcze jedno, Colter.

– Słucham.

– Gdyby coś tu się stało, zabierz stąd Hannah. Zostawcie mnie. Obiecuj. – Nieugięty ton świadczył o tym, że nic nie odwiedzie jej od tej decyzji.

– Dobrze. – W takich chwilach nie ma sensu się kłócić.

– Nad jeziorem Timberwolf została kia. W schowku znajdziesz kopertę. Czarną. Ognioodporną. Jeżeli mnie nie będzie, chcę, żebyś ją oddał mojej matce. Wewnątrz są instrukcje.

Testament?, pomyślał.

– Tam są plany i schematy moich kilkunastu wynalazków. Rozwiązania techniczne, układy sterowania, mechanika przemysłowa... Pracowałam nad tym w wolnym czasie. Według prawa należą do mnie. Nie do Harmon Energy. Nie wszystkie są skończone, ale zapisałam nazwiska specjalistów od prawa patentowego, a oni mogą znaleźć ludzi do pomocy. Zostawiłam notatki, wszystko w nich wytłumaczyłam. – Zerknęła w stronę Hannah, która bacznie patrzyła przez okno od frontu. – Ona o tym nie wie. Ukrywałam to przed nią. Nie chcę jej przestraszyć takimi scenariuszami na koniec. Dość już przeszła.

Shaw odniósł wrażenie, że dziewczyna dałaby sobie radę z takimi scenariuszami. Odpowiedział tylko:

– Zajmę się tym.

Uścisnęła jego dłoń, słabiej, niż się spodziewał. Trzeba jednak będzie szybko odstawić ją do szpitala.

Allison zamknęła oczy i z powrotem się położyła.

Shaw wrócił do pokoju od frontu i dokończył ostrzenie drugiego noża. Skutek jego wysiłków nie był zbyt imponujący, ale niezły. Ostrość jest funkcją jakości metalu, a ten nóż mógł raz czy dwa razy przeciąć papier, ale zaraz potem trzeba go było przywracać do poprzedniego stanu. Jak poradziłyby sobie z ciałem?

Chyba całkiem dobrze.

Nagle Hannah przechyliła głowę. Shaw też usłyszał chrzęst opon w zaroślach i na zwirze. Dał jej znak, by się cofnęła, i sam ostrożnie wyjrzał przez zasłonkę.

Po nierównym, zarośniętym podjeździe toczył się ciemny samochód, sedan. Wjechał na parking przed domkiem. Choć zapadał zmierzch, było jeszcze na tyle jasno, by dostrzec, kto siedzi za kierownicą.

Zastępczyni szeryfa Kristi Donahue.

– Przyjechał nasz wóz! – zawołał Shaw.

– Czad!

Policjantka wysiadła, poprawiła służbowy pas, rozejrzała się i ruszyła do drzwi chatki.

Shaw otworzył je szeroko.

– Kristi!

– Colter! Jesteś.

– Uważaj. Dwóch nieprzyjaciół na wzniesieniu terenu za tobą. Ta para z motelu.

Ostrożnie cofnęła się do samochodu i wykorzystując go jako osłonę, przebiegła wzrokiem las z ręką na kaburze z pistoletem.

– Jest z tobą pani Parker i jej córka?

– Są. Allison jest ranna. Dostała postrzał. Kula nie uszkodziła żadnych narządów wewnętrznych, ale będzie potrzebna operacja.

– Dwadzieścia minut drogi stąd jest szpital. Pomogę wam. – Donahue, wciąż pochylona, ruszyła do domku myśliwskiego.

Zdążyła pokonać tylko połowę drogi.

Z zarośli przy podjeździe wyskoczył Jon Merritt z plecakiem na ramieniu i bronią w rękę. Wymierzył rewolwer w policjantkę i zanim Shaw zdążył ją ostrzec, oddał dwa strzały i trafił ją w głowę.

Kobieta jak upuszczona szmaciana lalka padła na trawę, na której już czerwieniły się plamy jej krwi.

Hannah wrzasnęła.

– Han! – zawołała z salonu Allison Parker. – Co się stało?

Dziewczyna otworzyła usta i patrzyła przez okno okrągłymi ze zdumienia oczami.

Shaw zobaczył, jak Jon chowa do kieszeni pistolet zastrzelonej policjantki, prócz tego dwa zapasowe magazynki i telefon. Odciągnął dziewczynę od okien, zasunął zasłony, po czym zatrzasnął drzwi i zablokował klamkę krzesłem.

Hannah szlochała.

– Nie...

Kiedy Shaw znowu wyjrzał na zewnątrz, Merritta już nie było.

Odwrócił się do Parker.

– To był Jon. Zabił ją. Policjantkę.

– Chryste, nie...

Właśnie w tym momencie zauważył, że silnik samochodu wciąż pracuje.

Kristi Donahue nie wyłączyła go po przyjeździe. Merritt nie zwrócił na to uwagi. Zneutralizował zagrożenie i spiesząc się na spotkanie ze swoim cynglami, zapomniał o pojeździe.

Przebiegł wzrokiem las. Nie dostrzegł zagrożenia ze strony Merritta ani Bliźniaków. Na razie.

Ile czasu potrzebowali Shaw, Parker i Hannah, żeby dostać się do samochodu? Dwadzieścia sekund.

Wiedział, że przebycie krótkiego odcinka będzie bolesne dla Allison, ale nie mieli innego wyjścia. Zamierzał zanieść ją do samochodu, jeśli będzie trzeba, i wrzucić na tylne siedzenie. Liczył na to, że odjadą, zanim trzech nieprzyjaciół zdąży przybiec zaalarmowanych jej krzykiem i otworzyć ogień.

– Idziemy do samochodu! – zawołał do Hannah. Szklanym wzrokiem wpatrywała się w okno, niczego nie widząc. – Słyszysz mnie? Musisz się skupić – dodał stanowczym tonem.

Nagle jej oczy ożyły, jakby pstryknął włącznikiem. Głęboko odetchnęła, palcami otarła łzy i skinęła głową.

– Pomóż matce wstać.

Zniknęła w salonie. Colter znowu wyjrzał na zewnątrz. Nadal czysto.

Poszedł za dziewczyną i pomogli matce wyjść do pokoju od frontu.

– Och, nie... – szepnęła, zerkając przez szparę między zasłonami. Kałuża krwi wolno się powiększała.

Otoczył ją ramieniem i zaprowadził do drzwi wejściowych.

Hannah zerknęła na podłogę i zobaczyła *bolas* z cegieł. Podniosła broń i zważyła w dłoni.

Shaw uchylił drzwi.

W tej samej chwili w lesie zarysowała się czyjaś sylwetka i przedarła się przez zarośla.

Skulony Jon Merritt podbiegł do auta. Bezceremonialnie przestąpił ciało Kristi, sięgnął do środka i wyłączył silnik, a kluczyki schował do kieszeni. Już chciał odejść, gdy zauważył coś na tylnym siedzeniu. Otworzył drzwi, wyjął krótką czarną strzelbę pump-action na pasie oraz zielono-żółte pudełko amunicji.

Zawrócił do lasu, by spotkać się ze swoimi cynglami, którzy ostrożnie szli przez gęstwinę, szykując się do ostatecznego natarcia.

Hannah powoli wypuściła powietrze z płuc. Jej twarz była nieruchomą, obojętną maską.

Już nie płakała, za to teraz łzami zalała się jej matka.

– Nie, nie... – wykrztusiła Parker, krzywiąc twarz. Opierała się o framugę drzwi do salonu.

Przeciwnicy już się prawdopodobnie zorientowali, że tarcza z pudełka po proszku to podstęp – w przeciwnym razie ktoś z domku strzeliłby, gdy Merritt wrócił po kluczyki do samochodu i śrutówkę.

– Co teraz? – spytała opanowanym głosem Hannah.

Pozostała im tylko dwudziestoprocentowa możliwość.

Wskazał boczne okna.

– Trasy ucieczki. Zanim tu wejdą, ostrzelają dom. Będę ich obserwował, żeby znać ich pozycje. Przed samym atakiem nastąpi chwila ciszy. Będą się obawiać krzyżowego ognia, żeby nie trafić w siebie nawzajem. Powiem wam, przez które okno najlepiej wyjść. Od razu ukryjcie się w zaroślach i uciekajcie jak najszybciej. Trzymajcie się brzegu jeziora. Musicie je okrążyć i dostać się na drugą stronę. Stamtąd już całkiem niedaleko do drogi, która prowadzi do Millton. Zatrzymacie jakiś wóz.

Dziewczyna kiwnęła głową.

Na dwadzieścia procent ocenił możliwość wydostania się z domku. Po wejściu w roślinny gąszcz ich szanse radykalnie rosły. Las był dość zwarty, słońce już prawie zupełnie zaszło; zasłona ciemności gęstniała.

Trudne było jednak pokonanie granicy tych dwudziestu procent. Czy jedno z nich albo wszyscy nie zostaną trafieni, gdy trzej mężczyźni zasypią chatkę gradem kul? A jeżeli uda

im się uciec przez okna, to czy nie zostaną ustrzeleni na otwartym terenie, zanim zdążą zniknąć we względnie bezpiecznym lesie?

– Jezioro... – powiedziała Parker. – Może przepłyniemy?

– Za zimna woda, no i nie z tą raną w nodze.

Sprawdził otoczenie domu. Przed oknem od frontu ani z boku niczego nie zauważył.

Gdzie oni są?

Wąż, którego nie widzisz, jest gorszy...

Hannah przypatrywała się badawczo terenowi od wschodniej strony domu, potem zachodniej.

Zwrócił uwagę na skupienie w jej oczach, na postawę jej ciała.

Wrócił myślami do Posiadłości, gdy miał tyle lat, co ona.

Szesnaście. Uzbrojony w colta pythona szedł przez las podobny do tego, który ich teraz otaczał, podążając tropem dwóch osób – swojego ojca i człowieka, który go tropił.

Szesnaście lat. Zjazd na linie z trzydziestometrowego urwiska do miejsca, gdzie leżały zwłoki Ashtona.

Szesnaście lat. Postanowienie, że sam odnajdzie i zabije mordercę.

W głosie Hannah brzmiał gorączkowy ton.

– Panie Shaw, mówi pan, jakby pan nie chciał z nami uciekać. Nie ucieka pan?

– Nie od razu. Chcę zabrać im jakąś broń.

– Pomogę panu – zaproponowała rzeczowo i zdecydowanie. Wzięła jedno ze zrobionych przez niego *bolas*.

– Nie. Będziesz potrzebna matce.

Na moment zastygła.

– Dobrze – szepnęła w końcu.

Obrzucił spojrzeniem żaloszny zestaw broni, którą dysponowali: kuchenny nóż, wiosło, domowej roboty *bolas*, młotek.

MacGyver...

Właśnie miał jeszcze raz sprawdzić teren, ale w tym samym momencie napotkał spojrzenie dziewczyny. Przechylił głowę. Hannah kiwnęła swoją. Znowu coś jednocześnie usłyszeli.

Do drzwi domku zbliżały się czyjeś kroki.

Napastnik nadszedł z boku domu, gdy Hannah obserwowała przeciwległą stronę.

– Na ziemię. – W jedną dłoń chwycił nóż, w drugą młotek i podszedł do drzwi. Dziewczyna pomogła matce usiąść na podłodze i znowu wzięła skleconą z cegieł i poszewki argentyńską broń. Zakołysała nią groźnie tam i z powrotem.

Siatkarka...

Upłynęła chwila dudniacej w uszach ciszy. Napięcie w pokoju sięgało zenitu.

Nagle:

– Alli, Hannah. To ja.

– Jon? – wykrztusiła Parker.

Shaw zerknął przez okno. Owszem, stał przed drzwiami sam.

– Merritt, jestem uzbrojony.

Słumiony chichot.

– Uzbrojony? W kuchenny nóż i jakąś procę.

Na werandzie rozległ się głuchy łomot.

– To cała moja broń. Proszę bardzo. Podnoszę rękę.

Shaw wyrżał na zewnątrz. Merritt stał u stóp schodków, krzywiąc się z bólu. Ręce miał wyciągnięte w górę. Na werandzie leżały dwa rewolwery, glock policjantki i strzelba. Obok plecak.

– Podciągnę ubranie, żebyście mogli zobaczyć.

Shaw z niewiadomego powodu spodziewał się, że Merritt będzie miał niski i ochrypły głos, ale usłyszał łagodny tenor.

Lewą ręką Merritt uniósł połę kurtki i koszuli, po czym powoli wykonał obrót. Nie miał innej broni. Colter zwrócił uwagę na potężny siniak na brzuchu.

– Wolałbym tu dłużej nie stać. Widziałem tych dwóch sukinsynów w lesie i są całkiem niedaleko. Przepraszam, Han. Nie powinienem się tak wyrażać.

Przede wszystkim Shaw zabezpieczył broń.

Nie mówiła o tym żadna z zasad w kodeksie „nigdy”. Choć gdyby się tam znalazła, brzmiałaby zapewne: nigdy nie bądź głupi.

Wziął glocka, sprawdził, czy jest naładowany i czy w komorze tkwi nabój. Pistolet miał powędrować za jego pasek, z tyłu po prawej. W miejscu, gdzie sięgał machinalnym, wprawnym ruchem. Dwa magazynki schował w przedniej lewej kieszeni dżinsów.

Resztę, czyli dwa rewolwery i strzelbę, sprawdził i odłożył do kąta.

– Kluczyki do samochodu?

– W prawej kieszeni. – Głową wskazał na kurtkę. – Dwa zestawy, moje i jej.

– Rzuć. Całą kurtkę.

Zrobił to. Znowu się skrzywił.

– Ściana.

Merritt wiedział, co Shaw ma na myśli, więc posłusznie stanął na szeroko rozstawionych nogach, opierając się dłońmi o paskudną zieloną tapetę. Mimo że wcześniej podnosił koszulę, Shaw starannie zrewidował go lewą ręką, trzymając lufę glocka blisko jego szyi. Wyjął mu telefon.

– PIN? – spytał.

Merritt podał mu cztery cyfry,

– Ale nie działa, już od pół godziny.

Po odblokowaniu urządzenia Shaw zobaczył, że nie wyświetla się żaden komunikat BRAK ZASIĘGU. Ekran był po prostu ciemny, mimo włączonego zasilania.

– Radio. – Wskazał na auto Kristi.

– To nie jest radiowóz z biura szeryfa – poinformował go Merritt. – Jej prywatny samochód.

– Jedziemy – powiedział Shaw. Spojrzał na Merritta. – Najpierw trzeba cię związać.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie ujechalibyśmy dwudziestu metrów. Ci dwaj są na grzbiecie wzniesienia i czekają na was. Mają długą broń. Z lunetami. Mój buick stoi przy drodze jakieś osiemset metrów stąd. Myślę, że po zmroku odpalimy chryslera. – Głową wskazał samochód Donahue. – Warkot silnika odwróci ich uwagę. A potem pójdziemy na północ przez las do buicka. I dojedziemy do Milton.

Rzut oka na zewnątrz. Rzeczywiście, jeśli tamci byli na szczycie – a tak nakazywałyby logika – mogli nafaszerować samochód amunicją myśliwską. Plan Merritta był całkiem niezły.

– Kiedy zrobi się ciemno? – zapytała Parker.

Shaw zerknął na niebo, gdzie głęboki ciemny błękit rozmywał się w szarość.

– Za czterdzieści, pięćdziesiąt minut. Siadaj – dodał i Merritt posłusznie wykonał polecenie.

Spojrzał na swoją byłą żonę, która siedziała na podłodze.

– Jak noga, A.P.? – Zwrócił się do niej chyba jak za dawnych czasów.

Nie odpowiedziała. Wydawało się, że może tylko patrzeć na niego bez słowa.

W jej zastępstwie informacji udzielił mu Shaw.

– Rana nie krwawi. Zrobiłem, co się dało, ale powinna szybko trafić do szpitala.

– W plecaku są tabletki – odparł Merritt. – Przeciwbólowe. Zabrałem je chudemu ćpunowi jakieś trzy kilometry stąd. Powiedział mi, że cię trafił.

Słyszeli strzał. Czyżby doszło do jego starcia z Bee? I młodego człowieka nie ma już wśród żywych?

Colter rozpiął plecak i wyjął duży foliowy worek, choć była w nim tylko jedna torebka białych tabletek.

– Oksykodon – wyjaśnił Merritt. – Prawdziwy. Ukradziony z magazynu. Bezpieczny. Bez fentanylu i żadnych innych dodatków.

– Nie teraz – oznajmiła Parker. – Może gdy będzie potrzebny. – Być może myślała o uzależnieniu męża.

– Nie, A.P. Musisz być mobilna. I szybka. Weź tabletkę. Hannah? Jest tu woda?

Dziewczynie już opadła maska opanowania i niepewnie zerknęła na Shawa, który skinął głową. Weszła do kuchni, napełniła szklanekę i zniosła matce, która połknęła podany przez Shawa środek przeciwbólowy.

Spojrzał na większą torbę ze śladami metamfetaminy.

Merritt zauważył jego wzrok.

– Chłopak miał też paczkę z kryształem. Wyrzuciłem. – Wzruszył ramionami. – Kto raz był gliną... – Przyjrzał się Shawowi. – Widziałem cię na motorze przy domu Alli. Uznałem, że nie jesteś gliniarzem, ale po tym, jak mnie teraz obszukałeś, chyba zmienię zdanie. Nie robiłeś tego pierwszy raz. Służyłeś kiedyś?

Shaw nie odpowiedział. Ruchem głowy wskazał plecak.

– Jest tam jeszcze jakaś broń?

– Tak jakby. – Ich oczy się spotkały i Merritt wydawał się rozbawiony własną niejednoznaczną odpowiedzią. – Zawinięta w ręcznik.

Shaw przekopał plecak. Znalazł butelkę bourbona Bulleit, coś w rodzaju staroświeckiego metalowego zegara stołowego, jedzenie, papiery, ubranie, a na dnie coś ciężkiego, owiniętego w mały ręcznik frotté. Zajrzał do środka. Na chwilę zastygł w bezruchu.

Nie...

Trzymał zwęglony metalowy szkielet swojego colta pythona – okładzina rękojeści się spaliła. Ostatni raz widział tę broń w palenisku przed domkiem nad jeziorem Timberwolf.

– Pewnie twój – powiedział Merritt.

Shaw skinął głową.

– Zaczyna broń – ciągnął Merritt. – Pomyślałem, że nie chciałbyś jej stracić. Rusznikarz może ją odratować. Będzie jak nowa.

Shaw obrzucił go badawczym spojrzeniem i uświadomił sobie, że więzienie nie obeszło się z nim łagodnie. Był blady, miał zapadnięte oczy. Wizerunku dopełniały przerzedzone włosy. Niedawno musiał stracić sporo masy mięśniowej. Zaczął się garbić.

– Zastrzelełeś ją! – wykrztusiła z niedowierzaniem Hannah.

Odpowiedział jej Colter Shaw.

– Nie sądzę, żeby Kristi była osobą, za którą ją uważaliśmy.

– To prawda, była zastępczynią szeryfa w hrabstwie Marshall – dodał Merritt. – Ale pracowała z nimi, tymi dwoma, którzy spalili twój kamper.

– Przecież... to ty ich wynająłeś – szepnęła Parker.

Merritt był wyraźnie zdziwiony.

– Ja? Skąd ci to przyszło do głowy?

– To jakiś podstęp! – wyrzuciła z siebie Hannah i zwróciła na niego wściekły wzrok. – Zabiłeś adwokata mamy!

– Davida? Jest cały i zdrowy. Chociaż na pewno wkurzony. Teraz już pewnie wyszedł.

– Wyszedł? – powtórzyła Parker.

– Myślałem, że wie, gdzie się ukrywacie. Nie wiedział. Po naszej rozmowie byłem już o tym przekonany. Ale nie wiedziałem, czy mogę mu ufać, więc związałem go taśmą w piwnicy jednej ze starych fabryk przy Manufacturers Row. Zawiadomiłem pocztą policję i jego aplikantkę, gdzie go szukać. Tradycyjną pocztą, z kopertami i znaczkami. Nie chciałem, żeby za szybko stamtąd wyszedł.

Nie, Han, nie skrzywdziłem go. Przez ostatnie dwa dni nikomu nie zrobiłem krzywdy. W każdym razie żadnej poważnej. Strzeliłem do doniczki twojej koleżanki Dorelli.

– Co?

– Nie bój się. Chciałem tylko, żeby schowała się w domu ze swoją strzelbą. I ukradłem buicką jednej kobiecie. Pani Butler. Groziłem jej, trochę ją postraszyłem. Ale nie zrobiłem jej nic złego. Jeżeli chodzi o tego ćpuna, któremu zabrałem towar, to owszem, strzeliłem do niego, ale tylko w stopę. Nie mogłem pozwolić, żeby pobiegł do rodziny. Musiałem trafić na wasz trop. Kiedy stracił przytomność i padł na ziemię, pewnie skończyło się wstrząśnieniem mózgu. Przykro mi z tego powodu. Ale z drugiej strony chłopak niezbyt rozsądnie wybrał sobie zajęcie.

Parker wyraźnie usiłowała ogarnąć to wszystko rozumem. Próbowwała rozstrzygnąć, czy mu uwierzyć, czy nie.

Colter Shaw był skłonny uwierzyć. Na siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent.

- A pan Villaine? – zabrzmiał ostro lodowaty głos Hannah.
- Villaine? Co się z nim stało? – Merritt zmarszczył blade czoło. – Nie... Naprawdę? – Zgarbił się jeszcze bardziej.
- Nie żyje – rzuciła ze złością Parker.
- Jezu Chryste, nie... – Spojrzał w kierunku wzgórza przed domem. – Dowiedzieli się o nim przeze mnie. – Ze zgrozą ukrył twarz w dłoniach. – Ależ byłem głupi...
- Nie rozumiem – odezwała się Parker – ...zupełnie nic z tego nie rozumiem.

Ale Colter Shaw przeciwnie. Wreszcie. Popatrzył na byłego policjanta siedzącego spokojnie na prostym drewnianym krześle.

- On wcale nie próbował cię zabić. Próbował cię uratować.
- Takie są fakty. – Merritt posłał uśmiech swojej córce. – A co wyście cały czas robiły? Bawiłyście się w chowanego.

Moje zwolnienie z więzienia od początku mi się nie podobało.

Nagle Merritt przerwał i zerknął na córkę.

– Ufarbowałaś włosy. Ładnie.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko zmierzyła go spokojnym spojrzeniem i wróciła do swoich obowiązków, czyli do obserwacji.

– Pomyślałeś, że to pułapka – odgadł Shaw.

Merritt skinął głową

– Przecież to nie miało sensu. Za dobre sprawowanie? Za to nie wypuszczają, dopóki nie odsiedzi się kary zasądzonej w wyniku ugody. Chcieli zwolnić miejsce? Od kiedy hrabstwo nie ma w dupie warunków w pieprzonym pudle? Przepraszam – dorzucił, zwracając się do córki.

– Rozejrzyj się – poradziła dziewczyna. – I przestań się przejmować, jak się wyrażasz.

– Ktoś chciał, żebyś był na wolności – powiedział Shaw.

– Tak jest. – Przyjrzał się stojącej na stoliku szklance rdzawej wody. – Mogę?

Colter skinął głową. Mężczyzna wypił wszystko kilkoma łykami, otarł usta. Zamilkł i pochylił głowę. Shawowi przemknęło przez myśl, że zaraz dostanie mdłości, ale on opanował odruch wymiotny i głęboko, powoli odetchnął.

– Ale kto i po co? Jedna myśl przyszła mi do głowy. Wczoraj umówiłem się z szefem gangu. Niejakim Domem Ryanem. Kilka lat temu miałem z nim układ, kiedy prowadziłem sprawy przestępczości zorganizowanej. Pomógł mi zdjąć parę tych najgorszych band. Ja w zamian przymknąłem oczy na kilka jego interesów. No więc wczoraj zapłaciłem mu, żeby zadzwonił w parę miejsc i dowiedział się, czy ktoś zlecił na mnie usługi specjalne.

Parker skierowała na niego pytający wzrok, więc Shaw wyjaśnił:

– Chodzi o wyrok. Robotę dla zawodowca.

– Ryan dowiedział się, że rzeczywiście, ktoś wydał zlecenie – ciągnął Merritt. – I moje nazwisko miało z tym związek. Ale na pewno nie ja miałem być ofiarą.

– Nikogo nie da się łatwiej zabić niż skazańca za kratkami – powiedział Shaw. – Wystarczy dźgnąć na spacerniaku i załatwione. Czysto i dyskretnie.

– Właśnie. Zlecenie musiało być na ciebie. – Patrzył na Allison.

– Na mnie? – zdumiała się.

– Ten, kto doprowadził do mojego zwolnienia, zadbał, żebym zyskał motyw: miałem być na ciebie wściekły. Cyngiel zorganizowałby wszystko tak, żeby to wyglądało na rozszerzone samobójstwo. Zabiłbym ciebie, a potem siebie.

Oszołomiona tymi wiadomościami Parker spytała:

– Co to znaczy „wściekły”?

– To był drugi powód, który mi powiedział, że moje zwolnienie to lipa. List od ciebie do rady do spraw zwolnień warunkowych z prośbą, żeby mnie nie wypuszczali, bo jestem niebezpieczny.

– Jaki list? – zdziwiła się Parker. – Niczego takiego nie pisałam.

Znowu zerknął na Shawa, a potem na plecak. Shaw skinął głową i Merritt wyjął jakieś kartki.

– Listy w sprawie mojego zwolnienia. Rzuć okiem na ostatni. – Podał dokumenty Allison, która szybko je przejrzała.

– Falszyfikat – szepnęła.

– Wiem. Mowa w nim o tym, jak krzywdziłem Alli i Hannah – wyjaśnił Shawowi – i przez całe nasze małżeństwo używałem przemocy.

Parker wpatrywała się w list.

– Nie, nie, nie...

– Jasne, byłem bydlakiem, ale tylko przez parę ostatnich lat.

Shaw przypomniał sobie, jak Parker mówiła, że nic nie zakłócało ich małżeństwa aż do strzelaniny w Beacon Hill, po której stoczył się w uzależnienie od alkoholu i leków. I że nigdy fizycznie ich nie skrzywdził.

– No i ostatni akapit.

Zajrzała na koniec. Zmarszczyła brwi.

– Co to niby ma znaczyć?

– Autorka twierdzi, że zna moje tajemnice, których wolałbym nie ujawniać.

Parsknęła bezbarwnym śmiechem.

– Tajemnice? Twoje? To brzmi, jakbyś był zamieszany w skandale korupcyjne. – Spojrzała na Shawa. – Był najuczciwszym gliną w Ferrington. Zaczynał w obyczajówce, od patrolowania bulwaru. Alfonsi częściej trafiali do pudła za próby przekupienia go niż za sutenerstwo. A tamtego dnia, kiedy został postrzelony, chwilę wcześniej znalazł dwadzieścia tysięcy dolarów łapówki podkradzionych z funduszu na oczyszczanie rzeki. Były ukryte w skrzynce kontaktowej na budowie. Mógł je sobie przywłaszczyć. Ale gdy tylko wywieźli go z sali operacyjnej, zaraz zameldował o tych pieniądzach kapitanowi.

– Spójrzcie na sam dół listu – powiedział Merritt. – Na skreślone dane.

Shaw zobaczył dwie grube linie pod jej imieniem i nazwiskiem.

– Nie są zbyt starannie wykreślone.

Parker uniosła list pod światło.

– Można przeczytać adres naszego wynajętego domu. Ten, kto to zrobił, chciał, żebyś wiedział, gdzie mieszkamy.

– Miałem tam pojechać zaraz po wyjściu z więzienia. I nie miało znaczenia, czy chciałem cię ostrzec, popełnić samobójstwo czy po prostu cię odwiedzić. Chodziło o to, żebym zjawił się pod tym adresem. Cyngle już mieli czekać. I wykonać zadanie. – Wzruszył ramionami. – Wtedy jeszcze o tym wszystkim nie wiedziałem. Wiedziałem tylko tyle: jest zlecenie, ty masz być ofiarą, a ja nie mogę ufać policji ani nikomu innemu. Musiałem was znaleźć i wywieźć z miasta, dopóki nie ustalę, kto za tym stoi.

Nie znałem waszego nowego numeru telefonu, waszych adresów mejlowych, stron w social mediach. Nie umiałem was znaleźć w internecie. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteście. I kto miałby mi w tym pomóc? Marty Harmon, twoja matka? Przecież nie uwierzyliby w ani jedno moje słowo.

– Czyli ktoś okłamał Davida, kiedy mówił mu o więźniach, którym powiedziałaś, że chcesz mnie zabić.

– Co? – prychnął. Nawet się nie trudził, by stwierdzić oczywistość: to też był element podstępny. Argument za tym, że naprawdę planował morderstwo.

Merritt przyglądał przeczadzone blond włosy i mina mu zrzędła.

– A potem popełniłem błąd. Rany boskie, jak ja dałem ciała... Znowu zapłaciłem Ryanowi – tym razem za to, żeby pomógł mi was znaleźć. Nie ma sprawy, powiedział. I co sukinsyn zrobił?

– Zadzwoił do tych cyngli i kogoś, kto ich wynajął, i dogadał się z nimi – powiedział Shaw. – Dałeś Ryanowi wszystkie znalezione wskazówki, on od razu przekazał je tym kilerom. A kiedy oni znaleźli jakąś wskazówkę, Ryan przekazywał ją tobie.

– Zgadza się. Nie miał żadnych „kontaktów” w urzędach hrabstwa, jak się chwalił. To byli tylko ci dwaj. – Ze złością wskazał głową na wzniesienie przed domkiem, na którego szczycie czekali Garnitur i Beżowy. – Pomyślałem, że może ukryjesz się w schronisku dla kobiet. Ryan im o tym powiedział. Pojechali to sprawdzić. Dzięki Bogu, w żadnym cię nie było. Kto wie, co zrobiliby personelowi.

I to oni zobaczyli selfie Han i ustalili, gdzie jest motel. Powiedzieli Ryanowi, on przekazał mnie. Jechałem tam, kiedy stamtąd uciekłyście.

Skrzywił się z goryczą.

– Równie dobrze mogłem wysyłać wiadomości bezpośrednio do tych cyngli. – Pokręcił głową. – Znalazłem nazwisko Franka Villaine’a i pomyślałem, że to może być jakiś trop. Spytałem Ryana, czy może ustalić adres. Zrobił to, ale dał go też tym dwóm. Miał nadzieję, że właśnie tam dojdzie do mordu. Ale zdążyłyście się ulotnić.

Cholernie dobrze skoordynowany plan, pomyślał Shaw, zastanawiając się kolejny raz, kto za tym stoi.

Merritt zaśmiał się ponuro.

– I w końcu... w końcu zorientowałem się, że coś nie gra. Chcieli mnie ściągnąć do miejsca, gdzie was namierzali, nad jezioro Timberwolf, żeby tam zainscenizować rozszerzone samobójstwo. Ale skąd kontakty Ryana mogły wiedzieć, że tam jesteście?

Wyraźnie coś było nie tak. Pojechałem tam, ale się nie pokazywałem. Zobaczyłem, jak podpalają kamper. I zobaczyłem, jak uciekacie. A zaraz potem przyjechała ona. – Wskazał w stronę frontu domku, przed którym leżały zwłoki Donahue. – Facet w garniturze podał jej jakąś kopertę. Ruszyłem za wami pieszo. Potem dostałem wiadomość od Ryana, jakiegoś bzdury, że zauważyła was w tym domku miejscowa policja czy ktoś taki. Oczywiście prawda była taka, że znaleźli was ci cyngle i powiedzieli mi, gdzie jesteście. Przekradłem się dookoła i przeszedłem przez las od północy.

– I nie domyślasz się, od kogo wyszło to zlecenie? – spytał Shaw.

– Nie. Ryan mówił, że próbował ustalić, ale... to brednie. Okłamał mnie i wziął ode mnie pieniądze. – Merritt spojrzał na byłą żonę. – No więc? Dlaczego ktoś chciałby cię zabić? Nie przychodziło mi nic innego do głowy oprócz jakiegoś twojego projektu dla Harmon Energy.

Parker się zamyśliła.

– Hm, tylko ja potrafię skończyć w terminie projekt pojemnika na pręty paliwowe. Gdyby trzeba było znaleźć kogoś innego i wtajemniczyć w szczegóły, produkcja Miniñońca opóźniłaby się co najmniej o rok. To mógłby być koniec firmy.

Colter Shaw miał jednak inną teorię.

– Czyli spotkałeś się z Ryanem i zapytałeś o zlecenie usług specjalnych – zwrócił się do Merritta.

– Zgadza się.

– I dostałeś wiadomość, że jest zlecenie – i jest związane z twoim nazwiskiem.

Skinął głową.

– Przecież Allison nie jest Merritt. Zachowała swoje panieńskie nazwisko.

Przez chwilę panowała cisza. Nagle Parker wydała stłumiony okrzyk.

– Hannah? – szepnął Merritt.

Dziewczyna przymrużyła oczy.

Oceniał hipotezę najwyżej na sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć procent, ale wydawała się logiczna.

– Dlaczego? – zapytał Merritt.

– Nie wiem. Przynajmniej na razie. Może byłaś świadkiem jakiegoś wydarzenia... – Nagle coś mu przyszło na myśl. – A może coś sfotografowałaś. Na którymś ze swoich selfie. Pod domkiem rybackim spalili twój telefon i komputer. Po co zadawaliby sobie tyle trudu, gdyby nie chcieli zniszczyć twoich plików?

Ten wniosek zwiększał prawdopodobieństwo do siedemdziesięciu procent.

Dziewczyna uniosła rękę.

– Ale o którą fotkę chodziło? Zrobiłam ich tysiące.

Jon Merritt wskazał na swój plecak.

– Koperta? – Shaw mu ją podał.

– Znalazłem to w twoim pokoju. Pomyślałem, że może znajdę jakąś wskazówkę, dokąd mogłaś pojechać z matką.

Hannah, mimo że oczywiście śledziła tok rozmowy, cały czas przez okna wypatrywała niebezpieczeństwa. Napotkała spojrzenie Shawa, który lekko skinął głową. Jego zachęta wyraźnie sprawiła jej przyjemność.

Shaw pomógł Parker usiąść na kanapie. Razem z Merritem zajęli miejsca obok niej. Merritt zaczął powoli przeglądać plik zdjęć.

Hannah na wszystkich miała podobny wyraz twarzy – trochę cynizmu, powątpiewania, złośliwego rozbawienia, drwiny, ironii. Przybierała też taką samą pozę: przechylona głowa, wysunięte biodro. Czasem układała palce w tajemnicze znaki znane tylko nastolatkom. Stroje też niespecjalnie różniły się od siebie: wełniana czapka, dresowe spodnie i bluzy, dżinsy, wszystko w ciemnych kolorach. Rękawiczki bez palców.

Stała na tle wraków samochodów, budynków w trakcie rozbiórki, śniętych ryb w Kenoah, ponurych zimowych krajobrazów, zawalonych budynków, demonstracji na rzecz działań przeciwko zmianom klimatycznym, przeciwko United Defense, która wycofała się z planów budowy fabryki w Ferrington, na tle ulicznej manifestacji solidarności z czarnoskórym kierowcą, zaatakowanym paralizatorem przez wściekłych białych policjantów, na tle fabryk, grupy nastolatków szydzących z pary gejów, pikapa z czterema myśliwymi siedzącymi na platformie, z których jeden, mniej więcej pięćdziesięcioletni, lubieżnie wysuwał język w jej stronę, na tle leżącego przed tawerną pijanego.

Takich scen były dziesiątki.

– Stop – powiedział Shaw.

– O co chodzi? – zdziwiła się Parker. – Zobaczyłeś coś?

Kiedy wpatrywał się w jedno z selfie Hannah, uformowała mu się w głowie następna hipoteza – która, gdyby się sprawdziła, mogłaby wskazać powód wydania zlecenia zabójstwa.

Kiedy zna się powód, znacznie łatwiej odkryć tożsamość zleceniodawcy.

Shaw analizował wszystkie figury na szachownicy, wpatrując się w brudny sufit.

– Adres Franka Villaine’a dostałeś od Doma Ryana? – spytał Merritta.

– Zgadza się. Znalazłem służbowego mejla, który Frank wysłał do ciebie, A.P. Nie potrafiłem ustalić fizycznego adresu. Zrobił to Ryan.

– Pytanie, skąd ja znałem nazwisko Franka? – odparł Shaw.

Merritt i jego była żona spojrzeli po sobie.

– Chyba wspomniałeś, że od Marianne – przypomniała mu Parker.

– To prawda, ona mi je podała. Ale Marianne wypytywała tylko współpracowników o twoich dawnych znajomych. Opowiadałaś komuś w biurze o Franku, mówiłaś, gdzie

mieszka?

Pokręciła głową.

– Nie. Zanim trafiłam do Harmon Energy, nasze drogi z Frankiem się rozeszły.

Ta informacja potwierdzała hipotezę.

– Skąd w takim razie Marianne Keller знаła nazwisko i adres Franka? Dowiedziała się od Doma Ryana.

– Przecież Marianne pracuje...

– U człowieka, który wydał zlecenie zabójstwa – dokończył za nią Shaw. – U twojego szefa, Marty'ego Harmona.

Harmon to wszystko zorganizował – załatwił twoje zwolnienie, podrobił list od Alli – bo nie mógł pozwolić, żeby ktoś to zobaczył.

Rozłożył przed sobą kilka selfie. Wskazał palcem jedną z fotografii.

Zdjęcie na pierwszym planie przedstawiało Hannah w obszernej bluzie i wełnianej czapce. W tle było widać otwartą bramę wysokości około dziesięciu metrów, a za nią mroczne wnętrza magazynu. Pracowało w nim pięciu mężczyzn. Charakterystyczna dla tej fotografii była kolorystyka: choć obraz w dużej mierze był monochromatyczny, to od szarości ostro odcinały się odblaskowe kamizelki pracowników, których pomarańczowe plamy tworzyły wierzchołki pentagramu. Zdjęcie było niezwykle, świetnie skomponowane.

Dwóch robotników wyraźnie patrzyło w stronę dziewczyny. Na twarzy jednego z nich malował się niepokój.

W środku, w głębi budynku, stały setki palet z wodą w butelkach. I kilka cystern.

Parker pilnie przyglądała się fotografii, prostując się na kanapie, by wyraźniej widzieć.

– To Harmon Energy. Budynek numer trzy. Magazyn niedaleko rzeki.

– Zrobiłam tę fotkę, gdy byłam u mamy po lekcjach – poinformowała ich Hannah. – Nudziłam się, więc poszłam się przejść i pstryknęłam parę zdjęć.

– Co o tym myślisz, Colter? – zapytała Parker.

Znalazł inne selfie jej córki. Dwaj robotnicy w budynku numer trzy rozwijali długi i gruby gumowy wąż od jednej z cystern zaparkowanych w olbrzymim magazynie, którego koniec wsuwali do odpływu w posadzce.

– Ten kanał prowadzi do rzeki? – spytał Shaw.

– Prawdopodobnie tak. Ten budynek ma ponad sto lat. Większość odpływów prowadzi do rzeki. Myślałam, że są nieczynne. Powinny być zamknięte.

– Ale są otwarte. To toksyczne odpady. Harmon celowo zanieczyszcza Kenoah.

– Dlaczego, do cholery? – włączył się Merritt.

Shaw wskazał następne zdjęcia, selfie z tej samej serii, zrobione na terenie firmy.

– Mielicie kiedyś wyciek radioaktywny w zakładzie? – pytał dalej Shaw.

– Nie, nigdy.

– A w okolicy? Nie doszło do żadnego wypadku?

– Nie... – Zmarszczyła brwi. – Hm, parę kilometrów na wschód od nas był wypadek drogowy. Jakies sześć tygodni temu. Jedna z naszych ciężarówek wywożąca zużyte pręty paliwowe na składowisko odpadów nie wyrobiła się na zakręcie i...

– Wpadła do rzeki – domyślił się Shaw.

– Chyba do jej dopływu. Ale tak. Na to samo wychodzi.

– W górze rzeki od miasta?

– Zgadza się. Ale nie było wycieku substancji radioaktywnych.

– Skąd wiesz?

– Bo wyciek należałoby zgłosić. Są wymogi Komisji Nadzoru Jądrowego. No i przepisy stanowe.

– To nie znaczy, że wycieku nie było. Tyle tylko, że nikt żadnego nie zgłosił.

– Ale... – Urwała.

Merritt zaczynał rozumieć.

– Jak załatwiono sprawę tego wypadku? – zapytał były detektyw. – Wezwano policję?

– Nie, bo nie było potrzeby. Brał udział tylko jeden pojazd. Marty sam zajął się wszystkim. – Parker zmarszczyła czoło. – Chociaż jedno było dziwne. Niedługo po tym wypadku kierowca ciężarówki zwolnił się z pracy. I wyprowadził się na Zachód.

– Nic podobnego – mruknął Merritt. – Nigdzie się nie wyprowadził.

Hannah na moment oderwała się od swojego stanowiska obserwacyjnego.

– To znaczy, że pan Harmon kazał... go zabić?

Jej ojciec skinął głową.

– Niestety chyba tak, kochanie.

– Popatrzcie na to. – Shaw pokazał leżące przed nim zdjęcie. W tle za Hannah stały palety beczek z chemikaliami. Na pojemnikach w jednym zestawie namalowano litery KI, w drugim DTPA.

– Pierwszy skrót oznacza jodek potasu – stwierdził Shaw.

– Boże – jęknęła Parker. – To przecież...

– Antidotum na chorobę popromienną. Druga substancja, DTPA, to dwuetylenotrójaminopentaoctan, czyli kwas pentetynowy. Wiąże się z cząsteczkami materiału radioaktywnego w krwiobiegu, które są wydalane z organizmu z moczem.

Spojrzał na Parker.

– Kiedy ciężarówka wpadła do rzeki, doszło jednak do wycieku, który dostał się do sieci wodociągowej w Ferrington. Potem Harmon celowo zanieczyścił rzekę, żeby wszyscy narażeni na promieniowanie pili butelkowaną wodę od niego – z dodatkiem antidotum. Nie mógł sobie pozwolić nawet na podejrzenie wycieku radioaktywnego.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zdziwił się Merritt.

– Pan Shaw wie wszystko – pospieszyła z wyjaśnieniem Hannah. – Jego ojciec był surwiwalowcem.

Shaw, Russell i Dorion spędzili setkę godzin na nauce o toksynach i antidotach, w tym o środkach podawanych w przypadku zagrożenia radiacyjnego. Jego siostrze szczególnie spodobano się wszystko, co miało związek z radioaktywnością.

Merritt prychnął z pogardą.

– Wielki dobroczyńca miasta... co za brednie. – Po chwili w jego oczach błysnął niepokój. – Ale robił to wszystko tylko po to, żeby kryć własny tyłek?

– Energia jądrowa zawsze budzi kontrowersje – odparła Parker. – Nie wolno nam popełnić żadnego błędu. Wypadek, choćby drobny, w którym ktoś ucierpiał... mógłby doprowadzić do zamknięcia firmy.

– Jak pan myśli, panie Shaw? – odezwała się Hannah. – Kiedy zrobi się na tyle ciemno, że będziemy mogli uciec?

Staął obok niej i spojrzał w niebo.

– Za dwadzieścia minut.

Merritt, patrząc na Parker, powiedział:

– Shaw, Hannah, uważajcie na to, co się dzieje za oknami, dobrze? Chciałbym zamienić parę słów z żoną.

W salonie myśliwskiego domku, którego drzwi zostały zamknięte, Allison Parker powoli odchyliła się na oparcie kanapy, która od kilku godzin była jej szpitalnym łóżkiem.

Od połknięcia tabletki głowę wypełniał jej szum, przypominający stłumiony odgłos pracującego silnika, i prawie nie czuła bólu. Nie była wcale półprzytomna, jak się tego obawiała. Cholernie skuteczny środek. Rozumiała już, dlaczego Jon tak go polubił.

Patrzyła, jak jej były mąż przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko niej, w tym samym miejscu, które wcześniej zajmował Colter Shaw.

Jon Merritt... mężczyzna, który kiedyś był jej mężem, z którym kiedyś tyle ją łączyło.

Z którym spędzała czas w łóżku na radosnych i aktywnych zabawach.

Z którym stworzyli dziecko, piękne, mądre i wyjątkowe.

Z którym zażarcie walczyła, by ocalić siebie i właśnie tę córkę.

Westchnął.

W tym momencie Parker przechyliła głowę i głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Starła się nie reagować, ale chyba jej czoło przecięła drobna zmarszczka.

Jon się zaśmiał.

– Nic nie czujesz, prawda?

– No... – Zarumieniła się.

– W porządku. Nie, nie wypilem ani kropli od dnia, w którym usłyszałem wyrok. Nawiasem mówiąc, to nie był za dobry pomysł stawać po pijanemu przed sędzią.

Zerknęła na drzwi, pytając milcząco o butelkę bourbona, którą Colter Shaw wyjął z jego plecaka.

– Kupiłem ją wczoraj rano. Musiałem sprawdzić, czy dam sobie radę. W ogóle jej nie otworzyłem. Od wyjścia na wolność nie miałem w ustach nic mocniejszego niż pepsi. Czysta, bez popitki.

– Słyszałam o tym na mityngach Al-Anon – odparła. – Ludzie, którzy przestali pić, kupują czasem butelkę i trzymają ją pod ręką. Żeby się sprawdzić.

Skinął głową.

– Chodziłaś do Al-Anon. Hannah do Alateen. Robiłyście to dla mnie.

Parker wzruszyła ramionami.

– To nie trwało długo. U niej. U mnie zresztą też.

Westchnął.

– To nie twoja wina, A.P. Program działa tylko wtedy, jeżeli spotkamy się w pół drogi. A ja nawet nie zrobiłem kroku w tę stronę. – Niepewnie położył dłoń na zdrowym udzie, jak gdyby się spodziewał, że ją odtrąci.

Nie zrobiła tego.

– Mamy niewiele czasu – ciągnął. – A muszę powiedzieć kilka rzeczy.

– Jon.

– Muszę.

To było jego błagalne wcielenie. Z dawnych czasów. Śmiertelnie poważne i krążące wokół spraw najważniejszych.

Boże, ale to był człowiek, który chciał z nią rozmawiać. I słuchać. Rzadkość.

– Dobrze – odpowiedziała szeptem.

– Beacon Hill.

Tego się nie spodziewała. Przypuszczała, że poruszy temat jej zdrady pod rzeźbą konika morskiego.

– Zdarzenie w Beacon Hill. – Wypowiedział te słowa powoli. – Brzmi jak tytuł powieści sensacyjnej, co?

Allison trudno to było ocenić. Na jej szafce nocnej leżała książka *Nowatorskie zastosowanie półprzewodników w warunkach radioaktywnych*.

– Prawda jest jak drzazga, nie sądzisz? – mówił. – Tak powiedział mi lekarz w więzieniu. Doktor Evans. Dobry człowiek. Drzazga. Tak czy inaczej, musi w końcu wyleźć.

Nie miała pojęcia, do czego zmierza. Ale zachęcająco kiwnęła głową.

– Beacon Hill... Uzależniony od mety ojciec, rodzina, zakładnicy, barykada, broń. Zgłoszenie o strzelaninie. Danny i ja zakładamy kamizelki i wchodzimy, nie ma czasu, żeby czekać na antyterrorystów. Wpadamy do środka i Danny z miejsca dostaje. Napastnik miał kompletną osłonę kuloodporną.

Jon oddychał ciężko, jakby właśnie ukończył forsowny bieg.

– Sukinsyn strzelał i strzelał... Chryste, te kule śmigały wszędzie. Jediną osłoną w pokoju był regał. Zastawiony książkami, więc pociski nie mogły go przebić. Tyle że ktoś się tam już chował. Jego córka, która wróciła do domu z college'u.

– Jediną śmiertelną ofiarą. – Parker przeszył lodowaty dreszcz. Czyżby zmierzał do tego, czego się obawiała?

– Ojciec był coraz bliżej i strzelał bez opamiętania. Pewnie miał magazynek z dwudziestoma nabojami. Musiałem się ukryć. Jeden pocisk śmignął ze dwa centymetry od mojego ucha. Nie zagłuszył tego nawet huk strzału. Prędkość kul przekracza barierę dźwięku. Wycelował jeszcze raz i... – Głos uwiązł mu w gardle. – Wiedziałem, że mnie trafi. No więc złapałem córkę i wypchnąłem. Wszedłem za regał. Dziewczyna dostała.

Allison przypomniała sobie, że została trafiona wiele razy.

– Och, Jon...

Jego blada twarz przypominała maskę, Parker chyba nigdy wcześniej nie widziała u niego tak zbolalej miny. Nie wyglądał równie żałośnie nawet piętnastego listopada, kiedy wprowadzono go w kajdankach.

– Wreszcie zapadła cisza. Musiał przeładować. Wyskoczyłem zza regału i go zjadłem. Wiedziałem, że nie żyje. Wezwałem karetkę i próbowałem pomóc dziewczynie, ale...

Sześć strzałów, pomyślała Parker. Co mógł zrobić?

– Nie zginęła od razu, A.P. Patrzyła na mnie zdziwiona takim wzrokiem, jakby właśnie zadała mi ważne pytanie i czekała na odpowiedź. A potem też umarła.

W jego oczach błysnęły łzy. Położyła dłoń na jego ręce.

– Ale przecież twoja noga... Och...

Skinał głową. Otarł twarz.

– Włożyłem rękawiczki, skończyłem ładować broń sprawcy, a potem strzeliłem sobie z niej w kamizelkę, a jedną kulę wpakowałem w udo. Żeby wyglądało realistycznie. I położyłem się przed Dannym, jak gdybym dostał, osłaniając go.

– Jon...

– Zabiłem ją, A.P. Powiedziałem sobie, że zrobiłem to, bo przecież na widok swojej córki przerwałby ogień. Miałbym szansę wymierzyć i go zlikwidować. Akurat. Równie dobrze mogłem sam do niej strzelić. Powinienem trafić do pudła za morderstwo drugiego stopnia albo zabójstwo w afekcie. Ale nie, zostałem bohaterem z Beacon Hill. Uroczystość, artykuły, te spojrzenia, kiedy wszedłem na posterunek... Im więcej było uwielbienia, tym bardziej mnie raniło.

– Czyli to był ból, który próbowałeś złagodzić. Lekami, alkoholem.

– Noga to było głupstwo. – Zerknął na jej ranę. – Przekonasz się za parę tygodni. Nie. Chodziło o oczy tej dziewczyny, w których zobaczyłem jej pytanie. Widziałem je wszędzie. Kiedy leżałem w naszym łóżku, szedłem ulicą, miałem fizjoterapię, jechałem samochodem... wszędzie. Leki to tłumily. A potem alkohol. Ale ciągle wracało.

Co drugi raz, gdy wracałem do domu podcięty, byłem na jej grobie na Forest Lawn. Wcześniej kupowałem butelkę i kończyłem ją tam albo w drodze do domu.

Parker zmarszczyła brwi.

– Piętnasty listopada. Rocznica Beacon Hill.

Kiwnął głową.

Dotknęła włosów nad jego lewym uchem. To było miejsce, w które wtulała twarz, kiedy się kochali: wtedy odnajdywała spokój, a gdy nadchodził ten moment – jego dotyk działał na nią elektryzująco.

A więc nie dręczyła go psychoza. To było poczucie winy.

– Przecież tego nie zaplanowałeś – szepnęła.

– Ale podjąłem decyzję.

– Naprawdę? Pozwól, że inżynier wtrąci dwa słowa.

Spojrzał jej w oczy.

– To była akcja i reakcja. Łapiesz gorącą patelnię, odskakujesz i uderzasz w nos swoje dziecko. Za żadne skarby nie zrobiłbyś krzywdy tej dziewczynie. Ale stało się. Są rzeczy, które robisz odruchowo, żeby przeżyć.

Opuściła głowę i poczuła gorące łzy.

– Zrobiłam to samo – szepnęła. – Wysłałam cię za kratki.

– Żeby uratować siebie i Han. – Pokręcił głową. – Chyba nieźła z nas para, A.P.

– Hannah podejrzewa, że to zrobiłam.

– Czyli w jej oczach ojciec nie mógł popełnić żadnego grzechu?

Zmienił się wyraz jego twarzy i w rozmowie pojawił się następny temat.

– Zauważyłaś coś szczególnego w mojej cudownej cerze? Trudno o mnie powiedzieć, że jestem opalony.

Zaśmiała się.

– Jon, prawie rok spędziłeś w więzieniu.

– Wyglądałbym tak samo, nawet gdybym opalał się na Bahamach. – Pokazał nakłucia na ramieniu. – Chemia.

Patrzyła na ślady po igłach.

– Och, Jon, nie!

– Dowiedziałem się dwa miesiące temu. Wygląda na to, że chodzę z tym od jakiegoś czasu. Źle się czułem, ale lekarze w więzieniu hrabstwa to nie jest krajowa czołówka medyczna. Mieli niezłego psychiatrę, ale internista to był jeszcze dzieciak. Leczył skazańców w ramach praktyki. Wczoraj miałem cykl chemii w centrum medycznym Trevor. Potem poszedłem do motelu i rzygałem, jakbym wypił morze whiskey. Tyle że tym razem byłem trzeźwy, więc mogłem się w pełni rozkoszować tym wspaiałym doświadczeniem.

Chciała spytać o rokowania, choć nigdy nie znosiła tego słowa, które pasowało tylko do profesjonalnego języka medyków i jej zdaniem nie powinno się go używać wobec bliskich.

Nie musiała. Zrozumiał, że tak brzmi następne logiczne pytanie.

– Nie wygląda to za dobrze – powiedział. – Szczegółowo mi tego nie mówią. Ale niewiele czasu mi zostało. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – No, dość tego, A.P. – rzucił różnym tonem. – Mamy coś do zrobienia. Bierzmy się do roboty.

Odwrócił rękę, przycisnął do jej dłoni i pomógł jej wstać z kanapy.

Już dość ciemno – oznajmił Colter Shaw.

Wszyscy czworo byli w pokoju od frontu. Shaw i Hannah obserwowali teren przez okna. Nigdzie nie zauważył Bliźniaków. Dziewczyna potwierdziła, że ona też nie.

– Han – zwrócił się do córki Merritt. – Mam coś dla ciebie.

Absurdalność sytuacji była wręcz zabawna. Powiedział to takim tonem, jakby właśnie przyszedł na przyjęcie urodzinowe z prezentem dla jubilatki.

Wziął plecak.

– W więzieniu mieliśmy warsztaty metaloplastyczne. W ramach resocjalizacji. Czasem ktoś próbował robić kuszę albo nóż, ale z założenia mieliśmy robić wieszaki na ubrania i skrobaki do butów. Pamiętasz nasz projekt. Pracowaliśmy nad nim, kiedy nagle wyszedłem – w tamten wieczór w listopadzie.

– Do szkoły. To miał być jakiś projekt historyczny. Związany z Ferrington.

– Powiedziałem, że skończymy, jak wrócę. – Cmoknął z niesmakiem. – I wiemy, jak to się skończyło.

Skinęła głową z poważną miną.

– No więc oto on.

Wyjął zegar, który wcześniej zobaczył Shaw, przeszukując plecak.

Na jego widok Hannah głośno wstrzymała oddech.

– Wodny Zegar – szepnęła.

Colter wcześniej nie zwrócił na to uwagi, teraz jednak uświadomił sobie, że to wierna kopia czasomierza, który widział na budynku huty Carnegie przy brzegu Kenoah.

Jedyna różnica polegała na tym, że wskazówki nie zastygły w pozycji anielskich skrzydeł.

– Naprawdę działa. Stąd kapie woda. – Pokazał palcem zbiornik w górnej części. – I porusza przekładnię. Pewnie trudno byłoby według niego sterować ruchem pociągów albo układać rozkład lotów, ale pokazuje w miarę dokładny czas. Wypróbowałem.

Przytuliła ojca.

– Jest mega! Weź go ze sobą. – Podała mu zegar.

Merritt odsunął się od dziewczyny.

– Zatrzymaj go przy sobie.

Zmarszczyła czoło.

– Ale przecież...

– Wyjdziecie pierwsi we trójkę – powiedział. Wziął kluczyki do samochodu policjantki, a kluczyki do buicka podał Shawowi. – Wóz stoi przy drodze, osiemset metrów stąd. Schowałem go pod jałowcem i forsycją.

– Nie, tatusiu, chodź z nami!

– Musimy to zrobić z głową – odparł Merritt. – Przechytrzyć ich. Przejdziecie przez las. Odpalę wóz, pojeżdżę trochę tam i z powrotem, jakby ugrzązł. Wy pojedziecie do Millton i przyślecie na pomoc kawalerię.

– Jon, nie! – krzyknęła Parker.

– Wszystko będzie dobrze. Kiedy wczoraj wychodziłem na wolność, strażnik powiedział mi, że szczęściarz ze mnie. Sformułował to odrobinę inaczej, ale mówił o szczęściu. I miał rację. Jestem największym szczęściarzem na świecie. – Popatrzył na córkę. – Han, chodź na chwileczkę.

Cofnął się do kąta, a Hannah podeszła do niego. Pochylił się z ustami blisko jej ucha. Coś szepnął. Twarz dziewczyny zastygła. Potem odsunął się i przyglądał jej z niepewną miną. Po chwili przytuliła go i też wyszeptała mu do ucha słowa, których ani Shaw, ani Parker nie usłyszeli.

Merritt podszedł do Shawa i rozdzielili między siebie broń. Colter wziął glocka, były policjant strzelbę, a dwa rewolwery i zapasową amunicję schował do plecaka, który zarzucił na ramię.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

Merritt podszedł do byłej żony, objął ją i pocałował w policzek.

– Tatusiu, proszę... – próbowała jeszcze Hannah.

– Nic się nie martw, Han. – Zaśmiał się. – Jest ich tylko dwóch. Przeciwno mnie? Nie mają szans.

Leżąc na polanie na wzgórzu wznoszącym się nad domkiem myśliwskim, Moll zastanawiał się, kiedy pojawią się posiłki. Jeszcze trzech facetów i trzy sztuki broni.

Lufa długiego winchestera, którego kochał jak kogoś bliskiego, poruszała się tam i z powrotem, gdy przez lunetę obserwował werandę i teren przed domem. Księżyc był niski i przycięty o połowę, ale rzucał odrobinę światła. Na tyle, żeby dało się przy nim strzelać.

Zerknął w dół. Telefon pokazywał godzinę, ale nadal nie było zasięgu. To się zaraz powinno zmienić. Marty Harmon powiedział mu, że nie można na dłużej odłączać zasilania miejscowej stacji przekaźnikowej.

Położył karabin na worku z piaskiem, którego używał jako podpórki do strzelania, i spryskał benadrylem ręce i szyję.

Znowu przyjrzał się chatce. Samochód Kristi, jej zwłoki...

Za jego plecami trzasnęła gałązka. Obrócił się z bronią gotową do strzału.

To ludzie, których przysłał Harmon, żeby pomogli dokończyć zadanie.

Zaparkowali obok forda transita w pobliskiej przecince, skąd przyprowadził ich Desmond. Obok jego współnika szedł krępy rudzielec w okolicach pięćdziesiątki, a za nimi dwaj mężczyźni przed trzydziestką. Wszyscy w ciemnych strojach, kurtkach i wąskich spodniach, ze sprzętem taktycznym w ilości ograniczonej do minimum. Młodszy nieśli długie szare plastikowe futerały.

Moll znał Dominica Ryana od lat. Kilka razy pracowali dla niego z Desmondem, kiedy zlecał im wyprodukowanie i usunięcie paru ciał. Zatrudniał ich też do usuwania zwłok, które wyprodukowali jego ludzie.

Ta robota była dziwna: Harmon zatrudnił Molla i Desmonda, żeby załatwili dziewczynę – a razem z nią jej matkę i samego Merritta – aby wyglądało to na rozszerzone samobójstwo. Nagle, ni stąd, ni zowąd, Merritt zapłacił Rynowi, żeby się dowiedział, czy jest na niego jakieś zlecenie. Ryan natychmiast skorzystał z okazji i zadzwonił do Molla, który połączył Ryana i Harmona. Robota zmieniła się w joint venture, z konieczności, ponieważ małżonka z córeczką zwiały. Zadanie na cztery godziny zmieniło się w bajzel.

Moll wstał i przyjrzał się młodemu współpracownikom. Para chudzielców miała szyderyczy wyraz twarzy, nawet gdy szyderyczo się nie uśmiechała, i cyngiel przypuszczał,

że największą przyjemność sprawia im bicie ludzi za opóźnienia w spłacie lichwiarskiego procentu albo haraczu za ochronę.

Znowu pomyślał o irlandzkich buntownikach w dawnym życiu.

Ach tak, przypomniał sobie tytuł tej piosenki. *The Rising of the Moon*.

Moll i Harmon uznali, że skoro wersja z rozszerzonym samobójstwem nie może się udać, to napiszą nowy scenariusz: zabójstwo rodziny będzie wyglądać jak zemsta za jedną z dawnych spraw prowadzonych przez Merritta. Może ze strony jamajskiego gangu, może któregoś ze skorumpowanych urzędników hrabstwa, którego pozbawił intratnego stanowiska. Ryan miał wykorzystać siatkę swoich informatorów do kontrolowanego przecieku. Może któryś z młodych Irlandczyków miał trawkę, którą tu podrzuca. Ślady będą wskazywać na Jamajczyków. Shaw też zginie.

Prosznie...

Ryan nie przedstawił chudzielców, którzy z nim przyjechali. Odesłał ich na bok, a sam podszedł do Molla, kucnął w jego gnieździe snajperskim i spojrzął na domek w dole.

– Tam są?

– Zgadza się.

– Kto?

– Merritt, jego była, dziewczyna. I Motorowiec.

– Pomysły? – spytał Ryan.

– Merritt ma gdzieś samochód – odezwał się Desmond – ale chyba kawałek stąd i nie sądzę, żeby poszli tam pieszo. Jedno z nich jest ranne. Widzieliśmy świeżą krew.

– Kto?

– Chyba kobieta – odparł Moll. – No więc spróbują uciec wozem Kristi.

– Gdzie ona jest?

– Nie widzisz? – zirytował się nagle Moll.

Rozglądając się przymrużonymi oczami, Ryan dostrzegł jej zwłoki i wydał gniewny pomruk.

– Cholera. Była dobra. Parę razy prowadziła wóz podczas roboty dla mnie i gubiła raporty w biurze szeryfa. Do dupy się stało.

To prawda. Tym bardziej, że parę razy spędzała noc u Molla. To było po Chloe i jeszcze przed Jean. Bardziej niż seks interesowały ją przerobione iluzjonistycznie meble, ale to samo właściwie można było powiedzieć o Mollu. Obiecywał, że zrobi dla niej jakiś mebel, ale nigdy się do tego nie zabrał.

Młodzi wyciągnęli z szarych futerałów bushmastery M4 – krótkie czarne karabinki szturmowe. Przeprowadzili cały rytuał ładowania. Moll nigdy nie rozumiał, skąd ta nazwa, którą często uważano za stygmatyzującą. Karabinek „szturmowy”. Broń nie różniła się od innych karabinów samopowtarzalnych – jeden nacisk palca, jeden strzał. Jelenia nie obchodzi, czy padnie od pocisku wystrzelonego z groźnie wyglądającej wojskowej broni,

czy z eleganckiego karabinu myśliwskiego z kolbą z orzechowego drewna i grawerowaną, oksydowaną lufą i komorą zamkową.

Chociaż jeśli o niego chodziło, to nie chciałby mieć nic innego prócz winchestera, którego właśnie trzymał.

Jeden z chłopaków z szyderczą miną, chudszy z nich, powiedział:

– Nieźle strzelam. Mam rozwalić oponę?

Moll zirytowanym tonem odrzekł:

– Nie sądzisz, że lepiej będzie zaczekać, aż wszyscy wsiądą do samochodu? A może wolisz siłą wyciągać ich z domku?

Dzieciak nie odpowiedział, nie wyglądał też na urażonego. Moll pomyślał, że niektórym przydaje się umiejętność godzenia się z własną tępotą.

Drugi szyderca zapytał:

– Co zrobiła ta mała, że Harmon chce ją zlikwidować?

– Nie wiemy. – Kiedy Marty Harmon zamówił u niego i Desmonda usługę specjalną, nie zdradził im powodu zlecenia. Mollowi to nie przeszkadzało.

– Myśla, że jest nas tylko dwóch – powiedział do trójki nowo przybyłych. – Nie spodziewają się piątki ani tego. – Głową wskazał karabinki M4. – Nie włączą świateł w samochodzie i od razu popędzą na podjazd. Wyjdą z założenia, że zanim uciekną, zdążymy oddać najwyżej dwa czy trzy strzały.

– Ale kiedy znajdą się w tym miejscu... – Desmond wskazał na trawiasty fragment parkingu na jego samym końcu; był widoczny jak na dłoni ze szczytu wzniesienia, na którym zajęli stanowiska – ...otworzymy ogień.

– Niezła strefa rażenia – stwierdził z aprobatą pierwszy, skrytykowany przez Molla szyderca, jak gdyby poświęcał sporo czasu takim analizom.

Desmond zaprowadził dwóch młodszych w dół zbocza i wyznaczył im pozycje z dobrym widokiem na tamtą odsłoniętą część parkingu.

Ryan znowu przymrużył oczy.

– Nie widzę wnętrza domu.

– Będziemy wiedzieć – odparł Moll. – Jak tylko usłyszymy silnik.

I właśnie w tym momencie rozległ się warkot.

Kiedy Jon Merritt uruchomił samochód policjantki, Colter Shaw wyszedł przez boczne okno domku i skoczył w zarośla pod parapetem. Skontrolował teren, kierując trzymanego oburącz glocka w prawo, w lewo i z powrotem.

– Czysto – szepnął, schował pistolet, po czym wyprowadził z chatki i pomógł zejść na ziemię Allison Parker. Nawet się nie skrzywiła. Prochy, które Jon skonfiskował ćpunowi nad rzeką, działały naprawdę skutecznie.

Za matką przez okno wyszła Hannah, która nie potrzebowała żadnej pomocy. Wzięła ze sobą ceglane *bolas*, choć Shaw na dziewięćdziesiąt pięć procent był pewien, że nie będzie miała okazji użyć tej broni. Niosła też wodny zegar. Wcześniej z miejsca odrzuciła radę, by zostawić go w domku.

Wszyscy troje ruszyli na północ przez zarośla i las – przede wszystkim sosny i choiny – pokrywające teren między jeziorem a drogą biegnącą równolegle do brzegu. Za zarośniętym podjazdem, który mieli po prawej, stromo wznosiło się zbocze wzgórz, na których czyhali Bliźniacy z długą bronią.

Ledwie pokonali piętnaście metrów, dobiegł ich ryk silnika. Dołączył do tego wizg obracających się w miejscu kół. A potem metaliczny zgrzyt, gdy Merritt najechał samochodem na jakiś głaz, jak gdyby go nie zauważył. Silnik znowu się rozjazgotał, w górę trysnęły grudki ziemi. Pomysł, żeby unieruchomić wóz na kamieniu, a potem narobić hałasu, by ruszyć go z miejsca, był naprawdę pierwszorzędny.

Hannah odwróciła się i zwolniła, spoglądając za siebie. W półmroku trudno było dojrzeć wyraz jej twarzy. Była zaniepokojona? Dumna? Zmartwiona?

Colter dotknął jej ramienia i skinął głową. Skupiła uwagę na drodze. I na matce, której musiała pomagać, bo jeśli nawet w tym momencie Parker nie dokuczał ból, to w opiodowym otumanieniu mogła się o coś potknąć.

Dziewięćdziesiąt, sto metrów od domku po prawej stronie drogi wyrastała gęsta ściana zieleni. Shaw wiedział, że nikt ze wzgórz nie będzie mógł ich tam dojrzeć, i poprowadził je na drogę, gdzie mogli przyspieszyć kroku.

Coś trzasnęło. Po chwili jeszcze raz.

Jak żołnierz na szpicy Colter podniósł rękę i przystanęli. Wprawdzie żaden snajper ze wzniesienia nie byłby w stanie ich tu namierzyć, ale nie mogli wykluczyć, że któryś z Bliźniaków domyśli się ich manewru i zejdzie sprawdzić.

Rozejrzał się, przewiercając wzrokiem ciemność. Znowu chwycił oburącz pistolet i omiół nim teren. Żadnego widocznego zagrożenia. Słyszał wiatr, szelest jesiennych liści, stukot gałęzi.

Znowu trzask.

Po chwili obok nich przeczłapał intruz – bóbr, którego ślady zaprowadziły ich do domku myśliwskiego, a może partnerka albo rodzeństwo tego bobra.

Zwierzę obrzuciło ludzi zirytowanym spojrzeniem i podreptało dalej.

Colter pochwycił wzrok Hannah i wymienili uśmiechy, po czym ruszyli dalej zarośniętą drogą, która dawała nadzieję bezpieczeństwa.

Mężczyźni na wzgórzu spojrzeli w dół na samochód, którego koła buksowały, a silnik wył, próbując wyrwać wóz z pułapki.

Moll podniósł się ze snajperskiego gniazda i stanął obok Ryana. Razem weszli między drzewa tuż nad samochodem.

– Co jest, do cholery? – mruknął Ryan. – Nie zaplanowali sobie tego? Nie wiedzieli, gdzie są kamienie? Nie mamy do kogo strzelać.

Moll skinął głową. Miał ochotę wyjąć spray i zaaplikować sobie na ręce i szyję, ale Ryan uznałby to za oznakę słabości. Później.

Odgłosy samochodu się zmieniły: do przodu, wsteczny, do przodu, wsteczny. Po chwili Moll usłyszał metaliczny szczęk przypominający zapadkę lewarka. Trudno uwolnić samochód w ten sposób – pod ciężarem dużego auta narzędzie utonęłoby w ziemi i glinie, które pokrywały cały plac przeznaczony do parkowania. Mogło jednak udać się unieść przód na tyle, by samochód stoczył się z kamienia.

No. Zróbcie to wreszcie.

Z dołu dobiegł głos, właściwie głośny szept:

– Nic z tego.

– To Merritt – stwierdził Ryan. – Trzeba to w końcu załatwić – dodał po chwili. – Damy im jeszcze parę minut, potem wchodzimy.

– Nie chcę tego robić – szepnął Moll, jak gdyby tknęło go złe przecucie.

– Mamy inne wyjście, jak nie uda im się ruszyć z miejsca tego cholernego wozu?

Moll głęboko nabrał powietrza do płuc, wciągając aromat kory, ziemi i płatków kwiatów, które za dnia mieniły się żywymi kolorami, a teraz straciły barwę. Niebawem wszystkie zapachy miała przytłoczyć chemiczna woń spalonego bezdymnego prochu.

Niby tylko parę dni, ale jakich...

– Widzicie coś? – zawołał jeden z ludzi Ryana.

– Cicho! – syknął głośnym szepem Moll. Nie sygnalizujesz swojej pozycji jeleniowi; to czemu to robisz, gdy polujesz na uzbrojonych ludzi?

Ryan zerknął w jego stronę i uniósł brwi, przepaszając w ten sposób za nieostrożność swojego pracownika. Moll zastanawiał się, czy któryś z chłopaków nie jest przypadkiem jego krewnym.

Silnik samochodu Kristi wciąż pracował, ale nie było już słycać odgłosów lewarka.

Czyżby zrezygnowali z...

Zza ich pleców dobiegł ledwie słyszalny trzask. Moll popatrzył na grymas zdziwienia na twarzy Ryana. Spojrzeli sobie w oczy i odwrócili się.

Zapadł już prawie całkowity mrok, ale nie sposób było nie zobaczyć Jona Merritta mierzącego do nich ze strzelby. Były policjant lekko przechylał głowę, a jego mina zdradzała chyba zaskoczenie. No jasne, nie spodziewał się tu innych uzbrojonych ludzi, a zwłaszcza samego Doma Ryana.

A więc samochód był zmyłką.

Może z drugiej flanki zaszedł ich Motorowiec i celował do chłopaka stojącego najdalej.

Niech to szlag...

Klincz.

Zaraz padnie żądanie, by rzucili broń. Zaczną się negocjacje, by znaleźć jakiś sposób bezpiecznego ewakuowania osób ukrytych w domku myśliwskim.

Jon Merritt wybrał jednak inne rozwiązanie. Spokojnym głosem, choć nie szeptem, zwrócił się do Ryana:

– Właśnie o tobie myślałem, Dom. Nie ma większego grzechu niż zdrada.

Po czym posłał nabój ze strzelby prosto w jego szyję.

Przeładowując broń, obrócił lufę w kierunku zbryzganej krwią twarzy Molla.

Jego plan okazałby się dobry, gdyby przeciwnikami, tak jak mówił córce, byli tylko dwaj cyngle.

Jon Merritt prawdopodobnie powinien był się domyślić, że sprowadzą więcej ludzi. Nigdy by jednak nie zgadł, że wśród nich znajdzie się ten łajdak Dominic Ryan.

Kiedy zastrzelił bossa gangu, ze zbrocza wzgórze natychmiast odpowiedział mu ogień i Merritt musiał błyskawicznie zrobić unik, tracąc szansę zlikwidowania faceta w czarnym garniturze, który rzucił się w zarośla obok zwłok Ryana, i choć Merritt strzelił, to ładunek śrutu chybił celu.

Jon pośliznął się, przewrócił, przebiegł krótki odcinek, potem znowu pośliznął się na stoku, a gdy wreszcie dotarł na płaski teren, z powrotem dopadł samochodu.

Przykucnął za drzwiami po stronie kierowcy i ocenił sytuację. Miał osiemnaście naboju do strzelby. W bębunku rewolweru ćpuna tkwiło sześć pocisków. W drugim – kupionym od człowieka Ryana – było pięć w magazynku plus piętnaście sztuk amunicji luzem, które sprzedawca „wielkodusznie” dorzucił gratis.

A jeżeli czekała go walka w lesie i w ciemnościach? Najlepsza do tego celu była oczywiście broń gładkolufowa.

Zachichotał, bo pomyślał, że mówi jak weteran, który zęby zjadł na wojaczce. A w ciągu całej pracy w policji, nawet w najbardziej niebezpiecznych częściach Ferrington, wystrzelił ze służbowej broni tylko dwa razy.

Nie licząc Beacon Hill.

Na wzgórzu przeciwnik się przegrupuje, zastanowi, w jaki sposób najlepiej go zaatakować – a właściwie ich, ponieważ najwyraźniej nikt z nich się nie zorientował, że Allison, Hannah i Shaw opuścili dom.

Mogliby go bez trudu oskrzydlić przy samochodzie, którego silnik wciąż pracował. Dlatego otworzył drzwi, co automatycznie włączyło oświetlenie kabiny, a potem ręką parę razy wcisnął pedał gazu.

Gdy skierował ich uwagę na auto, pobiegł z powrotem do domku ze strzelbą w jednej ręce i plecakiem w drugiej. Rewolwery zatknął za pasek jak pirat z prawdziwego zdarzenia. Wśliznął się do środka przez drzwi wejściowe. Od tego manewru znowu przeszył go ból promieniujący od miejsc posiniaczonych po ataku gumową amunicją. Bolało go coś jeszcze: blizna po pocisku, który sam wpakował sobie w nogę. Od czasu do

czasu czuł nieprzyjemne klucie w stwardniałym fragmencie ciała. Jak gdyby w ten sposób Bóg przypominał mu o tamtym grzechu.

Zamknął drzwi i zablokował klamkę krzesłem.

Wnętrze chatki było prawie całkiem ciemne, ale pamiętał, gdzie są wszystkie okna i tylne wyjście.

Wyjrzał na zewnątrz. Wydawało mu się, że dostrzega jakieś sylwetki przemykające ostrożnie przez las w kierunku samochodu.

Na razie szkoda na nie loftek kaliber dwanaście.

Merritt sięgnął do plecaka i wyjął butelkę bourbona. Przyjrzał się jej. Potem ze śmiechem zerwał foliowy kołnierzyk, odkorkował ją i pociągnął łyk, od którego zaraz się rozkaszał, jak za pierwszym razem, gdy zwędził ojcu odrobinę whiskey, licząc na to, że pieczenie w ustach pozwoli mu zapomnieć o piekących poślądkach.

Wypił następny łyk.

Drugi okazał się łagodniejszy dla gardła.

Chwycił strzelbę i popatrzył przez okno od frontu z prawej strony, sprawdzając, czy nie zbliża się nieprzyjaciel.

Gdzie oni są?

Przez okno wpadł podmuch wiatru, przynosząc aromat jakiegoś zioła. Pomagając córce w biologii, nauczył się tego i owego o ogrodnictwie. Zamierzali zabrać się do nowego projektu. Zegar wodny był zadaniem z historii. Następny miał być na biologię: uprawa hydroponiczna.

Jeszcze łyczek.

A potem jeszcze jeden.

– Naprawdę, miałeś dziewiętnaście lat? – Nagle doktor Evans zerka na zegar, który nie jest Wodnym Zegarem, jego wskazówki nigdy się nie zatrzymują. Potem spogląda na Merritta. – Hm, Jon, widzę, że nasz czas się skończył. Zatrzymajmy się na tym wspomnieniu. Warto będzie przyjrzeć mu się bliżej.

Merritt w jednej chwili przestaje nad sobą panować, nerwy rwą się jak nitki. Zrywa się z miejsca, łapie krzesło i miota nim o ścianę. Potem rzuca się naprzód, zdecydowanie naruszając granicę sfery osobistej doktora Evansa, nachyla się nad nim i wrzeszczy:

– Pierdol się, pierdol się, pierdol się!!!

Jon Merritt zdaje sobie sprawę, że zaraz się przekona, co się dzieje po wciśnięciu przycisku alarmowego.

Doktor Evans od Tuńczyka nie wzywa jednak pomocy.

Wręcz się uśmiecha.

– Ale dzisiaj nie będziemy przejmować się zegarem. Kontynuujmy. Zgadzasz się?

Jon ciężko oddycha i wpatruje się w niego bez słowa.

Lekarz podchodzi do przewróconego krzesła, podnosi je z podłogi i stawia na miejscu. Zaprasza pacjenta gestem, by usiadł.

Ten spełnia prośbę.

– Pewien słynny psychiatra sformułował teorię, która mi się podoba. Powiedział, że każdy ma w sobie jakąś zasadniczą sprzeczność. Miał na myśli stały, fundamentalny problem. To przede wszystkim z niego bierze się nasze nieszczęście. Rozmawiamy już od miesięcy. Jesteś inteligentny, uczciwy, odpowiedzialny... Ale jak wszyscy nosisz w sobie zasadniczą sprzeczność. Twoim jest uzależnienie.

– Alkohol, hm, jasne...

– Nie, nie mam na myśli alkoholu.

Jon skupia na nim całą uwagę.

– Byłeś funkcjonariuszem policji. Prowadziłeś sprawy narkotykowe?

– Tak, czasami.

– Wobec tego słyszałeś o prekursorach.

– To substancje chemiczne używane w początkowych fazach produkcji narkotyków.

– Ty też masz swój prekursor. Alkohol. Nie jesteś od niego uzależniony. Jesteś uzależniony od tego, co alkohol produkuje.

– Czyli?

– Od gniewu.

Jon parska swoim ponurym śmiechem.

– Jestem uzależniony od gniewu? Co to znaczy?

– Jesteśmy uzależnieni od zachowań, które znieczulają nas na niepokój, depresję, lęk. Dla ciebie to wybuchy złości. Ale powstrzymujesz je, złość narasta, narasta... Zaczynasz pić. I nagle tamy puszczają.

Skoro już to wiemy, musimy się zastanowić, skąd bierze się gniew. Znalezienie odpowiedzi trochę potrwa. Ma z tym coś wspólnego twój ojciec. Bił cię pasem? Gdy miałeś dziewiętnaście lat? Bo wzięłeś nadgodziny? Jego reakcja, jego zachowanie było niewybaczalne. Byłeś wściekły... A jednak nic nie powiedziałeś.

– Nie.

– Bo się bałeś, że od ciebie odejdzie.

Jon milczy.

– Przypuszczam, że to prawda. I warto się nad tym zastanowić. Ale to tylko część twojej sprzeczności. Bardzo dużo nad tym myślę.

A więc taka była odpowiedź na nurtujące go pytanie: doktor rzeczywiście dręczy się stanem swoich więźniów pacjentów, a nie marzy o leczeniu przybitych gospodyń domowych.

– Przeglądałem twoje akta służbowe. Przez cały okres służby ani razu nie miałeś problemów dyscyplinarnych. Nie wpłynęła żadna skarga od obywateli. Ani jedna.

Pewna mieszkanka Homewood 8248 w Beacon Hill mogłaby mieć coś do powiedzenia na ten temat, ale nie mogła już wypełnić żadnego formularza.

– W pracy byłeś świadkiem okropnych rzeczy i nie mogłeś zareagować. Przemoc, mord, drapieżcy seksualni, okrucieństwo... prawda?

Wzruszenie ramionami.

– Opowiedz mi o niektórych.

– O swoich sprawach?

Kiwa głową.

Od czego zacząć?

– Na Monroe Street mieszkał ojciec, który zgwałcił swoją córkę. Założyłem kajdanki mężowi z Prescott, który miał jeszcze na palcach krew żony. Biznesmen wsiadł za kierownicę z dwoma promilami i potrącił starszą kobietę z taką siłą, że przeleciała dwadzieścia metrów i wylądowała na środku Ferris Street. Lekarz stwierdził, że zanim padła na jezdnię, już nie żyła. Matka na szpitalnym oddziale ratunkowym z dzieckiem poparzonym papierosem przysięgała, że córeczka sama to sobie zrobiła. – Głos zaczyna mu drżeć i Bóg mu świadkiem, rzeczywiście czuje, jak wzbiera w nim gniew. – A ci gnoje – podejrzani – stają przed sądem i mówią: „Bardzo przepraszam, to nie moja wina, nic nie rozumiecie”.

Głęboko nabiera powietrza, by opanować wściekłość.

– Mówią, że do tego można się przyzwycząić. Nie. Nigdy, ja w każdym razie nie potrafię. Cały czas się we mnie gotowało, od samego zdarzenia przez aresztowanie po rozprawę.

– I zajmowałaś się wszystkim jak trzeba. Profesjonalnie. Ale to oznacza, że wszystko tłumieś. I ta wściekłość w tobie siedzi. Tylko czeka, aż się napijesz, żeby wydostać się na zewnątrz.

Jon pierwszy raz w tym gabinecie wybucha śmiechem, który nie jest sarkastyczny ani sztuczny.

– Pan to zaplanował. Ten numer pod tytułem „czas minął”.

Doktor Evans się uśmiecha.

– Musiałem to zobaczyć. Przekonać się na własne oczy, jak wygląda twój gniew. Parę razy mi się nie udało – gdy w kulminacyjnym punkcie mówiłem, że nasz czas się skończył. I kiedy patrzyłem przez okno, jakbym bujał w obłokach. W końcu jednak wybuchnąłeś. Miałem okazję dobrze się przyjrzeć przebiegowi ataku złości. A jego źródło kryje coś więcej. Dużo więcej.

Jon pochyla się, ciężko oddycha. Jest zmęczony i obolały. Ostatnio nie czuje się najlepiej. Incydent z krzesłem, tak niewielki wysiłek, naprawdę go wyczerpał. Może jest chory? Później zgłosił się do oddziału szpitalnego.

– Zaobserwowałem coś jeszcze – ciągnie doktor. – Twój problem z alkoholem nie towarzyszy ci przez całe życie. To całkiem niedawna sprawa. W ciągu kilku ostatnich lat coś się stało, że problem się pogłębił. Znacznie pogłębił.

Aha, celownik szuka Prawdy jak snajper na polu bitwy.

– Być może – przyznaje Jon.

Wszystko zaczyna do siebie pasować, myśli. Prawda – zabójstwo córki ćpuna. Potem coraz częstsze picie. Potem erupcja złości.

I fala gniewu, która zalała mu życie, zabrała żonę, córkę i pracę.

Lekarz przygląda mu się z niezmaczoną cierpliwością.

Jon Merritt nie jest jednak gotowy wyjawić sekret, że jest mordercą i odsprzedał życie tamtej dziewczyny w Beacon Hill za własne.

Jeszcze nie.

Doktor najwyraźniej rozumie, że to rozmowa na inny dzień. Może z nim, może z kimś innym. Na razie wydaje się usatysfakcjonowany tym, do czego dziś doszli.

Mierzy pacjenta badawczym spojrzeniem.

– Przypuszczam, że nie lubisz nawet smaku alkoholu.

– Nigdy mi nie smakował.

Do tabletu trafiają kolejne notatki.

– Czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, Jon?

– Jeżeli dziabnę kielicha, to wkurwię się jak jasna cholera.

Lekarz się uśmiecha.

– Mój podręcznik psychiatrii nie ująłby tego lepiej.

Niemniej w myśliwskim domku w leśnej głuszy, który niebawem miał się stać tarczą w śmiertelnej strzelnicy, to był doskonały moment, by dziabnąć kielicha.

Dlatego znowu to zrobił.

Nie, nie smakowało mu, ale nadchodził nieprzyjaciel.

I nie był mu potrzebny rozsądek, tylko wściekłość.

Spojrzał w mrok i zauważył, że bujny krzak przy samochodzie policjantki, przed chwilą był nieruchomy, zaczął się poruszać.

Merritt wycelował w niego strzelbę i powoli nacisnął spust.

Ależ strzelają! – powiedziała Allison Parker.

– Mamo, cii... – syknęła Hannah, a Shaw położył palec na ustach.

Dał im znak, aby szły dalej drogą. Zdawało mu się, że prócz charakterystycznego odgłosu strzelby naliczył jeszcze cztery inne sztuki broni. Widocznie Marty Harmon sprowadził dodatkowe siły. Shaw nie brał tego pod uwagę ze względu na przerwę w działaniu sieci komórkowych, ale może Beżowy czy Garnitur pojechał w zasięg innej stacji przekaźnikowej i wezwał pomoc.

Gdzie był teraz Jon Merritt i jak sobie radził przeciwko takiej sile ognia?

Jak gdyby w odpowiedzi na to pytanie nastąpiła przerwa.

Potem padły jeszcze dwa strzały z pistoletu.

I zapadła cisza.

Po następnych stu metrach dotarli do buicka. Colter Shaw szybko sprawdził wnętrze samochodu i otaczające zarośla. Wrócił po Parker i Hannah, żeby osłaniać je w drodze do auta. Obie wsiadły z tyłu. Przed uruchomieniem silnika Shaw przekręcił kluczyk w stacyjce do pozycji akcesoriów, a kiedy zapaliły się kontrolki na desce rozdzielczej, szybko zgasił wszystkie światła.

– Pasy – rzucił. Czekala ich zapewne ciężka jazda po nierównym terenie, częściowo po wertepach.

Wszyscy wpięli zaczepy w uchwyty.

– Han – Shaw nieświadomie użył zdrobnienia. – Obserwuj wzniesienie po prawej. Prawdopodobnie tam są.

Przycisnęła twarz do szyby.

– Gdybyś kogoś zauważyła, zaraz mi powiedz i odsuń się w lewo. I razem z mamą pochylcie głowy.

– Okej.

– Jak tylko włączę zapłon, ruszamy z kopyta. Jesteście gotowe?

Dziewczyna kiwnęła głową. Parker też. Skrzywiła się. Środek przeciwbólowy przestawał działać. Nie chciała wziąć drugiej tabletki. I chyba dobrze się stało. Shaw chciał, żeby Parker też była czujna.

Wcisnął przycisk rozrusznika, po czym natychmiast wrzucił bieg i ruszył wyboistą drogą. Jechali dość szybko, ale wolniej, niż poruszałiby się za dnia; po lewej mieli strome

spadki terenu, a niżej płynął strumień albo mała rzeka zasilająca jezioro za domkiem myśliwskim.

Przynajmniej nie było problemu z ustaleniem kierunku; domek znajdował się na końcu długiej gruntowej drogi, którą chcieli dotrzeć prosto do szosy. Stamtąd do Millton mieli już tylko dziesięć minut.

Znowu nasłuchiwał ognia.

Ciągle cisza.

Na początku padł strzał ze strzelby; Shaw przypuszczał – miał taką nadzieję – że Merritt wziął napastników z zaskoczenia i jednego z nich zlikwidował. Któregoś z Bliźniaków? Shaw nigdy nie spotkał bardziej odrażającego duetu. Kim byli tamci? Być może to ludzie Doma Ryana.

– Na razie nikogo – zameldowała Hannah. – Już nie strzelają – dodała cicho.

– Wycofał się – stwierdził Shaw.

– Albo ich wszystkich pozabijał – powiedziała. Pod koniec zdania głos zamarł jej w gardle.

Albo...

Pokonali następne kilkaset metrów.

Wjechali pod osłonę drzew. Zrobiło się ciemniej. Shaw musiał zwolnić.

– Tatuś mówił coś do mnie w domku – powiedziała do matki Hannah. – Zanim wyszliśmy.

– Widziałam.

– O przebaczeniu.

Czy to miało coś wspólnego z panicznym lękiem kobiety, że Hannah się dowie, co zrobiła jej ojcu?

– Chciał, żebym mu wybaczyła.

– Co?

– To, że tamtego wieczoru w listopadzie uderzył cię pistoletem. Powiedział, że wcale go nie usprawiedliwia to, że był pijany.

– I wybaczyłaś? – spytała cicho Parker.

Po chwili wahania Hannah odparła:

– Nie wiem, co to właściwie znaczy, kiedy mówisz, że komuś wybaczasz. To chyba trochę bardziej skomplikowane.

– Racja – przyznała Parker.

– No więc powiedziałam, że mu wybaczam. – Shawowi wydawało się, że dziewczyna westchnęła. – Wiesz – dodała – myślałam wcześniej, że mogłaś to sobie sama zrobić. Żeby go aresztowali. Przepraszam cię, że tak myślałam.

Parker przez chwilę milczała.

– To już przeszłość – stwierdziła.

Nasze życie w dziewięćdziesięciu procentach składa się z prawdy, a w dziesięciu z kłamstwa. Nie każdy fałsz musi być złem. Czasem szczerść potrafi wykoleić pociąg zmierzający do ważnych miejsc. W każdym razie to nie była sprawa Coltera Shawa. Jego zadanie polegało na tym, by ocalić ich ciała, nie serce i dusze.

Podał Hannah telefon.

– Jest sygnał?

– Nie. Ciągłe nic.

Na wszelki wypadek postanowił użyć nawigacji w samochodzie i znaleźć okrężną trasę do Millton, by dotrzeć na miejsce wyłącznie bocznymi drogami i peryferiami.

Prawdopodobieństwo pościgu?

Gdyby trwała wymiana ognia, oceniliby je na dziesięć procent.

Cisza zwiększała je do sześćdziesięciu. Nie, Jon Merritt nie pozabijał ich wszystkich. Ale napastnicy mogli przypuszczać, że on, Allison i Hanna uciekli pieszo do lasu i tam będą ich szukać.

Musieli tylko...

Nagle po prawej błysnęło coś białego.

– Niech pan... – zaczęła Hannah, a Parker wrzasnęła.

Z zarośli wypadł ford transit i z impetem trzasnął w bok buicka.

Siła uderzenia zepchnęła samochód ze skarpy. Przetoczył się dwa i pół razy, miażdżąc rachityczne młode sosenki, i zatrzymał się kołami do góry na środku stromego zbocza.

Shaw poczuł słodkawą woń benzyny.

– Uciekać! – krzyknął, opuszczając wszystkie szyby i otwierając zamki drzwi. Wybuchły wszystkie poduszki powietrzne. Wyglądało na to, że Parker i jej córka nie odniosły poważnych obrażeń, ale były oszołomione. – Benzyna! Wysiadać!

Odpiął pas i spadł na sufit. Odwrócił się, by rozpiąć pas Allison, która nie umiała sobie poradzić. Runęła bezwładnie, tłumiąc krzyk bólu. Hannah odpięła swój pas i spadając, obróciła się w locie, więc wylądowała na czworakach jak kot. Wyczołgali się z buicka.

Hannah sięgnęła po wodny zegar.

– Nie, Han – powstrzymał ją stanowczo Shaw.

Spojrzała na niego i skinęła głową.

– Nie prostujcie się. Idźcie tędy. – Pokazał w dół zbocza i w bok. Oprócz pożaru samochodowi groził dalszy upadek w dół skarpy, ponieważ chybotął się pod kątem dwudziestu stopni na miękkiej ziemi. Niewiele było trzeba, by znowu zaczął koziołkować.

Shaw wstał i strzelił w przednią szybę fordą transita. Nie widział celu w środku; chciał tylko dać do zrozumienia, że jest uzbrojony, by zyskać trochę czasu i odległości i spróbować zająć dogodną pozycję do obrony. Usłyszał krzyki: jakieś wskazówki, gdzie może być cel. Wyglądało na to, że byli tylko Bliźniacy. Czyżby Merritt unieszkodliwił pozostałych? Shaw miał wrażenie, że tak.

Hannah pomagała matce.

Kiedy schodzili ze wzniesienia, Colter spojrzał w górę i dostrzegł ścigające ich dwie sylwetki. Zgadza się, to byli Bliźniacy. Wyciągnęli już broń i strzelali w stronę rozbitego samochodu. Manewr taktyczny z fordem nie okazał się najszcześniejszym pomysłem. Oni też zostali uderzeni poduszkami powietrznymi, więc byli jeszcze zbyt oszołomieni, by celnie strzelać.

Mimo to zabłąkany pocisk mógł być nie mniej śmiertelny niż posłany do celu z największą precyzją.

Kiedy znaleźli się piętnaście metrów poniżej buicka, Shaw zauważył, że Parker zwalnia.

Uniósł wzrok i zobaczył Beżowego, który stanął, by strzelić. Z powrotem padł na ziemię, gdy tylko Shaw odpowiedział ogniem.

Chybił.

W glocku zostało trzynaście naboí, w kieszeni miał dwa magazynki, w ka¿dym po piętnaście.

Nigdy nie trać rachuby amunicji, jaka ci została...

Shaw dostrzegł przed nimi przepust głąbokości niecałego metra.

– Tam. – Pokazał im, ¿eby się w nim schroniły. Rzucił się do środka, a potem wyjrzał znad krawędzi jak ¿ołnierz z okopu, trzymając w pogotowiu broń. Spojrzał do tyłu. Nie było tam drogi ucieczki. Na schodzącym w stronę rzeki zboczu wzgórze niewiele miejsc nadawało się do ukrycia, poza tym wzeszedł księżyc, którego zimny blask pozwalał bez trudu zobaczyć strzelcowi cel.

Wyjrzał znad krawędzi ich okopu, sprawdzając teren po lewej.

– Panie Shaw! – szepnęła Hannah. Zignorowała jego polecenie, ¿eby się nie prostować. – Po prawej!

To był Garnitur.

Shaw wycelował i już miał nacisnąć spust, ale mężczyzna zniknął.

Pewnie chcą ich oskrzydlić. I szybko załatwić sprawę. Do drogi nie było daleko, a w taki ładny wieczór, gdy w samochodach otwierano okna, kierowcy i pasażerowie mogliby się zastanawiać, co to za strzały. Przecież o tej porze nikt nie polował.

– Co mamy robić, panie Shaw?

Rozejrzał się po najbliższej okolicy.

– Przykryjcie się liśćmi, zgarnijcie ich jak najwięcej.

Zawahała się. Dziewczyna chciała mieć broń, więc nie wydawała się zadowolona na myśl, ¿e musi się chować.

Zaraz jednak zabrała się do pracy, obsypując liśćmi matkę, a potem sama dała nura pod szeleszczącą okrywę.

– Podejdę tam. – Pokazał fragment zbocza położony wyżej. – Muszę zająć pozycję.

Uśmiechnęła się.

– Właśnie tak mówią ludzie tacy jak pan. „Zajmują pozycję”, ¿eby „związać przeciwnika walką”.

Skinął głową, wyszedł z kryjóweki i bokiem ruszył na czworakach w lewo.

Gdzie jesteście? Gdzie?

Lekki wiatr poruszał suchymi liśćmi i gałęzmi, maskując szelest jego kroków, ale jednocześnie utrudniał, a może nawet uniemożliwiał mu usłyszenie Bliźniaków.

Podniósł się i stanął przed pasem gęstych, wysokich traw. Niewiele widział: dach forda, przewróconego buicka.

Spoglądał w lewo i w prawo, szukając śladów ruchu, którego nie spowodował wiatr.

W lewo, w prawo...

Tyle ¿e wcale nie zamierzali wykonać manewru oskrzydającego.

Mo¿e założyli, ¿e będzie skupiał uwagę na bokach, i zdecydowali się na frontalny atak.

Jeden z nich z wyższej pozycji na wzgórzu otworzył ogień w stronę Shawa, żeby osłaniać partnera, który nisko pochylony jak szarżujący futbolista, pędził przez wysoką trawę prosto na niego.

Stojąc na ugiętych nogach, wycelował tam, gdzie był napastnik, sądząc po odgłosie i poruszonej zieleni.

Spokojnie odetchnął z bronią w wyciągniętych przed siebie rękach.

A jeżeli ktoś atakuje?

Wtedy jeszcze wolniej.

Dwanaście metrów, dziesięć, osiem...

Teraz.

Strzelił. Glock szarpnął do tyłu.

Tamten ciągle nacierał.

Shaw oddał jeszcze dwa strzały, odrobinę w lewo i w prawo od miejsca, gdzie wcześniej celował.

Te pociski też nic mu nie dały.

Niemożliwe. Przecież trafił. Kamizelka?

Napastnik był już pięć metrów od niego. Lada moment wyskoczy z trawy. Shaw wycelował w miejsce, w którym miał się pojawić.

Zanim się zorientował, że to nie jest żaden z nieprzyjaciół, lecz zapasowe koło z forda transita, które potoczyli w jego stronę, rozpędzony pocisk uderzył go w klatkę piersiową, zwałił z nóg i cisnął w dół zbocza.

Bliźniacy rzucili się do ataku w ślad za kołem zapasowym.

Colter w chwili upadku wypuścił z dłoni glocka. Podniósł się na kolana i łapiąc oddech, szukał broni. Garnitur strzelił w jego stronę i nacierał dalej. Shaw ukrył się w gęstwinie.

Beżowy skręcił w lewo, szukając Parker i Hannah. Był niedaleko przepustu, w którym leżały, ale w ciemnościach i pod zasłoną liści nie udało mu się ich zauważyć.

Shaw z ukrycia przeszukiwał wzrokiem teren i dojrzał glocka pięć metrów dalej, dokładnie na drodze zbliżającego się ostrożnie Garnitura.

Może nie zauważy...

Jednak nie, zwalisty mężczyzna przystanął, po czym zrobił szybki krok naprzód i porwał z ziemi pistolet.

– Prosznie... – szepnął. Wypowiadał to zagadkowe słowo już wcześniej przy domku, zanim podpalili kamper.

Garnitur wyprostował się i rozejrzał.

– Wyłaż, Motorowcu! Mam twojego gnata. No, pokaż się!

Shaw zauważył, że ma jeszcze jedną broń. Zawieszoną na plecach. Może karabin szturmowy.

Po chwili Garnitur zawołał:

– Przyjacielu, zostawiłeś panie same i może je znaleźć mój przyjaciel. Wstydz się. Jeżeli chodzi o te sprawy, to nie jest normalny facet. Wyłaż, załatwmy to szybko. Przypilnuję, żeby mój kumpel zachował się porządnie.

Chyba zakładał, że Shaw zszedł niżej w stronę rzeki. Właśnie tam spoglądał, starając się dostrzec coś w gąszczu i ciemności.

– Wyłaż po raz pierwszy, po raz drugi...

– Mam je! – wrzasnął Beżowy. Wskazywał na przepust. – Wstawać! – Strzelił. Parker krzyknęła, ale z przestachu. Nie została trafiona. Hannah też nie. – No, pobudka, kwiatuszki. Wstajemy.

Wygramoliły się z kryjówki. Na ubraniach wciąż miały liście.

Garnitur nadal wypatrywał Shawa.

– Gdzie on jest? – zapytał Beżowy.

– Gdzieś niżej. Może stracił przytomność. Takie koło ma swoją moc.

Beżowy rozglądał się po zboczu.

– Nie widzę go. – Odwrócił się do Parker, ale zatrzymał wzrok na jej córce. – Słuchaj! – zawołał do współnika. – Byłem cierpliwy. Gdy mieliśmy to zrobić przedtem, miałeś rację. Ale teraz sytuacja się zmieniła.

– Myślisz, że tu mamy czas? Naprawdę?!

– Pewnie, że nie. Ale mamy zwłokowóz. Weźmy ją ze sobą.

Garnitur westchnął i skrzywił się jak ktoś, kto w końcu ma dość wiecznych kłótni.

– No dobra. Zaprowadź ją do forda. Szybko. Zwiąż ją, a potem znajdziemy Motorowca.

– Nie! – krzyknęła Hannah.

Ale to nie była reakcja na plany Beżowego wobec niej. Patrzyła na to, co Garnitur zdjął z pleców.

Strzelbę, którą ostatni raz widzieli w rękach jej ojca w domku.

Poznali więc odpowiedź na dręczące ich troje pytanie.

Hannah rzuciła się na Beżowego.

– Ej, jak to się stawia. – Uchylił się i złapał ją wpół na wysokości piersi. – Mówiłem ci, że to zadziorna sztuka.

Parker wygramoliła się na nogi i krzyknęła – z bólu i z wściekłości, gdy bandyta złapał jej córkę. Beżowy zerknął na nią, zauważył ranę i kopnął ją w uszkodzoną nogę. Parker wrzasnęła, upadła do tyłu i z płaczem złapała się za udo.

Beżowy pocałował Hannah w czubek głowy i zaśmiał się, gdy dziewczyna go opluła.

– Chodź, zapakujemy cię do wozu.

Wciąż ukryty Shaw bezszelestnie przesunął się trzy metry w prawo, żeby podnieść z ziemi to, czego szukał – kamień wielkości pomarańczy. Wziął zamach i jak najdalej rzucił go nad głowę potężnego faceta ze strzelbą. Kiedy kamień wylądował, Garnitur odwrócił się w stronę, z której dobiegł dźwięk, i strzelił. Huk, zgodnie z planem Shawa, ogłuszył go, więc nie usłyszał tupotu szybkich kroków po suchych liściach. Niczego nie zobaczył, więc zaczął się z powrotem odwracać, ale było już za późno. Colter z impetem w niego uderzył.

Celował nisko, by trafić barkiem w nerkę. Wiedział, że ból spowodowany takim ciosem potrafi niemal sparaliżować. Chwycił przeciwnika za nogi na wysokości mankietów spodni i błyskawicznie się poderwał – wykonując ten sam manewr, który wcześniej opisał w rozmowie z Hannah. Garnitur padł na twarz. Shaw wcisnął mu kolano w drugą nerkę. Mężczyzna wrzasnął i wypuścił z rąk strzelbę. Colter natychmiast zgarnął ją z ziemi, po czym podniósł swojego glocka i pistolet przeciwnika, który schował do kieszeni.

Beżowy wymierzył do niego, ale nie strzelił. Shaw klęczał obok jego współnika.

On miał jednak podobny problem. Dopóki Beżowy trzymał Hannah, nie było możliwości oddania czystego strzału. Dziewczyna była jego żywą tarczą.

– Jesteśmy blisko drogi! – zawołał do niego Shaw. – Ludzie słyszeli strzelaninę. W tym hrabstwie Marty Harmon nie ma żadnych wpływów. Połóż się na ziemi, ręce i nogi szeroko.

Beżowy nie odpowiedział i nadal kierował broń w stronę Shawa.

Garnitur poruszył się, ale nie stanowił żadnego zagrożenia; w jego ciele pulsował ból, który nie pozwolił mu się podnieść przez dziesięć minut.

– Na ziemię – powtórzył Colter.

– Posłuchaj. Pomogę mojemu kumplowi wstać i każdy z nas pójdzie w swoją stronę. Stwierdzimy, że mieliśmy parę gorszych dni, i tyle. Co ty na to?

Próbował tylko zyskać na czasie, żeby oddać celny strzał. Miałyby o wiele łatwiejsze zadanie niż jego przeciwnik, ponieważ sam był niemal zupełnie zasłonięty przez Hannah. Colter był wytrawnym strzelcem, ale w ciemności nie zamierzał ryzykować strzału.

Kiedy Beżowy wymierzy z pistoletu do Hannah i Parker i każe mu rzucić broń? Dziwne, że jeszcze tego nie zrobił.

Ale oczywiście Ashton Shaw miał na to receptę.

Nigdy nie składaj broni. Nie ma żadnych wyjątków...

– Chyba wiesz, że są dowody wskazujące na ciebie i twojego kolegę. Nie będziecie się mieli gdzie ukryć. To koniec.

Nie odpowiedział.

Cisza.

Przerwał ją głos Hannah. Dziewczyna obróciła się do Beżowego i ze złowróżbnym spokojem powiedziała:

– Hej, popatrz pan na mnie.

Potem rozległ się piskliwy wrzask.

Padł z ust Beżowego. Puścił dziewczynę, rzucił broń i zaczął wściekle trzeć oczy.

– Jezu, o Jezu...

Shaw spojrzał na rękę Hannah. Co to było? Zorientował się, że trzyma zabrany z domku myśliwskiego słoiczek pieprzu cayenne.

Napastnik głośno lamentował. Padł na kolana i wycierał sobie oczy rękawami i połą beżowej kurtki.

Hannah powoli odsunęła się od niego, spojrzała na ziemię i podniosła pistolet. Wycelowała w niego.

– Hannah! – krzyknął Shaw. – Nie!

Od tej pory każda śmierć byłaby zabójstwem.

Dziewczyna nawet nie drgnęła. Trzymała pistolet nieruchomo, tak samo jak podczas ćwiczeń z coltem pythonem.

– Oni go zabili – szepnęła.

Parker z trudem podniosła się z ziemi.

– Wiem, Han. Ale nie rób tego. Oddaj mi broń.

To był glock. Wystarczyło wycelować i nacisnąć spust. Potrafiłby to zrobić pięciolatek.

W dodatku spust był dość czuły, a ona trzymała na nim palec. Shaw dziwił się, że jeszcze nie padł strzał.

– Oni go zabili – powtórzyła.

Parker przykuśtykała bliżej.

– Han, proszę cię. – Matka nie rozkazywała jej, nie groziła. To była po prostu prośba, z jaką jedna dorosła osoba zwracała się do drugiej.

Dziewczyna ani drgnęła.

– Mamy pieniądze! – krzyknął Beżowy. – Dużo pieniędzy. – Ciągłe tarł oczy. Bez skutku.

Parker podeszła jeszcze bliżej i wyciągnęła do córki rękę.

– Przypomnij sobie naszą zasadę – odezwał się Shaw. – Nigdy nie wiąż przeciwnika walką, jeżeli nie musisz.

Pistolet jeszcze na chwilę został tam, gdzie był. Potem Hannah wolno opuściła rękę i zgarbiła plecy. Podała broń matce, tak jak uczył ją Colter, lufą skierowaną w stronę neutralnego celu.

Allison otoczyła córkę lewym ramieniem i odsunęły się od zapłakanego mężczyzny, który zdjął kurtkę i osuszał nią oczy.

Pochyliła się nad córką i coś do niej powiedziała – Shaw jej nie usłyszał. Hannah zmarszczyła brwi. Matka znowu się odezwała, najwyraźniej powtarzając te same słowa. Dziewczyna kiwnęła głową i się cofnęła. Zasłoniła dłońmi uszy.

Nie, pomyślał Shaw. Nie...

Kobieta odwróciła się do Beżowego i trzymając glocka oburącz, strzeliła mu w głowę.

Padł na ziemię. Podeszła do niego i dla pewności wpakowała mu jeszcze jedną kulę.

Garnitur, krzywiąc się i łapiąc oddech po powaleniu na ziemię, podniósł się na nogi. Parker zwróciła lufę w jego stronę. Mężczyzna nie patrzył na broń, lecz na ciało swojego współnika. Wydawał się tak samo sparaliżowany jak przed chwilą, gdy Shaw go zaatakował.

Kobieta przyjrzała mu się badawczo.

Shaw się cofnął.

Garnitur bezwładnie opuścił ręce. Ten człowiek programowo nigdy o nic nie prosił. Teraz najwyraźniej pogodził się ze śmiercią.

Parker jednak nie strzeliła. Opuściła broń.

Ponieważ chwilę wcześniej padły ogłuszające strzały, krzyknęła do niego bardzo głośno:

– Półtora miesiąca temu kogoś zabiłeś!

Z niepewną miną potwierdzająco pochylił głowę.

– Marty Harmon zlecił ci zabójstwo kierowcy ciężarówki – ciągnęła. – Doszło do wypadku na moście Hawkins Road. Ciężarówka nie wyrobiła na zakręcie. Wpadła do dopływu Kenoah.

Garnitur wolno skinął głową, być może zakładając, że szczerść może być dla niego ocaleniem.

A więc to był człowiek, który zabił kierowcę samochodu wywożącego odpady radioaktywne.

Spojrzał w stronę Shawa. Potem ponownie skierował wzrok na kobietę, w której rękach znalazło się jego życie, narzędzie sprawiedliwości w formie niezwykle skutecznego, produkowanego masowo austriackiego pistoletu.

Parker kiwała głową.

– Kierowca był w wodzie i próbował wyciągnąć ciężarówkę. Też tam wszedłeś, żeby go zabić. Mniej więcej wtedy zaczęły się twoje kłopoty skórne.

Garnitur przymrużył oczy.

– Masz chorobę popromienną. W zaawansowanym stadium. Nic już na to nie poradzisz.
– Wzruszyła ramionami. – Będziesz powoli umierał.

Popatrzył na swoje ręce, potem na nią.

– Wynoś się stąd – dodała Parker. Kiedy nie ruszył się z miejsca, strzeliła w kierunku jego nóg. Odskoczył. – Spadaj!

Rozejrzał się niepewnie, po czym zrobił krok w tył. Odwrócił się i pobiegł w ciemność.

Shaw podszedł do Parker, która podała mu glocka – tak samo ostrożnie jak wcześniej jej córka.

– Nie lubię pistoletów – powiedziała. – Co nie znaczy, że nie wiem, jak się ich używa.

Nie, nic się nie stało. Po prostu to już koniec. Tyle że trochę wcześniej, niż planowaliśmy.

– Jak chcesz to zrobić, Marty? – Głos Marianne Keller w telefonie był wyraźnie przygnębiony, gdy zaczęło to do niej docierać.

Marty Harmon siedział w swoim maserati quattroporte na obskurnym parkingu dla ciężarówek pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Ferrington. Zielone fluorescencyjne światła rozjaśniały żółtobeżowe wnętrze eleganckiego samochodu. Zupełne przeciwieństwo otoczenia.

– Będzie potrzeba trochę sprytu. Dwa osobne samoloty. Ja wylatuję teraz. Twój jest jutro o jedenastej.

– Rano?

– Rano.

– Marty...

Marianne zazwyczaj okazywała niezwykłą pewność siebie, charakterystyczną dla skończonych piękności. Teraz jednak jej świat chwiał się w posadach. Ale choć w głosie można było uchwycić ton niepokoju, to nie był pozbawiony pewnego odcienia przyjemności. Zapewne myślała o pozytywnych następstwach ich przedsięwzięcia. Od dwóch lat chciała, żeby zostawił dla niej żonę, jeśli więc dla tego celu należało poświęcić kamuflaż z butelkowaną wodą – w porządku. Pod warunkiem, że... zostanie zabezpieczona.

Harmon rozumiał te obawy.

– Odlot jest z prywatnego lotniska Granton. Wiesz, gdzie to jest?

– W bok od pięćdziesiątkipiątki w kierunku na północ.

– Będziesz miała learjeta. Numer... możesz to sobie zapisać?

– Mów.

– Numer N dziewięć cztery siedem trzy dwa. Samolot zabierze cię do terminalu prywatnego ruchu w Atlancie. Tam się spotkamy.

– Nie możemy lecieć razem?

– Nie, tak będzie bezpieczniej. Ja polecę do Charlotte, a stamtąd pojedę do Georgii samochodem. Potem na Saint Croix i wreszcie do Francji.

W Paryżu działała firma zajmująca się obsługą małych reaktorów modułowych. On i Marianne rozmawiali o stworzeniu joint venture przez Harmon Energy i Fabrication de

Systèmes Nucléaire de la Loire.

– Szlifujesz francuski, prawda?

– *Oui*. Tak jak mówiłeś.

– Brawo. Posłuchaj, na dnie szafy w moim biurze jest dla ciebie bagaż ewakuacyjny.

– Przygotowałeś go dla mnie? – Teraz w jej głosie zabrzmiała nuta uwielbienia.

– Oczywiście. – Zaśmiał się uprzejmie. – Znajdziesz tam około dwustu tysięcy. Rano idź do biura i zachowuj się jak gdyby nigdy nic. Gdyby ktoś pytał, gdzie jestem, powiedz, że wyjechałem do Waszyngtonu na spotkanie w Komisji Nadzoru Jądrowego.

– Marty, co oni wiedzą? – Uwielbienie się ulotniło.

– Sądzę, że jesteśmy bezpieczni. Nie ma żadnych dowodów. Nie da się zidentyfikować numerów, z których dzwoniono, nie ma mejli ani papierów. Rozpuściłem wiadomość, że ci dwaj chcieli zabić Allison z powodu jej pojemnika na pręty paliwowe. Sabotaż. A wyjazd za granicę? Miałem dość. Uzbrojeni szpiedzy kradną dezaktywator ADEB? Ktoś usiłuje zamordować moją inżynierkę? Może to ja byłbym następny na liście. A wyjechaliśmy razem... bo się kochamy.

– Och, Marty... – Zachwył odżył.

– Powinienem już kończyć. Jutro o jedenastej.

– N dziewięć cztery siedem trzy dwa.

– Zgadza się, skarbie. Kocham cię.

– Kocham cię, Marty.

Harmon rozłączył się, uruchomił silnik i pojechał na skraj parkingu, wyjątkowo obrzydliwy fragment, gdzie kruszył się asfalt, walały się wyrzucone części samochodowe, ciemniały plamy smarów i oleju, od rozlanych chemikaliów umierała wątła roślinność. Zaparkował pod dużym bukiem z gęstą koroną – ten gatunek traci liście najpóźniej. Stał obok czarnego cadillaca sedana, którego silnik pracował na wolnych obrotach. Samochód był zarejestrowany na firmę Harmon Energy.

Skinął głową krzepkiemu kierowcy, który opuścił szybę. Miał lateksowe rękawiczki. Harmon podał mu kopertę zawierającą dziesięć tysięcy dolarów i swój telefon. Mężczyzna wrzucił bieg i szybko odjechał. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami miał dotrzeć na międzynarodowe lotnisko sto pięćdziesiąt kilometrów stąd i zostawić auto na długoterminowym parkingu, odciskając wcześniej swoją obecność w kilku kamerach monitoringu.

Harmon otworzył bagażnik maserati i wyjął duży plecak oraz własny bagaż ewakuacyjny, który zawierał kilka paszportów – z jego zdjęciem, ale wystawionych na różne nazwiska z różnymi datami urodzenia – a także osiemset tysięcy w gotówce. To były tylko pieniądze na drobne wydatki i łapówki. Większość środków miał w bitcoinach.

Wciąż był niezadowolony, że jego kieszeń została uszczuplona o dwieście tysięcy, które odłożył dla Marianne Keller. Zastanawiał się nad kwotą. Wreszcie doszedł do wniosku, że

jedna piąta miliona dolarów przekona ją, że naprawdę chce, by towarzyszyła mu w nowym życiu.

Nigdy nie podejrzewałaby, jak będzie wyglądać rzeczywistość: że zostanie aresztowana po wyjściu z siedziby Harmon Energy, chcąc dotrzeć na odlot prywatnego samolotu, który nie istniał, wynosząc gotówkę, którą według anonimowego doniesienia Harmona ukradła firmie.

Następnie policja przeszuka jej komputer i znajdzie w nim zatrzesienie notatek i mejli, które, jak twierdził, nie istniały, a tak naprawdę łączyły ją z Mollem i Desmondem oraz ze śmiercią kierowcy ciężarówki i planem zatuszowania radioaktywnego wycieku.

Policja odkryje także mejle od Doma Ryana, który – dzięki Bogu – zginął pod tym domkiem nad jeziorem. To był najlepszy rodzaj świadka.

Oczywiście wszystko ostatecznie doprowadzi do samego Harmona. Ale istotą ucieczki jest zacieranie śladów i mylenie tropów. Zanim złożą wszystkie elementy układanki, zdąży bezpiecznie zaszyć się w nowym domu, gdzie nie będzie mu grozić żadna ekstradycja.

Dom nie znajdował się w Republice Francuskiej.

Nie zamykając pięknego samochodu, rzucił kluczyki na podłogę. Pożegnał go smutnym uśmiechem; nie miał pojęcia, jaki los czeka maserati, ale w tej części stanu najprawdopodobniej zniknie w ciągu godziny. Nie miał pojęcia, co właściwie producent mety mógłby zrobić z tym arcydziełem motoryzacji. Pewnie zmieni tablice i będzie nim jeździł; rynek na części zamienne włoskiego superauta był nieco ograniczony.

Chwilę później pod buk powoli nadjechał furgon z otwartą tylną klapą.

Pojazd nie zatrzymał się, ale minął go na tyle wolno, że Harmon mógł bez trudu wrzucić do środka bagaże i wskoczyć za nimi. Zamknął klapę. Kamery monitoringu i drony, choć ich obecność była wysoce nieprawdopodobna, niczego by nie zarejestrowały.

Uderzył dłonią w przednią ścianę skrzyni i kierowca wcisnął gaz.

Dość skomplikowany plan.

Ale konieczny.

Problemem nie była oczywiście policja w Ferrington, która wciąż zatrudniała kilka opłacanych przez niego osób – to była zaleta popełniania przestępstw w biednej metropolii, pełnej zdesperowanych mieszkańców.

Nie, kłopot polegał na tym, że do sprawy wmieszali się już federalni.

Dzięki człowiekowi, którego Harmon osobiście zatrudnił, aby był jeszcze jednym uczestnikiem projektu zabójstwa Hannah i jej matki – Colterowi Shawowi.

Wtedy wydawało się, że to doskonały pomysł.

Na tym jednak polegała praca genialnego wynalazcy. W końcu Thomas Edison doznał tyle samo porażek, ile odniósł sukcesów.

Choć prawdopodobnie więcej.

Kenoah była skażona tylko w Ferrington i okolicach miasta, gdzie dwudziestowieczny kapitalizm, a ostatnio sam Marty Harmon domieszał do szerokiej drogi wodnej przytłaczającą ilość substancji toksycznych.

W dole rzeki, w miarę jak chemikalia się rozrzedzały, woda przybierała inny odcień i kolor żółci przechodził w łagodniejszy brąz. Brzegi porastały bujne drzewa i rośliny, które nie miałyby szans przeżyć w granicach miasta. Pięćdziesiąt kilometrów dalej, gdzie koryto rzeki poszerzało się do dwustu metrów, rozkwitły zabudowania przybrzeżne. Restauracje, sklepy i przystań dla jachtów i łodzi turystycznych.

Znajdowały się tam też pirsy, przy których cumowały statki transportowe. Nie były to wielkie jednostki oceaniczne ani ro-ro, lecz drobnicowce w starym stylu, przewożące palety zamiast kontenerów.

Statkom zwykle nadawano nazwy na cześć ludzi; właściciele nie malowali na burtach błyskotliwych wyrażen ani kalamburów, jakie dla swoich żaglówek wymyślali lekarze i adwokaci po paru kieliszkach martini. Statek wybrany przez Martina Harmona nazywał się „Jon Doherty” – imię wydawało się wyjątkową ironią.

Statek mierzył trzydzieści trzy metry od dziobu do rufy, miał sześćdziesiąt dwa lata, otarty kadłub z licznymi śladami rdzy, roztaczał woń smarów i oleju napędowego, ale miał też jeden atut, za który Marty Harmon zapłacił kapitanowi sto tysięcy dolarów: odrapaną, ale dużą prywatną kabinę. Miała stać się jego domem na najbliższy tydzień – bo tyle potrzebował „Jon Doherty”, by dotrzeć na zachód do Missisipi, a potem zawinąć do Nowego Orleanu.

Stamtąd inny statek – kontenerowiec, z większymi i bardziej luksusowymi kajutami – miał go zabrać do kompleksu portowego w Lagos w Nigerii.

Afryka...

Kontynent, który był przyszłością świata.

Kontynent, który po zainstalowaniu nowej firmy zamierzał obsiać małymi reaktorami modułowymi. Wprawdzie będzie spóźniony o dwa lata, ale to nieważne; cudowne urządzenia w końcu ujrzą światło dzienne. To banalne zdanie wywołało uśmiech na jego twarzy.

Czekał go długi i nudny rejs, choć będzie miał komputer, drukarkę i całe rzyzy papieru. A także satelitarny telefon z szyfrowanym połączeniem, który pomoże mu położyć

podwaliny pod nowe życie.

Furgon zjechał z głównej drogi i zaczęło trząść.

Trzymając się płóciennych pasów do mocowania ładunku, Harmon myślał o wydarzeniach minionych sześciu tygodni: wycieku radioaktywnym, zabójstwie kierowcy, pospiesznym zrzuceniu toksycznych ścieków do Kenoah i załatwianiu wody z jodkiem potasu, by rozdać ją uczciwym mieszkańcom Ferrington.

Sprytny, stworzony naprędce plan... który posypał się jak domek z kart z winy cholernej szesnastolatki i jej selfie.

Jezu Chryste...

Samochód zahamował z piskiem opon. Kierowca uderzył dwa razy w ścianę skrzyni. Nie ustalili żadnego kodu, ale było jasne, że dotarli do pirsu, gdzie cumował „Jon Doherty”.

Harmon uniósł klapę i wyjrzał na zewnątrz. O jedenastej wieczorem przystań była pusta, jeśli nie liczyć kilku robotników ładujących i mocujących skrzynie na paletach. Z boomboxa huczała latynoska muzyka.

Zeskoczył z platformy, zabrał bagaże i podszedł do kabiny od strony kierowcy. Podał mężczyźnie następne dziesięć tysięcy.

– Dziękuję, Ramonie Velazquez. – Była to aluzja do faktu, że kierowca przebywa w kraju nielegalnie, a Harmon zna jego imię i nazwisko, więc jeżeli nie będzie trzymał języka za zębami, to funkcjonariusze służby celnej i granicznej w mig odstawią go do Meksyku.

– Nie ma sprawy, panie Harmon.

Zgrzytnęła skrzynia biegów i furgon odjechał.

Czując opary paliwa i lekki, ale wyraźny zapach bagna, Harmon ruszył w kierunku pirsu, gdzie stał przycumowany statek. W nadbudówce paliło się kilka świateł. Kapitan zapewniał go, że może wejść na pokład o każdej porze dnia i nocy.

Sto tysięcy w drobniejszych banknotach zapewnia nieprzebrane pokłady gościnności.

Statek łagodnie się kołysał. Drobne fale pluskały o burty. Woda nie tryskała w górę. Wieczór był bezwietrzny. Lewisport było kiedyś plemienną wioską, a potem faktorią i przystankiem dla podróżnych. O tej porze wyglądało niemal tak samo jak w tamtych czasach: ciemne zabudowania, blask księżyca tańczący na zmarszczonej powierzchni rzeki, zarys bezludnego bagna i lasu na drugim brzegu.

Do trąpu zostało mu zaledwie parę metrów i odnosił wrażenie, że gdy postawi stopę na pokładzie, nic nie będzie mu groziło. Oczywiście nie tak jak na wodach międzynarodowych. Będzie podlegał jurysdykcji każdego stanu, w którym znajdzie się statek. Podczas rejsu nie liczył jednak na nietykalność prawną, lecz na anonimowość. Z tych dwu rodzajów ochrony drugi uważał za znacznie lepszy.

Miał też dodatkowe zabezpieczenie, polegające na tym, że jeśli nawet pogoń skupi się na nim i jego firmie, to na pierwszy ogień pójdą nieszczęsna Marianne, resztki gangu Doma Ryana i czarny cadillac.

Trzy metry, dwa. Jego kroki skrzypiały na asfalcie.

Powietrze wypełniał soczysty puls marimb, sekcji dętej i gitar.

Nagle usłyszał:

– Martinie Harmon! FBI! Rzuć torby i podnieś ręce!

– Ręce do góry!

Sapnął z obrzydzeniem.

Odwrocił się. Trzej robotnicy portowi wcale nie byli robotnikami. Dołączyła do nich większa grupa osób w granatowych kurtkach, na których z przodu i z tyłu widniały litery oznaczające ich pracodawcę. Wszyscy ściskali w dłoniach pistolety, których połowa była wycelowana w niego. Reszta przeczesywała przystań w poszukiwaniu nieprzyjaciół, których Harmon mógł ze sobą zabrać.

Jezu...

– Rzuć torby! Ręce do góry!

Posłuchał.

Kilku z nich przypadło do niego, by skuć mu ręce kajdankami i go zrewidować. Zajrzeli też do plecaka i torby.

– Broń! – zawołał jeden z nich.

Harmon wziął ze sobą stary rewolwer i pudełko amunicji. Od lat nie strzelał, ale doszedł do wniosku, że broń może mu się przydać.

Rewolwer został rozładowany i umieszczony w torebce na dowody.

Mężczyzna, który wyglądał na agenta kierującego akcją, podszedł i dokonał oficjalnego aresztowania, recytując litanie zarzutów: ucieczka przed odpowiedzialnością karną, zmowa w celu dokonania zabójstwa, oszustwo telekomunikacyjne, czynna napaść... Harmon szybko się pogubił. Nie zrezygnował z prawa do zachowania milczenia.

Podeszła do niego jeszcze jedna postać.

Ach, któż inny mógłby to być?

Agent FBI spojrzał na Coltera Shawa.

– Miał pan rację. Jakiego pana zdaniem było prawdopodobieństwo, że tam, na parkingu, oszukał drony i przyjechał tutaj?

– Przypominam sobie, że jakieś osiemdziesiąt pięć procent – odparł lakonicznie.

Agent obrzucił Harmona taksującym spojrzeniem.

– Pan Shaw domyślił się, że jedynym miejscem, gdzie szukałby pan kryjówki, jest Afryka, a jedyny sposób, żeby pana nie namierzono, to popłynąć statkiem.

– Jaki macie dowód, że...

– Sonja zidentyfikowała materiał wybuchowy w ładunku podłożonym w jej range roverze – przerwał mu Shaw. – To materiał używany w dezaktywatorze Minisłońca. Poza tym ma nagranie z kamery, na którym widać, jak godzinę przed tą eksplozją wchodzisz do magazynu substancji dozorowanych w siedzibie Harmon Energy. Zanim zapytasz, jak

prezes firmy mógłby skonstruować bombę, przypomnij sobie, że jesteś inżynierem i masz dyplom z chemii.

Niech to szlag...

Agent złapał go za ramię.

– Tędy.

Harmon odwrócił się jednak i spojrzał na Shawa, a potem na agenta.

– Musicie zrozumieć. Chciałem poprawić ludziom życie. Wyrwać ich z ubóstwa. Moje Ministerstwa mogą tego dokonać! Zrobiłem to wszystko, żeby świat stał się lepszy.

Spojrzenie, jakie posłał mu Shaw, mówiło: właśnie to teraz robimy.

CZĘŚĆ TRZECIA

NIGDY

PIĄTEK, 23 WRZEŚNIA

Colter Shaw stał w gabinecie detektywa Dunfry'ego Kempa na komendzie policji w Ferrington.

Teczek z dokumentami znacząco ubyło, w związku z czym odsłoniły się większe fragmenty ścian i na brązowych i zielonych płaszczyznach ukazały się liczne zadrapania i plamy. W zasadzie pomieszczenie wyglądało lepiej z okładziną w postaci stert teczek.

Kemp przeglądał jego oświadczenie, kiwając głową.

Shaw zwrócił uwagę, że policjant przyjął do wiadomości najważniejszy fragment jego wypowiedzi: „W mojej ocenie pani Parker użyła broni tylko dlatego, że było to konieczne do ochrony własnego życia oraz życia swojej córki i mojego”.

Zawsze dobrze mieć na podorędziu jakąś wersję tego tekstu, na wypadek gdyby w grę wchodziła broń palna i ofiara.

Policja okazała się skłonna do współpracy.

Niechęć do ścigania Jona Merritta najwyraźniej nie miała związku z reputacją bohatera z Beacon Hill, lecz z faktem, że kapitan i dwaj detektywi z komendy byli opłacani przez Harmona. Jednym z nich był przełożony Dunfry'ego Kempa, który przydzielił mu sprawę Merritta, a wraz z nią mnóstwo innych, aby utrudnić mu poszukiwanie byłego gliniarza, jego ekszony i córki. Chodziło przede wszystkim o to, by możliwie jak najmniej stanęło na przeszkodzie rozszerzonemu samobójstwu Merritta.

Po zawieszeniu skorumpowanych gliniarzy Kemp zrzucił pęta i przedzierzgnął się w całkiem sprawnego funkcjonariusza organów ścigania.

– Będzie pan musiał zeznawać przed sądem.

Shaw skinął głową.

– Pewnie już pan to kiedyś robił.

– To prawda.

– Czyli jeździ pan po kraju i szuka wyznaczonych nagród?

– Zgadza się.

Kemp wyglądał na zaintrygowanego takim sposobem na życie i Shaw pomyślał, że zaraz spyta, gdzie trzeba złożyć CV. Detektyw powiedział jednak:

– Skoro tak to się panu podoba, to może pan wstąpi do nas?

Sztywne przepisy i budzące grozę biurko.

– Lubię podróżować.

– W każdym razie niech pan to weźmie pod uwagę. Nie ma na świecie lepszej pracy niż służba w policji.

– Podobno.

– Skontaktuje się z panem prokuratorem. – Kemp podsunął mu oświadczenie, które Shaw podpisał.

– Słyszał pan, jak on się czuje? – zapytał detektyw. – Z nim też chciałbym porozmawiać.

– Lepiej.

Mówili o wcześniejszym uczestniku zdarzenia, który miał się już więcej nie pojawić.

O Franku Villainie.

Który jednak przeżył.

Bliźniacy przyjechali do niego w chwili, gdy opuszczał dom, i zamierzali torturami wydusić z niego informację, dokąd pojechały Allison i Hannah. Nie spodziewali się, że będzie uzbrojony, a on zniecacka ostrzelał ich z glocka i uciekł do lasu. Jeden z Bliźniaków trafił go pociskiem w plecy i Villaine padł na ziemię. Przypuszczali, że nie żyje, a jeśli nie, to niebawem umrze, poza tym odkryli, że wcale nie musi z nimi współpracować; zauważyli, że w nawigacji mercedesa jest zaprogramowany cel podróży, czyli domek nad jeziorem Timberwolf.

Villaine'a jeszcze tego samego dnia wieczorem znalazł sąsiad i natychmiast zawiózł do szpitala. A teraz była przy nim Allison Parker.

Shaw wstał. Mężczyźni podali sobie ręce.

W tym momencie zawibrował jego telefon. Shaw odczytał wiadomość. Po chwili wahania odpowiedział.

Stał na bulwarze, niedaleko mostu na Czwartej Ulicy.

W dole parła naprzód musztardowa Kenoah.

Shaw wciągnął nosem powietrze. Toksyczne koktajle Harmona nie spływały już do umęczonej rzeki i zdawało mu się, że zapach jakby się poprawił.

Wyobraźnia? Być może.

Patrzył na drugi brzeg, na słynną atrakcję turystyczną miasta, czyli Wodny Zegar – inspirację projektu z historii, do którego zabrali się ojciec z córką. Model zegara zbudowany przez Jona Merritta w więzieniu został odzyskany z rozbitego buicka i zwrócony Parker i Hannah. Był w pełni sprawny, teraz stał nad kominkiem w ich wynajętym domu. Shaw zastanawiał się, jaki los spotkał ceglane *bolas*.

– Cześć – usłyszał melodyjny głos z akcentem z Alabamy.

Sonja Nilsson wchodziła po kamiennych schodkach z nabrzeża pięć metrów niżej. Naradzała się tam z dwoma mężczyznami, którzy pływali po rzece niewielką łodzią najeżoną naukowym sprzętem badawczym.

Przywitał ją skinieniem głowy.

Kobieta miała na sobie dzinsy, koszulę roboczą i skórzaną kurtkę, w niczym nieprzypominające eleganckiego stroju, w którym poznał ją w gabinecie Harmona. Stylizacji dopełniała kamizelka odblaskowa. Jasne włosy zaplotła w warkocz, który potem niedbale zwinęła i upięła z tyłu głowy. Wyglądała dokładnie jak mieszkanka Sztokholmu, która wybiera się na zakupy w sobotni poranek i przy okazji zamierza wstąpić gdzieś na kawę. Oczywiście jeśli nie liczyć pomarańczowej kamizelki.

– Jak twój range rover?

– Będzie gotowy za dwa tygodnie. Kiedy powiedziałam rzeczoznawcy z firmy ubezpieczeniowej, że powodem uszkodzeń był improwizowany ładunek wybuchowy, na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Shaw spojrzał w dół na Kenoah.

– A jakość wody?

Pracownicy patrzyli na wyświetlacze żółtych liczników Geigera.

– Jest bezpiecznie. Od miejsca wycieku dotąd skażenie poniżej progu alarmowego. Dalej w dół rzeki wynik negatywny.

Czyli radioaktywność przestała być zagrożeniem.

Zerknął na jej twarz i zauważył, że pilnie bada teren wokół nich. Przed chwilą zrobił to samo. Skórzana kurtka była niedopięta i dostrzegł rękojeść broni.

Ich oczy się spotkały.

Ach, ta zieleń... Naturalna czy nie?

– Czyli chyba bezpiecznie. – Miał na myśli ocenę ryzyka.

Rzeczywiście.

Nilsson stale musiała zachowywać ostrożność, mając na uwadze, że figurowała na czarnej liście z powodu złodzieja dokumentów z Pentagonu. Jeżeli jednak chodziło o osoby wplątane w sprawę Harmon Energy, to żadna z nich nie stanowiła już zagrożenia.

Nad jeziorem Deep Woods Jon Merritt zabił Dominica Ryana i jednego z członków jego irlandzkiego gangu. Drugi, ranny, siedział w areszcie i był gotów sypać.

Beżowy – Desmond Sawicki – oczywiście zginął.

Wśród żywych nie było także jego współnika, Molla Fraina, którego Allison Parker puściła wolno. Nie groziło im, że jak grom z jasnego nieba pojawi się w trzecim akcie jak rzekomo martwy pomocnik złoczyńcy pod koniec kiepskiego filmu. Tego dnia rano znaleziono go w jego warsztacie na peryferiach miasta, gdzie odebrał sobie życie. Siedział na aluminiowym krześle, ale pomalowanym tak, że wyglądało jak zrobione ze szlachetnego drewna. Wykonał to własnoręcznie. Wyglądało na to, że miał nieprzeciętne zdolności artystyczne. Kto by pomyślał?

– Zamknięto Harmon Energy? – zapytał Shaw.

– Na chwilunię.

Wyrażenie z Południa podane z odpowiednim akcentem przez szwedzką modelkę brzmiało fałszywie, a jednocześnie w dziwny sposób czarująco.

– Jadą do nas inspektorzy z Agencji Ochrony Środowiska i Komisji Nadzoru Jądrowego – ciągnęła. – Ale... – zerknęła na łódź. – Ustalą to samo co my. I dostaniemy zielone światło, żeby wznowić działalność.

Po chwili Shaw powiedział sobie w duchu: dość.

Nie miał na myśli federalnych organów nadzorczych ani przedsiębiorstwa, ale własne niezdecydowanie co do koloru jej oczu.

– Kto go zastąpi? – spytał.

– Zarząd ma wybrać. Mówi się, że dobrą kandydatką byłaby Allison Parker. Nie ma doświadczenia menedżerskiego, ale nikt lepiej od niej nie zna produktu. Poza tym... – uśmiechnęła się – branża energii jądrowej to od zawsze świat samych mężczyzn. Byłoby dobrze, gdyby twarzą Harmon Energy została kobieta. Ale mnie nikt nie pyta o zdanie. Tak jak ty, Colter, zostałam tylko wynajęta do pomocy.

Shaw po drugiej stronie ulicy zauważył furgonetkę policyjnej ekipy kryminalistyków, zaparkowaną przed ponurym zaułkiem Manufacturers Row. Detektyw w cywilu rozmawiał z jakimiś mężczyznami wyglądającymi na bezdomnych.

– Co się tam stało?

– Podobno jakiś narkotykowy deal źle się skończył.

– Myślałem, że może mają tego seryjnego mordercę – powiedział Shaw. – Sprzątacza Ulic.

– Nie, jeszcze jej nie złapali.

Shaw w zdumieniu ściągnął brwi.

– Nie wiedziałaś? Badanie DNA wykazało, że to kobieta. Rzadkość. Ale my, dziewczyny, też potrafimy zejść na złą drogę.

Shaw parsknął śmiechem. Przez jakiś czas zastanawiał się, czy Sprzątaczem Ulic nie jest przypadkiem Jon Merritt, który jako funkcjonariusz obyczajówki postanowił posunąć się o jeden krok za daleko. Dawał jednak tej teorii tylko trzydzieści procent, a potem zupełnie ją porzucił.

– A co z przynętą? – pytał dalej. – Z dezaktywatorem ADEB?

– Wczoraj wieczorem namierzono go w Dubaju. To międzynarodowe centrum. Trafi gdzie indziej. Znajdziemy go... Wróćmy do wiadomości, którą ci wysłałam – zmieniła temat.

Pytając uniósł brew.

– Jesteśmy ci winni pewną kwotę.

Zapomniał, że odszukanie i ochrona Allison Parker i jej córki to była jego praca. Człowiek, który mu ją zlecił, siedział w areszcie, podobnie jak strażniczka drobniejszych funduszy, Marianne Keller. Shaw domyślał się jednak, że w księgowości jest ktoś, kto może się zająć zapłatą.

Nilsson miała jednak inne plany.

– Co byś powiedział na trzy razy wyższą kwotę?

– Hm.

– Jestem w kontakcie z kimś z Interpolu.

Wiedział, jak działa ta organizacja. Wbrew powszechnemu przekonaniu nie była to samodzielna agencja bezpieczeństwa. Raczej coś w rodzaju biura wymiany informacji o przestępczości i przestępcach, z którego korzystały organa ścigania z różnych krajów.

– Dostali sygnał ze źródła w Europie Wschodniej. Na tajne konto na Syberii trafiła pewna kwota.

Widocznie nie aż tak tajne.

– Jej odbiorca miał skraść zastrzeżony komponent z przedsiębiorstwa produkcyjnego na Środkowym Zachodzie.

– Czy przypadkiem nie chodzi o branżę reaktorów jądrowych?

– Złodziej zaważył sprawę – ciągnęła. – Ale szefowie dali mu drugą szansę. Jeżeli tym razem nie będzie mógł zdobyć tej części, miał – cytuję – „w znaczący sposób zakłócić działalność” firmy. Następnej okazji już nie będzie.

– Abe Lincoln.

Zmarszczyła brwi.

– Lemierow – wyjaśnił.

– Zgadza się.

Zobaczył w wyobraźni tyczkowatego mężczyznę i przypomniał sobie spotkanie w motelu niedaleko miejsca, w którym oboje teraz stali.

Ty sobie szybko nie gratuluj, panie Colter Shaw. Będą jeszcze następne rundy. Będą następne...

Tom Pepper mówił, że Rosjanin został deportowany – wsadzony na pokład samolotu do Londynu – ale później zniknął.

– Czytałeś historię wojskowości?

– Trochę.

– Fascynują mnie taktycy. Moim zdaniem pierwsza piątka wygląda tak: Stonewall Jackson, Erwin Rommel, Sun Zi, Aleksander Macedoński i Hannibal Barkas – tak, ten z Kartaginy. – Pokręciła głową. – Wiesz, jak dowodził w bitwie nad Trebią? Kartagińczycy stracili kilka tysięcy ludzi, a Rzymianie ponad dwadzieścia tysięcy – połowę armii.

Oboje spoglądali na Wodny Zegar.

– Sprawiasz na mnie wrażenie kogoś takiego – oznajmiła. – Chciałabym cię zatrudnić, żebyś postawił się na miejscu naszego Rosjanina. I zorientował się, jak chce zaatakować firmę. Gdzie, kiedy i jak. I żebyś pomógł mi go powstrzymać. – Przechyliła głowę. – Oczywiście w legalny sposób. – Jej uśmiech wyglądał, jakby oznaczał „zapewne”. – I co ty na to, Shaw? Dopóki znowu nie ruszysz w drogę.

Odwrócił się do niej i w tym momencie rozeszły się chmury, a jej twarz skąpał blask słońca.

Nagle odpowiedź stała się równie jasna.

Nie nosiła szkieł kontaktowych.

Colter Shaw zatrzymał wypożyczony z Avis samochód, całkiem niezłego czarnego chevroleta malibu, na podjeździe przed wynajętym domem Allison Parker przy Maple View Avenue.

Hannah kołysała się łagodnie na huśtawce na werandzie, siedząc na niej po turecku w dżinsach, jasnozielonej wełnianej czapce i luźnej bordowej bluzie, której rękawy były na nią znacznie za długie. Dziewczyna machała na pożegnanie tyczkowatemu chłopakowi z długawymi blond włosami, ubranemu podobnie jak ona. Jak urodzony sportowiec rzucił na chodnik deskorolkę, wskoczył na nią i zataczając łagodnie łuki, z gracją tancerza zniknął mu z oczu.

Kyle. Tak miał na imię? Widząc spojrzenie, jakie posłał jej na odchodnym, Shaw ocenił jego zainteresowanie na znacznie więcej niż dziesięć procent.

Wziął leżącą na siedzeniu obok torbę i wysiadł z samochodu.

– O, pan Shaw! – Hannah uśmiechnęła się do niego. Potem zaskoczyła go, bo zeszła z huśtawki, podbiegła i mocno go uściskała. Delikatnie odwzajemnił gest.

– Mama jest w szpitalu. Niedługo powinna wrócić.

– Wiem – odparł Shaw. – Jak się czujesz?

– Spoko. – Powiedziała to takim tonem, jakby właśnie łagodnie przeszła grypę, a nie była celem zawodowych zabójców.

Poszli w kierunku werandy.

Podał jej torbę.

Wyjęła z niej cienką książkę.

– Aha. Mówił mi pan o tym.

Poleganie na sobie Ralpa Walda Emersona.

– Czad! Dzięki. – Spoważniała. – Przeczytam. Nie mówię tak jak nauczycielom. Serio to przeczytam. Wie pan, chcę panu coś pokazać. – Wzięła leżący na huśtawce notes. Wyglądał niemal identycznie jak te, w których notował informacje podczas swoich zleceń. Podała mu go. – Napisałam wiersz.

Przeczytał.

Colter Shaw, specjalista od uważnej oceny sytuacji i procentów, nie znał się na twórczości artystycznej, mimo to czuł, jak z każdym słowem przyspiesza mu puls.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– Podoba się panu? Naprawdę? – Nie było wątpliwości, że zależy jej na jego opinii.
Skinął głową.

– Pracuję nad tym non stop.

– Metrum jest dobre. Rytm.

Oczy jej rozbłysły.

– Właśnie na tym próbowałam się skupić. Nie chciałam, żeby się rymował. Żeby brzmiał jak piosenka dla dzieci. To lamerstwo.

– Przypomina twoje selfie – jest niekonwencjonalny.

Pod maską skromnego uśmiechu dziewczyna promieniała radością.
Na ulicy z piskiem hamulców zatrzymał się jakiś samochód.
Shaw instynktownie sięgnął do biodra.

Bezcelowy gest, ponieważ nie miał przy sobie broni.

Bezcelowy także dlatego, że za kierownicą siedziała Allison Parker. Wysiadła z toyoty 4runner i podeszła do Shawa i Hannah, tylko nieznacznie utykając. Lekko się skrzywiła, wspinając się po schodkach na werandę.

Shaw pytająco uniósł brew.

– W porządku. Przez parę tygodni będę miała rehabilitację.

– Jak się czuje pan Villaine? – zapytała Hannah.

– Nic mu nie będzie. Jutro go wypisują. Pomyślałam sobie, że powinien u nas zostać przez parę dni, dopóki nie odzyska sił.

– Pewnie, że tak – odparła Hannah.

– Za godzinę przylatuje babcia Ruth – poinformowała ją Parker. – Pojedziemy po nią na lotnisko.

– A Busia?

Colter domyślił się, że pyta o matkę Merritta.

– Przyjedzie wieczorem. Będziesz musiała spać na kanapie. – Uśmiechnęła się. – Widziałam to spojrzenie.

Ale dziewczyna nie wyglądała na szczególnie zdenerwowaną. Twarz jej pojaśniała, gdy Shaw powiedział do Parker:

– Wiesz, twoja córka jest niezłą poetką.

– Han to kobieta o licznych talentach: fotografia, poezja. – Przyjrzała się dziewczynie. – I równania różniczkowe.

– Mamo...

Parker wskazała głową na notes w jej ręce. Hanna otworzyła go i chciała pokazać wiersz, ale matka miała inny pomysł.

– Nie, Han. Przeczytaj sama. Na głos.

– Hm... no, nie wiem. – Czyżby się zarumieniła?

– Proszę.

– Jak chcesz – odrzekła po chwili i pochyliła głowę nad notesem.

ZASADA NIGDY

*Człowiek dorasta i uczy się życia
Na każdym kroku, co dnia.
Jak być szlachetnym, jak w dobro przekuwać
Nieszczęścia, klęski i zło.*

*Zdarza się jednak, że gdzieś zmyli drogę,
Przekona się, że nie wie nic.
Przeszłość zaginie we mgle i ciemności,
W pułapce uwięzi go.*

*Ale gdy los się do niego uśmiechnie,
Znajdzie się taki ktoś,
Kto zamiast uczyć go wszystkich mądrości,
Pokaże mu sobą, jak żyć.*

*Co to uczciwość, co to odwaga,
Czym siła i wierność jest.
Choć nie spotkałoby mnie to w życiu,
Tak, wiem – gdyby nie ty.*

*Ten wiersz to słowa mojej wdzięczności
Za to, kim jestem dziś.
Nie zapominać nigdy twych nauk:
Tak moja zasada brzmi.*

– Och, Han. Super. Po prostu piękne.

– Podoba ci się?

– Naprawdę. – Parker ją uściskała.

Hannah przez chwilę patrzyła na kartkę, a potem spytała cicho, prawie szeptem:

– Myśli pan, że on to usłyszy?

– Kto? – zdziwił się Shaw.

– Mój tato. Przecież dla niego to napisałam.

Ach, tak...

– Chcę to przeczytać na pogrzebie. Wierzy pan w takie rzeczy, panie Shaw?

– Jakie?

– Że może będzie w kościele? Jako duch? Widziałam w telewizji program o tym, że duchy czasem zostają po naszej śmierci. Żeby mogły się pożegnać.

Nie powiedział nic o swoich poglądach na temat okultyzmu, nad którym prawie nigdy się nie zastanawiał. Ta sfera w ogóle nie figurowała w kanonach survivalu.

– Niektórych rzeczy nie możemy wiedzieć – odrzekł.

Hannah odczytała to jako potwierdzenie i skinęła głową.

Wsunęła notes razem z książeczką Emersona do swojej szkolnej torby. Nagle szeroko otworzyła oczy.

– Aha, przecież ja też coś dla pana mam! – Zerwała się z huśtawki, wprawiając ją w gwałtowny ruch wahadłowy, i wpadła do domu, zatrzaszcząc głośno drzwi z siatką.

– Wygląda na to, że całkiem dobrze się czuje – zauważył Shaw.

Parker nie odpowiedziała. Posłała mu zdawkowy uśmiech.

– Przykro mi.

Spojrzał na nią pytająco.

– Myślałeś, że ten wiersz jest o tobie?

Aż tak to było widać?

– W domku nad jeziorem miałem wrażenie, że dobrze się rozumiemy.

– Mama i tato mają swoje stałe miejsce w duszach dzieci. Nikt inny nie ma wstępu do tego sanktuarium. Wszystko jedno, jakie bzdury sobie nawygadują, ile złości na siebie wyleją, w końcu wpuszczą nas z powrotem, na dobre i złe. Freud w jednym miał rację: ta więź jest trochę silniejsza między matkami a synami i między ojcami a córkami. – Parker zerknęła na torbę, gdzie tkwił notes z wierszem. Uśmiechnęła się. – Pewnie zauważyłeś, że ja też dostałam swoją porcję pogardy.

Zaraz jednak dodała belferskim tonem:

– Ale nie myśl, że ta więź między wami to coś powierzchownego. To spotkanie było ważne. Mocno je odczuła. I zapamięta wszystko, czego ją nauczyłeś, co jej pokazałeś.

Zanim Shaw zdążył odpowiedzieć, wróciła Hannah z niewielką torebką z brązowego papieru.

Podawała mu ją z szerokim uśmiechem.

– Proszę.

Otworzył. Zobaczył słoiczek pieprzu cayenne.

– Dopóki nie naprawią panu rewolweru.

Zaśmiał się. Pożegnał matkę z córką i ruszył w stronę samochodu.

– Panie Shaw! – zawołała za nim Hannah. – Wymyśliłam jeszcze jedną zasadę.

Odwrócił się.

– Jaką?

– Nigdy nie trać kontaktu.

Kiwnął jej głową, wsiadł do wypożyczonego chevroleta i wyjechał na Maple View, a GPS skierował go na trasę, która ostatecznie miała zaprowadzić go do budynku z czerwonej cegły, gdzie mieściła się enklawa firmy Harmon Energy.

PODZIĘKOWANIA

Powieści nie są owocem samodzielnej pracy. Aby się narodziły i trafiły do rąk i serc czytelników, konieczny jest wysiłek zespołu ludzi, a ja mam wielkie szczęście współpracować z najwspanialszą grupą na świecie; należą do niej: Sophie Baker, Felicity Blunt, Berit Böhm, Dominika Bojanowska, Penelope Burns, Annie Chen, Sophie Churcher, Francesca Cinelli, Isabel Coburn, Luisa Collichio, Jane Davis, Liz Dawson, Julie Reece Deaver, Danielle Dieterich, Jenna Dolan, Mira Droumeva, Jodi Fabbri, Cathy Gleason, Alice Gomer, Iven Held, Ashley Hewlett, Aranya Jain, Sally Kim, Hamish Macaskill, Cristina Marino, Ashley McClay, Emily Mlynek, Nishtha Patel, Seba Pezzani, Rosie Pierce, Abbie Salter, Roberto Santachiara, Deborah Schneider, Sarah Shea, Mark Tavani, Madelyn Warcholik, Claire Ward, Alexis Welby, Sue i Jackie Yang oraz Kimberly Young. Jesteście najlepsi!

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA. MINISŁOŃCE

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26
- 27
- 28
- 29
- 30
- 31
- 32
- 33
- 34
- 35

CZĘŚĆ DRUGA. ZABAWA W CHOWANEGO

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

CZĘŚĆ TRZECIA. NIGDY

94

95

PODZIĘKOWANIA